

Góra trzech szkieletów

Baniewicz Artur



calibre 0.9.43

Góra trzech szkieletów

Artur Baniewicz

W.A.B. (2004)

Góra trzech szkieletów

Zajechali przed bramę budowy dwuletnim najwyżej mercedesem, ale wśród użytkowników osobowych wozów tej marki zdarzają się także ludzie uczciwi i moralni do szpiku kości. Samochód wyglądał na dobrze utrzymany i może dlatego na tle wywoskowanego lakieru tak bardzo rzucał się w oczy wgnieciony przedni błotnik oraz paskudna rysa, ciągnąca się wzdłuż tylnego błotnika i zakończona wyłupanym kierunkowskazem. Staralem się nie wyobrażać sobie, jak wygląda teraz człowiek odpowiedzialny za oszpecenie eleganckiej limuzyny.

Dwaj potężni trzydziestoletni mężczyźni, którzy z niej wysiedli, mieli na sobie jeszcze większe kurtki z czarnej skóry, sprane dżinsy i ciężkie, mocne buty. Nie ulegało wątpliwości, że obchodzenie ich możliwie szerokim łukiem jest dla szanującego zdrowie obywatela równie wskazane, jak rezygnacja z picia, palenia i nagłego wybiegania na jezdnię. Budzili respekt, niezależnie od tego, czy pod kurtkami ukrywali same mięśnie, czy coś jeszcze.

Ich szef nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale patrząc na jego trzyczęściowy garnitur, włoskie pantofle i okulary w oprawkach z pozłacanego drutu, nikt nie mógł

mieć wątpliwości, kto rządzi w tej trójce. Zapach drogiej wody kolońskiej wyprzedzał go o jakieś dwa metry, ale aura pewności siebie, władzy i autorytetu była już całe kilometry za moimi plecami, nim nos w ogóle coś wyczuł.

– Dzień dobry, panie Małkosz – błysnął zębami i wiedzą. – Mam nadzieję, że nie obudziliśmy?

– Skąd panu przyszło do głowy, że spałem? – Było już od dawna widno, choć jeszcze pusto, ale sytuacja mimo wszystko mi się nie podobała. Pewnie dlatego zapomniałem dodać do pytania choćby odrobiny świętego oburzenia.

– A co może robić nocny stróż w swojej kanciapie o wpół do szóstej rano? – Dla odmiany popisał się niezłą znajomością życia.

– Czujnie strzec i zdecydowanie bronić powierzonego mu mienia – uświadomiłem go po sekundzie namysłu. Tym razem się nie uśmiechnął. Albo wykręcił się od wojska i nie skojarzył tego, co powiedziałem, z abecadłem wartownika, albo wręcz przeciwnie: dopadli go i po dziś dzień psuło mu humor wspomnienie kilkunastu wydartych z życiorysu miesięcy.

– Nie jesteśmy z Mark Security – wzruszył ramionami, dzięki czemu upewniłem się, że neseser, który dźwigał w lewej ręce, nie waży wiele. – Nie przyjechaliśmy tu po to, by pana kontrolować.

– A po co przyjechaliście? – zapytałem mało dyplomatycznie. Mniejszy z potężnych facetów zrobił dwa kroki i położył dłoń na siatce. Gest równie nieszkodliwy jak skok tygrysa na pręty klatki, ale działający na wyobraźnię. Dobry mim namęczyłby się nieźle, chcąc mi przypomnieć, że w sierpniu słońce wstaje wcześniej niż obywatele Krakowa, że budowę otacza zapewniający dyskrecję płot, ulica do ruchliwych nie należy, a znieczulica kwitnie, więc powinienem uważać, co i jak mówię.

Jemu wystarczył jeden leniwy ruch ręki. Oto jak życie wygrywa ze sztuką.

– Tu nie będziemy rozmawiać – poinformował mnie chłodno elegant.

– O czym nie będziemy rozmawiać? – spytałem ostrożnie.

– O interesach. Naszych, panie Małkosz.

Nie zaakcentowałem zbyt mocno mojego nazwiska. Nie byłem jednak tak próżny, by podejrzewać, że powtarza je dla przyjemności wsłuchiwanie się w jego melodyjne brzmienie.

– W zasadzie nie powinienem nikogo wpuszczać – powiedziałem, wyjmując klucze.

– Mógłbym stracić pracę.

– I tak pan straci, jeśli odejdziemy z kwitkiem – poinformował mnie życzliwie.

Chyba uporałem się z kłódką szybciej niż zwykle.

Mniejszy goryl został przy samochodzie, a my pomaszerowaliśmy do barakowozu.

Poza stolikiem, fotelikiem i wieszakiem nie wyposażono go w żaden większy mebel, ale i tak miejsca pozostało tyle co pod natryskiem.

– Ładne ma pan biuro – zauważył młodzieniec, rozsiadając się w fotelu. Sprawiał

wrażenie zadowolonego ze scenerii. Rozsądny agent PZU nie ubezpieczyłby tego lokalu na kwotę powyżej pięciu złotych, ale on był człowiekiem interesu, a ci lubią niekiedy oglądać potencjalnego partnera leżącego na łopatkach.

– Ujdzie – wzruszyłem ramionami.

– Nie wolałby pan większego? – Neseser bez pośpiechu powędrował na stół, przykrywając otwartą książkę.

– Mam większe – mruknąłem bez specjalnej dumy. – To tutaj to dodatkowy etat.

– Oczywiście – uśmiechnął się. – Marcin Małkosz, ochrona osób i mienia, usługi pirotechniczne. Mam wizytówkę.

Patrzyłem, jak otwiera walizeczkę i wyjmuje dużą szarą kopertę.

– Ja chyba pańskiej nie mam – powiedziałem w końcu.

– Bo w mojej branży się nie używa. Taka specyfika. Posługujemy się też... hmm...

pseudonimami artystycznymi.

– Rozumiem – skinąłem głową. – Jesteście z cyrku.

W sekundę później straciłem zdolność do wykonywania podobnych gestów za sprawą imadła, które uwięziło moją szyję, głowę, a na dobrą sprawę także całą resztę.

Duży facet nie musiał nawet przekraczać progu: po prostu wyciągnął rękę i złapał mnie z tyłu za kark.

– Pokazać ci zonglerkę cieciami, koleś? – zapytał.

– Puść go – powiedział spokojnie elegant. Imadło rozchyliło się. – To nie było rozsądne.

– Pewnie tak – przyznałem.

– Nie ja to wymyśliłem – zastrzegł się – ale ktoś ze znajomych zaczął mówić o mnie Harvard i tak już zostało. Słyszał pan o grupie Harvarda? – Pokręciłem głową, testując przy okazji kręgi szyjne. – Dopiero wchodzimy na tutejszy rynek. Ogólnie biorąc, zajmujemy się tym co pan: ochroną. Tyle że na większą skalę.

– Markowski się zmartwi – zauważyłem. Właściciel Mark Security, jak wszyscy inni prowadzący interesy, nie lubił konkurencji.

– Niekoniecznie. Oferujemy klientom inną gamę usług. Ale nie mówmy o Markowskim, pomówmy o panu. Chcę pana zatrudnić. Stały etat, prace zlecane, forma obojętna, dogadamy się. Jedno jest pewne: nie będzie pan musiał dorabiać jako cieć. To nie jest zajęcie dla oficera Wojska Polskiego.

– Byłego – uściśliłem. Moja byłość aż kłuła w oczy: oficerowie w służbie czynnej strzegą granic Rzeczypospolitej, a nie budowy na peryferiach Krakowa.

– Podobno był pan dobry. – Rozczarował mnie trochę, wyciągając z koperty plik fotografii zamiast banknotów. – Proszę rzucić na to okiem i powiedzieć, co pan o tym sądzi.

Rzuciłem okiem i zacząłem dzielić się spostrzeżeniami:

– Zła pora, za długie cienie, a ostatnia seria zupełnie nieczytelna. Tatry są wprawdzie krzywe, ale górale stawiają chałupy w miarę pionowo, a ta się wyraźnie kiwa.

Zaryzykowałbym tezę, że fotograf był na gazie. No, albo konno.

Przez chwilę pomieszczenie wypełniała martwa cisza: moja krótka recenzja sparaliżowała słuchaczy.

– W wojsku był pan fotografem? – zapytał w końcu Harvard nieco stłumionym głosem.

– Nie. Saperem.

– No właśnie.

Jeszcze raz przesunąłem wzrokiem po zdjęciach. Ukazywały, ze wszelkich możliwych stron, szpetne

skrzyżowanie góralskiej chaty z pawilonem. Nazywało się toto

„Karczma u Walusia” i, sądząc po samochodach gości, do tanich nie należało. Właściciele limuzyn nie miałem okazji obejrzeć: zdjęcia wykonano tuż po świcie. Dwaj sfotografowani młodzieńcy na pewno nie mieścili się w kategorii nadzianego gościa.

Pierwszy z racji typowo tubylczych portek, drugi dlatego, że wyglądał i zachowywał się jak skin. Fotograf uwiecznił go zza szyb mercedesa i chyba tylko dlatego mieliśmy sposobność podziwiania zdjęć: tuż za szarżującym na obiektyw łysołem połyskiwało ostrze ciupagi, którą wywijał nad głową ten w zakopiańskich portkach.

– Powinien pan podać ich do sądu za ten samochód – zerknąłem na potraktowanego pałą i siekierą mercedesa. – Żyjemy w wolnym kraju. Dziś można fotografować nawet poczty.

Nie uśmiechnął się.

– Nie wciągajmy w to państwa – mruknął. – Problem wygląda następująco: wynikił

spór między mną a Waldemarem Koziółkiem. To – dotknął najbliższej fotografii – filar jego firmy. Gdyby któregoś dnia ta wypieszczona knajpka straciła wszystkie szyby, a na jej dachu wylądował ten oto chrysler – pokazał palcem – zrewidowałyby zapewne swoje absurdalne warunki wstępne. No i zyskalibyśmy taką renomę, o jakiej myślę.

– Chce pan... – zabrakło mi sił, by dokończyć.

– Te lustrzane szyby to jakieś piętnaście tysięcy. Wozu nie liczę: ubezpieczony. Choć wątpię, czy wypłacą mu równowartość zdjęcia z dachu dwóch ton żelastwa. Polisy takich rzeczy nie obejmują. Zapowiada się ciekawa, precedensowa sprawa.

Powoli dochodziłem do siebie.

– Chce pan załatwić to wszystko za pomocą materiałów wybuchowych? – nazwałem rzeczy po imieniu.

– To chyba oczywiste. Dlatego potrzebuję fachowca. Pana.

– Pan potrzebuje dźwigu i paru wyrostków z procami.

Za moimi plecami wychynęło żywe imadło.

– Zabawne – przyznał Harvard. – Ale głupie. Za daleko zaszliśmy; nie może się pan tak po prostu wycofać. Zresztą jedna trzecia od piętnastu kawałków nie chodzi piechotą.

– Źle pan trafił – powiedziałem z żalem. – Rozumiem, że mówiliśmy czysto teoretycznie o... hmm... wojskowości.

Powoli zamknął neseser i wstał. Zdjęć nie schował.

- To niezupełnie tak wygląda. – Mówił bez pośpiechu, raczej do walizki niż do mnie.
- Poznaliśmy się, padło nazwisko Koziółka... Odmawiając, stawia mnie pan w trudnej sytuacji.
- Terroryzm to nie moja branża – uśmiechnąłem się blado.
- Moja też nie. Potrzebuję kogoś z ręką chirurga, kto wykona głębokie cięcie, a nie zrobi dużej krzywdy.
- Kłopot w tym, że trotyl to nie skalpel. I przecenia pan chirurgów: uśmiercili więcej ludzi niż my minami.
- Chce pan umrzeć jako cieć na jakiejś zasranej budowie? To nie miejsce dla pana.
- Zawsze można wyjść na spacer – zauważyłem. – Z więzienia będzie trudniej. No i – wskazałem zdjęcie – pilnują.

Nie przekonałem go. Od początku wiedziałem, że tak będzie.

- Wrócimy za dwa tygodnie. Zdjęcia zostawiam. Do wyliczeń.
- Może nie dość precyzyjnie się...
- Nie – przerwał. – Rozumiem: odmawia pan. Ale jeżeli nie chce pan umrzeć jako cieć, przyjmie pan moją propozycję. Do widzenia.

Opadłem na fotel. Nie słyszałem nawet, jak odjeżdżali.

Coś mi mówiło, że przesadziłem z piciem.

Podobał mi się ścienny kalendarz, wiszący, by zasłaniać wielki placek wykruszonego tynku. Rozczulały mnie zabite gwoździami okna, biurko o blacie jak twarz stuletniego starca i kolekcja trzech różnych krzeseł, z których każde przeżyło wiele. Nawet wypełnione matową szybą drzwi do poczekalni wydały mi się sympatyczne, choć przecinająca szkło rysa dotarła wreszcie do kresu i stało się oczywiste, że każdy klient usiłujący w nie stukać musi się poważnie liczyć z nagłą amputacją dłoni.

Mimo to przyglądałem im się z przyjemnością. Kurz, pajęczyny, czy cokolwiek to było, tworzyły rozmyty, pobudzający wyobraźnię zarys kobiecej sylwetki. Oczywiście musiała być młoda i ładna i, rzecz jasna, drżała lekko z tremy. Młode, tajemnicze damy, odwiedzające zadymione biura prywatnych detektywów, zawsze są kłębkami nerwów i mają prawo postać tak trochę ze spoconą dłonią przy kłance. Nie wypaliłem wprawdzie w życiu jednego choćby cygara, a szef agencji ochrony to nie to samo co prywatny detektyw z powieści Chandlera, ale nie po to dzień i noc pracują polskie gorzelnie, bym zaprzętał sobie głowę drobiazgami. Marzyłem o młodej, pięknej, tajemniczej nieznanym.

Po czym drzwi się otworzyły i w progu stanęło marzenie. Nie miałem klasy Philipa Marlowe'a i

zamiast na biurku nogi trzymałem na jednym z zakurzonych krzeseł.

– Pan Małkosz? – zapytała zjawą. – Dobrze trafiłam?

Przede wszystkim trafiła mocno. Mnie. Dwadzieścia lat, może trochę więcej.

Dwadzieścia centymetrów złotych włosów. Oczy jak lipcowe niebo i rzęsy, którym z rozpędu też dałem ze dwadzieścia milimetrów, co było przesadą. Dwadzieścia centymetrów dekoltu, licząc od trochę za ostrego podbródka w dół. Ściągnięta lakierowanym pasem talia – dwadzieścia cali, nie więcej. Granatowa sukienka z dwudziestocentymetrowymi rękawkami, dwadzieścia pokrytych intensywną czerwienią paznokci – i nogi. Wymykające się wszelkim liczbom, co swoją drogą zaskakiwało, bo dziewczyna duża nie była.

– Dobrze się pan czuje?

– Nigdy nie czułem się lepiej – zapewniłem, odstawiając trzymaną na udzie szklanę.

Tym razem zawierała lemoniadę, ale jeśli nawet rozczarowywałem jako prywatny glina, rozcieńczając żytniówkę, przynajmniej używałem właściwego naczynia.

– Tam jest napisane, że biuro jest czynne od ósmej do czternastej – powiedziała Superdwudziestka. – Mogę wejść?

– A która jest? – zaniepokoiłem się. – Już po drugiej?

– No... prawdę mówiąc, chodziło mi o to biuro... – zerknęła na boki otwarcie, ale bez ostentacji. – Przeprowadzacie się?

Dźwignąłem się, co wprawiło pokój w lekkie kołysanie, i wskazałem jej wielkopańskim gestem wszystkie trzy krzesła.

– Proszę siadać i opowiadać. – Usiadła, podbijając z miejsca me serce brakiem dbałości o sukienkę, której kontakt z obiciem chyba nie służył. Pewnie dlatego poszedłem za ciosem: – Napije się pani? To przełamuje lody.

– Ale tylko trochę – zastrzegła bez cienia wyrzutu.

Pognałem do sąsiedniego pokoju po drugą szklanę. Mogła zniknąć. Nie znikła.

Z rozpędu nalałem jej trzy czwarte literatki. Uśmiechnęła się po prostu i odlała połowę do mojej szklanki.

– Zdrowie pięknych kobiet – wzniosłem toast. Jak przystało na kobietę ze snu na jawie, czyli idealną, sama wpadła na to, byśmy się stuknęli szklaneczkami. I bez tej dodatkowej setki wirowało mi w głowie. Klient. W dodatku kobieta. Do tego młoda i atrakcyjna. Nieokazująca niechęci. Do picia ze mną. Siadania na moich krzesłach.

I całej reszty. Czuję, że jestem zalany. Małkosz, kretynie, co ci chodzi po łbie? Jakiej reszty?

– Dorota Kowalak – usłyszałem nagle. – W zasadzie jeszcze studiuje, ale... To moja legitymacja.

– Ślicznie pani wyszła.

– Możemy porozmawiać?

– Po to tu jesteśmy. Pani i ja. Dziewczyna, która potrzebuje pomocy, i ja. Pani i... –

traciłem butelkę i popisałem się reflekssem, łapiąc ją w ostatniej chwili. – Nie napije się pani?

– Kropelkę. Może... może przyjdę innym razem? Często pan tak... przed południem?

– Wieczór, ranek, przedpołudnie... Jakie to ma znaczenie?

– Przepraszam. Nie mam zamiaru pana urazić. Możemy pomówić o... hmm...

o Bośni?

– Możemy robić, co dusza zapagnie. Klient nasz pan. Klientka nasza... A wiesz?

Nigdy nie miałem klientki. O czym to...?

– O Bośni. – Miękki, łagodny głos. Dotknąć go tak, pogłaskać. Zanieść do łóżka.

Przytulić się. Zapomnieć.

Bośnia. Niedobra dziewczyna. Dlaczego te piękne muszą być takie niedobre?

– Ona... każdy kij ma dwa końce. – Pokój kołysał się łagodnie, życzliwie. – Wiesz, tam są muzułmanie, autentyczni. Pomyśl tylko: dwie żony. Trzy. Pluton żon. I po jaką cholere ci durnie... Mało im było? Ja nie mam żadnej, a do nikogo nie strzelam.

Napijemy się? Fajna z ciebie dziewczyna. To dobrze, że przyszłaś.

Uśmiechała się. I słuchała.

Igły wystawały z obciążonego plecionką fotela na trzy centymetry. Teraz.

Mężczyzna o przeciętnej wadze dodawał do tego drugie tyle, nie zdziwił mnie więc leciutki nalot na metalu.

– To chyba krew – posłałem niepewne spojrzenie nad rozwarte szeroko drzwi samochodu. – Czyli zadziałało. A... syrena?

Andrzej Chruślak, właściciel dwuletniej toyoty, na pewno nie był tym, który testował

na sobie działanie pułapki. Nie brakowało mu ani kropli krwi. Wręcz przeciwnie: w każdej chwili jej nadmiar mógł mu rozsadzić twarz.

– Syrena?! Cała ulica słyszała to... Co pan tam, do cholery, zainstalował?! Syrenę okrętową czy co?!

Połowa mieszkańców zacisznej willowej uliczki właśnie się dowiedziała, o czym rozmawiamy.

– Uprzedzałem, że jest głośna. Ciśnienie w pironaboju...

– Mniejsza z tym – wysapał. – O drugiej w nocy zerwał pan na nogi całą okolicę, a tu nie mieszka byle kto... Jakoś to załagodzę. Ale to?! – wycelował palcem w fotel. – Jak mam się z tego wytłumaczyć?!

– Policjanci to widzieli?

– Na szczęście nie cały tłum, który się tu zjawił – warknął.

– Więcej niż jeden radiowóz? Do próby kradzieży? Ma pan faktycznie nie byle jakich sąsiadów.

Wystarczyło zerknąć na parkujące wzdłuż płotów wozy – i to te gorsze, kupione żonom i dorastającym potomkom. Jedynie mój maluch i jakieś białe uno z przerdzewiałym błotnikiem zaniżały poziom.

– Pan nie rozumie – jeszcze bardziej zniżył głos, choć twarz mu płonęła żywą pasją.

– Ten gnój odwalił kitę. O, tutaj.

– Co zrobił?! – Chruslak ubrany był jak włoski arystokrata, ale startował jako ogrodnik, nie poraziła mnie więc forma jego wypowiedzi. Treść – i owszem.

– To, co pan słyszał! Dostał zawału i kopnął w kalendarz! Nie wiem, może od tej kurewskiej syreny na proch. Ale że dupę ma podziurawioną, to fakt! Pytałem prawnika.

Jak się trafi wredny prokurator, może to podciągnąć i pod zabójstwo. – Byłem w widoczny sposób wstrząśnięty i to go trochę uspokoiło. Przestał krzyczeć. – Nie tak się umawialiśmy. Nie na trupy. Nie wiem, może sprawa się rozmyje, może nie skojarzą tych dziur z zawałem. Dałem w łapę sierżantowi, który spisywał raport. Siedem baniek.

Akurat tyle miałem pod ręką. Nie napisał o tym pod fotelem. Tak że na początek jest mi pan dłużny siedem stów.

– Mam panu... – Coś zachręściło mi w gardle. – Mimo wszystko nie ukradli panu wozu. Przykro mi, że tak to...

– Przykro?! No to żeby naprawdę było przykro, przyniesie pan tę forszę w zębach przed niedzielą! I zdemontuje te swoje durne instalacje! I tu, i w hurtowni! Koniec! Nie będę gnął w pudle przez jakiegoś idiotę!

– Przecież pokazywałem, jak to działa. – Musiałem schować ręce do kieszeni, żeby nie zdzielić go w szczękę. – W sądzie zresztą nigdy nie udowodnią...

– Koniec dyskusji! Do niedzieli! Potem zacznę dzwonić po innych frajerach, których pan namówił na ten szajs!

Odszedł w stronę furki z ręcznie kutych, fantazyjnie pozawijanych prętów. Bogaty, pewny swego skurwysyn. Nietykalny. Nic mu nie mogłem zrobić.

Siedziałem w ciemnym barakowozie, wpatrując się w niewyraźny zarys półlitrowki.

Zawierała jeszcze jakieś sto gramów żytniej i gdyby dolać je do tego, co już wypilem, może zapomniałbym, że po świecie chodzi jakiś Chruślak. Kiedy usłyszałem ten dźwięk, decyzja zalania się w pestkę jeszcze nie dojrzała. Mógłbym tak siedzieć i następne dwie godziny.

Zamiast tego wziąłem z kąta półmetrowy odcinek ciężkiego izolowanego przewodu i wyszedłem na zewnątrz. Ktoś chodził po budowie. Trzeci raz w ciągu ostatnich sześciu nocy. Było ciemno i zimno. Inwestor przadł cienko i całe światło pochodziło z sąsiednich posesji. Czyli, w tej chwili, o trzeciej w nocy, nie dochodziło.

Facet, który zubożył kasę Mark Security o niemal równy tysiąc – to my płaciliśmy za straty – za każdym razem wchodził tą samą drogą, przez opadającą schodkowo pryzmę cegieł. Mojemu prześladowcy spodobało się akurat tamto miejsce i dwukrotnie właśnie tam zostawił ślady swej bytności. Mojemu – bo tak się składało, że zjawiał się, kiedy to ja miałem dyżur, co do tej pory traktowałem jako dopust boży. Dwie wpadki podciąga się zwykle pod pech. Ale trzy...

To ja położyłem na ceglach kilka puszek – i byłem zdziwiony, gdy ktoś strącił jedną z nich. Żalosse. Zrehabilitowałem się, od razu skacząc ku bramie. Hałas płoszy włamywaczy, spłoszeni uciekają, a jeśli na miejsce przestępstwa przyjechali – pryskają zazwyczaj w kierunku wozu. Mój nie wyniósł na razie niczego naprawdę ciężkiego i teoretycznie mógł się oddalać pieszo, ale istniała spora szansa, że używał samochodu czy chociażby roweru: to łażenie po ceglach świadczyło o wygodnictwie. Wspiąłem się na bramę i obejrzałem oba końce ulicy. Z trzech samochodów jeden nie wyglądał

znajomo, ale stał dość daleko i wszystko, czego się o nim dowiedziałem, to że jest osobowy i raczej jasny. Jeśli ktoś podążał w jego stronę, był już poza moim zasięgiem.

Zeskoczyłem na ziemię i obszedłem blok. Było ciemno, dmuchał lekki wietrzyk, tłumiący odgłos kroków. Nie musiałem się skradać. Nie wierzyłem, by ktoś tu jeszcze był. Dopóki w górze nie zamigotało słabe światelko. Wykonałem manewr oskrzydający i okrężną, za to bezpieczną drogą przez piwnice dotarłem na parter interesującej mnie klatki schodowej. Tutaj wyłączyłem latarkę. Ktoś, kto hałasował dwie kondygnacje wyżej, dostarczył mi aż za wiele światła.

Bydlak ni mniej, ni więcej, tylko podpalił całą pryzmę skrzydeł drzwiowych, co i tak go nie usatysfakcjonowało jako wandalą: kiedy wszedłem do mieszkania numer cztery, kończył właśnie żłobienie trzydziestej czy czterdziestej rysy w składowanych tu panelach ściennych. Musiałem przyznać, że dobrze wybrał obiekt ataku. Na dalekiej od zakończenia budowie niewiele jest rzeczy,

które można szybko, łatwo i cicho, posługując się jedynie dłutem, pozbawić wartości. Skromnie licząc, powiększył straty Markowskiego o kilka setek. A straty Markowskiego były w dużym stopniu moimi.

Celowiałem w głowę, z boku, ale wyczuł moją obecność i zdążył rozpocząć unik.

Kabel trafił w ramię, zrykoszetował i grzmotnął drania w szczękę. Sekundę później któryś z nas kopnął stojącą na podłodze latarkę i przestałem widzieć. On widział jeszcze mniej, ale miał trochę szczęścia i trafił jakoś do drzwi. Wydając bełkotliwe odgłosy, obijając się o ściany, wypadł na klatkę schodową.

Byłem metr za nim i tym razem trafiłbym bez pudła, gdyby nie zbiegający z góry wyrostek z łomem. Spóźniłem się z ciosem i wciąż miałem nad głową swoją pałkę. Kiedy uderzył, udało mi się poderwać drugą dłoń i podeprzeć wolny koniec przewodu. Wygiął

się, dostałem nim po głowie, lecz na tym się skończyło. Chłopaka zarzuciło na mnie, ja poleciałem na ścianę. Te kilkanaście sekund ocaliło jego współnika. Nim się pozbierałem i znalazłem sposób na smarkacza, facet z pokiereszowaną szczęką zbiegł już na dół.

Mój przeciwnik był młody, może nawet silniejszy ode mnie, ale ja ważyłem więcej.

Udało mi się zyskać nieco przestrzeni z tyłu, wykorzystałem ją więc, cofając się nagle i wyprowadzając cios kolanem w podbrzusze. Oskoczył, zginając się wpół. Łom znalazł

się na sekundę nieco niżej niż jego czoło. Wykonałem coś w rodzaju bilardowego uderzenia znad głowy, a kiedy jego czaszka zareagowała, jak na bilę przystało, poprawiłem niewymyślnym grzmotnięciem zza kręgosłupa. Osłonił się, jednak nie dość mocno: dostał przewodem w sklepienie czaszki, własnym łomem w nos i wpadł na płonące drzwi.

To był koniec walki. Od tej pory tylko ja zadawałem ciosy, najpierw z rozpędu, a potem, gdy runął, trochę z głęboko ludzkiej potrzeby brania odwetu, a trochę z też ludzkiej, aczkolwiek w innym sensie, chęci zgaszenia ubrania, w którym smażył się inny człowiek. Może nie wyglądało to dobrze z boku, ale po pierwsze ugasilem go, a tego, który powinien patrzeć z boku, już z nami nie było. Próbowałem go dogonić.

Przemknąłem przez budowę, wbiegłem na pryzmę i przeskoczyłem płot. Nim ochłonałem po wstrząsie, byłem już w połowie drogi do jedynego samochodu, który wydał mi się obcy. Błąd: uciekiniera nie było między mną a samochodem, a ja nie płonałem żądzą mordy aż tak, by go dogonić, gdyby jakimś cudem zdążył dopaść pojazdu.

Kiedy zmadrzałem i w końcu zacząłem hamować, całkiem już bliski wóz zajęczał

zniecka rozrusznikiem. Przyspieszyłem; biała plama samochodu była tuż. Silnik zaskoczył i od razu zgasł od nadmiaru mieszanki. Dopadłem drzwi i dopiero szarpiąc za klamkę, zidentyfikowałem maszynę. Fiat uno, stary, z przerdzewiałym błotnikiem. Skąd ja go...?

– Odwal się! Czego tu?! Odwal się!

Miał około pięćdziesiątki i posturę Wietnamczyka. Wyciągnąłem go bez trudu na ulicę i równie łatwo mogłem uciszyć jednym ciosem pałki. Za łatwo. W jego krzykach było coś więcej niż strach. Zaskoczyłem go.

– Kto cię nasłał?! – Rąbnąłem z całej siły, na razie w dach fiata. – Mów!

– Zostaw, ja nic nie... Nie znam faceta, Jezu, skąd mogę... Nie zostawił żadnych namiarów, nic, słowo honoru!

Był jak galareta. Czyli za mało miękki. Rzuciłem nim o bok samochodu, a potem zdzieliłem kablem przednią szybę. Gdy wsypywała się do środka, wychwyciłem wreszcie myśl, panicznie miotającą się po obrzeżach mego mózgu. Krew. Nie miał jej na twarzy.

To nie ten facet. Jezu...

– Klient, po prostu klient – jęczał, osłaniając oburącz głowę. – Cudzoziemiec. Mówił

po angielsku, ale jakoś tak... Może Ruski? Panie Małkosz, jak Boga kocham, w życiu nic złego bym... Miałem za panem połazić, to wszystko!

Już wiedziałem, skąd znam ten samochód. Samo wspomnienie Chruślaka, przed którego domem zwróciłem na niego uwagę, wystarczyło do uporania się z kielkującymi szybko wyrzutami sumienia.

– Jesteś detektywem? – Nie użyłem cisnącego mi się na usta słowa „szpicel”, bo gdyby trafił się klient, sam z ochotą pojeździłbym za kimś po mieście. – Masz jakieś papiery?

Miał. I dowód, i legitymację uprawniającą go z grubsza do tego, co robił. Oba dokumenty opiewały na Józefa Kurowskiego, zamieszkałego w Krakowie przy Kruczkowskiego. Czyli w Nowej Hucie. Adres nie rzucił mnie na kolana. Nawet ja urzędowałem w lepszej dzielnicy.

– Dlaczego za mną łazisz? – Wrzuciłem papiery do fiata.

– Nie wiem, naprawdę! Kazał obserwować, i tyle. Nie powiedział, o co chodzi. Tylko coś o kobietach... Żeby zwrócić uwagę, z jakimi się pan kontaktuje. No, tak ogólnie...

To nie miało sensu. Do tego stopnia, że nie wytknąłem tego Kurowskiemu.

– Jak długo to trwa?

– Dziewiąty dzień. Niech mnie pan puści.

– Jak wygląda ten facet? Czym jeździ?

– Taki niewysoki, ciemny, pod czterdziestkę. Nie wygląda na nadzianego. Zielona gruba kurtka, spodnie z materiału, nie dzinsy, no i takie jakby wojskowe buty. Ale nie nasze. I mocno schodzone. Aż się zdziwiłem, że dorosły facet w czymś takim... A czym jeździ, nie wiem.

Czekałem na dalszy ciąg. Bezskutecznie.

– A co z kontaktem? – spróbowałem.

– Nic. – Jego głos był wyraźnie twardszy.

– Przed chwilą ktoś próbował podpalić ten dom. Nie wkurzaj mnie, bo będziesz wyglądał gorzej od tego samochodu.

– Co, zatłucze mnie pan? – Bał się, ale nie wierzył. – Chyba nie, co? No to weź pan te ręce i wracaj do swojej stróżówki, bo... – nie dokończył. – Ta szyba kosztuje...

– Rozmawialiście po angielsku? – Nie bardzo wierzyłem, ale właśnie w tym języku postawiłem pytanie. – Znasz w ogóle angielski? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Pierdol się.

Akcent miał gorszy niż ja, a poza tym tyle to potrafi przedszkolak po zaliczeniu kilku filmów wideo. Ale pytanie rozumiał. Przede wszystkim jednak przestał się mnie bać.

– Mówi ci coś słowo „Harvard”? – spróbowałem po raz ostatni. Nie odpowiedział.

Zatrzasnął drzwi, pokazał mi wyprostowany palec i odjechał.

Nie zdziwiłem się, kiedy po powrocie na budowę nie zastałem przypieczonego smarkacza. Nie zdziwiło mnie też, że wezwani przez telefon gliniarze zjawili się dopiero wraz ze wschodzącym słońcem. Ani nie zmartwiło. Z nimi czy bez, o czwartej czy o szóstej, tak czy inaczej byłem ugotowany. A dokładniej: upieczony. Na stosie z sosnowych skrzydeł drzewiowych. Ugaszenie ich resztek otwierało i zamykało listę moich zasług jako czujnego obrońcy mienia. Właściwie byłem zadowolony, kiedy senni chłopcy z prewencji zapakowali mnie do suki i wywieźli. Do dziewiątej czekałem w celi, ekskluzywnej, bo jednoosobowej. Następną godzinę spędziłem na ławce przed gabinetem komisarza Hydzika, który zażyczył sobie widzenia ze mną, ale potem zmienił zdanie.

W końcu się doczekałem.

– Dziś w nocy pobił pan Józefa Kurowskiego i zniszczył jego samochód – rąbnął

z grubej rury, gdy manewrowałem krzesłem. – Gdzie jest teraz?

– A niby skąd mam wiedzieć? – posłałem mu zdziwione spojrzenie. – Ostatnio rozmawiał z wami, jak widzę.

– Pan mu groził. – Nie mógł widzieć moich zdziwionych spojrzeń, ponieważ stał

przy oknie. – Bił go pan, rozwalił mu samochód i groził. A teraz Kurowskiego tu nie ma.

Nieładnie to wygląda. – Odwrócił się w końcu. Miał jakieś czterdzieści lat i wyglądałby nawet

inteligentnie, gdyby nie rozłożyste wąsiska. – Co ma mi pan do powiedzenia w tej sprawie?

– Pilnowałem budowy. O trzeciej dwadzieścia dwaj mężczyźni wtargnęli na jej teren, podpalili parę skrzydeł drzwiowych i zaczęli niszczyć, co się da. Próbowałem ich powstrzymać, wywiązała się bójka i ten starszy, którego z powodu ciemności nie potrafiłbym zidentyfikować, uciekł w kierunku samochodu Kurowskiego. Straciłem go na chwilę z oczu, a kiedy podbiegłem, usłyszałem, że samochód rusza. Uznałem, że to ścigany przeze mnie sprawca, więc wyciągnąłem kierowcę i pod wpływem silnego stresu, w odruchu samoobrony, która jednakże...

– Co mi pan tu pieprzy?! To nie sąd, to komenda policji! Takie teksty to pan może...

Gdzie jest Kurowski?

– Nie mam zielonego pojęcia – oświadczyłem szczerze.

– Miejmy nadzieję, że Kurowski odnajdzie się cały i zdrowy. Pana szczęście, że nie podpisał jeszcze skargi. Nie wyszedłby pan tak szybko.

– Przez niego i pana prawdopodobnie straciłem pracę. Trudno to nazwać szczęściem.

Do widzenia.

Z trzech pracujących na budowie ludzi, z którymi rozmawiałem, gdy dotarłem wreszcie na miejsce, jeden uważał mnie za już bezrobotnego, drugi prorokował

wyrzucenie z Mark Security, a trzeci udzielał informacji z miną lekarza spotykającego za drzwiami sali operacyjnej świeżo upieczoną wdowę.

O siódmej dwadzieścia kierownik budowy znalazł przed zamkniętą na głucho bramą tę połowę swoich podwładnych, którzy pracowali na dniówkę i czekali, aż ktoś ich wpuści. O siódmej czterdzieści pracujący na akord montażyści paneli skończyli się pieklić i odgrażać, a majster – przecinać łańcuch. Po ósmej temperatura podskoczyła na nowo, kiedy na budowę wpadł z piskiem opon czerwony z pasji Markowski i zaczął

dyskutować z równie czerwonym kierownikiem, kto, komu i ile forsy przyniesie w zębach. Pyskówkę zakończyła poważna propozycja Markowskiego, by uruchomić spychacz i za jego pomocą usunąć z terenu budowy mojego FSO 126, który nagle zaczął

wszystkim przeszkadzać. Jak na szefa agencji detektywistycznej przystało, mój chlebodawca wygrzebał ze śmietnika nie do końca opróżnioną półlitrowkę i dodedukował sobie resztę. Jego zdaniem miałem leżeć teraz zalany w trupa gdzieś w okolicznych zaroślach. Wykrzyczał na całą budowę, że mam się do niego zgłosić, jak wrócę, po czym odjechał, zgrzytając wściekle skrzynią biegów tudzież zębami.

Nieszczęścia chodzą parami, więc następne dwie godziny zajęło mi uruchamianie malucha. W drodze do domu przypomniałem sobie, że jestem głodny, a w lodówce mam tylko cukier, herbatniki i woreczek ziemniaków, co nie było aż tak żałosne, jeśli wziąć pod uwagę, że lodówka nie działała.

Kupiłem najtańsze pyzy z mięsem i cebulę, wróciłem do domu, wdrapałem się na trzecie piętro i natychmiast straciłem apetyt.

Przed drzwiami z tabliczką: „Agencja Ochrony. Usługi Pirotechniczne. Inż. Marcin Małkosz. Biuro czynne 8-14”, stał Markowski.

– Raczył się pan w końcu zjawić? – Nie krzyczał, ale jeśli ktoś przebywał teraz na strychu, w piwnicy lub gdzieś na osi owych biegunów budynku, z pewnością dowiedział

się, że raczyłem się zjawić. – Co, pochlało się w pracy?

– Niezupełnie.

Próbowałem go wyminąć. Nie udało się.

– Chuchnij pan. No już, chuchnij.

– Nie pracuje pan już w drogówce, sierżancie Markowski – przypomniałem mu. –

Czas zmienić nawyki.

– A ty nie pracujesz u mnie! – Tym razem krzyczał na pewno. – Koniec chłania za moje pieniądze! Nie będę świecił oczami za jakiegoś pijaczka! Tysiąc trzysta złotych przez ciebie straciłem! W jedną noc! Kto mi to zwróci?! Ty?!

– Jak rozumiem, jestem zwolniony?

– Jesteś wywalony na bruk! Wykopany! I skończony w branży, już ja potrafię o to zadbać!

Dziwnie łatwo przychodziło mi zachowanie spokoju. Chyba mi pomagał, piniąc się ze złości – w jakiś sposób równoważyło to nasze reakcje.

– W takim razie musi pan sam poszukać chłopców, którzy odwiedzili budowę. Jako osoba prywatna nie muszę...

– Licz się ze słowami, kutasie! Przez tyłek wyciągnę z ciebie tę forszę! – Chciał chyba kontynuować, ale przeszkodziła mu starsza siwowłosa pani, wchodząca mozolnie po schodach. – Uważaj – syknął. – Doigrasz się jeszcze.

Odwrócił się i zbiegł, mijając w połowie drogi Marię Eleonorę Popławską, siedemdziesięcioletnią właścicielkę tej budy. Prawdę mówiąc, chętnie wziąłbym z niego przykład. Jeżeli Maria Eleonora wdrapała się aż tutaj, to na pewno nie bez powodu.

– Nie zapłacił pan za wrzesień – zaskrzypiała.

– Zawsze płacę – powiedziałem ciut nie na temat.

– Mam mnóstwo chętnych na ten apartament.

Apartament?

– Spokojnie. Zdobędę pieniądze.

– Na kobiety to pan ma. Całe tłumy, dzień i noc... – zrobiła w tył zwrot i odeszła, nim zdążyłem wyjaśnić, że myli mnie z bandą studentów z drugiego piętra.

Zostawiłem torbę pod drzwiami – cokolwiek by powiedzieć o tej ruderze, nic tu nie ginęło, bo złodzieje to nie idioci – zszedłem na dół i w najbliższym sklepie kupiłem stugramowego karzełka. Miałem zamiar wziąć ćwiartkę, ale zabrakło mi paru groszy, a nie upadłem jeszcze tak nisko, by prosić o kredyt na wódkę. Nie ulegało jednak wątpliwości, że stoczyłem się głęboko. Udowodniłem to, wypijając całe zakupy po drodze, pod pretekstem, iż prawdziwemu mężczyźnie nie wypada wracać do domu z taką parodią butelki. Otwierając pierwsze drzwi, te do poczekalni, uświadomiłem sobie, że moja torba gdzieś znikła. Poraziło mnie to do tego stopnia, iż przegapiłem inne niecodzienne zjawisko: światło po drugiej stronie.

Zapalono je chyba dla zrównoważenia plamy skondensowanej czerni na jedynej ustawionej tu ławce. Plama składała się z dwóch elementów: wielkich okularów przeciwsłonecznych i mnóstwa prostych, grubych, lśniących włosów, których obfitość sprawiała, że twarz kobiety wydawała się drobna i delikatna.

Przez parę sekund przyglądaliśmy się sobie, chyba równie niepewnie.

– Pan Małkosz? – zapytała w końcu. Samo pytanie i okoliczności, w jakich padło, coś mi przypomniały. Młoda – choć nie aż tak – kobieta i podpity – też nie aż tak –

gospodarz tego, pozał się Boże, biura.

– Co? – uśmiechnąłem się dość głupawo. – Wywiad?

Bezwiednie uniosła dłoń, dotknęła okularów.

– Pan żartuje – powiedziała niepewnie.

– Wywiad do gazety – wyjaśniłem łagodnie. – Przepraszam, tak mi się bez sensu skojarzyło... Pani do mnie?

– Tak. – Poderwała się nagle, jak ktoś przyłapany przez samego siebie na gafie towarzyskiej. – Tak, do pana.

Odkryłem w tym momencie, że jest duża i że mówi jakoś dziwnie. Nie byłem przyzwyczajony do zadzierania głowy podczas rozmów z kobietami. W pantoflach na szpilkach nie górowała nade mną aż tak wyraźnie, jednak w jej przypadku nie sam wzrost był problemem. Była duża w ogólniejszym sensie, a jej beżowy kostium jeszcze potęgował efekt. Przy czym żadną miarą nie potrafiłbym przypiąć jej etykiетки grubej czy źle zbudowanej. Może nie miała szans na triumfy w idiotycznych

spędach, ale była przecież atrakcyjna dla męskiego oka.

Ta atrakcyjność przytłoczyła mnie do reszty.

– Nie dziś. – Najpierw to powiedziałem, a dopiero później zrozumiałem, co mówię.

I ucieszyłem się. – Nie mam dzisiaj czasu.

Zrobiła pół kroku. Dużo jak na tak ciasne pomieszczenie.

– Ale ja nie jestem z Krakowa – powiedziała. Dopiero teraz zauważyłem torbę turystyczną stojącą przy ławie i przytuloną do niej moją siatkę z zakupami.

– Przykro mi. – Tu akurat nie kłamałem. – Muszę wyjść.

– Na długo? – Zdenerwowałem ją i od razu stało się oczywiste, że nie jest nie tylko krakowianką, ale i Polką.

– No... do jutra będę nieosiągalny.

– Do ósmej, tak? – spojrzała znacząco na drzwi.

– Co najmniej. – Nagle uświadomiłem sobie, ilu rzeczy nie tylko nie mam, ale i mieć nie będę. Była jak luksusowa bombonierka za szybą sklepu dla bogatych, a ja ją oglądałem oczyma dziecka z dwunastoosobowej rodziny mieszkającej pod mostem.

Pewnie dlatego powiedziałem: – Ale to bez znaczenia. Nie interesują mnie nowe zlecenia. Nie mam czasu.

Jeśli się trzymać zasady: „czas to pieniądz”, nawet tak bardzo nie zełgałem.

– Czy to znaczy, że nie mam po co wracać? – zapytała spokojnie. Garsonka, pantofle, biały sweterek – wszystko wyglądało na kupione w przyzwoitych sklepach, choć niekoniecznie w ostatnich dniach. Niby dlaczego ochroniarza nie miałyby sobie kupić równie dobrego? Czekala na mnie, chociaż gołym okiem widać, jakiej klasy firma się tu mieści. Ciekawe.

– Ma pani coś do wysadzenia? – zapytałem dla spokoju sumienia. – Albo ktoś panią próbuje wysadzić?

– Nie. – Krótko i stanowczo pozbawiła się ostatniej szansy. Etyka zawodowa nie pozwoliłaby mi odesłać kogoś, kto spodziewa się, że własna pudernica eksploduje mu w twarz.

– Więc przepraszam, muszę iść. Mam spotkanie.

– Z kim?

Podobne pytania mogą stawiać żony. Chyba była trochę bezczelna. Co znaczyło, że chyba jest bogata.

– Z kochanką – zmieniłem uśmiech na szyderczy.

– Kocha ją pan? – Mój żart odbił się od niej jak piłka od betonu. Dopiero teraz poczułem, jak mocno dokucza mi jej towarzystwo.

– Zakonnica po cywilnemu? – Nie czekałem, aż odpowie. – Nie, nie kocham. Po prostu z niej korzystam.

– Oczywiście – uśmiechnęła się połówką ust. – Od tego są kobiety. Ładna?

Bogactwo nie mogło jej aż tak zepsuć. Po prostu czuła, jak bardzo jestem wstawiony.

– Ujdzie. Ma bardzo opływowe kształty. – Cóż, nie stać mnie było na wyszukane trunki w kanciastych flaszkach.

– I to wystarczy?

– Nie jestem maksymalistą. Potrafię zadowalać się byle czym.

– Chyba pan jej faktycznie nie kocha – przyznała.

– No to co? Potrzebuję jej.

Myślała przez chwilę. Raczej o niczym radosnym.

– Jeśli to nic bardzo osobistego – powiedziała w końcu spowolnionym głosem – to po co zdzierać zelówki?

– Nie wybieram się na jogging – zauważyłem. Dziwaczna była ta nasza rozmowa; do tego stopnia, że nie umiałem jej zręcznie zakończyć.

– Tyle akurat zrozumiałam. Może wejdziemy? – Była jakaś miękkość i w jej głosie, i w ruchu dłoni wskazującej drzwi biura. – Jestem bardzo zainteresowana rozmową z panem.

– Nie mam ochoty na rozmowy. Zresztą chyba widać, że w tej chwili nie bardzo...

Trochę wypilem. Tak się złożyło.

– Nie musimy rozmawiać.

Jej głos... Byłbym ostatnim idiotą, gdybym się nie domyślił, co tak naprawdę powiedziała. I przez sekundę czy dwie byłem. Błogo, niedowierzająco uśmiechniętym naiwniakiem, który szedł wysypać śmieci i ujrzał nagle sztabkę złota w pojemniku.

Potem przyszła refleksja.

– Harvard, co? – Cofnąłem się, wpychając ręce w kieszenie.

– Harvard? – podniosła brwi.

– Nie pójdziemy do łóżka – poinformowałem ją. – Zrób w tył zwrot i odmaszeruj stąd. Jak by się kto pytał, nie jesteś w moim typie. Mężczyźni wolą blondynki, wiesz.

Już się nie uśmiechała. Ale i nie odchodziła.

– A nie jestem? – zapytała trochę jakby przez zęby.

– Nie. – Blado to wypadło. – Niech już pani idzie. – Jeszcze gorzej; nie trzeba było wracać do tej „pani”. – A zresztą... co mnie to... I tak miałem wyjść.

Była tak zaskoczona, że nie próbowała ani wyskakiwać za mną na klatkę schodową, ani wołać – później, gdy bardziej zbiegałem, niż schodziłem, łomocąc podeszwami o drewniane stopnie.

Przeszedłem przez położone w amfiladzie biuro, cisnąwszy kurtkę na krzesło, i wkroczyłem do pomieszczenia numer dwa, przez niewtajemniczonych branego za coś w rodzaju archiwum, może zbrojowni, które było jednak tylko prozaicznym mieszkaniem. Przekroczyłem próg i zastygłem. Światła wpadało tu z podwórza niewiele, ale od razu się zorientowałem, że to coś skulonego przy na pół otwartym tapczanie, biało-czarnego, to nie krzesło czy kuchenka, zsunięta tam nagłym – aczkolwiek nie niespodziewanym – tapnięciem spróchniałej podłogi.

– To pan?

Byłem przepojony wiarą we własne siły, jak to po paru głębszych, a to coś nie ruszało się i używało dość bolesciwego, kobiecego głosu. Z nieokreślonym, raczej wschodnim akcentem. Gdybym był detektywem z prawdziwego zdarzenia, mimo wszystko wyjąłbym teraz bębenkowca z kabury pod pachą. Zamiast tego po amatorsku zapaliłem światło.

Pokój nie wyglądał dobrze. Wprawdzie już wcześniej niełatwo było powiedzieć o nim coś miłego, zdążyłem się jednak przyzwyczaić do wielkich powierzchni zaatakowanych przez grzyb, postrzępionych tapet, dziur w suficie i szafy zamykanej na złożoną gazetę. Raziły mnie nowinki: rozmiękłe pyzy obok, poszatkowana cebula, rozwarta na oścież szafa i odłożony na nocny stolik plik pism wyciągniętych z owej szafy.

– Musi pan wezwać policję.

Nie sprawiała już tak przytłaczającego wrażenia jak poprzednio. Klęcząc obok dwuosobowego tapczanu i podpierając uniesioną pokrywę kolanem, nie można budzić w ludziach wrażenia, iż obcuja z wielką damą. Te zresztą nie składają wizyt w nocnych koszulach i skarpetkach frotte. Nie obnoszą się też z podsiniaczonymi oczami.

– A na cholerę mi policja? – wzruszyłem ramionami. – Sam sobie poradzę. Przez tydzień na tyłku nie...

– Nic pan nie rozumie! – Z determinacją tuliła pierś do pokrywy. – Tu jest bomba!

- Jasne. Czarna seksbomba w zmysłowej bieliźnie.
- Ja nie żartuję – rzuciła przez zęby. Teraz, gdy zdjęła okulary, mogłem obejrzeć nie tylko żółtawy siniak, ale i jej oczy. Miały oryginalny, szeroki rozstaw i barwę jasnego brązu.
- Ja też nie żartuję. Włamanie to włamanie, nocna koszula pani nie uratuje. Jak tu pani weszła? Swoją drogą: konsekwentna dziewczyna. Chciała tu wejść i pogadać, no i dopięła swego.
- Tam coś jest. Jeśli to nie pana robota... – urwała.
- Nie znam tej zabawy – wyznałem, podchodząc do szafy. – Można wiedzieć, czego pani szukała?
- Co pan robi? – obejrzała się, nie ruszając niczym poza głową.
- Sprawdzam, czy się nie rozsechł. – Zdjąłem skórzany oficerski pas z wieszaka i grzmotnąłem nim o szafę. Efekt akustyczny przeszedł moje oczekiwania. – Oj, aż mi pani żal.
- To wcale nie jest śmieszne.
- Mnie te zapasy z tapczanem też nie bawią, a się nie skarżę.
- Jeżeli to pan – dotknęła ręką materaca – to proszę powiedzieć. Siedem godzin wystarczy. Ma pan pojęcie, jak to boli?
- Jestem trochę pijany – wyznałem, podchodząc do tapczanu i stając obok czarnowłosej. – I zmęczony: dwadzieścia siedem godzin na nogach. Chcę się położyć, więc niech pani będzie grzeczną dziewczynką, ubierze się i wraca do domu.
- Nic pan nie rozumie – jęknęła.
- Ależ rozumiem, rozumiem... Twój szef pokazał mi najpierw kawał solidnego kija, a teraz przysłał soczystą, słodziutką marcheweczkę. Stare, wypróbowane metody.
- Mój szef?
- Zleceniodawca, jeśli wolisz. Powiedz mu, bo może od tego zależy premia, że to zrobiliśmy. Przecież i tak nie da rady sprawdzić. – Kucnąłem, opierając plecy o bok ruchomej części tapczanu. Twarz podpierającej ją kobiety była tuż-tuż i nie umknął mi przebiegający przez nią skurcz. Odpowiedziałem szczerzeniem zębów.
- To boli – wycedziła. – Nie o-pie-raj się o tap-czan.
- Mam watę zamiast mózgu. Nie chwytam tych subtelności.
- Wezwij policję, pijany durniu! – ni to zawarczała, ni to wyjęczała. Chyba naprawdę sprawiłem ból jej śródstopiu, wspartemu o kant deski. – Albo razem wylecimy w powietrze!

– Z powodu twojej wystrzałowej piżamy? No dobrze, jak jesteś taka rzetelna, możesz zostać na noc. Ale powtórz Harvardowi, że to wcale nie oznacza zgody. Powtórzysz?

– Nie – wycedziła. – Nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie mogę iść do łóżka z kobietą głęboko wobec mnie nieszczerą. – Próbowałem wrzucić ramionami, ale podpora okazała się zbyt masywna. Może za sprawą czarnowłosej, napierającej piersią na konstrukcję z solidnych desek, sprężyn i włosów, a może dlatego, że wieko całe lata temu doprowadziło do ruiny system odciążaczy.

– Niech się pan postara skupić. Przepraszam, że się tu wdarłam. Za wszystko pana bardzo przepraszam. Zrobię, co pan zechce, słowo. Ale niech pan nie miażdży mi nogi i zadzwoni na policję. Albo powie, że to kawał. Nie wiem, co jest między panem a tym pana kolegą. Jeśli robicie sobie takie dowcipy, to wasza sprawa. Ja... nie będę się gniewać. Tylko niech to się skończy. To cholernie boli.

Miała wilgotne oczy. I drobniutkie jak włókna pajęczyny rysy w ich kącikach. Była za dużą dziewczynką, by z takim uporem grać w coś, co nie zaowocuje naprawdę błyskotliwym finałem. Przemyślałem to sobie i sięgnąłem pod leżącą na materacu poduszkę.

– O co chodzi? – nie od razu zrozumiała, była jednak trzeźwa i myślało jej się łatwiej. – Jezu... Co pan sobie wyobraża? Że to jakieś podchody, by wyciągnąć nóż i pana...?!

– Czemu nie? Zaskoczyłem cię, prawda?

– A koszula? – zdobyła się na gorzki uśmiech. – Zgoda: słyszę, że ktoś idzie, nie wiem, czy sobie poradzę, więc chowam nóż, klękam tu... Myślę: „Podejdzie, będzie zdziwiony, zajrzy, a wtedy go dźgnę”. Tak pan to widzi?

– Brzmi logicznie, prawda? – upewniłem się.

– Nie. Kretyńsko. Łatwiej stanąć za drzwiami i w plecy...

– No... mogłaś nie zdążyć.

– A przebrać się zdążyłam?

– Może jesteś modelką? – Próbowałem ratować honor. – One się raz-dwa przebierają.

– Niech pan wsadzi głowę pod kran. Nie żartuję.

– Co, teraz chcesz mnie utopić? – Czułem, że należy to przerwać, ale za dobrze się bawiłem.

– Niech się pan skupi – jęknęła. – Mówimy o koszuli.

– Ładna – pochwaliłem. – Trochę za długa, mało wymyślna, ale pewnie o to chodzi, co? Klient spodziewa się czort wie jakiego wyuzdania: skóry, pejcze, czerwone podwiązki, a tu pensjonarka...

– Zgadza się – rzuciła przez zęby. – Dlatego ją włożyłam. Trochę to trwało. Słyszysz pan? Trzeba czasu, żeby ściągnąć całe ubranie. Nawet gdyby się pan tu czołgał...

– Całe?

Chyba uśmiechnąłem się bardzo obleśnie. Na pewno ułatwiłem jej decyzję, ale nosiła się z nią raczej od dawna, bo już wcześniej przeniosła napór na lewą część piersi i brzucha. Była gotowa, gdy wreszcie zdecydowała się przystąpić do działania. Tapczan ani drgnął, a ja, trzaśnięty w czoło, wylądowałem pod oknem. Minęło ze ćwierć minuty, nim się pozbierałem.

– Przepraszam... Widzi to pan teraz? Tam, z tyłu.

Zerknąłem w głąb pełnej po brzegi skrzyni pościelowej.

– Te gazety leżały w szafie. – Nie podnosząc się, zacząłem je zbierać z podłogi.

Jeszcze przed chwilą spoczywały na stoliku, ale stolik miał pecha znaleźć się na trajektorii mego lotu.

– Nic pan nie widzi?

Z pliku gazet wysunęły się barwne pozycje, których nigdy nie trzymałem na widoku i które na dno szafy trafiły z nieco innych względów niż stare numery „Wyborczej” czy

„Nie”. Na ich tle mały pakiecik wyglądał niewinnie, ale...

– To nie moje – powiedziałem, unikając spojrzenia brązowych oczu. Oboje patrzyliśmy na to samo, robiąc nietęgę miny.

– Wiem – mruknęła. – Sama to kupiłam.

Przez jakiś czas pokój wypełniała cisza o konsystencji waty. Nie podnosiłem pakieciku, a im dłużej leżał między nami, tym trudniejszy do udźwignięcia się wydawał.

– Nie jesteśmy dziećmi. Odłóżmy te głupstwa na później. Byłabym wdzięczna, gdyby w końcu obejrzał pan tapczan. Tam coś jest, a ja nie mogę...

– To leżało na stoliku. – Jakoś nie potrafiłem przestać myśleć o głupstwach. –

Specjalnie pani tak...?

– Nie, skąd! To taki nasz folklor. Przyszłaś z wizytą – przebierz się w koszulę nocną i połóż paczkę prezerwatyw przy łóżku. To co, zajrzy pan tam w końcu?

Dałem spokój gazetom i zaległem na brzuchu obok nogi w śnieżnobiałej skarpetce.

Była nieco znoszona, ale idealnie czysta, także na podbiciu stopy. Nie przyszła w nich.

Musiały stanowić oryginalny dodatek do koszuli.

– Tam niczego nie ma – stwierdziłem, obejrzawszy kłębowisko kołdry, poduszki, pizamy i jakichś szmat.

– Naprawdę pan nie widzi? Tu, pośrodku... Zaczęłam podnosić, coś brzęknęło, no i jakoś tak... Zajrzałam tam. Nie wiem czemu – dodała ciszej.

– Pośrodku – oświeciłem ją – to akurat pani klęczy.

Przysunąłem się tak blisko, że uchem musnąłem gładką łydkę. Po czym od razu cofnąłem głowę, kierując wzrok ku lewemu końcowi mebla. Już przedtem musiałem zauważyć ten gwoździak. Zignorowałem go, bo nie gwoździków szukałem, ale czegoś konkretnego, co – jeśli wierzyć czarnowłosej – tak bardzo skojarzyło jej się z bombą, że zastygła w bezruchu na siedem godzin. I to coś miało się znajdować nie z boku, lecz pośrodku.

Ale ten gwoździak... Tkwił w poprzecznej desce, odgradzającej sprężyny. Ostrzem do góry. Teoretycznie mógł tak sterczeć od czasów głębokiego PRL-u, kiedy wyprodukowano ten antyk, ale po pierwsze nawet ówczesna księżycowa gospodarka nie była oderwana od realiów aż tak, by gwoździe wbijano łebkiem w przód, po drugie ktoś zadał sobie trochę trudu, by nie stępić ostrza, po trzecie zaś – już dawno podarłbym poduszkę, zahaczając o to paskudztwo.

– Co pan robi? – zapytała trochę niecierpliwie czarnowłosa wróżka. Tak o niej pomyślałem: „wróżka”. Jak przystało na postać z bajki, ofiarowała mi dwa bezcenne dary.

Pierwszym była miłość. Fakt – nie bardzo bajkowa. Jakości drugiego podarunku nikt już nie miał prawa kwestionować. Życie ludzkie to życie, i tyle. Jest bezcenne, w każdym razie dla obdarowanego – koniec, kropka. Był jeszcze jeden prezent, który mógłbym jej przypisać – ale nie byłem pewien, czy chcę być trzeźwy.

– Zasnął pan?

Za długo leżałem w bezruchu.

– Po co pani tu przyszła?

– Chciałam pana... wynająć – powiedziała ostrożnie. – W charakterze detektywa. To znaczy... z grubsza biorąc.

– Dobrze.

Podniosłem się, oceniłem odległość między podłogą a brzegiem pokrywy.

Przyniosłem krzesło, ustawiłem obok czarnowłosej i jeszcze raz się oddaliłem, by przydźwigać spory stos książek.

– Proszę?

– Biorę tę sprawę. – Dopiero teraz znalazłem chwilę czasu, względnie trochę odwagi, by spojrzeć jej w twarz.

– To znaczy... Ale nie powiedziałam jeszcze, o co...

– Potem – przerwałem jej łagodnie. – Wytrzyma pani jeszcze troszeczkę?

Przyglądała mi się z mieszaniną nadziei i nieufności. Miała prawo doszukiwać się czegoś nienaturalnego w nagłej zmianie mego nastawienia.

– To zależy – powiedziała powoli. – Troszeczkę, czyli ile? Na czas telefonu do policji czy...?

– Czy. – Pobladła. – Wiem, co sobie pani teraz myśli.

– Bo to łatwo zgadnąć – powiedziała bardzo cicho. – To bomba, prawda? A pan chce ją rozbroić.

Pokiwałem głową.

– Oni będą trzeźwi. I może lepiej wyposażeni. To wszystko.

– A pan? – zapytała.

– Ja mam silniejszą motywację. Gdyby to wybuchło, za jednym zamachem straciłbym dom i klientkę.

– Nie dom – poprawiła mnie. – Wynajęte mieszkanie. A co do klientki... Nie jestem chyba żyłą złota.

– Nie ułatwia mi pani zadania. Jeśli mam ginąć, to przynajmniej z wiarą.

– Nie chodzi o to, by pan zginął.

– Wiem. Chodzi o to, by pani przeżyła. – Milczeliśmy przez chwilę. – Jest jeden dobry powód.

– Żeby to pan...? – wskazała tapczan. – Za długo byśmy...?

– To też.

– Dobry powód – uśmiechnęła się. – W porządku, zgoda. To by trwało do rana, a ja tyle nie wytrzymam.

– To też – powtórzyłem. – Ale chodzi o coś innego. Po prostu jestem w tym dobry.

Chyba lepszy od nich.

Byłem na tyle trzeźwy, że dałbym się pewnie przekonać i posłać do najbliższego telefonu. A ona o tym wiedziała. Była jednak dobrą wróżką, więc po prostu skinęła głową.

Zacząłem od ustawienia krzesła możliwie najbliżej środka ciężkości pokrywy.

Uzpełniłem książkami pozostałą przestrzeń. Nie do końca jednak.

– Jeszcze chwila – powiedziałem cicho, rozglądając się za czymś cienkim. – Zaraz to podeprzemy i będzie pani mogła wracać do domu.

– Pomoże mi pan? – Sprawiała wrażenie zakłopotanej koniecznością proszenia o to.

– Nie wiem, czy dam radę dość delikatnie... Strasznie odrętwiałam. Mogłabym...

– Jasne.

Omijając ją wzrokiem, wsunąłem w szczelinę jeden z kolorowych magazynów z dna szafy. Pokrywa ani drgnęła; napór kobiecych piersi robił swoje.

– Proszę się nie bać.

– Dobrze.

Najpierw obejrzałem gwoździak. Wbrew pozorom, nie wbito go w deskę. Ktoś posłużył się cieniutkim wiertłem, którym uprzednio wykonał otwór.

– Zaraz wracam – obiecałem. Wstałem, przeszedłem w kąt, gdzie przy przebudowie mieszkania umieszczono mały zlew, i przez dobrą minutę zlewałem głowę lodowatą strugą.

– Dobry pomysł – czarnowłosa poczuła się w obowiązku to skomentować. – Mógłby pan jeszcze zagotować wodę.

– I polać łeb wrzątkiem? – Sięgnąłem po ręcznik. – Dzięki. Aż taki szok nie jest mi potrzebny.

– Miałam na myśli kawę.

Pomysł był dobry. Byłoby to niegłupie i pewnie korzystne dla nas obojga, fakt.

Zimny prysznic, plus kawa, plus chwila koncentracji – są oczywiście lepsze sposoby doprowadzania minera do formy, ale w naszej sytuacji ten wydawał się optymalny.

Problem w tym, że byłem już trochę zbyt trzeźwy i za wyraźnie widziałem jej twarz.

Wyjąłem scyzoryk i delikatnie oddzieliłem od ramy obicie z szarego płótna.

Zamocowano je klamerkami tapicerskimi, ale w tym jednym miejscu ktoś wydłubał

klamry, zrobił swoje i przytwierdził ponownie brzeg tkaniny, używając kleju.

– Gdybym mogła w czymś pomóc... – zawiesiła głos.

– Co właściwie zwróciło pani uwagę? – zapytałem bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z wiary, że coś mi to da. Równocześnie wycinałem powolutku płótno nad gwoździem.

– Mówiłam. – Coś zbliżonego do urazy zabrzmiało w jej głosie. – Usłyszałam jakiś dźwięk. Metaliczny.

– Aha. I to wszystko?

– Wybuchu nie usłyszałam. Jeśli o to panu chodzi.

Teraz już nie miałem wątpliwości: poczuła się dotknięta. Jak to kobieta, której słowa facet odruchowo puszcza mimo uszu, nawet nie próbując wnikać w ich treść. Nie szkodzi. Uratuję jej życie – to poprawia notowania.

Pod tkaniną znalazłem kolejną dziurę. Średnica wiertła niewiele ustępowała grubości drewna. Narzuciły to dwa elementy, składające się na ścieżkę ogniową. Pierwszym był

odpustowy korek. Przycięto go i na siłę upchano w za ciasnym otworze, który skręcał pod kątem prostym i korka nie dało się zręcznie połączyć z dalszym ciągiem zapalnika.

Drugi element stanowiło coś, co udawało kabel koncentryczny, ale było lontem.

Zignorowałem ukrytą część instalacji i od razu przeszedłem do tej, która wyłaniała się spod płótna przy tylnej ścianie skrzyni. Oprócz schowanego za kołdrą lontu było tu jeszcze coś: żyłka, przywiązana u góry do pokrywy i ginąca w fałdach pościeli. Tak naprawdę to właśnie ona miała odpalić ładunek. Gwoździe i cała reszta składały się na system awaryjny, mający zadziałać dopiero w przypadku, gdyby zawiodła. A miała do tego prawo. Przekonałem się o tym, kiedy z delikatnością neurochirurga przeciąłem napięty odciąg i zajrzałem pod kołdrę. Dno tapczanu zalane zostało znanym mi już klejem, który tym razem miał przytrzymać od dołu najbardziej nieprawdopodobny zapalnik, z jakim się zetknąłem. Ktoś pozwijał w rulony zapalczane draski, skleił całość i posypał prochem. Końce zapalek zatopiono w gipsie i połączono z żyłką odciągu.

Dochodził tu także koniec lontu instalacji awaryjnej. Tyle o zapalniku, który mógł przerazić hukiem na śmierć i wywołać pożar, ale raczej nie zabiłby sprawnego człowieka.

To zadanie powierzono plażowemu materacowi i kilkunastu butelkom niemieckiego spirytusu. Przeciętny strażak zapisałby w odpowiedniej rubryce: „nieszczęśliwy wypadek spowodowany alkoholizmem”, i zamknął dochodzenie. Tak to sobie wyobrażałem, dopóki nie pomacałem materaca. Tylko jedna z komór była napełniona, ale za to tak, że korek na wszelki wypadek przyklejono.

– To... benzyna? – Przy wyciąganiu materaca charakterystyczne dźwięki musiały dotrzeć do czarnowłosej. Dziwne, ale dopiero teraz sobie o niej przypomniałem.

W którymś momencie saper wziął górę nad facetem. Saper albo tchórz.

Chociaż tak naprawdę bać się zacząłem dopiero potem, kiedy ułożyłem draństwo w najodleglejszym kącie, pod zlewem, omal nie ulegając pokusie polania go wodą.

– Pali pani? – zapytałem, opadając na krzesło.

– Papierosy? Nie, nie sądzę... to znaczy nie palę – poprawiła się natychmiast. –

Czemu pan pyta?

– Palacze częściej widują skroplony gaz. Wie pani: w tych jednorazowych przezroczystych zapalniczkach.

– Chyba nie chce pan powiedzieć... – urwała. – Boże...

– Boże – zgodziłem się. – Już po wszystkim. Może pani wstać. Tylko proszę nie potrącić krzesła. Spaliłaby mi pani jedyne łóżko i narobiła hałasu.

Dopiero teraz cofnęła pierś i przechyliła się, zaglądając w czeluść paszczy tapczanu.

Proszę bardzo. Zapalnikowi było daleko do jakiegoś amerykańskiego cacka, ale grozą od niego wiało. Przyjemnie uchodzić za bohatera w oczach ocalonej kobiety.

– Ciekawe.

– Słucham? – Moje brwi powędrowały do góry. W jej głosie dominowała ciekawość, nie histeria czy poczucie wdzięczności. Żmija. Wredna, niewdzięczna żmija. Czarna mamba.

– Sprytne – usłyszałem w końcu. – Mało brakowało, prawda?

Nie wstając, odsunęła się od tapczanu i ku memu zaskoczeniu położyła na boku.

Natychmiast wstałem i podszedłem do niej.

– Co pani jest? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, została posadzona. I znów miałem kłopoty ze skoncentrowaniem wzroku. Te cholerne brązowe ślepia zupełnie nie nadawały się do oglądania z bliska.

– Nn...nic – odparła z lekkim zdumieniem. – Naprawdę. Trochę zdrętwiały mi mięśnie, to wszystko.

Ręce mi się siłą rzeczy skrzyżowały i tą od ramienia dotykałem jej piersi. Właściwie ledwie ją muskałem i właściwie nie tyle pierś, co okrywającą ją dość luźną koszulę, ale...

Ratowało mnie to, że jestem pijany.

– Nie ma pani kłopotów sercowych? – upewniłem się, a zarazem postarałem o alibi.

Ofiarę zawału wolno łapać za dowolną część ciała i oglądać z bliska.

– Chodzi panu o to, czy nie jestem zakochana? – Nie dała mi szansy odpowiedzieć. –

Bez obawy, nie jestem.

Podwinęła prawą nogę i zaczęła masować podbicie stopy. Mimo ostrożnych ruchów skrzywiła się z bólu.

– Siedem godzin? – przypomniałem sobie. – Chyba nieźle się pani urządziła.

Powinniśmy to obej...

– Nie!

Sama sugestia wystarczyła, by szarpnęła gwałtownie nogą, chowając ją pod brzeg koszuli. Byłem zdziwiony, ale nie rozczarowany, bo spod falbany wyjrzała w zamian prawa łydka i omal nie wyjrzało kolano. Niby nic takiego, ale teraz miałem to cudo tuż obok. Starczyło sięgnąć... Nie sięgnąłem. Alkohol ma tę przykrą cechę, że wietrzeje.

– W porządku – uniosłem dłonie, pokazując, że nie zamierzam ich używać do łapania damskich nóg. – Co dalej?

– Dalej? – powtórzyła, przeciągając zgłoski. Ta heca z bombą wymiotła jej z głowy wszystkie poprzednie myśli. Przeżyliśmy i proza życia błyskawicznie dała o sobie znać.

Przez chwilę była szczęśliwa, a ja ją tego pozbawiłem.

– Nie jadła pani kolacji.

Zerknęła w stronę odrapanej szafki, zastępującej mi kuchnię. Rozmrożone pyzy nadal tam leżały – w postaci placków.

– Nie jestem... specjalnie głodna – skłamała nieporadnie.

– To dobrze, bo specjalnego głodu nie miałbym czym zaspokoić. Zgaduję, że lubi pani pyzy.

Zrozumiała, do czego piję, i zarumieniła się lekko.

– Przepraszam, że się tak rządziłam. Ale zostawił pan torbę, a te kluski by całkiem rozmiękły. Lodówka jest chyba popsuta. Myślałam, że zaraz pan wróci i zje obiad.

Podszedłem do szafki i jakiś czas się krzątałem, wykonując mnóstwo niepotrzebnych ruchów. Zrozumiała.

– Chyba skorzystam z łazienki. – Zrobiła parę kroków w stronę drzwi, po czym skrzywienie desek ucichło. – A może powinnam sobie pójść?

Odwracałem się wolno, jak przystało na dżentelmena, który wie, że na koniec ujrzy damę w mocno niekompletnym stroju, i daje owej damie szansę zastopowania obrotu.

Nie skorzystała z okazji. Stała w drzwiach, nie próbując niczego robić z rękami czy garderobą. Uświadomiłem sobie, że nigdzie na wierzchu nie widać jej ubrania.

– Nie mam pojęcia, co powinna pani zrobić – wyznałem, próbując nie zauważać, że poza twarzą składa się też z innych elementów. Przeciwnicy pornografii nie zdają sobie sprawy z tego, o ile potężniej potrafi oddziaływać na mężczyznę dziewczyna ubrana w za dużą pensjonarską koszulę. Nie miałem pewności, ale chyba rozmawiałoby mi się z nią łatwiej, gdyby była całkiem nago.

– Wolałabym zostać – powiedziała cicho. – Wiem, jak to wygląda – dobiła mnie, muskając palcami tkaninę i na sekundę czy nawet krócej wyczarowując zarys pełnej piersi, odciskającej się od spodu w miękkiej bawełnie. – Wyjaśnię. Tylko że to skomplikowana historia.

– I długa? – strzeliłem.

– Zzależy... – zawahała się. – W pewnym sensie króciutka. Ale trudno byłoby w paru słowach zlecić panu... to znaczy wynająć pana jako detektywa. Bo z tym przyszedłem – dopowiedziała szybko.

– Już powiedziałem, że biorę pani sprawę. Pytanie, czy cokolwiek zdołałem, ale czuję się wynajęty. Może pani wracać do siebie i spać spokojnie. O konkretach pogadamy ju... – zerknąłem na zegarek – rano. Byle nie za wcześnie.

Przygryzła wargę i zmagala się z myślami. Smalec na patelni zdążył się stopić, a ona stała z lewą stopą opartą o podłogę jedynie palcami, marszczyła brwi i myślała.

– Nie mam za dużo pieniędzy – wyznała w końcu.

– Nic nie szkodzi – zapewniłem.

– Chodzi mi o to... Mogłabym zostać na noc. – Ostatnie zdanie wypchnęła z siebie za szybko. Nie wyczułem, czy stał tam znak zapytania.

– Na noc? – powtórzyłem. – To znaczy... Pani pyta...

– O to – przytaknęła. Twarz miała nieruchomą, idealnie wyczyszczonej z emocji. Tyle że jej władza nie sięgała w głąb i zgromadzona pod skórą krew psuła efekt.

– Mamy iść do łóżka – podsumowałem. – To... dopłata w naturze?

– Przepraszam. – Patrzyła w podłogę. Pozastanawiałem się przez chwilę.

– Nie gniewam się – poinformowałem ją wreszcie. – Chociaż trochę mi głupio. Po prostu pytam. Prywatny detektyw to nie lekarz czy adwokat, ale też lubimy wiedzieć, ile się da, o klientach. To ułatwia współpracę.

– Tak – spojrzała mi odważnie w oczy. Po czym się uśmiechnęła, bez radości, ale jednak. – Nie znajdę noclegu o tej porze. To też dobry powód, nie uważa pan? Lepiej brzmiący.

– Nie ma pani dokąd pójść?

– Mogę na dworzec. Jakoś się pomęcę do rana.

– Bierze mnie pani pod włos – powiedziałem bez wyrzutu.

– Pod...? – Zmarszczyła brwi, wertując słownik polskich idiomów. Na szpiega się nie nadawała, ale ze słownictwem radziła sobie znakomicie. Widać było, że w lot chwyta wszystko, co usłyszy. Nawet jeśli wygodniej byłoby nie zrozumieć. – Chyba tak. – Nadal się uśmiechała. – Już coś pan o mnie wie. Prę do celu jak czołg, mało subtelnie i na przełaj.

– Aż tak pani potrzebuje...? – zawahałem się. – Nawet nie wiem, kogo właściwie.

Detektywa, faceta od mokrej roboty...?

– Tak. – Spoważniała. – Aż tak. Nie wiem, do czego, ale jedno wiem na pewno.

– Tak?

– To musi być pan.

Było jeszcze szaro, ale znajomy wróbel, całymi dniami przesiadujący na antenie studentów, od jakiegoś czasu zdierał już gardło. Po raz pierwszy od dawna miałem okazję posłuchać go w charakterze budzika, co oznaczało, iż trwonię najbardziej owocne godziny doby, jedyne, które przynosiły realny dochód. Nie mogłem spać i pół nocy wierciłem się bezsensownie. Na podłodze przy tapczanie, a nie na tapczanie przy czarnowłosej. Leżała co prawda tak blisko, że wyciągając rękę, mógłbym jej dosięgnąć, ale wcale mnie to nie pocieszało.

Nie wpakowałem jej się pod kołdrę. A mogłem. Wiedziałem, że przyjęłaby mnie, i wcale nie miałem pewności, czy byłby to efekt wyłącznie chłodnej kalkulacji oraz przymusu dopłacania w naturze. Dziwna noc u boku dziwnej dziewczyny, której imienia nawet nie znałem, a która już teraz odmieniła moje życie. Leżałem, zastanawiając się nad przyszłością, a konkretnie jej brakiem. Nad chryslerami na dachach, siedmioma setkami na niedzielę i czynszem za wrzesień. I nad tym, że po raz pierwszy po tak potężnym przepiciu nie mam kaca. Nie spieszyłem się z wstawaniem. Noc była dziwna, ale poczułem, że jej żałuję, zanim jeszcze zapukano do drzwi.

O tej porze i w tak nachalny sposób dobijać się tu mogła tylko jedna osoba: Maria Eleonora Popławska, chwytająca się wszelkich możliwych sposobów, aby przypomnieć o swej krzywdzie, czyli zaległych rachunkach. Nie dopieкла mi zanadto, zrywając o świcie, i nie dlatego podszedłem do drzwi w samej bieliźnie. Była po prostu przedwojenna i widok faceta w majtkach powinien ją wypłoszyć. W poczekalni nie paliło się światło, więc mimo przeszkłonych drzwi nie dopatrzyłem się cieni stojących za gospodynią mężczyzn.

– To porządny dom – rzuciła mi z miejsca w twarz. – Żaden mój lokator nie miał

nigdy problemów z policją. Będziemy musieli...

– ...porozmawiać – wszedł jej w słowo komisarz Hydzik. Był po cywilnemu, choć w asyście młodzika w mundurze.

– To pan – uniosłem przesadnie brwi. – No, no... o tej porze? Czyżby Kurowski odnalazł się pod

postać trupa?

Przyjrzał mi się badawczo, wymruczał: „...my wejść?”, i nie czekając na odpowiedź, odsunął stojącą na drodze staruszkę. Zawahałem się, po czym zszedłem mu z drogi. Błąd.

Zaskoczyli mnie, pakując się po pierwsze całą trójką, a po drugie nie poprzestając na biurze.

Inna sprawa, że tuż za progiem pokoju nadziali się na niewidzialny mur, który stłoczył całą trójkę jak przedtem drzwi biura. Stojąca pośrodku rozpostartej na podłodze kołdry, otulona kocem, rozczochrana i zarumieniona czarnula wyglądała naprawdę intrygująco.

– To kuzynka pana Małkosza. – Dopiero skrzekliwy głos gospodyni uświadomił mi, jak cicho było przez chwilę. – Nie jest tu zameldowana, bo tylko zajrzała z wizytą.

– Kuzynka – mruknął Hydzik trochę sceptycznie. Ta kołdra na podłodze dała mu do myślenia, ale wchodzące w grę wyjaśnienia były skrajnie różne. Albo nocowali tu kuzynostwo tak dalece przyzwoici – używając starokrakowskich norm moralnych – że mimo szerokiego jak boisko tapczanu i ciągnącego od podłogi zimna nie zdecydowali się w samych sobie wzbudzać niestosownych myśli, kładąc we wspólnym łożu, albo kołdra trafiła poza tapczan, bo nie o spaniu myśleliśmy nocą.

– Nie wiedziałem, że panie się znają – powiedziałem.

– No przecież wpuściłam panią – burknęła Popławska. – A niby jak miała wejść?

Przecież nie ma kluczy. – Posłała komisarzowi pomarszczony uśmiech. – Tylko lokatorów wpuszczam.

– I kuzynki – mruknął. Raz jeszcze przyjrzał się tapczanowi, oceniając stopień wygniecenia pościeli, po czym bez pośpiechu i skrępowania zlustrował resztę pokoju.

– Jak pan widzi – wskazałem czarnowłosą – trochę przeszkadzamy. Pani... to znaczy kuzynka chciałaby się pewnie ubrać. Albo wrócić do łóżka – dodałem beczelnie. –

Przyzwoici ludzie jeszcze śpią.

– Przyzwoici – pokiwał głową. – No tak, rzeczywiście.

Ten w mundurze podszedł do okna i wyrżał. Może z nudów, a może w ramach odcinania mi drogi ucieczki. Pewnie zaniepokoiłem go, sięgnąwszy po spodnie.

– Co panów sprowadza? – przeszedłem do rzeczy.

– Kurowski – rzucił niedbale Hydzik. – Mogę usiąść?

– W biurze – wskazałem – byłoby nam wygodniej.

Zignorował sugestię. Usiedli oboje: on na krześle, czarnowłosa na brzegu tapczanu.

Zauważyłem, że nadal jest w skarpetkach. Zawadziłem spojrzeniem o przeciwny koniec mojej kuzynki i stwierdziłem, że mimo rumieńca prezentuje się całkiem dobrze, czyli mało podejrzanie.

– Co: Kurowski? – westchnąłem. – Złożył skargę?

– Niezupełnie. – Hydzik wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni kurtki. – Jak to było? Odnalazł się pod postacią?

Nie powiem, że zmartwiałem. Na początku człowiek broni się przypuszczeniem, że źle zrozumiał.

– Proszę?

– Prosi pan – pokiwał głową. Przypalił papierosa i wskazał sufit zapalniczką. –

Najlepiej kierować prośby tam.

– Chce pan powiedzieć... On nie żyje? – wymamrotałem.

– Pan to pierwszy powiedział, nie ja.

– Bo nie mam wodogłowia – wyjaśniłem. – Co mu się...?

– A jak pan myśli?

– Zmarł?

– Fakt, nie ma pan wodogłowia. Nie żyje.

– Co się właściwie stało? – zapytałem po dwóch głębokich wdechach. – Wypadek?

Samobójstwo?

– Pan dobrze wie.

– Aha. Rozumiem.

– Jak na kogoś, kto o niczym *nie* ma pojęcia, w lot pan wszystko chwyta – zauważył.

– Nie powiedziałem, że o niczym – sprostowałem, wkładając koszulę. – Wiem, czym się pan Kurowski zajmował. I że to niebezpieczne zajęcie.

– Co pan robił wczoraj o trzynastej dziesiąt? – zapytał pozornie od niechcena.

Nie zdążyłem odpowiedzieć.

– Marcin był ze mną.

Obaj popatrzyliśmy w kierunku tapczanu. Hydzik stracił znakomitą okazję, by dostrzec moje

zdziwienie. Jego pomocnik, zapuszczający dyskretnie żurawia do szafy, był pod tym względem bez szans.

– Jest pani tego pewna? – warknął komisarz.

– Znam się na zegarku – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy, bez pokory, co ocierało się o zaczepkę.

– A o czternastej? – strzelił pytaniem.

– Też – odpowiedziała równie szybko.

– Co: też?

– Był ze mną.

Mniej więcej wtedy ustaliłem, że nie zełgała. I że byłem do tyłu, bo konstatacja dotyczyła odpowiedzi numer jeden. Druga była ewidentnym kłamstwem, chyba że po tym, jak ją spławiłem, poszła za mną i towarzyszyła mi niepostrzeżenie na pijackim szlaku. Ale po takim występie każda potencjalna klientka błyskawicznie zrezygnowałaby raz na zawsze z tej potencjalności i pobiegnęła szukać mniej zdegenerowanego detektywa.

– I o dwunastej też byliście razem? – domyślił się Hydzik.

– Wtedy jeszcze nie – wzruszyła ramionami. Błyskawiczna odpowiedź. I cholernie dobra. Chyba go zaskoczyła. Mnie na pewno – tym, że nie popełniła błędu i nie zeznała z rozpędu, iż także o dwunastej dotrzymywała mi towarzystwa.

– Mogę prosić o pani dokumenty? – usłyszałem nagle.

To, co wczoraj wyłopałem, musiało zniszczyć ładnych parę milionów komórek w moim mózgu. Trzeba być kompletnym idiotą, by cieszyć się alibi danym przez kogoś mówiącego tak jak ona. Podobał mi się jej akcent, ale – ładny czy nie – był obcy.

Gapiliśmy się na nią wszyscy trzej, gdy szła przez pokój, wyciągała torbę z szafy i dokumenty z torby. Koc został na łóżku i chyba po cichu liczyliśmy, że Maria Eleonora osiągnie swój cel i spopieli ją wzrokiem. Na osobie ulegającej samozapłonowi pierwsze spala się, jak wiadomo, ubranie.

– Pani jest Polką? – W torbie miała niezły bigos i Hydzik ochłonał nieco wcześniej, niż ona dogrzebała się papierów.

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – Jeśli wierzyć dokumentom.

Odłożył papierosa na brzeg zlewu i obejrzał dowód osobisty ze wszelkich możliwych stron.

– Jovanka Bigosiak – odczytał, krzywiąc się z niesmakiem. – To nie jest polskie imię.

– A kto u was używa polskich? – wzruszyła ramionami. – Wielu pan zna Ziemowitów, Mszczujów czy Świętosław?

Odniosłem wrażenie, że mając wybór, to ją, nie mnie, ubrałby w kajdanki. Ale też mu się nie dziwiłem. Miała w oczach coś nieprzyjemnego.

– Uprzedzam – rzucił ponuro, oddając dowód. – Jeżeli spróbuje pani kłamać, oskarżę panią o utrudnianie śledztwa.

– Niczego nie utrudniam – wzruszyła ramionami. – Marcin był tu o trzynastej dziesięć. Zresztą nie tylko ze mną.

Hydzik nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Ma pan więcej dostarczycieli alibi? – zapytał ponuro.

Oderwałem wzrok od pozostawionego na zlewie papierosa. Trochę za późno. I trochę za długo walczyłem ze skutkami roztargnienia.

– A... tak. Właśnie. – Zmarszczył brwi, popatrzył najpierw na mnie, a następnie w miejsce, które przed chwilą obserwowałem. – Nie skojarzyłem godziny... Pani Popławska też mnie widziała. Pamięta pani...

– Nie patrzyłam na zegarek – rzuciła odruchowo.

– No i mój były szef – nie dopuściłem komisarza do głosu. – Trochę się poprzytykaliśmy, więc proszę nie mówić, że chodzi o moje alibi, bo dostanie amnezji.

I będzie trzeba łązić po sklepach.

– Zakupy? – westchnął. Wszystko mu się zawaliło.

– Na budowie łatwo pan ustali, kiedy wyjechałem. – Guzik prawda: na budowie przegapiliby wybuch bomby lotniczej. – Jeśli doliczy pan czas przejazdu i doda parę minut na sklepy, to akurat panu wyjdzie ta trzynasta dziesięć.

Myślałem, że da za wygraną. Nie doceniłem go.

– Co tam robi ten materac? – Podeszedł do zlewu, podniósł papierosa i zaciągnął się, patrząc na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Miałem nadzieję, że zdołam dopracować się choć w połowie tak dobrej miny. I że to, czym się truje, jest przynajmniej porządnie skręcone i nie pogubi kawałków rozżarzonego tytoniu.

Stał dokładnie nad wypełnioną komorą.

– To... – Nic, pustka w głowie. – No...

– Marcin trochę wypił – usłyszałem głos mojej kuzynki Jovanki. Miękki i melodyjny jak świst koła ratunkowego. – Próbował sprawdzać szczelność. – Roześmiała się. – Tylko niech mnie pan nie pyta jak. Zupełnie nie wiem.

Gówno prawda. Połowa kolarzy i kierowców miewała podobne doświadczenia, tyle że z dętkami, nie materacami. A pozostali przynajmniej rozumieli, w czym rzecz.

– Chciał pan na tym spać – podsumował komisarz.

– Trochę się posprzeczailiśmy – uprzedziła moje kiwnięcie głową Jovanka. – Marcin się obraził, no i...

Hydzik oczywiście nie przegapił okazji. Podsunęła mu ją jak na tacy, przyprawiając mnie o lekką panikę.

– A zanim się posprzeczaicie... – urwał, pokazując gestem, by dokończyła. Miałem ochotę kopać oboje po kostkach: ją za bezmyślne rozpuszczanie języka, jego za machanie petem.

– Mieliśmy spać na tapczanie – odpowiedziała bez wahania, wciąż uśmiechnięta i zarumieniona. Był to umiarkowany rumieniec w porównaniu z tym, który demonstrowała stojąca obok gospodyni.

– Zawsze pani śpi w jednym łóżku z kuzynami? – zapytał dość łagodnie Hydzik. –

W tym wieku?

– Obraza boska – wymruczała pod nosem Popławska.

– Aż taka zepsuta nie jestem – odparła Jovanka tonem beztroskiej kretyнки, pakującej się lwu w paszczę.

– A jaka? – podchwycił komisarz.

Zerknęła wymownie na Popławską. Hydzik zrozumiał i za pomocą trzykrotnie powtarzanych podziękowań wyekspediował głęboko oburzoną, ale jeszcze głębiej zaintrygowaną gospodynię za drzwi.

– Pana Małkosza też mam wyprosić?

– Po co? – wzruszyła ramionami. – On wie, po co tu...

– Zaprosił pan tu panią Bigosiak w celu...? – zwrócił szybko wąsate oblicze w moim kierunku. Miał nadzieję, że jednak uda się nas przyłapać na jakiejś niezgodności w zeznaniach. Najwyraźniej z elementarza gliny zapomniał doczytać, że w takich okolicznościach zaczyna się od rozdzielenia przesłuchiwanym.

– To chyba oczywi... – Jovanka urwała, uciszona gestem.

– Panie Małkosz?

Musiałem zdecydować się szybko. Podejrzenia komisarza legły pod lawiną świadków, ale nieufność to strasznie lepka substancja. Wystarczył drobiazg, by Hydzik z radością przywrócił mi status podejrzanego numer jeden. Choćby z braku zastępców.

Gdyby Jovanka oceniła, że dałem się zagonić do narożnika, i odpowiedziała za mnie, nasze akcje mocno straciłyby na wartości.

– A co pana zdaniem można robić na własnym tapczanie z taką piękną kobietą ubraną w nocną koszulę?

– Zamierzaliście uprawiać seks? – użył oficjalnego tonu.

– Oczywiście – wzruszyłem ramionami. Jovanka skwapliwie pokiwała głową.

– Z kuzynką? – zapytał dość niemrawo.

– Niech pan nie żartuje. – Zdobyliśmy punkt i poszerzenie uśmiechu przyszło mi łatwo. – Ta bajka o kuzynce była dla Popławskiej. Zna pan starsze panie.

Przez chwilę pocieszał się dymem papierosa.

– Jest pani absolutnie pewna co do czternastej?

Znów zapachniało całą. Uznałem, że wymienił pierwszą z brzegu porę w ramach stawiania świadka w krzyżowym ogniu pytań, chcąc zbić dziewczynę z tropu: że liczy się trzynasta dziesięć i alibi na ten czas załatwia sprawę. Chyba byłem bliski prawdy –

jednak nie całej.

Wychwyciłem spojrzenie Jovanki. Nie było pospieszne ani ukradkowe.

– Mówiłam – usłyszałem doskonale spokojny, lekko urażony ton kogoś, komu daje się odczuć nieufność. – Marcin wrócił z pracy o pierwszej z minutami, poprzytykał się z tym swoim szefem, a potem zostaliśmy sami. Zszedł na chwilę do sklepu, a później się kochaliśmy. Długo. Szczegóły pewnie pana nie interesują.

Hydzik potwierdził ruchem głowy, co oznaczało, że albo łże, albo nie ma za grosz gustu, jeśli chodzi o kobiety.

– Mniejsza o to, co i jak – powiedział, znów kierując się w stronę zlewu – ale chciałbym wiedzieć, dlaczego to robicie. Dlaczego sypiacie ze sobą – uściślił.

Miałem ochotę zadać kontrpytanie i dowiedzieć się, czy nie jest ślepy albo kochający inaczej. Na szczęście powstrzymał mnie widok papierosa zbliżającego się do materaca.

Czarnowłosa pierwsza dorwała się do głosu.

– Jestem prostytutką – powiedziała rzeczowo i bez widocznego skrępowania. To my byliśmy skrępowani. Hydzik do tego stopnia, że z braku lepszego pomysłu na zrobienie czegoś z rękami użył ich najgorzej, jak mógł: zgasił peta o brzeg zlewu. I natychmiast o nim zapomniał.

– Słucham?!

Jovanka Bigosiak nie zdążyła powtórzyć, jak zarabia na życie. Trochę za szybko zerwałem się do biegu.

Hydzik popisał się nie najgorszym refleksem, dzięki czemu udało mi się go nie przewrócić. Nie był na szczęście aż tak szybki, by zdobyć się na coś poza unikiem. Na przykład na wydobycie broni i zastrzelenie mnie w trakcie ataku na funkcjonariusza.

Zanim się pozbierał, stało się oczywiste, że atak nie wchodzi w grę. Poza tym musiałyby strzelać mi w plecy. Padając na kolana i strącając niedopałek z nadmuchanej poduszki, wpakowałem się z rozpędu pod zlew.

– Oszalałeś?! – krzyknął nieco cieńszym głosem. – Nie ruszaj się!

Tłący się pet umknął mi spod palców, ale zleciał z materaca.

– Mało brakowało, a przepaliłby mi pan materac – warknąłem.

Wycofał się na środek pokoju. Nie przeprosił, choćby tylko spojrzeniem, jednak z drugiej strony nie próbował mnie walić po łbie czy strzelać.

– Mógłbym to uznać za napaść – rzucił posepnie.

– Czego pan od nas chce? – uprzedziła mnie Jovanka. – Co się właściwie stało?

Chyba mamy prawo wiedzieć?

Zauważyłem, że dość swobodnie poczyną sobie z liczbą mnogą. Hydzik też zwrócił

na to uwagę.

– Jak blisko jesteście związani? Tylko bez kręcenia. Potrafię ustalić, co was łączy, i jeśli się okaże, że sporo...

– Łączy nas pieprzenie się za pieniądze – oświadczyła z chłodną ironią. – Jak to dziwkę z klientem. I muszę pana rozczarować: to nasza pierwsza sesja. Długa, ale nie wiem, czy nie ostatnia. – Przeciągnęła znaczącym spojrzeniem po pokoju. – Marcin nie śmierdzi groszem, jak widać. Ja też nie, więc się tym razem dogadaliśmy, ale mam nadzieję stanąć na nogi i zarabiać trochę więcej niż na chleb ze smalcem. Nie bierz tego do siebie – posłała mi chłodny uśmiech dziwki.

– W porządku – stwierdziłem wspaniałomyślnie.

– Chce pani powiedzieć, że nic was nie łączy? – upewnił się Hydzik. – I nie istnieje żaden powód, dla którego miałyby pani osłaniać pana Małkosza?

– Jest miły – zerknęła na mnie z cieniem uśmiešku błakającym się w kącikach ust. –

Kobieta nie nudzi się z nim w nocy. Ale domyślam się, że nie o to pan pyta. – Komisarz nie raczył tego skomentować. – Nie nakłamię dla niego. Zresztą chyba nie muszę. Są inni świadkowie.

Popatrzył na nas, kiwnął nieznacznie głową, po czym wyszedł bez słowa pożegnania.

Robiłem zakupy dłużej niż zwykle, a potem jeszcze poszedłem na parking i sprawdziłem, czy ktoś nie podłożył bomby pod mojego malucha. Nie wierzyłem w bombę, ale musiałem pozbierać myśli, a w mieszkaniu się nie dało.

W ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu godzin byłem bity łomem, oskarżany o napaść, przetrzymywany w areszcie, wywalany z pracy, wysadzany w powietrze wraz z mieszkaniem i posądzany o zabójstwo. Inkasowałem jednak ciosy z błogą nieświadomością znokautowanego już wcześniej boksera, którym miotają o liny coraz potężniejszymi sierpowymi, ale który nie czuje siły uderzeń, bo nie ochłonął jeszcze po pierwszym.

Dopiero perspektywa ponownego stanięcia twarzą w twarz z Jovanką sprawiła, że zacząłem się bać. To oczywiście głupie. Na tym etapie naszej znajomości nie było jeszcze powodów, by stawiać czarnowłosą kobietę o dziwnych oczach w jednej linii z podkładaczem bomb, Hydzikiem czy nawet Harvardem. Gdybym jeszcze miał jakieś zbliżone do prawdy przeczucie... Ale jako wróżka byłem beznadziejny i bynajmniej nie jej zlecenia się bałem.

To żałosne, ale snułem się po sklepach i podwórzu, bo nie potrafiłem wejść na górę, wysłuchać jej, a potem odesłać do detektywa z prawdziwego zdarzenia.

Prawie się ucieszyłem, napotkawszy na schodach żywą minę w osobie Marii Eleonory.

– A właśnie – przypomniałem sobie, ignorując mordercze spojrzenie. – Ktoś był

w moim mieszkaniu wczoraj w nocy albo trochę wcześniej. Nic pani o tym nie wie?

Łypnęła ponuro oczami, przez chwilę rozważała pomysł skorzystania z laski i wygrzmocenia mnie.

– To nie jest żadna kuzynka! – wyrzuciła z siebie w końcu przepojone dramatyzmem oskarżenie. – Okłamał mnie pan!

– Nie ja – sprostowałem z zakłopotaną miną. – To ona. Nie miałem o niczym pojęcia, słowo honoru.

– Trzeba było ją pogonić – rzuciła wojowniczo.

– To klientka – westchnąłem. – Mąż ją bije, musiała uciec z domu, no i ubzdurzyła sobie, że u mnie...

A ja wróciłem w nocy i nie miałem serca tak na ulicę...

Popławska na pewno nie przegapiła sińca pod okiem Jovanki ani mocno wypchanej torby. Miałem więc solidne fundamenty pod budowanie bajeczki o maltretowanej żonie.

– Trzeba było od razu tak mówić – stwierdziła zrzędlwym tonem. – Poganką nie jestem. Ale na pana miejscu wzięłabym pieniądze z góry.

– Wezmę – obiecałem. – A w tej drugiej sprawie... Nie przypomina sobie pani kogoś, kto się tu kręcił, gdy miałem służbę? W nocy z poniedziałku na wtorek?

Z faktów wynikało niezbitie tylko to, że ładunek znajdował się w tapczanie w okolicach północy, i to tej północy, nie poprzedniej. Przyjąłem, że Jovanka mówi prawdę i że mój niedoszły zabójca zjawił się na miejscu nocą. Ostatnia przy takich założeniach odpadała. Wcześniejsze nie wchodziły w grę, skoro żyłem, pozostawała więc przedostatnia.

– Nie – oznajmiła Popławska po przemyśleniu sprawy.

– Nic? Nikt się nie kręcił po domu, nie rozglądał? Może jakiś roznosiciel pizzy?

– Na pizzę – zerknęła na drzwi studenckiej kwatery – to tych utracjuszy od dawna nie stać. Wie pan, co ostatnio wyrzucali do śmietnika? Flaszki po patykiem pisanym.

Chyba im w końcu wymówię – dorzuciła mściwie staruszka. – Wytrzymać się nie da z tymi hałasami.

– Ba – mruknąłem z roztargnieniem. – A co w zamian?

– Znajdą się chętni, bez obaw. Nie dalej jak przedwczoraj był tu jeden pan. Szukał

lokalu na biuro. Akurat czegoś takiego, jak ma pan.

– Ale się nie zdecydował – zgadłem nie bez skrywanej satysfakcji. Nie jest dobrze wynajmować lokal w kamienicy, do której drzwiami i oknami wałę poszukujący biur biznesmeni. Tylko całkowity brak konkurencji chronił mnie przed eksmisją.

– No nie – przyznała. – Ale powiedział, że się poważnie zastanowi. Podobały mu się wasze apartamenty.

Z czystej ciekawości próbowałem zgadnąć, w jakiej branży pracuje taki gość. Pewnie w polityce albo reklamie. Tylko przedstawiciele tych profesji, zawodowo zajmujący się zamykaniem oczu na fakty i wciskaniem ludziom ciemnoty, wchodzili w grę. Tyle że w polityce i reklamie nie zarabia się tak marnie, by trafić do Popławskiej. Dokonałem tej jałowej analizy i wtedy mnie olśniło.

– Zaraz... Mówi pani, że mu się podobało? To znaczy, że zaglądał do środka?

Zawahała się, co na dobrą sprawę mogłem uznać za odpowiedź.

– Muszę przecież oprowadzić zainteresowanych, prawda? Ale niech się pan nie boi.

Osobiście mu wszystko pokazywałam, niczego nie mógł ukraść. Zresztą, co tam u pana kraść...

– Fakt. – Póki mówiła, gotów byłem nawet zaproponować, by przy następnej okazji pozwoliła zainteresowanemu przespać się na próbę w moim łóżku i zabrać na pamiątkę jakiś drobiazg. – Pamięta pani, kiedy to było?

– Przecież nie mam sklerozy! W poniedziałek, z samego rana. Bardzo rozsądny człowiek. I taki grzeczny, chociaż nie od nas.

– Był spoza Krakowa?

– Nie, nie... Z Krakowa, tyle że cudzoziemiec. Biznesmen.

– Cudzoziemiec? – zapytałem ostrożnie.

– Ruski chyba. Po naszymu ni w ząb. Próbował po angielsku, ale ja tam angielskiego nie znam, więc głównie na migi... Albo może Słowak? – zastanowiła się.

– Jak wyglądał?

– Jak to oni – wzruszyła ramionami. – Nieszczególnie. Ale jak się jeździ po obcym kraju z kieszeniami pełnymi gotówki, to lepiej nie kłuć ludzi w oczy garniturem.

– Nie był w garniturze – podsumowałem. – Co jeszcze?

– A czemu to pana interesuje? Przecież niczego nie...

– Wie pani – zniżyłem głos – w jakiej branży pracuję. Zawsze lepiej dmuchać na zimne.

– Ale on nigdzie nie próbował... O czynsz pytał, o gaz... czy nie da się podłączyć zamiast butlowego. Myśli pan...?

– Nie wiem. – Postarałem się o wyważoną minę, by nie przesadzić ze straszaniem. –

Zastanawiam się, czy to nie jej mąż – wskazałem palcem w górę. – Zauważyła pani, że nie jest Polką.

– Powiedziała, że jest kuzynką spod Lwowa – wyjaśniła Popławska, wyraźnie przejęta wizją męża oszusta.

– Kuzynką nie jest. No więc jak ten facet wyglądał?

Nie bez trudu wyciągnąłem od gospodyni rysopis niedoszłego lokatora. Przed czterdziestką, nie za duży, dość chudy, włosy raczej ciemne, oczy jakieś. Z ubrania zapamiętała, że kojarzyło się z wędkarzem albo myśliwym. Trochę na siłę wyciągnąłem od niej oświadczenie, że nieznajomy był w solidnych, chyba wojskowych butach.

Rysopis zamykało stwierdzenie, iż w kieszeni kurtki – chyba zielonej, ale może szarej –

nosił dolarowe banknoty, z których jeden, o nominale dziesięć, dostał się oprowadzającej.

Po tym wyznaniu przestałem się dziwić, że dopatrzyła się biznesmena w osobniku o powierzchni grzybiarza.

Podziękowałem i wróciłem do siebie. A raczej – próbowałem wrócić. Dotarłem zaledwie do biura.

– Zaraz! – usłyszałem zza przyblokowanych czymś drzwi pokoju. – Jedną sekundę!

Nie mogłem nie zauważyć, że w odczuciu pani Bigosiak pod pojęciem sekundy kryje się około pięciu minut. Kiedy mi otworzyła, usuwając krzesło spod klamki, dostałem po nozdrzach tak potężną dawką zapachów, że prawie zakręciło mi się w głowie.

Mydło, szampon, dezodorant bądź perfumy, no i oczywiście pasta do zębów. Puder też, ale jego akurat nie brałem pod uwagę, sporządzając listę. Użyła go w zaskakująco znikomej ilości.

Trochę to było dziwne u kobiety, która zadała sobie trud kąpieli w miednicy i wyszczotkowania tej czarnej dżungli, okalającej twarz. Być może wyskrobywała resztki z pudernicy. Tak czy siak, siniec nadal było widać.

Drugą niespodzianką był jej strój. Założyłem milcząco, że zastanę ją w tym, co miała na sobie wczoraj. Tymczasem otworzyła mi zgrabna i silnie zbudowana turystka albo reporterka frontowa, odziana w podobne do bryczesów spodnie i koszulę khaki, na którą włożyła nieco ciemniejszą kamizelkę z mnóstwem kieszeni. Niezależnie od celu wyprawy w plener – strój wydawał się dobrze dobrany. Może z wyjątkiem butów, których nie było nigdzie widać. Zapach nie pasował do wyglądu, ale była zrobiona na bóstwo. Leśne, trochę dzikie – lecz jednak.

– Przepraszam – uśmiechnęła się do mnie z bezpośredniością znakomicie harmonizującą z jej nowym wcieleniem. – W pana łazience trudno się szybko wykąpać.

Fakt, zachlapała cały kąpiel przy zlewie. Znalazła jednak czas na zagotowanie wody.

Wyszukała też kawę, którą przyrządziła teraz w dwóch identycznych porcjach, z odrobiną mleka i dwiema łyżeczkami cukru, czyli tak jak lubię. Albo lubiliśmy to samo, albo ktoś tu próbował wyrzucić na kimś dobre wrażenie. Zyskałem pewność, kiedy zaproponowała, że robi śniadanie.

– Będę musiał niedługo wyjść – oznajmiłem, siadając z boku i patrząc, jak sobie radzi z patelnią. Przy tej okazji, czyli skandalicznie późno jak na detektywa, przyjrzałem się jej dłoniom. Były spore, jak ona cała, bez biżuterii i chyba trochę zniszczone pracą fizyczną. Na razie stwierdziłem, że wyglądają sympatycznie, a krótkie paznokcie, powleczone czymś bezbarwnym albo i niczym, dobrze pasują do Jovanki B.

– Myślałam, że porozmawiamy – powiedziała z doskonale zamaskowanym wyrzutem.

– Niech pani uważa na tę jajecznicę.

Odwróciła się na sekundę, zamieszała nożem i od razu wlepiła we mnie swe niesamowite oczyska.

– Do tego sprowadza się rola kobiet w pana życiu? – zapytała cicho.

– Nie – uśmiechnąłem się do niej leciutko, prosząc spojrzeniem, by nie wzięła moich słów za śmiertelnie poważną deklarację. – Bywacie też użyteczne w łóżku.

Pokiwała głową. Trudno powiedzieć, co sobie pomyślała. W gruncie rzeczy nie obchodziło mnie to. Może nawet lepiej by było, gdyby się obraziła, dowodząc braku wycucia i niezgodności charakterów.

– Obiecał pan wziąć moją sprawę – powiedziała po chwili, rozdzielając jajecznicę między dwa talerze. – Co prawda nie na trzeźwo – dodała ze smętnym uśmiechem.

– Ale nie byłem nieprzytomny. Nie wycofuję się z tego.

– Nie? – Pokręciłem głową. – Ale... nie wie pan, o co chcę prosić. A to dość nietypowe zlecenie i...

– Najpierw to paskudztwo w tapczanie – sięgnąłem po posmarowany margaryną chleb – a potem Kurowski, którego zamordowałem trochę o trzynastej dziesiąt, a trochę o czternastej. Wiem, że nie przyszła tu pani z błahostką, ale przyzna pani, że wypada się tym zainteresować.

Usiadła naprzeciwko, przyglądając mi się znad parującego talerza. Próbowałem sobie przypomnieć podobny widok.

– To się jakoś łączy? I kto to był ten Kurowski?

Zaczęliśmy jeść. W przerwach między kęsami objaśniłem jej, jak w moim życiu pojawił się Józef Kurowski z Nowej Huty. O roli Harvarda wspomniałem mimochodem, bez wdawania się w szczegóły. Kiedy skończyła i oczyściła usta koniuszkiem języka –

nieeleganckie, ale spodobało mi się, podobnie jak brak szminki – opowiedziałem jej, co usłyszałem od gospodyni.

– Tu i tu cudzoziemiec – zauważyła, nie czekając na mój komentarz. – Sądzi pan, że to ta sama osoba, prawda?

– Prawda.

Tyle że nie cała. Po paru sekundach spłoszone spojrzenie uświadomiło mi, że nasze myśli pobiegły wspólnym torem.

– Myśli pan, że on i ja...

– A pani nie przyszłoby to do głowy? – westchnąłem.

– Ten człowiek omal mnie nie zabił.

– Tak – przyznałem spokojnie i dość życzliwie. – Zakładając, że mówi pani prawdę, to omal pani nie zabił.

– Przecież... – Nie musiała kończyć: jej pełne rozzalenia spojrzenie w stronę tapczanu było wystarczająco wymowne. Upiłem mały łyk kawy i uśmiechnąłem się przepaszająco.

– Teoretycznie to mogła być mistyfikacja.

– Nie wierzy mi pan.

– Nie wiem. – Milczeliśmy jakiś czas, unikając krzyżowania spojrzeń. – Klęczała pani tak siedem godzin? – Skinęła głową. – Nie ruszając się?

– Jestem wytrzymała – powiedziała cicho. – Jeśli ma to pana przekonać, możemy zrobić powtórkę.

– Wolałbym obejrzeć pani stopę. Mogę? – Nie odpowiedziała, choć czekałem długo.

Całe pół szklanki. – No i co ja mam z panią zrobić?

– Wolałabym tego... – urwała i nagle się podniosła, łapiąc oburącz krzesło. Przez chwilę widziałem je w charakterze maczugi, ale okazało się, że w grę wchodzi tylko energiczne przestawienie go bliżej mnie. Dziewczyna usiadła i zdecydowanym, trochę desperackim ruchem szarpnęła skarpetkę, odsłaniając stopę. A dokładniej: piętę i śródstopie. Na świeżo umytej skórze paskudna fioletowosina wybroczyna była doskonale widoczna. Kształt też miała właściwy, choć nie był to oczywiście prostokąt, idealnie odpowiadający przekrojowi deski.

– Nie zmyje się? – Sam nie wierzyłem, że o to pytam.

Pośliniła palec i zaczęła trzeć. Skóra wokół poczerwieniała, a w kącikach ust pojawił

się grymas skrywanego bólu. Rozzłościłem ją i widać było, że gotowa jest znęcać się nad nogą, ale chociaż byłem pod wrażeniem, zauważyłem, że równie mocno przytrzymuje skarpetę, zapobiegając zsunięciu się jej z przedniej części stopy.

– Wystarczy – rzuciłem stanowczo. – Już wiem, że to nienamalowane. Nie musi się pani okulawiać.

– Ja nie kłamię – powiedziała cicho i dopiero wtedy wciągnęła skarpetę.

Wyprostowała się, siadając sztywno z dłońmi na udach. – Fatalnie to wygląda, ale to zbieg okoliczności. Nie znam nikogo, kto by mógł podkładać bomby. W ogóle nikogo w Krakowie nie znam.

– A Kraków pani zna? – Pokręciła głową. – Więc proponuję małą wycieczkę. Chyba że woli pani tu poczekać.

Ulicę przegradzała do połowy chaotyczna zbieranina barierek, gumowych pachołków i taśm, ale prawą stroną dało się przejechać.

– Coś się spaliło – zauważyła Jovanka.

Zjechałem na zasypany pokruszonym szkłem trawnik.

– To tu? – Oczy rozszerzyły jej się na tyle, że bez trudu wypatrzyłem w nich i nagłe zrozumienie, i zdziwienie, i lęk.

– Cholera – powiedziałem z przekonaniem.

– Niech pan nie mówi, że to ten dom – poprosiła.

– Dobrze – zgodziłem się. – Założmy, że ktoś z administracji coś spieprzył i powiesił

nie tę tabliczkę.

Wysiadłem i ruszyłem wolno wzdłuż rzędu gumowych słupków. Dołączyła do mnie po paru krokach. Szliśmy ramię w ramię, przyglądając się okopconej ścianie, kałużom wody i kawałkom okien, walającym się po całej okolicy.

Dom miał trzy kondygnacje i jakieś pół wieku. Kurowski mieszkał niemal dokładnie pośrodku, na pierwszym piętrze. Oznaczało to, że kiedy jego mieszkanie wyleciało w powietrze, nieszczęście rozlało się na wszystkie możliwe strony.

Strażacy wspomagani przez dotkniętych katastrofą lokatorów nadal wynosili meble.

Nie miałem problemów z dyskretnym przedostaniem się na drugą stronę bariery. Dość szybko zresztą dałem sobie spokój z wtapianiem się w tło i zabiegami o to, by pozostać niezauważonym. Jovanka dołączyła do mnie, zręcznie prześlizgując się pod taśmą, a kogoś takiego nie sposób było przeoczyć i w większym tłumie. To pierwszy powód.

Drugi, niższy, grubszy i nie tak pachnący, stał obok spękanego muru i zapisywał coś w brudnym notatniku. Jego kask, raczej wbrew regulaminowi, leżał na chodniku, a spod strażackiej kurtki wyglądał bezwstydnie pokaźny brzuszek w cywilnej koszuli. Trudno było wyobrazić go sobie wspinającego się z toporkiem w zębach po drabinie, ale jego przełożonym bynajmniej to nie przeszkadzało. Kapitan Sławomir Dolata nie ciosami toporka wyrąbywał sobie drogę do kariery.

– Chwała i cześć strażakom ogniowym – rzuciłem rażnym, kaprańskim tonem.

Odwrócił się i wyszczerzył zęby.

– Marcin? To ty jeszcze żyjesz? – Ucisnął moją dłoń, znacząco zmieniając jej barwę. – Wieki cię nie widziałem. Wpadłbyś kiedyś, Ewka się ucieszy...

– Pomyślę – obiecałem. – Poznajcie się. Sławek, najtęższy łeb w krakowskiej straży sikawkowej, Jovanka. Fajnie, że cię spotkałem. Możemy chwilę pogadać?

– Co się urodziło?

– Nieładnie to wygląda – popukałem palcem w mur, a właściwie w płat styropianu, wystający z wykruszonego tynku. – Musiało mocno rąbnąć.

– Nie odszukałeś mnie aż tutaj, żeby pogawędzić o wybuchu gazu – popisał się dedukcją.

– Nie – przyznałem. – Odszukałem ten dom i przypadkiem zauważyłem kogoś, z kim mogę pogadać. O gazie.

Popatrzył mi w oczy, gubiąc powitalny uśmiech.

– Zaraz... Przyjechałeś tu...? – Teraz on dotknął ściany.

– To długa historia – posłużyłem się oklepanym, ale i skutecznym wykrętem. – Facet, którego mieszkanie poszło z dymem, był moim kolegą po fachu. Nie saperem –

podkreśliłem. – Mówię o tej drugiej specjalności.

– Daj spokój... To nie Ameryka. U nas nie wysadza się w powietrze prywatnych detektywów.

– Ale jego wysadzono? – upewniłem się.

Podrapał się po głowie z zafrasowaną miną.

– Właściwie nie powinienem...

– Nam – wskazałem Jovankę – omal nie przydarzyło się to samo. Dziś w nocy.

Zamrugnął oczami, gapiąc się z niedowierzaniem to na mnie, to na równie poważną dziewczynę.

– Kurczę... Jesteś pewien, że...?

– Nie zawracałbym ci głowy. – Odczekałem chwilę i zapytałem ostrożnie: –

Ustaliliście już przyczynę?

Pozbierał się dość szybko. Nie żyliśmy w dawnych, dobrych czasach i strażaków nie szokowały już celowe podpalenia, a nawet zamachy bombowe. Ostatecznie poznaliśmy się właśnie dzięki wprowadzonej wraz z wolnym rynkiem modzie na wysadzanie w powietrze ludzi i obiektów.

– To gaz – mruknął w końcu. – Podejrzewaliśmy samobójstwo, bo kurki były podkręcane i ktoś uszczelnił mieszkanie.

– O której to się stało?

– Koło drugiej po południu. Bogu dzięki, nikt akurat nie przechodził pod oknami.

I drugie dzięki, że to stalinowski ceglak. Popękał, ale nic się nie zawaliło. Z wielką płytą mogło być różnie. No i trzecie szczęście, że wybuchło w dzień. Nikogo nie było u sąsiadów, nikt nie ucierpiał.

Poza Kurowskim.

– Mocno się spalił?

Zerknął na dziewczynę. Nie sprawiała wrażenia wstrząśniętej.

– Gdyby nie ta sąsiadka, może bym nie zwrócił uwagi... Coś tu śmierdzi, masz rację.

Zwłoki są mocno spieczone, ale tak naprawdę to facetowi odpaliło głowę.

– Odpaliło?

– Cały czas kombinuję, jak to opisać w raporcie. Upieczone ciało, a na końcu kikut zamiast podobnie upieczonej głowy. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Może po prostu uraz mechaniczny – zastanawiałem się na głos. – Wybuch robi z ludzkim ciałem dziwne rzeczy.

– Myślisz, że nie sprawdzałem? Nie, stary, to musiało być coś porównywalnego ze strzałem ślepekami z haubicy prosto w twarz. Całkowite zwęglenie tkanek.

Milczeliśmy jakiś czas.

– A ta sąsiadka? – przypomniałem sobie.

– Słyszała, jak ktoś wychodzi od Kurowskiego o trzynastej z minutami. Nie widziała go, ale tego jest pewna. No i ten ktoś zbiegł na dół. Nie zszedł, ale właśnie zbiegł.

Wiedziałem już z grubsza, skąd się brały pytania Hydzika.

– Przeprowadzili sekcję zwłok?

Jovanka posłała mi zdziwione spojrzenie. To nie było typowe pytanie stawiane strażakowi. Ale też Sławek Dolata nie pracował jako typowy strażak.

– Właśnie powinni go kroić. A co chciałbyś wiedzieć?

– Sam nie wiem... Kiedy brakuje głowy, zwykle chodzi o uniemożliwienie identyfikacji. Ale...

– Nie jestem w tym mocny – zastrzegł – ale jeżeli to nie Kurowski, błyskawicznie to stwierdzą. DNA i takie tam... Z tyłu miał garaż, no i jest samochód. Na pewno znajdzie się mnóstwo próbek. I przynajmniej ze dwa odciski palców. Gdyby chodziło o podrzucenie fałszywego trupa, ktoś zadbałby lepiej o jego dłonie. A jedna zachowała się w całkiem dobrym stanie.

– Masz rację – zgodziłem się. – Jeżeli to nie Kurowski, ktoś postarałby się bardziej, a jeśli to on, w ogóle nie powinien się starać. Łatwo zgadnąć, że zwłoki należą do lokatora. Więc co nam pozostaje?
– Potraktowałem pytanie jako retoryczne, wychodząc z założenia, że skoro najbardziej kompetentna i

obeznana ze sprawą osoba – czyli ja – nie potrafi udzielić odpowiedzi, nie udzieli jej nikt inny.

– Jeśli to miało wyglądać na wypadek – odezwała się zniecierpliwiona Jovanka – może coś trzeba było zrobić z trupem.

Posłałem jej zdziwione spojrzenie.

– Zrobić z trupem?

– Jeśli już wtedy nie żył, to jakoś przecież umarł, prawda? A umieranie zostawia ślady.

– Ktoś roztrzaskał mu łeb – powiedział Sławek, dzieląc zdziwienie między to, o czym mówiła, i sposób mówienia.

– To chyba to – przyznałem. – Znajdujecie zwęglone zwłoki, nie ma śladów wcześniejszych obrażeń, sąsiadka akurat nie przechodziła obok... Co wtedy?

– Wypadek – wzruszył ramionami. – A niby co? Nie jestem jasnowidzem. Skąd miałbym wiedzieć, że coś nie gra?

Zastanowiłem się. Miałem ułatwione zadanie.

– Zapalnik – popatrzyłem trochę surowo na Dolatę. – O pierwszej morderca opuszcza mieszkanie, o drugiej następuje wybuch. Nie od dzwonka do drzwi, bo mielibyście albo świadka, albo drugiego trupa. Nie znalazłeś czegoś, co mogło zaiskrzyć?

– Wyłącznik czasowy – pokręcił głową – miał tylko w pralce. Ale jest nowa, nie powinna wywołać eksplozji.

– Chodziło mi raczej...

– Wiem – przerwał. – No więc nie, nie znalazłem niczego podobnego do klasycznego zapalnika czasowego. Żadnych budzików, fiolek... Jeśli jest tak, jak mówisz, facet musiał

sklecić coś domowym sposobem. Tylko że takie chałupnicze wyroby są strasznie zawodne.

– Chyba że ktoś się na tym zna.

– Chyba że – zgodził się. – No i nie wymaga stuprocentowej gwarancji. Za to po wszystkim trudno udowodnić, że coś nie wybuchło samo z siebie. Zwłaszcza w przypadku gazu.

– A co z głową Kurowskiego?

– Cóż – uśmiechnął się bez radości. – Kolejna niedoskonała zbrodnia. Dom mógł się zawalić, zwłokami mogło rzucić inaczej, nikt z ekipy dochodzeniowej nie musiał się zastanawiać, dlaczego jeden fragment ciała spalił się w stu procentach, podczas gdy inne tylko na parę centymetrów w głąb... Nie powiedziałbym, że pan Trzynasta spieprzył

sprawę. Po prostu ciut zabrakło mu szczęścia.

– Ale to on? – nie było ważniejszej kwestii od tej, a jednak zostawiłem ją na koniec.

Gdyby nie Jovanka, od niej bym zaczął i nią wiercił Sławkowi dziurę w brzuchu.

– Sądząc po ilości gazu potrzebnej do wybuchu o takiej sile, nie odkręcono kurków dużo później. Już raczej wcześniej.

– Inaczej mówiąc – powiedziałem powoli i trochę jakby uroczyście – morderca, nawet gdyby to nie był ten, którego usłyszała sąsiadka, musiał tu być około pierwszej?

– Właśnie – posłał mi zdziwione spojrzenie. – Zresztą gdyby przyszedł wcześniej, to pan Trzynasta nie zamykałby za sobą drzwi, tylko zwiął, nie oglądając się na takie głupstwa. A on zamknął. Na klucz. I odszedł, chociaż w środku czuć było gazem i prawdopodobnie leżał trup. Uczciwi tak nie robią.

Uśmiechnąłem się, dbając o to, by nie sprawiać wrażenia zbyt radosnego. Dookoła pracowali w pocie czoła zrozpaczeni ludzie, którzy być może utracą dach nad głową.

Byłem jednak egoistycznym bydlakiem i myślałem przede wszystkim o jednej, wcale niezrozpaczonej osobie, w której brązowych oczach rozpalały się coraz liczniejsze iskierki ulgi. Właśnie dlatego, że oboje odczuwaliśmy to samo, zachowywałem się jak szczeniak i udawałem, że wcale mnie nie obchodzi podarowane przez los ułaskawienie.

Zaparkowałem na podwórku, po raz pierwszy w życiu gratulując sobie posiadania malucha. Większy wóz nie pokonałby bramy.

– Tu będzie na widoku – wyjaśniłem Jovance. Nie pytała wprawdzie o nic, ale trudno było pominąć milczeniem oryginalny sposób parkowania: prawymi drzwiami przy samej ścianie.

– Kradną? – zapytała uprzejmie, przeciskając się pod kierownicą.

– Minują. – Była jeszcze daleko od progu i mogłem powstrzymać ją słownie, ale nie umiałem sobie odmówić dotknięcia końcami palców jej ramienia. – Uwaga na kałużę.

To była druga niekorzystna cecha wybranego przeze mnie miejsca: całą lewą stroną samochód stał w wodzie. Było jej wystarczająco dużo, by odstraszyć zarówno typową kobietę, jak i typowego podkładacza bomb. Po nurkowaniu w kałużę sabotażysta za bardzo rzucałby się w oczy.

– Pomogę pani. – Bez pytania wziąłem sobie jej rękę. Teraz powinna stanąć na progu kabiny, wesprzeć się na mocnej męskiej dłoni i energicznym susem przesadzić ten metr z kawałkiem. Gdyby nosiła szpilki, byłoby to nieco ryzykowne, ale w swoich terenowych kamaszach nie miała prawa poślizgnąć się czy złamać obcasów.

Zaskoczyła mnie kompletnie, najpierw uwalniając dłoń, a następnie, równie niespiesznie i równie świadomie, wchodząc prosto w środek kałuży.

– Nie jestem z cukru – poinformowała mnie ze trzy sekundy później. – Potrafię sporo znieść.

Aż do drzwi mieszkania wlokłem się za nią, próbując zrozumieć, co miała na myśli.

Przed wejściem błyskawicznie oczyściła mi głowę z tych dość jałowych rozważań.

Osiągnęła to bez słowa: kucając i ostrożnie zaglądając pod wycieraczkę.

– Mogli coś podłożyć – wymruczała. – No wie pan...

– Pod wycieraczkę?

– Przepraszam – zaczerwieniła się. – To faktycznie głupie. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Otworzyłem drzwi. Nic nie wybuchło.

– Napijemy się herbaty? – Skinęła posłusznie głową. Gdybym zaproponował

zabranie się we dwoje do skrzynki piwa, też by pewnie skinęła. – To do roboty. Potem pomówimy o pani sprawie.

Skorzystałem z ubikacji, a kiedy wróciłem, zastałem ją w trakcie chowania pościeli.

– Ja to zrobię – zaprotestowałem słabo, a w widoku kobiety krzątającej się po domu i wykonującej prozaiczne codzienne czynności było coś takiego...

– Przecież już nie wybuchnie.

Wybuchnąć nie mogło, ale sporo z pierwotnej instalacji zostało jeszcze w tapczanie.

Wyjąłem scyzoryk i zacząłem wydłubywać korek. Przycupnęła obok z poduszką w objęciach i z zainteresowaniem przyglądała się usuwaniu kolejnych kawałków ścieżki ogniowej.

– Ten pana kolega, strażak... – odezwała się w pewnym momencie. – Gdyby to podziałało, niczego by nie podejrzewał?

– Myśli pani, że tym się kierował? On? – uściśliłem, wskazując lont. Wzruszyła ramionami. – Ja też nie wiem. Pytam, co pani o tym sądzi.

– A jak to inaczej tłumaczyć? Trzeba dużo czasu, by przygotować taką pułapkę.

O wiele prościej byłoby podłożyć granat. No i bezpieczniej. Tu wystarczył jeden fałszywy ruch... i koniec.

– Byłby z pani dobry saper – uśmiechnąłem się. – Najpierw zorientowała się pani, że coś nie gra, a teraz taki fachowy komentarz.

– Bez przesady. Niczego mądrego nie powiedziałam. A to wczoraj... Mówiłam: coś zabręczało, i

tylko dlatego...

– Jeżeli kobieta nie powie czegoś mądrego o minie, to już coś znaczy. Bo przeciętna gospodyni domowa powiedziała by coś głupiego. Bez urazy. – Wzruszyła ramionami, pokazując, że nie czuje się dotknięta. – Normalni ludzie nie zastanawiają się, jak takie coś działa. – Odczekałem chwilę i zadałem w końcu to pytanie: – Miała pani jakieś doświadczenia z minami? Tam, u was?

Przeczuwałem, że nie sprawię jej przyjemności. Coś zgasło nagle w blasku złotych oczu.

– Nie wiem – powiedziała bardzo cicho.

Nie odważyłem się sondować głębiej. Za to w końcu dotarło do mnie coś, co uparcie powtarzała.

– Zabrzęczało? – zmarszczyłem brwi.

– Nie wierzy mi pan?

Nie wierzyłem jej, ale chciałem. Tylko dlatego zanurkowałem pod pokrywę i znalazłem przybrudzoną monetę.

– Jak to tam wpadło... – pokręciła z niedowierzaniem głową. – Nic dziwnego, że pan ją przegapił.

Położyłem monetę na dłoni i pomacałem czubkiem noża bryłkę umieszczoną blisko jej środka.

– Plastelina – westchnąłem. – Cholera, dałem plamę. To bezpiecznik. Nie mógł tak po prostu położyć pokrywki na gwoździu. Kretyn jestem. Przykleił to do czubka i delikatnie opuścił materac. Wiązanie diabli wzięli, moneta spadła i przy następnym razie...

Kiwnęła głową na znak zrozumienia. Ale nie odrywała wzroku od mojej dłoni.

Wróciłem do stołu i patrzyłem, jak z trochę nieobecny wyrazem twarzy napełnia szklanki wrzątkiem.

– Co mogę dla pani zrobić?

Odkładałem to, jak długo mogłem. Brązowe oczy patrzyły na mnie już nie ze smutkiem, ale niemal rezygnacją.

– Mam córkę. – Musiała przygotować się do tej rozmowy, bo teraz sięgnęła po prostu do kieszeni i położyła przede mną kolorową fotografię. – Ola. W grudniu skończy siedem lat. Ma białaczkę. Lekarze nie dają jej więcej niż rok życia.

Krótko, zwięźle, po żołniersku. Jak kolbą przez łeb. Jasnowłose, błękitnookie stworzenie śmiejące się do mnie z fotografii było samą esencją życia, urody i radości.

Gapiałem się na trochę łobuzerską twarzyczkę, nie potrafiąc zamknąć oczu, a zarazem nie mając odwagi unieść ich i popatrzeć na Jovankę.

– Ma pan dzieci? – usłyszałem rzeczowe pytanie. Pokręciłem głową, nie podnosząc jej. – Ale książek pan tu trochę zgromadził. Na pewno wyczytał w nich pan, że instynkt macierzyński bywa cholernie silny.

Dźwignąłem się i podszedłem do okna. Sprawdzanie, czy ktoś nie podkłada bomby pod malucha, zajęło mi całe wieki, ale za to pozbyłem się kłopotów z oczami. No i dzielił

nas teraz spory dystans.

– Co mam zrobić?

– Chcę odszukać jej ojca.

– Bigosiaka? – strzeliłem.

– Roman Bigosiak to mój mąż. Nie jest ojcem Oli. Przez jakiś czas myśleliśmy, że tak, ale potem się okazało... Pochodzę z Jugosławii, dobrze pan zgadł, a z Romanem...

– Jest pani Serbką? – Zawahała się. – To znaczy... jedno z rodziców. Bo drugie, jak rozumiem, pochodziło z Polski?

– Znam serbsko-chorwacki, dobrze angielski, tak sobie rosyjski, trochę niemiecki, albański, macedoński... – uśmiechnęła się jakby zakłopotana. – Mam chyba talent do języków. Polskiego uczyłam się dopiero tutaj. Po wyjściu za mąż.

Słyszałem już w życiu bardziej bezpośrednie odpowiedzi na swe pytania. Ale ostatecznie nie chodziło o jej rodziców.

– Umówmy się – zaproponowałem. – Jeżeli nie będzie pani chciała o czymś mówić, to proszę zrobić tak – pokazałem jej złączone kciukami i palcami wskazującymi dłonie.

– Tego nie znam – uniosła nieco brwi.

– Bo to nie ogólnopolski standard – pocieszyłem ją. – Ktoś z moich znajomych to wymyślił. Widzi pani? Trójkąt. – Uniosłem dłonie. – Ma pani prawo jazdy?

– Nnnnie – zawahała się. – Ale chyba wiem, o co panu chodzi. Taki kształt mają znaki.

– Ostrzegawcze – uzupełniłem. – Ona... to znaczy ten, kto to wymyślił... No, też nie miała prawa jazdy. Więc trochę jej się pokręciło przy teoretycznym uzasadnieniu. Bo to miało być: „Stop, droga z pierwszeństwem przejazdu”. Że niby możesz wjechać, jeśli musisz, ale najpierw się zatrzymaj i pomyśl dwa razy. Tyle że znak ustawia się odwrotnie, wierzchołkiem w dół. A wracając do rzeczy... Proszę nie mówić, że mam odnaleźć ojca Oli, a tak się składa, że on mieszka na Bałkanach.

Opuściła głowę, rzucając mi w ten sposób spojrzenie spod brwi. Były gęste, jaśniejsze od włosów, co nie znaczy jasne, i pewnie dlatego ich nie malowała. Odbierały jej twarzy wyraz wyniosłości, łatwy do przypisania pięknej kobiecej twarzy. Inna sprawa, że tak naprawdę nie była piękna i – co

zabawniejsze – nawet ja doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. To brak aury niedostępności, otaczającej te najurodziwsze, czynił ją co najmniej tak jak one atrakcyjną. Cały ten traktat o urodzie przemknął mi przez głowę, bo dość długo wlepiła we mnie to zdradzieckie spojrzenie, a ja sam dojrzywałem do pogodzenia się z dość przerażającą prawdą na nasz temat.

– Ale ja muszę to powiedzieć – usłyszałem w końcu.

To też było przerażające.

– Mam jechać na Bałkany? – zapytałem zaskiwiająco obojętnie.

– Nie sam – zapewniła pospiesznie. – Pojechalibyśmy razem. Wiem: nie zna pan języka, to obcy kraj... i w ogóle.

– Razem? No to nie ma sprawy. O której? – udałem, że patrzę na zegarek.

– Wiem, jak to brzmi – zapewniła. – Bierze mnie pan za wariatkę...

– Za wariatkę nie – przerwałem. – Chociaż może powinienem. Chyba widać, jaki ze mnie fachowiec. Niepotrzebnie dawałem te ogłoszenia w...

– Nie przysłałam dlatego, że przeczytałam jakieś ogłoszenie – teraz ona mi przerwała.

– Chyba pan nie myśli, że wynajmowałam tak nor... to znaczy...

– I sama pani widzi – stwierdziłem z gorzką satysfakcją.

Milczała przez chwilę, jakby nadąsana.

– Myślałam, że chce mi pan pomóc – powiedziała cicho.

– Ciągle nie wiem, na czym by ta pomoc miała polegać, ale dobrze pani myślała.

Chcę. Wam obu. I właśnie dlatego wolę odesłać panią do kogoś, kto się na tym zna.

– Nie stać mnie na zawodowca – wyznała. – Ale nie o to chodzi. Jest pan wierzący? –

Przyglądałem się jej przez chwilę z niedowierzaniem. – Przepraszam. Chodziło mi o to, że ktoś, kto wierzy, łatwiej by mnie zrozumiał. Wiem, że to śmieszne, ale kiedy przeczytałam ten artykuł... To się chyba nazywa „znak boży” czy tak jakoś. W ułamku sekundy człowiek znajduje odpowiedź, chociaż przedtem na żadne z pytań nie potrafił...

– Moment – powstrzymałem ją. – Co za artykuł?

– No... ten w „Polityce”. Wie pan.

– Założymy się? – Nie była beznadziejna jako psycholog, więc nie podjęła rękawicy.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Nie kupuję „Polityki”, powinna pani zauwa...

– Ale dla tego numeru chyba zrobił pan wyjątek?

Moje tępe spojrzenie musiało wystarczyć jej za odpowiedź. Zrobiła zdziwioną minę i podeszła do szafy. Wyjęła swoją torbę i po chwili grzebania wyłowiła barwny magazyn.

Nie próbowała szukać artykułu, na którym boska ręka pozostawiła jej zdaniem odciski palców, więc i ja ograniczyłem się do rzutu oka na pierwszą stronę. Większą jej część zajmowała wykorzystana jako tło fotografia jakiejś zalesionej góry z fragmentem drogi i samochodem pancernym na bliższym planie. W poprzek stoku grafik umieścił duży napis „NIEOMYLNÝ”, pod spodem mniejszymi literami reklamowano jakiś kawałek o Monte Cassino, a w prawym górnym rogu umieszczono trzy tytuły głównych artykułów.

– *Polską drogą do Unii* – odczytałem na głos. – *W oszmiańskim powiecie. Wybierzcie mnie, ja to załatwię.* – Uniosłem wzrok, a następnie brwi. – To chyba nie cytat z mojego ogłoszenia?

– Był pan wtedy... pijany? – zapytała z niedowierzaniem.

– Gdy je dawałem? Niestety nie. Na bańce wymyśliłbym coś takiego – puknąłem w cytat o wybieraniu i załatwianiu. – Stałaby pani teraz w długiej kolejce.

– Wierzyć się nie chce... – pokręciła głową. – Nawet pan nie pamięta... Ależ z niej wredna kurwa.

Po raz pierwszy usłyszałem z jej ust tak mocne słowo.

– Można jaśniej?

– Kowalak, ta dziennikarka – rzuciła nienawistnie. – Rozmawiałam z nią przez telefon i robiła całkiem dobre wrażenie. Miła, chętna do pomocy... Nigdy bym nie pomyślała, że może tak się po kimś...

– Kowalak? Coś mi się obito...

Dłoń Jovanki opadła mało delikatnie na środek okładki.

– Jeżeli do tej pory pan nie czytał, to lepiej niech tak zostanie – powiedziała na poły stanowczo, na poły błagalnie.

– Żartuje pani?

– To nie jest przyjemny materiał. Nie będzie pan zachwycony. Mogę opowiedzieć, co tam napisała.

– A ja mogę przeczytać.

– Będzie panu przykro. – Jej już chyba było.

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie mam prawa pakować się z butami w pana życie. Ale to moje jedyne dziecko.

A pan jest jedynym pomysłem na jej uratowanie. Myślałam... no, trochę inaczej sobie pana wyobrażałam. Albo ta Kowalak źle pisze, albo ja źle czytam.

– Rozczarowałem panią? – Pokręciła gwałtownie głową. – Pamiętam ją. Byłem dobrze wstawiony, kiedy się zjawiała. Rozmawialiśmy o Bośni, o mnie, jak teraz żyję...

Wie pani, taka polska psychoanaliza po litrze na głowę... – posłałem jej niewesoły uśmiech. – Dużo wypaplałem?

– Nie wiem. Ten artykuł jest dość zwięzły, same wnioski, bez wdawania się w szczegóły. Jej zdaniem jest pan pewnym siebie zawodowcem, któremu powinęła się noga. Przyczynił się pan do śmierci dwóch żołnierzy i kalectwa trzeciego. Śledztwo niewiele wyjaśniło, a ona próbowała ustalić coś więcej. Trafiła w idealnym momencie, no i naciągnęła pana na zwierzenia.

– Przyznałem się do winy?

– Nie – uśmiechnięta blado, popukała w gazetę. – Faktycznie zacytowano tu pana, ale nie w sprawie wybierania.

– Powiedziałem, że jestem nieomylny? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Nie dosłownie. Ale taki był sens. Kapitan Małkosz zrobił, co do niego należało, i nie poczuwa się do winy.

– Gówno prawda – powiedziałem spokojnie. – Kapitan Małkosz zrobił wszystko, jak powinien, ale do winy poczuwa się, i to mocno. Dwa trupy i jedna urwana noga. Nie zapomina się o takich rzeczach.

– To jej wina – wzruszyła ramionami. – Nie pisze się takiego artykułu na podstawie jednej rozmowy. I to z pijanym.

Cofnęła rękę. Mogłem teraz do znużenia przyglądać się okładce.

– *Monte Cassino nowego wieku?* – odczytałem umieszczony pod „NIEOMYLNYM”

podtytuł, który przedtem wziąłem za reklamę jakiegoś wspominkowego tekstu. – To też...?

– Zdarzył się wypadek. Tu, na tej drodze – dotknęła fotografii. – To co prawda nie sama góra, ale jednak jej bezpośrednie sąsiedztwo, więc nadarzyła się doskonała sposobność do napisania artykułu. Ludzie lubią czytać o takich przeklętych przez los miejscach.

– Góra? Co ma do tego jakaś góra?

– Nie poznaje pan? – wskazała wzrokiem okładkę. – To ona. Góra Trzech Szkieletów.

Tak ją podobno ochrzcziliście.

Właśnie wtedy ktoś zastukał do drzwi.

Jako prywatny detektyw nigdy nie dorobiłem się broni. Na czas pracy u Markowskiego otrzymałem jednak służbowy pistolet gazowy, którego dotąd nie było okazji zwrócić. Mogłem teraz wyjąć pukawkę i zrobić w ten sposób wrażenie na Jovance.

– Lepiej przeładować – powiedziała cicho. – Jeśli już.

Z lekka ogłuszony tą czysto kobiecą reakcją, przeszedłem przez pokój, zamknąłem drzwi, przemierzyłem biuro i zachowując bezpieczny dystans, uchyliłem drugie drzwi, przeszkłone.

W poczekalni stało dwóch facetów. Ten z przodu miał nieco poniżej trzydziestki, obcięte tuż przy skórze jasne włosy, niebieskie oczy i nos sprawiający wrażenie rozdeptanego. Rysopis można było śmiało zastosować do jego towarzysza, tyle że po dodaniu paru lat.

– To pan jest Małkosz? – zapytał mało życzliwie młodszy.

– To ja jestem Małkosz. – Nie cofnąłem się, więc oglądaliśmy się przez próg. –

Czym mogę służyć?

– Żony szukam.

– Pomylił pan adres – poinformowałem go nie bez satysfakcji. Jeszcze wczoraj wycofałbym się w pokłonach, dopraszając się pokornie, by raczył wejść, raczył spocząć i raczył zlecić mi jakąkolwiek robotę. Ale teraz stać mnie było na kaprysy. Mogłem pójść za głosem serca i odprawić go z kwitkiem. – To nie biuro matrymonialne. Nie kojarzę par.

Zatkało go. Teraz powinienem zamknąć drzwi.

– Jaja pan sobie robi? – upewnił się.

– To był żart – sprostowałem. – To znaczy: jeśli szuka pan żony, którą już ma. Bo jeśli nie, to mówiłem serio.

– Brat nie jest w nastroju – ostrzegł mnie ten drugi. – Pan go lepiej nie drażni. Służył

w komandosach.

– To tak jak ja – powiedziałem ciut na wyrost. Wojska powietrznodesantowe to nie całkiem komandosi. – I co z tego wynika? Mam mu udzielić zniżki?

– Gdzie ona jest? – warknął mój towarzysz broni. Postąpił krok i poszedłby pewnie dalej, gdyby nie

wiązało się to z koniecznością zepchnięcia mnie z drogi.

– Nie będziemy się przecież spierać o taką szmatę – przemówił polubownym tonem starszy z braci. – Pan nam powie, gdzie jest, my panu zapłacimy za fatygę, i po sprawie.

– O co panom właściwie chodzi? – westchnąłem. Cofnąłem się też nieco. Stojąc nos w nos, wcześniej czy później rzucilibyśmy się sobie do gardeł.

– Wiemy, że bratowa miała się tu zgłosić. Była już?

– Sporo osób tu zachodzi – zełgałem. – Jak się nazywa?

– Bigosiak – grzmotnął mnie w łeb brutalną prawdą. – Taka czarna, przy kości.

Niebrzydka babka.

Nie byłem dobrym i szybkim aktorem. Coś w mojej twarzy zagrało nie tak, jak powinno. Albo po prostu młodszemu z braci za bardzo zależało, by nie dać się odesłać z niczym.

– Rozejrzemy się – oświadczył i próbował mnie obejść. – Tam ją chowasz? – Błysk triumfu przemknął po opalonej twarzy. – Lepiej zejź mi z drogi, koleś. To nie twój interes.

– Spokojnie, panowie – próbował łagodzić Bigosiak starszy. – Nie ma się o co bić.

– Jasne – poparłem go. – Lepiej zadzwonić po policję.

– Mnie będziecie straszyć policją?! – wrzasnął młodszy z Bigosiaków. – Ta suka porwała moją córkę!

Miałem ochotę wrócić do sypialni i zażądać wyjaśnień. Pozostałem na miejscu.

Starszy z braci w jednej kwestii miał cholerną rację: to była niebrzydka babka.

Nie poruszyłem się, ale też nie poruszyłbym się, gdyby ponowił próbę obejścia mnie bokiem. Popełnił błąd, posługując się ręką zamiast nogami. Zostałem popchnięty, dość lekceważąco, ale na tyle mocno, że cofnęło mnie o dobry metr. Od razu stało się jasne, że jeśli nawet nie służył w komandosach, to nie z uwagi na brak kondycji.

– Panie Gulaszak czy jak tam panu – powiedziałem, nie siląc się na szersze rozchylenie ust. – To mój dom. I grzecznie proszę o jego opuszczenie.

– A jak nie, to co? – rzucił opryskliwie.

– To poproszę niegrzecznie.

Ruszył. Za późno. Miałem bliżej do paska niż on do mnie. Spotkali się w połowie drogi: jego rozlany po twarzy nos i koniec lufy mojego pistoletu. Luzu zostało może z pół

centymetra, więc nie mógł przegapić szczęki kurka.

– O Jezu... – sapnął starszy z braci.

– Zabierz to – powiedział spokojnie młodszy. – Nic do ciebie nie mamy. I niech tak zostanie.

– Żegnam panów.

Nie ruszył się z miejsca.

– Nie zastrzelisz mnie – wycedził. – Więc zabierz spluwę.

Cofnąłem się, nie zmieniając punktu celowania.

– Ona tam jest, prawda? – Starszy Bigosiak popatrzył na drzwi za moimi plecami. –

Aż tyle panu dała? Warto nadstawiać głowę? Pan wie, że nikogo się nie upilnuje, jak ktoś mocno chce go dopaść. A Romek nie popuści.

– Nikt mi niczego nie dawał. – Prawie mówiłem prawdę.

– I nie da – zapewnił. – Ona jest goła. Może panu naobiecować czort wie czego, ale musiała zebrać u Romka o pieniądze na bilet tutaj.

– Tak przy okazji... O co poszło? Zupa była przesolona?

Roman udzielił mi zaskakującej odpowiedzi. To znaczy ruszył na mnie w stylu filmowego czołgu niemieckiego. Nie za szybko, ale nieustępliwie. Najwyraźniej wierzył

w to, co powiedział: że nie strzelę. I nie skoczył gwałtownie, by nie sprowokować bezmyślnej reakcji. Nie wziął pod uwagę, że jestem marną parodią detektywa i używam zabawki na gaz zamiast prawdziwej broni. Musiał być bardzo zdziwiony, kiedy lufa plunęła ogniem.

Oczywiście poderwałem nieco broń – nie zamierzałem ryzykować uszkodzenia oczu tego kretyna gazowo-pieprzową mieszanką. Roman dostał jedynie zewnętrzną częścią stożka rozrzutu. Ale i to wystarczyło. Złapał się za twarz, zatoczył i gubiąc kierunek, wpakował na biurko, po czym opadł na klęczki. Kiwając się i mamrocząc niewyraźnie, tarł oczy i zaczął kaszleć. Jego brat pozostał na miejscu. Jeden rozsądny w rodzinie.

O Jovance nie mogłem tego powiedzieć. Wypadła zza drzwi z największym z moich noży. Dobrze chociaż, że nie próbowała od razu robić z niego użytku.

– Niech go pan zabierze – rzuciłem pod adresem starszego z braci. – Kupcie sobie mineralnej i niech przemywa oczy.

Ledwie skończyłem, Roman dźwignął się na nogi. Oderwał na moment kulaki od czerwonych, ciekących oczu, chyba próbując mnie zobaczyć. Wyraz wykrzywionej twarzy się nie zmienił, co

dowodziło, że przegapił pojawienie się dziewczyny.

– Zabiję cię, skurwysynu!!! – ryknął. – Już jesteś trupem!!!

Starszy Bigosiak przyskoczył od tyłu, złapał przyszłego zabójcę pod pachami i zaczął holować w stronę wyjścia.

– Nie teraz, Romek, daj spokój...

– Zabiję gnoja!!! Dupą mu flaki wyciągnę!!!

– Chodź – Bigosiak starszy nie silił się bynajmniej na dyskrecję i tylko w zestawieniu z porykiwaniami brata można było uznać jego słowa za przeznaczone do wewnątrzrodzinnego użytku. – Wróci się tu i zrobi porządek. Ale nie dziś. Niech się kutas trochę poboi, niech nie prześpi paru nocy.

– Lepiej o tym zapomnij! – huknęła Jovanka. – Bo jak rozpoczniesz wojnę, to sam możesz marnie skończyć! Też musisz spać i wychodzić z domu, gnoju zasrany! Nie myśl, że tak trudno cię dopaść!

Starszy z Bigosiaków od razu się zamknął i widać było, że nie ma ochoty na dalszą wymianę ciosów. Młodszy przestał się szarpać.

– Iwona? – Znów próbował przebić wzrokiem potok łez.

– Wynoś się stąd, łachudro – rzuciła nieco ciszej. – Czego tu szukasz? Córkę, której się wyrzekłeś, czy żony, do której się wstydzisz mówić po imieniu? Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem żadna Iwona!

– Srał pies imię – warknął. – Zbieraj się, wracasz do domu.

– Spierdalaj.

Próbował ruszyć w jej stronę, ale na szczęście brat czuwał. Byłem ogłuszony gwałtownością małżeńskiego sporu i pewnie nie zareagowałbym dość szybko – właśnie dlatego Roman mógł mówić o szczęściu. Gdyby podszedł, Jovanka jednym ruchem uczyniłaby z siebie wdowę.

– Lepiej go posłuchaj – poradził bratowej starszy, też nieźle rozzłoszczony. – Ciągłe jesteście małżeństwem, a on ojcem.

– To niech płaci! – Musiałem złapać ją za łokieć, by i jego nie zarznęła. – Teraz sobie o niej przypomnieliście?!

– Jedziesz z nami – wykaształ Roman.

– Możemy zapłacić więcej niż ta kurewka – spróbował z innej beczki starszy, przenosząc wzrok na mnie. – Zapomnijmy o tym strzelaniu. Nie zaskarżymy pana, zapłacimy, ile się należy, i rozejdziemy po dobroci. A ją niech pan oleje.

Małżonkowie szarpnęli się zgodnie. Oboje bezskutecznie.

– A konkretnie? – Wepchnąłem pistolet za pasek i ująłem czarnowłosą furię za oba łokcie. Niepotrzebnie: słowa wystarczyły.

Spocona twarz Bigosiaka rozblęła nadzieją.

– Zapomni pan o niej – wzruszył ramionami. – I tyle.

Trzeba przyznać, że nie był wymagającym kontrahentem. Czułem przykrość, udzielając mu takiej odpowiedzi.

– O takich kobietach się nie zapomina.

Próbowała się odwrócić i spojrzeć mi w twarz, ale za dobrze ją trzymałem.

– Dopadnę was – usłyszałem stłumiony wściekłością głos Romana. Jednym szarpnięciem wyswobodził się z objęć i trochę po omacku odszedł w głąb poczekalni.

– Głupio pan robi – uświadomił mnie starszy z braci. Odwrócił się i bez pośpiechu poszedł za Romanem.

Na koniec pokazali się z lepszej strony i zamknęli drzwi.

– Aż nie wiem, co powiedzieć.

Dojrzywałem do tego wyznania ładnych parę minut. Szmat czasu, jak na jeden pokój i dwoje ludzi, unikających krzyżowania spojrzeń. Odwróciła się od okna. Ołowiane niebo, na którego tle ją oglądałem, prezentowało się radośniej od jej twarzy.

– Najlepiej prawdę – powiedziała zarazem cicho i dobitnie.

– Prawdę? I kto to mówi?

– Nie okłamałam cię. Pana – poprawiła się. – Przepraszam. To z nerwów. Trochę to było nieprzyjemne.

– Może być „ciebie” – powiedziałem bez uśmiechu. – Może łatwiej się dogadamy.

– Mamy przejść na „ty”? – zapytała powoli, marszcząc czoło. – Opłaca się na tak krótko?

– Można spojrzeć na to inaczej: do końca życia. Kto wie, czy wieczorem Roman nie wpadnie tu z siekierą.

Coś leciutko drgnęło w kącikach jej ust.

– Do końca życia męczyć się z „panem”? – Udała głęboki namysł, po czym podeszła i po męsku, z

całkiem sporego dystansu, wyciągnęła rękę. – Głupio by jakoś było.

Jovanka.

Cofnąłem się akurat na tyle, by przy identycznie wyciągniętej ręce sięgnąć jeszcze jej dłoni. Trochę ją to speszyło, a trochę rozbawiło.

– Marcin.

Może dlatego, że tak dziwacznie to wyglądało, ściskaliśmy całe wieki wilgotne palce tego drugiego.

– Nie przyszło mi do głowy, że może się tu zjawić – powiedziała. – Wniósł pozew rozwodowy, od lat ma prawie oficjalną kochankę, od roku nie mieszkamy razem... Przez ten czas ani razu nie próbował spotkać się z Olą. Nie wiem, co go naszło. Nie gniewaj się.

– Nie gniewam się.

Podziękowała uśmiechem, zawahała się, a potem zrobiła maleńki krok do przodu.

Też zrobiłem krok. Dłuższy. Nagle znaleźliśmy się całkiem blisko siebie.

– Wina nie ma... – zacząłem niepewnie. Nie zamierzała mnie męczyć, być może świadoma faktu, jak ciężko się patrzy w te jej za szeroko rozstawione oczy. Zamknęła je więc, przechylając głowę i robiąc coś z ustami. Tego ostatniego nie byłem pewien. Nie da się obejrzeć czegoś, co się całuje. Nie był to długi pocałunek i gdyby nie fakt, że dotykaliśmy się ustami, można by go nawet zaliczyć do siostrzano-braterskich.

– Muszę zatelefonować – zaskoczyłem nowiną samego siebie. – Zaraz wracam.

Pierwsze dwa piętra pokonałem biegiem. Potem szedłem, a na koniec się wlokłem.

Padało coraz mocniej, ale nie był to dostatecznie silny bodziec. Musiałem ochłonąć i zastanowić się nad pewnymi sprawami, szedłem więc wolno, pozwalając wodzie zmywać z ust wspomnienie jej ciepła i miękkości. Nie wiem, jakim cudem uzyskałem połączenie. Ledwie odróżniałem automat od latarni.

– Dolata, słucham.

– To ja. – Dopiero jego głos sprowadził mnie na ziemię.

– O, dobrze, że dzwonisz. Właśnie rozmawiałem z patologiem. Wyobraź sobie, że ten twój Kurowski nie żył już od paru ładnych godzin, gdy go podpalili. Zdaniem lekarza zginął między piątą a dziewiątą rano. Na tym, co zostało z ciała, nie ma śladów wskazujących na zabójstwo. Biorą się teraz do chemii, ale jeśli mieliśmy rację z tą głową i ktoś mu ją zwyczajnie rozbił, to mogą niczego nie wskórać.

– Policja już o tym wie?

– Policja? – Chyba się trochę zdziwił. – No... raczej nie. Oficjalny raport jeszcze w lesie, a rzeźnicy nie lubią... Mnie się udało, bo miasto ciśnie, by odblokować ulicę, a póki nie wiemy, co się stało, nie można zwinąć majdanu.

– A co u ciebie? Znalazłeś zapalnik?

– Szukamy. Szansa... no, pół na pół. Ale już teraz chyba da się wykazać, że to nie wypadek. Myślałem sporo o tej brakującej głowie. Nawet zaczęliśmy się rozglądać za resztkami czaszki. Wiesz: kostka trotylu w usta... Ale to nie trotyl.

– A co?

– Obejrzałem miejsce, gdzie powinny leżeć zwłoki, nim gaz eksplodował. I wiesz, co znalazłem? Pięknie wypalony beton. Na kilka centymetrów w głąb.

Nie musiałem długo myśleć.

– Termit? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Bingo, jak mawiają Amerykanie. Cholernie wysoka temperatura spalania i praktycznie nic nie zostaje. Nie zdziwiłbym się, gdyby poza głową ofiary był tam też zapalnik. Trudno o lepszy sposób pozbycia się jego resztek. To draństwo spala wszystko na popiół.

– I jest dostępne – powiedziałem na poły do siebie.

– No, jeśli ktoś wie, jak się zabrać do rzeczy...

– Ten facet wie – zapewniłem. – No nic, dzięki.

Lało już porządnie, więc po powrocie zacząłem od zmiany koszuli. Dziwnie się czułem, stojąc w niekompletnym stroju przy szafie, w której ocierają się o siebie nasze ubrania.

– Nie powiedziałam ci jeszcze, co miałbyś zrobić.

– A ja nie mówiłem o finansach – uśmiechnąłem się.

– Pieniądze – westchnęła. – Ponoć nie jesteś drogi?

– To też było w artykule? – Skinęła głową. – Będę go musiał przeczytać. A mówiłaś, że brak mu szczegółów.

– Zależy, czego kto szuka. Jak na „Politykę”, jest dość obszerny. I trochę nietypowy.

– Mówisz jak znawca.

– Dużo czytam – pochwaliła się. – Z czegoś się trzeba uczyć polskiego i Polski. –

Uśmiechnęła się nieco przekornie. – Te twoje pisma – wskazała szafę – też czytuję.

– Wszystkie? – Byłem zmieszany, ale i rozbawiony. – Te paskudne też?

– Mówisz o „Nie”? Żaden typ czasopisma nie jest mi obcy. Zamknąłem szafę. Widok spoufalających się ubrań wyraźnie nam nie służył.

– Ile możesz zapłacić? – Złagodziłem pytanie życzliwym uśmiechem, ale i tak natychmiast spoważniała.

– Dowiadywałam się o stawki... Poniżej stu złotych za dzień nikt nie chce rozmawiać. – Skinąłem głową. – Policzyłam to sobie. Do Bośni mielibyśmy jakieś osiemset pięćdziesiąt kilometrów. To dzień jazdy. Dwa dni w obie strony. Może trzy. Na miejscu... no, tego akurat nie wiem. Powiedzmy, że zajmie to tydzień. Zgodziłbyś się pojechać ze mną za siedemset złotych? Plus koszty – dodała pospiesznie. – Paliwo i takie tam... Na tyle mnie stać.

– Dobrze.

– Tak po prostu? – uniosła brwi. – Wydawało mi się... byłeś trochę wstrząśnięty tą Bośnią.

– Dobrze ci się wydawało. Ale w tym fachu człowiek musi się godzić ze wstrząsami.

– Ze sterty śmieci w szafie wyłowilem stary tornister wojskowy. – Klient nasz pan.

Szukasz pierwszego męża na Bałkanach? W porządku, jedziemy na Bałkany. Mam paszport, samochód... bo jak rozumiem, jedziemy moim? – Kiwnęła głową. – Cóż, miejmy nadzieję, że nie rozkraczy się po drodze.

– To śpiwór? – zapytała po chwili. – To znaczy...?

– Stać cię na hotele? – Wyraz twarzy wystarczył za odpowiedź. – Umówmy się –

zapropnowałem. – Mów, ile chcesz, jak nie chcesz, nie mów, ale kitu mi nie wstawiaj.

I bez tego... Powiedz lepiej, skąd się tu wziął twój mąż.

– Przepraszam – mruknęła. – Pokazałam mu ten artykuł i powiedziałam, co chcę zrobić. Miałam nadzieję, że da mi trochę pieniędzy.

– Ale nie dał – domyśliłem się.

– To mi dał – dotknęła siniaka. – Nie przyszło mi do głowy, że może się tu zjawić.

– Myślisz, że to zazdrość?

Pociemniała na twarzy i wykonała skomplikowany ruch głową. Uznałem go za potwierdzenie z zastrzeżeniami.

– Co do szczerości... – przerwałem na chwilę przekładanie bielizny do torby turystycznej. – Sławek mówi, że Kurowskiego zabito wczoraj z samego rana. Może nawet o piątej. To znaczy, że znowu jestem podejrzany.

– Ale... ale o trzynastej byłeś tutaj! – Sprawiała wrażenie bardziej przejętej ode mnie.

– Nie mogłeś go wysadzić...

– Za to o czternastej mnie tu nie było. Wystawiłaś mi fałszywe alibi. Nawiasem mówiąc, dziękuję. Tylko się boję, że Hydzik zacznie teraz dokładnie węszyć i znajdzie kogoś, kto mnie widział gdzie indziej. Co podważy twoją wiarygodność. Oczywiście pozostaje sąsiadka Kurowskiego i pan Trzynasta, ale nie da się udowodnić, że to był

zabójca. Równie dobrze Kurowskiego mogła odwiedzić kochanka. Jakaś panienka spod lekkiego znaku, która na widok trupa zwyczajnie zwiąła.

– Dlaczego akurat prostytutka?

– No... – zbiła mnie z tropu. – O rodzinie nikt nic nie...

– Kobiety dzielą się na żony i prostytutki? – Na szczęście nie oczekiwała odpowiedzi. – Ale masz rację. Ktoś bliski na pewno by nie uciekł.

– Krótco mówiąc – z ulgą wróciłem do głównego wątku – lepiej będzie, jeśli się stąd na jakiś czas wyniosę. Z dwojga złego wolę Bośnię od polskiego aresztu śledczego.

– Nie musiałeś mi tego mówić – popatrzyła mi w oczy.

– Pewnie nie – zgodziłem się i rzuciłem jej foliową reklamówkę. – Łap. Na rogu jest sklep. Kup jedzenia na parę dni. Hydzik może tu wpaść w każdej chwili.

– No to polską policję mamy z głowy – stwierdziłem parę kilometrów za przejściem w Chyźnem. Silnik malucha terkotał rytmicznie, zza chmur coraz częściej wyglądało słońce, w drodze nie było dziur. Wszystko szło dobrze i mogłem się zacząć martwić bardziej perspektywicznie. – A co z innymi?

– Mnie pytasz? – przestała podziwiać góry i uniosła brwi.

– Ola to wasze wspólne dziecko? To znaczy... z prawnego punktu widzenia? –

dodałem lekko zmieszany.

– Chyba tak – odparła z westchnieniem. – Urodziła się, kiedy już byliśmy małżeństwem. Ale on jej... nie zależy mu na niej.

– Nie kocha? – Prowadzenie samochodu niekiedy ułatwia rozmowę. Kierowca może patrzeć przed siebie.

– Bardzo chciał mieć syna – odpowiedziała po chwili. – Taka chłopska mentalność.

Jego rodzice mają szklarnie pod Tarnowem. Dziadek wymyślił, że przepisze wszystko na pierwszego wnuka, a ja nie mogłam zająć w ciążę. Cała wieś czekała, Roman czekał...

W końcu chyba mnie za to znenawidził. Mam Olę, widać gołym okiem, które z nas ma problemy z płodnością. Nawiasem mówiąc, przy tej okazji wyszło na jaw, że nie jest jego. Badaliśmy się, no i...

– Nie musisz mi o tym...

– Detektyw jest jak lekarz – uśmiechnęła się. – Oczywiście mogę się zamknąć, jeśli cię to krępuje.

– Słuchaj, nie muszę wiedzieć o niczym, co nie ma związku ze sprawą. Nie musisz...

przecież widzę, że to cię...

– Psycholog – burknęła pod nosem. – Kłopot w tym, że nie wiem, co ma związek, a co nie.

Przejechaliśmy kilkanaście kilometrów, nie rozmawiając, ale i nie bocząc się na siebie. Nie dokuczało mi to milczenie. Udało mi się osiągnąć ten szczególny stopień zażyłości, który pozwala ludziom przebywać razem, nie przeszkadzając sobie nawzajem.

– Jest jedna rzecz – usłyszałem w pewnym momencie. – Może coś sobie ubzdurałam, ale... Widzisz, kiedy mu powiedziałam o tobie i tej Bośni... Jakby go piorun poraził. To wyglądało trochę tak, jakby się czegoś... no, przestraszył.

– Może cię po prostu kocha – powiedziałem cicho. – A Bośnia... Ludziom, którzy tam nie byli, kojarzy się wyłącznie z wojną.

– On mnie nie kocha. A w Bośni akurat był.

– Co?

– Służył w czerwonych beretach, w szesnastym batalionie. Pojechał do Bośni zimą dziewięćdziesiątego szóstego. W pierwszym rzucie.

Nie wiem, dlaczego przez plecy przebiegł mi dreszcz. Przez tyle lat tysiące poborowych przewinęły się przez Szóstą Brygadę, wystawiającą kontyngent, a większość z owych poborowych mieszkała blisko Krakowa.

– To tym bardziej miał prawo się o ciebie bać.

– Nic nie rozumiesz. On mnie nienawidzi. Całe życie mu spieprzyłam. Gdybym tam weszła na minę, chyba posikałby się z radości.

– Nie przesadzasz? W małżeństwach różnie bywa, ale to nie znaczy, że... Zresztą nienawiść to najlepszy dowód istnienia uczuć. Taka wykoślawiona miłość. Człowiek chciałby złapać to drugie i...

no wiesz.

– I przetrząść, i zarznąć?

Musiałem na nią spojrzeć. Po ustach błąkał jej się nieodgadniony uśmiezek.

– Teraz jesteśmy na noże, ale kiedyś... Ufałam mu i chciałam z nim być. Przygarnął mnie jak porzuconego szczeniaka, zaopiekował się, dał dom, urodziła nam się Ola...

Może po prostu byłam mu wdzięczna. No i czułam, że komuś na mnie zależy, że nie jestem bezużytecznym śmieciem. To bardzo dużo, wiesz?

Nie od razu odważyłem się o to spytać.

– Jak to się stało, że ty i on...?

– Właśnie tak – powiedziała miękko. – Znalazł mnie, wykurował, nakarmił i sobie wziął. Jak psiaka. – Odwróciła twarz najdalej, jak się dało. – Bo... ja nic nie pamiętam, Marcin. Nic. Wiem tylko, że znaleźli mnie pod tą górą z dziurą w głowie. Nie wiem, kim jestem, jak się naprawdę nazywam i czyje dziecko urodziłam. Właśnie dlatego cię potrzebuję. Żebyś mi pomógł odnaleźć przeszłość.

– Jovanka?

– Nie śpię – wymamrotała trochę nieprzytomnie. – Co się...

– Zaraz będzie most. Na Dunaju. – Nie byłem pewien, ile przespała i czy w ogóle wie, że jesteśmy na Węgrzech. – Tu musimy zdecydować, czy jedziemy prosto i przez Chorwację, czy skręcamy na most i wybieramy Serbię.

Najpierw myślała całe wieki, a potem ziewnęła jak hipopotam.

– Ja bym pojechała krótszą drogą.

– Logiczne – przyznałem. – Zapomniałem tylko powiedzieć, że nie chcę nocować na Węgrzech. To za bardzo zaprzyjaźnione państwo. Gdyby nas w Polsce zaczęli szukać...

– A nie możemy po prostu jechać dalej? – Było już ciemno i musiała unieść zegarek do oczu. – Dopiero ósma.

– Jechać możemy, ale dojechać... Już nie te lata – westchnąłem. – Kondycja mi siada.

Zaraz zasnę i nas zabiję.

– Może ja poprowadzę?

– Przecież nie umiesz – zdziwiłem się.

– Chyba umiem – powiedziała niepewnie.

– Nie pamiętasz, czy umiesz prowadzić?

– Mówiłam ci – jej głos ochłódł. – Nic nie pamiętam z tamtego życia. A kiedy coś mi świta, nie wiem, czy to nie zapożyczenia z okresu rekonwalescencji albo jakiegoś filmu.

Długo chorowałam. Dostałam nieźle po łbie.

– Tego nie mówiłaś.

– Może się bałam, że zawrócisz – uśmiechnęła się lekko.

– Tylko frajer wypuszcza z ręki pewnego klienta. No, ale teraz już jesteś zdrowa?

Pytam – wyjaśniłem szybko – bo nie wiem, czy dasz radę pod namiotem...

– Dlaczego miałabym nie dać? Taka stara jeszcze chyba nie jestem. – Przemilczałem tę kwestię, co było błędem. – Jak myślisz, ile mogę mieć lat?

– Słuchaj, Jovanka, to już to Dunajcośćam. Zaraz musimy albo skręcić na most, albo jechać dalej. Więc może najpierw...

Powiedziała coś po serbsko-chorwacku. Za szybko, bym pokusił się choćby o próbę odgadnięcia, o czym mowa.

– Hę?

Milczała przez chwilę. Może miała trudności z tłumaczeniem. Tak to widziałem, dopóki się nie odezwała. Wtedy przestałem. Pobrzmiewające w jej głosie zdziwienie zaprawione było czymś zbliżonym do lęku.

– Powiedziałam: „Nigdy więcej przez most”.

Czekałem na jakieś szersze wyjaśnienie. Nadaremnie.

– No to kierunek Chorwacja – zamknąłem temat.

– Mamy tu spać? – zapytała Jovanka, rozglądając się bez entuzjazmu. Kiedy wyłączyłem reflektory, otoczyła nas niemal zupełna czerń. Droga i światła pozostały po drugiej stronie niewielkiego lasu.

– Nie. Przywiozłem cię tu, żeby zgwałcić i obrabować.

Już lepiej było wyznać prawdę: że żal mi jej i z tej litości omijam wszystkie miejsca, gdzie za nocleg się płaci.

– Chyba nie lubię lasów – powiedziała cicho.

– W nocy każdy czuje się trochę nieswojo w...

– Ale mnie i w dzień denerwują. Jedziemy na grzyby, wszyscy chodzą z nosem przy ziemi, a ja cały czas się rozglądam, czy zza krzaka nie wyskoczy coś paskudnego. –

Zrobiła krótką przerwę. – Myślę, że w tamtym życiu coś niedobrego przytrafiło mi się w lesie.

– Jeżeli nie możesz tu nocować... – sięgnąłem do stacyjki.

– Nie. Mówiłam ci już: nie jestem z cukru. Możesz na mnie liczyć.

Trzymałem ją za słowo i zagoniłem do pracy. Ja stawiałem namiot, ona rozpałała ognisko i szykowała kolację.

– Dużo gwiazd – powiedziała, kiedy usiedliśmy z kubkami w dłoniach. – Będzie zimno.

– Masz coś grubego? – Pretekst był marny, ale nie mogłem się powstrzymać i musnąłem dłonią jej kamizelkę. – Jeśli nie...

– Jedziemy w góry – przypomniała.

– Ta nie jest wysoka. – Byłem dumny, bo głos nie zmienił mi się ani trochę. No i sam poruszyłem temat.

– Nie? Na zdjęciu wygląda na sporą.

– No, w stosunku do okolicy... Front w każdym razie zatrzymała. Całe lata tam stał. –

Upiłem łyk zupy. – Dlaczego właśnie ta góra... dlaczego w ogóle o niej rozmawiamy?

– Pamiętam ją.

– Myślałem, że nic nie pamiętasz.

– Tam... stamtąd przyszłam. Znaleźli mnie niedaleko. Wydaje mi się, że ona jest w jakiś sposób ważna. Z czymś mi się kojarzy.

– Mnie z minami – uśmiechnąłem się krzywo. – Za moich czasów było ich tam od cholery.

– To tak jak za moich. – Jej uśmiech też do radosnych nie należał. – Roman mówi, że to właśnie mina mnie tak... Z dołu nic, a w głowie dziura. To możliwe?

– Pewnie. Odciągowe rażą odłamkami na kilkadziesiąt metrów.

– To takie coś jak granat? – zmarszczyła brwi. – Karbowany walec na kijku?

– Też. Widzę, że nie tylko górę zapamiętałaś.

– Nie wiem – westchnęła. – Bardzo dużo czytałam przez te lata, no i telewizja... Nie miałam właściwie znajomych, a i pracy nie za wiele.

– Nie pracowałaś?

– Trochę w szklarni, ale akurat rąk do pracy u Bigosiaków nie brakowało. Znalazłam sobie taki jakby półetat i wszystkim to pasowało. Pilnowałam dzieci jednej nauczycielki.

Ona jechała uczyć cudze maluchy polskiego, ja brałam Olę, szłam do niej i uczyłam jej chłopców angielskiego. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Mieli antenę satelitarną i kupę książek. No a potem, jak się między nami popsulo i odeszłam od Romka, wynajęłam pokój w Tarnowie i zahaczyłam się w hotelu jako nocna recepcjonistka. Dorabiałam też korepetycjami. Właściwie całkiem nieźle nam szło. Dopóki Ola nie zachorowała.

Nie zapytałbym o to, ale wyczułem, że będzie wdzięczna za każdą zmianę tematu.

– Jak to się stało, że wyszłaś za męża? I kiedy?

– W marcu dziewięćdziesiątego szóstego znalazł mnie polski patrol i odstawił do szpitala w Doboju. Potem żołnierze zaglądali co jakiś czas, przywozili słodczyce, leki... To wtedy poznałam Romka. Pamiętam go, jak siedzi przy moim łóżku... Ale tak w ogóle to niewiele sobie przypominam. Poza tą raną w głowie przyplątało się ciężkie zapalenie płuc, byłam słaba, chuda jak szczapa... Za samą czekoladę bym go pewnie pokochała.

– A kochałaś go? – Przy ognisku, na skraju lasu, kiedy człowieka otacza niemal zupełnie czarna pustka i cały świat zdaje się sprowadzać do tej jednej siedzącej obok osoby, podobne pytania stawia się łatwiej. To samo dotyczy pewnie odpowiedzi, bo nie wyczułem w jej głosie oznak wahania czy urazy.

– Nie wiem, czy to była miłość. W każdym razie było mi z Romkiem dobrze.

Strasznie się bałam; nie wiedziałam, jak dalej żyć, czy w ogóle żyć, a on... No, po prostu był. Któregoś wieczoru zaczął mnie całować... – Dopiero w tym momencie utknęła na dłużej. Jak kęs kanapki w moich ustach. – To właśnie wtedy... to znaczy myśleliśmy przez całe lata, że właśnie wtedy... Olę...

Tym mnie załatwiła. Nie mogłem nic powiedzieć, nie mogłem przełknąć. Udało mi się jedynie nie zakrztusić.

– Zaszokowałaś cię?

Pokręciłem energicznie głową i przepchnąłem wreszcie nieprzeżuty kęs przez gardło.

– Daj spokój. Nie jesteśmy dziećmi.

– Zastanawiasz się, po co mówię takie rzeczy? – Nie pozwoliła mi odpowiedzieć. –

Trochę dlatego, że musiałam już przedtem zająć w ciążę i to nam może pomóc w poszukiwaniach. No i zastanawiam się też... Myślisz, że to, co zrobiłam, mieści się w tamtejszej normie?

– Chodzi ci...?

– Do niczego mnie nie zmusił. Nie mówię, że to ja go wciągnęłam pod kołdrę, ale...

Sądysz, że porządna dziewczyna poszłaby na coś takiego?

– Nie jestem dobrym adresatem takiego pytania.

– Nie urazisz mnie. – Ugryzła potężny kawałek. Ktoś pałaszujący chleb z mieloną nie kojarzy się z delikatną mimozą. – Nie zapominaj, jak się poznaliśmy.

– Takich rzeczy się nie zapomina – uśmiechnąłem się mimo woli.

– Tłumaczę sobie, że to przez tę chorobę Oli. Że robiłam, co robiłam, bo tak było trzeba. Bo jako recepcjonistka i dorywca nauczycielka nie zebrałabym odpowiedniej sumy. – Zamilkła na chwilę. – Tak, dobrze zrozumiałeś. To u ciebie łatwo mi przyszło, bo to nie był mój debiut. Zaczęłam już wcześniej. Osobna kwestia, że gówno z tego wyszło.

– Znow umilkła. – Marna jestem w te klocki. No, powiedz coś.

Przełknąłem ślinę. Okazało się to równie trudne, jak poprzednio przełykanie chleba.

– Przepraszam.

– Ty mnie? Można wiedzieć za co?

– Za głupi wyraz twarzy – bąknąłem. – Słuchaj, nie moja wina, że mnie trochę wzięło. Rozumiem, że zrobiłaś to dla córki. Gdyby moje dziecko umierało, a ja mógłbym je ratować, to robiłbym i gorsze rzeczy. Słowo.

– Co na przykład?

– A choćby i pieprzył się za pieniądze z ohydnyimi babsztyłami. To chciałaś usłyszeć?

Proszę bardzo. Chociaż można się gorzej skurwić.

– Chcesz powiedzieć, że przynajmniej nikogo nie krzywdziłam? Cóż, to faktycznie pocieszające. – Włożyła do ust resztę kanapki. – Nie odpowiedziałeś mi.

– Czy bośniacka dziewczyna z dziurą w głowie wpuszcza do łóżka kogoś, kto ją ratuje, jest dla niej dobry, a jeszcze nie jest jej mężem?

– Nic nie mówiłam o dziurze.

– Żaden sąd nie uznałby cię wtedy za w pełni poczytalną. Można też powiedzieć, że reszcie świata nic do tego.

– Bronisz mnie.

Nie znalazłem stosownego komentarza. Na szczęście nie oczekiwała, że się odezwę.

Odstawiła kubek, wyjęła woreczek z przyborami do mycia i bez słowa odeszła w mrok.

– Znalazłam wodę. – Jej głos brzmiał interesująco, jako że rzadko się słyszy dumne poszcękiwanie zębami. Stała w blasku ognia, z gołymi kolanami i koszulą wyraźnie lepiącą się do tułowia. – To taki mały potoczek, trzeba uważać przy podchodzeniu, bo ledwie go widać. Mało nie skręciłam nogi i... Marcin?

Zdobyłem się na wysiłek i jakoś uniosłem wzrok. Przedarcie się przez barierę piersi nie było łatwe. Od tego klejenia się koszuli z ciałem jakby urosły.

– Hę?

– Mówiłam, że znalazłam wodę – powiedziała tonem, którego nauczycielki o złotym sercu używają w stosunku do tępych uczniów. To mnie otrzeźwiło.

– Wpadłaś do tej rzeczki? – Dźwignąłem się na nogi.

– Ja? Nie. Ręcznik wpadł – zakołysała nim. – Ale trudno to nazwać rzeczką. Musisz patrzeć pod nogi, bo pod trawą... To znaczy... gdybyś szedł się umyć. Pomyślałam...

Nie dokończyła, choć dałem jej sporo czasu.

– Może źle to interpretuję. – Nie potrafiłem mówić równie miękko, ale przynajmniej nie było w moim głosie żalu czy gniewu. – Ale wracasz zziębnięta, z ubraniem ładnie klejącym się do ciała, w skarpetkach i butach, ale bez spodni, i namawiasz mnie do kąpieli, chociaż grozi to połamaniem nóg. Mam chyba prawo się zastanawiać, czy o coś ci nie chodzi?

W którymś momencie zaczęła wpatrywać się w ziemię, z roli nauczycielki gładko przechodząc na uczniowskie pozycje. Kiedy skończyłem, nie uniosła głowy, a jedynie oczy. To na poły skruszona, na poły przekorne spojrzenie miało zabójczą moc. Jeszcze nigdy nie wydała mi się tak atrakcyjna. Do reszty załatwiła mnie jednak swą odpowiedzią. Złożyła dłonie w trójkąt i przez dłuższą chwilę trzymała je tak w połowie drogi między naszymi piersiami. Było w tym geście coś z kapitulancją, wyciągającego nadgarstki na spotkanie więzów czy kajdan.

– Jesteś... niepoprawna. – Nie umiałem się nie uśmiechnąć.

– Koniec pierwszego dnia pracy – powiedziała, kucając i zaglądając do namiotu. –

Jestem ci winna pierwszą setkę.

– Ale jeszcze nie premię. W naturze – dodałem na wszelki wypadek.

– Jeszcze nie? – podkreśliła figlarnie pierwsze słowo.

– Idź spać, zepsuta Bośniaczko. Śpiwór jest twój.

– A gdzie twój? – spoważniała odrobinę.

– Mam tylko jeden.

– To spory śpiwór. Dwuosobowy. I materac też. – Nic więcej nie powiedziała, ograniczając się do uniesienia brwi.

– Pamiątka z dawnych czasów – mruknąłem. – Musimy się jakoś pomieścić.

– Musimy się jakoś pomieścić w śpiworze? – spróbowała po raz ostatni. Pogroziłem jej palcem, więc skapitulowała za pomocą bardzo ładnego uśmiechu. – No to przynajmniej się zamieśmy. To twój śpiwór, ty powinienes w nim spać.

– Jesteś kobietą, a ja Polakiem – rozłożyłem bezradnie ręce.

– Ale nowoczesnym – zareplikowała.

– Ale nie aż tak.

– Mam słaby pęcherz – spróbowała z innej strony. – Często wstaję w nocy.

– Śpisz w śpiworze – powiedziałem tonem rozkazu. – To mój namiot i ja tu ustalam zasady.

Zasalutowała żartobliwie, oczywiście pełną dłonią, jak na cudzoziemca albo polskiego cywila przystało.

Tego wieczora ograniczyłem się do umycia zębów. Było to niemałe poświęcenie, wolałem jednak kłaść się pod kocem z całodniowym potem niż wracać znad strumienia pachnący mydłem tak jak ona i jeszcze raz tłumaczyć Jovance, że jednak nie skorzystam z okazji. Chyba się bałem, że tym razem nie dałbym już rady.

Noc była zimna, koce cienkie, a Jovanka prawdomówna: faktycznie budziła mnie ze trzy razy, depcząc przy każdej wycieczce za krzaczek. Rano wstałem pierwszy, odnalazłem strumyk, wykąpałem się – o ile to stosowne słowo – i z rozpędu omal nie ogoliłem. Uznałem to jednak za lekką przesadę i wybrałem przygotowywanie śniadania.

Zaparzyłem kawę, przyszykowałem kanapki, ugotowałem po jajku dla każdego i zarządziłem pobudkę.

Jovanka spała w dresie i najgrubszych chyba skarpetach, jakie się dało wykonać na drutach. Uzupełniła ten strój zarzuconym na ramiona kocem, usiadła przy ognisku i ziewając oraz nabierając

rosy na palce dla przetarcia zaspanych oczu, zjadła śniadanie.

Pod koniec obudziła się wreszcie i oznajmiła, że przed wyjazdem musi się doprowadzić do porządku.

– Nie przetrwałabyś jednego dnia w koszarach – pozwoliłem sobie na uwagę, gdy w końcu wyłoniła się spomiędzy drzew. – Żołnierz goli się w trzy minuty.

– Nie jestem żołnierzem – uśmiechnęła się jakoś niejednoznacznie.

– Tak długo cię nie było, a nawet się nie umalowałaś...

– To też mogę zrobić, jeśli ci to sprawi przyjemność.

Aż do bośniackiej granicy nie odzywałem się do niej.

Zaraz za rzeką zapachniało wojną, a to za sprawą kolumny norweskich ciężarówek.

Wozy wlokły się jak konny tabor, ale jakoś przestało mi się spieszyć.

Oglądaliśmy zburzone wioski i porośnięte bujnym zielskiem pola, a z każdego mijanego samochodu czy ludzkiego siedliska wiało wieloletnią biedą. Nie było za ciepło; znad towarzyszącej drodze rzeki, od której wzięła nazwę ta kraina, napływały pasemka wilgotnej mgły, a słońce raz po raz kryło się za chmurami, odmawiając Bośni swego blasku. Wszystko to nie było jednak w stanie przesłonić piękna coraz bardziej górzystej okolicy.

– Ładnie tu.

Nie rozumiałem, po co to mówię. Wygłaszałem komentarze, które rasowemu detektywowi nie przeszłyby przez gardło. Rasowy detektyw ma moralne prawo komplementować wyłącznie wodę, szybkie wozy, dziewczyny i broń palną.

– Bóg dał Bośni piękną ziemię – uśmiechnęła się blado. – I mało pięknych mieszkańców.

Rozglądaliśmy się oboje równie intensywnie, ale ja patrzyłem na kraj, ona przyglądała się głównie ludziom. Zapatrzyła się w jakiś punkcik w oddali, który po przejechaniu kilkuset metrów zidentyfikowałem jako kobietę idącą za pługiem.

Bośniaczka próbowała zaorać stromy stok, pełen skalnych zębów, kamieni czy może pieńków ściętych drzew, sterczących spośród wiechci trawy. Nieduże poletka, wciśnięte między drogę a podnóże góry, ciągnęły się niżej. Z porastającego je gąszczu chwastów wychylały się wstęgi przeplatane młodymi krzaczkami mchu, znaczące grzbiety okopowych przedpiersi. Ich obecność tłumaczyła wszystko. Przed pozycją obronną układa się miny, potem wojna się kończy i ktoś te miny musi usunąć. Tę wojnę tak naprawdę wygrała jednak trzecia, niewalcząca w niej strona, która nie miała żadnego interesu w posyłaniu swoich saperów na bośniackie poletka.

– To był kiedyś bogaty kraj – westchnęła Jovanka. – A teraz kobiety orzą krowami kamienie.

Zaprężone do pługą zwierzę było raczej byczkiem, i to chyba jakiejś egzotycznej rasy, ale nie zamierzałem dyskutować. Bruzda, którą wyorał pług, wyglądała żałośnie: jak jeszcze jedna zygzakująca transzeja.

– Niektóre narody mają po prostu pecha. Pradziad koczownik wykopał ziemiankę w niewłaściwym miejscu i dalej już poszło samo.

– A cóż to za teoria? – Parsknęła cicho przez nos.

– Nie wiem. Może moja, a może gdzieś ją wyczytałem. W każdym razie lepsza od tej o Bogu i niepięknym Bośniakach.

Milczała jakiś czas.

– Może lepiej nie poruszaj tu tematu Boga. Ostatecznie to była wojna o religię.

Przejechaliśmy nad niedużym potokiem. Jakiś wędkarz, raczej hobbysta niż głodny biedak, stał na porośniętym paprocią brzegu i moczył cierpliwie spławik. Było w nim coś swojskiego, co pozwalało uwierzyć, iż mimo widocznych na każdym kroku śladów wojny wjeżdżamy do normalnego kraju.

– O Bogu mogę nie mówić – zgodziłem się. – Ale religia to inna para kaloszy. –

Dałem jej trochę czasu, po czym wypaliłem z grubej rury. – A ty? Do jakiej świątyni chodziłaś?

– Ja? – roześmiała się gorzko. – Ja nie pamiętam nawet, jak się naprawdę nazywam.

– Imię zapamiętałaś – powiedziałem niepewnie.

– Akurat. Dali pierwsze lepsze spod palca.

– Dobrze, że chociaż jugosłowiańskie – pocieszyłem ją. – W naszych urzędach...

– To nie urzędnicy. Ochrzcili mnie żołnierze. – Uśmiechnęła się krzywo. – Pewnie po to raz-dwa wydali mnie za Romka: żeby się już nie męczyć z wymyślaniem nazwiska.

Minęliśmy tablicę informującą, że do Doboju jeszcze kilkanaście kilometrów. Ile konkretnie, trudno było ustalić: rdza, a wcześniej kula pochłonęły drugą cyfrę.

– Podsumujmy. Znaleźli cię Polacy, byłaś ranna, odwieźli cię do szpitala w Doboju.

Tam poznałaś Romka. Nie pamiętałaś, jak się nazywałeś. Żadnych modlitw też nie pamiętasz?

– Modlitw? – Chyba ją zaskoczyłem.

– Nie bardzo się orientuję, jak wygląda taka amnezja, ale widzę, że nie straciłaś wszystkich wspomnień. Ostatecznie modlitwa to rodzaj wiersza. Zapada w pamięć jak słowa, idiomy...

– Rozumiem. – Na jakiś czas ograniczyła się do tego stwierdzenia. Potem, dużo ciszej, zapytała: – To ważne?

– Służbowo czy prywatnie?

– A... jest jakaś różnica?

– Bośnia jest nadal podzielona. Właśnie według wyznania. Próbuję ustalić, po której stronie kordonu szukać.

– A prywatnie?

Nie odpowiedziałem od razu. Już to można było uznać za całkiem uczciwą odpowiedź.

– Nie jestem pewien – odparłem cicho. Teraz ona pomilczała sobie kilkadziesiąt sekund.

– Myślałam... Z tego artykułu można było wywnioskować, że nie za bardzo lubiłeś się z waszym kapelanem. Nie cytowała tego dosłownie, ale, zdaje się, wyraziłeś się o nim...

– To prawdopodobne – stwierdziłem chłodno. – Tylko co to ma wspólnego z tobą?

– Pomyślałam, że może nie jesteś dobrym katolikiem.

– Słucham?!

– Romek uważa się za wzorowego katolika. Pierwszy raz uderzył mnie za to, że nie chodzę do kościoła i robię mu wstyd we wsi. – Przerwała na chwilę. – To głupie, wiem, ale tyle się naczytałam o Bośni... Już chyba nie umiem rozmawiać z człowiekiem i nie zadawać sobie pytania o te sprawy. Więc trochę się ucieszyłam, kiedy przeczytałam o tym kapelanie. Nie pomyślałam, że opowiadałeś po pijanemu.

– A powinnaś. Oficjalnie, na forum publicznym, Polak mówi o księżach jak o zmarłych: dobrze albo wcale.

– Pomijając Jerzego Urbana – uśmiechnęła się niemrawo. – Lubię go. Chyba muszę być Serbką. Bo on jeden Serbów broni, a mnie się to podoba.

– Chyba nie pasowaliście do siebie z Romkiem.

– Zupełnie. Aż mi go szkoda, że tak marnie trafił.

– No dobra, dość tych dygresji... Jak z twoją religijnością? Nie błakają ci się pod czaszką jakieś prawosławne zdrowaśki? Nie korci cię, żeby rozwinąć dywanik i skłonić się parę razy w kierunku Mekki? Nic, żadnych skojarzeń?

– Nic. To znaczy... nie, nie wiem. Jakby po troszeczkę wszystkiego... Nie wiem.

Chyba tylko tę górę pamiętam. A może i ona mi się uroiła. Przepraszam.

– Nie masz mnie za co przepraszać – wyhamowałem, by nie przejechać kota. – Góra, powiadasz? No to na początek...

Za wioską, a właściwie ruiną i pogorzelskiem, teren gwałtownie wznosił się ku szerokiej przełęczy. Droga, wąziutka jak ścieżka rowerowa, wspinała się na nią serpentynami i nie zadręczała mego malucha. Wdrapywał się mozolnie, hałasując bardziej niż zwykle, a ja rozglądałem się po okolicy. W lejach po moździerzowych granatach zdążyło wyrosnąć parę całkiem sporych krzaków. Resztę pamiątek po dawnych bojach skutecznie pokrył dywan traw i łopianów i przez pewien czas wydawało mi się nawet, że walki ominęły ten kawałek Bośni. Nie biegła tędy linia frontu, tego byłem pewien. W połowie zbocza wznosiły się stare ruiny samotnej, kamiennej budowli, obok rosło trochę drzew, a jeszcze wyżej sterczały spośród traw kamienne płyty starego cmentarza. Jedno i drugie miejsce aż się prosiło o wykorzystanie w charakterze pozycji ogniowej, ale nie dostrzegłem na omszałych kamieniach żadnych śladów walk. Pewnie dlatego pierwszy zespawany z żelaznych prętów krzyż nie przyciągnął mojej uwagi.

Pobocza polskich dróg pełne są takich symboli.

Minęliśmy zakręt, przejechaliśmy między znakiem drogowym a wystrzępionym kikutem jakiegoś drzewa, po czym wóz wtoczył się w rodzaj cmentarnej alejki.

W każdym innym miejscu pomyślałbym o źle prowadzonym autobusie – zdruzgotany pień dobrze do tego pasował – ale to była Bośnia. No i niektóre krzyże dźwigały jedynie wysuszone jodłowe wieńce. Tabliczki z nazwiskiem dorobiła się może połowa.

– Szesnaście. – Jovanka dopiero sto metrów dalej dała po sobie poznać, że zauważyła na poboczu coś nietypowego.

– Pewnie mina – powiedziałem cicho.

– Albo egzekucja.

– Nie. – Z jakiegoś powodu chciałem wymazać jej z głowy tę myśl. – To nie jest dobre miejsce na egzekucję.

– Znasz się na tym? – zapytała z goryczą. – Macie jakieś świeże doświadczenia w rozstrzeliwaniu kobiet i dzieci?

– My, Polacy? – upewniłem się.

– Jestem stąd – mruknęła. – Może to mój ojciec czy brat tych tutaj... Albo innych gdzie indziej. Albo przynajmniej pomagał draniom, którzy to robili. Czy choćby nie protestował.

– Albo protestował i to on skończył w takim miejscu z kulą w głowie. Nie opowiadaj głupstw. Tacy jak my nie wywołują wojen.

– Powiedz jeszcze, że to wszystko wina cynicznych polityków i że narody nie mają w tej sprawie nic do gadania.

– To wina cynicznych polityków. Dalej już nie jest tak prosto.

Zaraz potem natknęliśmy się na następne krzyże oraz wrak ciężarówki.

– Dwadzieścia trzy – powiedziała beznamiętnie Jovanka, kiedy minęliśmy ostatnią serpentynę i droga pomknęła prosto ku środkowi przełęczy. Wrzuciłem wyższy bieg i dodałem gazu. Chciałem mieć za sobą to tasiemcowe cmentarzysko. Zakładałem, że ona też.

– Możesz zwolnić?

Zmniejszyłem prędkość do trzydziestki, ale ponieważ niemal przykleiła się nosem do szyby, chłonąc widok zalesionego stoku na północ od nas, zwolniłem jeszcze bardziej.

Zresztą sam też chciałem popatrzeć. Pewnie dlatego tak późno zauważyłem radiowóz.

Stary volkswagen stał daleko w głębi pobocza. Moją uwagę zwrócił dopiero ruch.

Najpierw wdepnąłem hamulec, a dopiero potem zidentyfikowałem przeszkodę. Przed zderzakiem stał wielki, bardzo kudłaty owczarek, podobny do bernardyna, tyle że szarobrazowy. Wyglądał pocziwie, jak większość dużych psów, i chyba naprawdę był

dobroduszny, bo zamiast obszczekać mnie za próbę przejechania, merdał leniwie długim i pewnie ciężkim ogonem. Trochę dalej ubrany w skózaną kurtkę i policyjną czapkę mężczyzna chował bez pośpiechu trzymany w lewej dłoni lizak. Może był mańkudem.

I może z winy za długiego pasa nosił kaburę nisko na udzie, bardziej w stylu filmowego rewolwerowca niż europejskiego gliny.

– Będiesz tłumaczyć? – Czułem, że powinienem się odezwać i dać dziewczynie znak, iż nie przejmuję się nagłą przerwą w podróży. W każdym razie nie aż tak, by odebrało mi głos.

Nie odpowiedziała. Nie próbowała też brać ze mnie przykładu i witać uśmiechem nadchodzącego gliniarza. Około czterdziestki, wysoki, lekko szpakowate wąsy, smagła twarz, coś kociego w ruchach. Pod wąsem błąkał mu się cień uśmiechu. No i miał psa, w dodatku życzliwego światu. Z drugiej strony – i to też powinno przypaść kobiecie do gustu – nie był na pewno typem faceta, którego można zlekceważyć, naruszając w jakiś sposób prawo.

– Dzień dobry. – Tyle po serbsko-chorwacku nie tylko rozumiałem, ale sam potrafiłbym powtórzyć.

– Dzień dobry – rzuciłem po polsku, opuszczając szybę lewą dłonią i nie zdejmując prawej z kierownicy. Dowiedział się, że ma przed sobą cudzoziemca i że cudzoziemiec nie zamierza denerwować go żadnymi podejrzanymi ruchami.

Odczekał, aż otworzę, i powiedział coś o szybkości. Tyle zdołałem wychwycić.

– On mówi, że jechaliśmy za szybko – Jovanka poinformowała mnie ponuro. – Chce zobaczyć twoje prawo jazdy.

– W schowku. – Czuję, że robię z siebie durnia, ale wolałem nie zdejmować rąk z kierownicy. To była Bośnia. Dmuchałem na zimne, nie przyjmując do wiadomości, że pogorzelnisko ma już ponad siedem lat.

Jovanka przechyliła się nad moimi kolanami, wysuwając za okno dłoń z dokumentem, po czym klapnęła piersią na moje ręce.

Przechył okazał się za duży, a gliniarz nie odebrał w porę wkładanego mu prosto w dłoń kawałka plastiku. Oglądał prawo jazdy, nie miałem więc pewności, czy ma problemy z usuwaniem śladów zdziwienia z twarzy, czy po prostu z obcym alfabetem.

– Dziękuję – oddał mi w końcu dokument. – Co tu robicie?

– Zwiedzamy okolicę – powiedziałem z lekkim naciskiem. Jovance nie drgnął żaden mięsień. – Z tą szybkością nie żartował? Zapytaj go.

– Nie sądzę – mruknęła, ale przetłumaczyła posłusznie.

Uśmiech powrócił na twarz policjanta.

– Mówi, że tam z tyłu stał znak.

– Nie zwróciłem uwagi. – Patrzyłem mu w oczy, szare, wbrew śródziemnomorskiej urodzie. – To przez te groby.

– Mówi, że tu wszędzie są groby – przetłumaczyła. – Czy to znaczy, że powinniśmy zlikwidować znaki drogowe? Chce, żebyśmy wysiedli. Coś nam pokaże.

Szliśmy powoli, bo takie narzucił tempo. Za wolno.

– Możesz na mnie liczyć.

Powiedziała to sztucznie niedbałym tonem, nie patrząc w moją stronę. Omal się nie wyłożyłem.

– Jezu... Co ci strzeliło do głowy?

Posłała mi ostrzegawcze, ale i niepewne spojrzenie.

– Spokojnie – złapałem ją za rękę. Tego, że uchwyci się mojej dłoni z ochotą małej dziewczynki, szukającej pociechy w fizycznym kontakcie z którymś z rodziców, nie oczekiwałem. Ale to było właśnie to. Ucieczka, prawda, że tylko duchowa, za moje plecy i prośba, bym pomógł uporać się z czymś, do czego jeszcze nie dorosła. Przeszliśmy ze sto metrów i policjant zatrzymał się w miejscu bliźniaczo podobnym do innych.

– Dzieciaki ciągle próbują przeskoczyć setką przez przełęcz – powtórzyła po nim Jovanka. Zauważyłem z zadowoleniem, że wzięła się w garść. – Nie widać tego, ale to zdradliwe miejsce. Dlatego postawili ten znak na dole.

– Jechaliśmy trzydziestką – uśmiechnąłem się do gliniarza.

– Ale tam jest napisane dwadzieścia.

– Może w milach? – spróbowałem. – Pełno tu Amerykanów, może to na ich cześć?

Zadbałem o asekurację w postaci żartobliwego tonu.

– Gdyby tędy jeździli, z przodu byłaby jedyńka.

– Przed dwójką czy zamiast? – zapytałem ostrożnie.

– Przyjechali do nas czołgami. – Jovanka przełożyła to dosłownie, a beznamiętny styl wystawiał jej zapewne dobre świadectwo jako tłumaczce. Ale nie mogłem się uwolnić od myśli, że wielu innych tłumaczy zaczęłoby od zręcznej formuły „on mówi”.

– Chyba rozumiem – powiedziałem powoli.

– Jechaliście bardzo wolno. Większość kierowców ma tu już sześćdziesiątkę na liczniku.

– To chyba dobrze? – posłałem mu niepewne spojrzenie.

– Chcieliście się tu zatrzymać?

Albo zależało mu na dokładnym przekładzie, albo po prostu korzystał z okazji, bo przez większą część tej naszej rozmowy w sześcioro oczu patrzył na dziewczynę.

– Miałem znajomych, którzy zginęli na tej górze. – Nie byłem pewien, czy dobrze robię, wycofując się z roli turysty, przypadkowo zabłąkanego w tej okolicy. Musiałem jednak zacząć zadawać ludziom pytania, a facet miał w sobie coś z małomiasteczkowego szeryfa, który w mig dowiaduje się o wszystkim i nie lubi krętaczy. Przez chwilę wyglądało na to, że lepiej było zełgać. W szarych oczach załśniło coś, co przypomniało mi, że taką właśnie barwę ma stal.

Znienacka za garbem ryknął przegazowany silnik i na przełęcz wtoczył się jasnozielony wóz z brezentowym dachem. Rozpoznałem – nie na pewno – rumuńską terenówkę ARO. Na nasz widok kierowca zrezygnował wprawdzie ze zmiany biegu na wyższy, ale i tak poruszał się ze trzy razy szybciej, niż powinien.

Policjant zaskoczył mnie trochę, przeskakując na drugą stronę porośniętego pokrzywami rowu. Pies naturalnie wziął z niego przykład, dając z kolei przykład Jovance. Ja, równie niespiesznie jak oni, ustawiłem się na skraju przeciwległego pobocza.

Zielona terenówka zjechała na środek drogi. W tym momencie zrodziła się we mnie pokusa, by

odskoczyć jeszcze dalej, oddzielić się od mknącego sześćdziesiątką wozu szerszym pasem przestrzeni, może nawet którąś z licznie rozsianych po okolicy skałek.

Nie zrobiłem tego. Dopiero gdy wóz mknął w głąb przełęczy, przyszło mi do głowy, że może nie jestem paranoikiem. Kierowca rozpoznał policjanta – a mimo to nie zwolnił.

Albo i gorzej: zwolnił, lecz tylko w pierwszym odruchu, w momencie, gdy nas ujrzał, potem zaś przyspieszył. Nieznacznie, lecz jednak. Psisko, już po raz drugi straszone przez samochód, przelazło przez rów i poszło za wozem basowe szczeknięcie.

– Cicho, Ustasz – zgnił go pan, niemal od niechcienia przesadzając rów. Jovanka nie przetłumaczyła mi tego kawałka. Podziękowałem za to losowi chwilę później, kiedy przy próbie powtórzenia manewru poprzedników wylądowała na siedzeniu wśród pokrzyw.

Oczywiście w pierwszym odruchu zrobiłem parę kroków w jej stronę, ale potem przyszła właśnie ulga: w poczerwieniałej twarzy było znacznie więcej złości i upokorzenia niż bólu. Gdyby upadła, tłumacząc w locie... – Mówiłem, że to niebezpieczne miejsce. – Tej uwagi gliniarza też nie próbowała przekładać na polski. Ja z kolei nie próbowałem pomagać jej wydostawać się z pokrzyw. – Kim byli pana przyjaciele? – zapytał policjant mało swobodną angielszczyzną, wskazując kciukiem górę. – Najemnikami?

– Żołnierzami.

– I tam zginęli? – Skinąłem głową. – Służyli za pieniądze u Muzułmanów? Bo chyba nie u Serbów? Coś bym o tym słyszał. Walczyłem w czasie wojny o Pecinac.

Pecinac. Chyba nawet pamiętałem tę nazwę, tyle że nie myślałem o górze tak zwyczajnie. Była wiedźmą, wredną dziwką, wrzodem wiadomo na czym. Albo po prostu Górą Trzech Szkieletów. W ostateczności kotą dziewięćset sześćdziesiąt sześć.

– Powiedz, że mu współczuję. Wiem, co znaczy wchodzenie na tę górę. –

Przetłumaczyła, nie patrząc na żadnego z nas i głaszcząc podstawiającego się sprytnie Ustasza. – Powiedz, że ci trzej służyli za pieniądze, ale w Brygadzie Nordycko-Polskiej.

Dwa lata temu. Wiosną.

Dopiero kiedy skończyła, spojrzenie policjanta złagodniało. Wyglądał teraz jak ktoś rozważający pomysł poszczucia nas psem. Przedtem myślał raczej o pistolecie.

– Pamiętam. Trzech durniów wlaźło na miny. Skąd pan ich zna?

– Z wojska. – Rzuciłem mu chłodne spojrzenie. – To byli moi żołnierze. Ja ich tam zaprowadziłem. Tego dnia – dodałem, by uciąć wszelkie wątpliwości.

Milczał długo, podobnie jak ja przyglądając się najładniejszemu w okolicy widoczkowi, czyli dziewczynie głaszczącej psa. Potem zaczął pytać. Szybko, nie patrząc na mnie, z oczywistą intencją

przeprowadzenia dialogu w czysto tubylczym gronie. Nie brzmiało to ostro, więc nie miałem pretekstu, by się wtrącać. Poza tym istniała duża szansa, że wyjdziemy z tego obronną ręką, o ile tylko nie zdenerwujemy tego dryblasza.

Czekałem więc cierpliwie. No i doczekałem się.

– Jesteśmy aresztowani – powiedziała w którymś momencie ponura jak noc Jovanka.

– Jes... Słucham?!

– Pod zarzutem odmowy zapłacenia mandatu i próby nielegalnego przekroczenia granicy.

Przez chwilę biegałem spojrzeniem od twarzy do twarzy.

– Które z was robi sobie jaja?

– Proszę zjechać na pobocze i zamknąć samochód. – Odezwał się po angielsku. –

Pojedziecie ze mną. Potem kogoś przyślę po wóz.

– Pan żartuje...

– Nie – uśmiechnął się lekko. – Naprawdę przyślę.

– Coś ty mu nagadała? – zapytałem z rozżaleniem.

– Nic – wzruszyła ramionami. Policjant rzucił jakiś krótki rozkaz i pieszczoł Ustasz z nieoczekiwaną u takiego cielaka chyżością rzucił się do radiowozu.

– Przystępców gania jeszcze szybciej – pochwalił się jego pan. Dopiero w połowie drogi pozbierałem się na tyle, by zaprotestować. Przez Jovankę. Wyklócanie się po angielsku zdecydowanie wykraczało poza moje umiejętności.

– Nie ma pan prawa. Nic złego nie zrobiliśmy.

– Nie zapłaciliście mandatu.

– Nawet nie wiem, ile mielibyśmy zapłacić!

– Trzysta dinarów – uśmiechnął się pogodnie.

– Ile to będzie w markach? – sięgnąłem do kieszeni.

– Co dziesiąty Jugosłowianin zginął po to, byśmy nie płacili w markach – stwierdził

spokojnie. – Macie tu wojsko, ale to jeszcze nie jeden z waszych landów.

– Nie jestem Niemcem.

– Wiem. Niemiec zapłaciliby pięćset. Dinarów – podkreślił.

– Przy drodze widziałem ceny. Cholernie niskie, jak na dinary. Niech mi pan nie wmawia, że nikt tu nie przyjmuje zapłaty w markach, panie...

– Milo Nedić, sierżant – żartobliwie trącił palcami daszek.

– O co panu chodzi, sierżancie? – zapytałem zrezygnowanym tonem. – Bo łapówek pewnie pan nie bierze?

Jovanka przełożyła to po sekundzie wahania.

– Nie od najeźdźców. – Żartował oczywiście, ale są żarty i żarty. Drugi był bardziej zbliżony do klasycznego: – Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo w tej okolicy.

– Nawet najeźdźców?

– Nie jest pan w mundurze. A leżącego na polu minowym cywila może próbować ratować przypadkowy przechodzień, bez dopytywania się, czy to nie natowski wojskowy na przepustce. I ten przypadkowy serbski przechodzień mógłby zginąć.

– Rozumiem. I to wszystko?

– Ciekawi mnie, co tu robicie – wyznał bez ogródek.

– Podziwiamy piękno bośniackich gór. – Jovanka znów się zawahała i znów przetłumaczyła. I to, i jego komentarz.

– Sam pan widzi, że łatwiej będzie się dogadać na posterunku. To miłe miejsce.

Mamy wodę, prąd...

Jeszcze jeden niejednoznaczny, tym razem dość ponury żart marki Milo Nedić.

Zignorowałem go, choć dziewczyna pobladła, gdy przyszło do zastępowania słów serbskich polskimi. Albo raczej: właśnie dlatego. Idąc u mego boku tą samą co przedtem trasą, znów się bała i znów nie próbowała uwalniać dłoni, gdy delikatnie ścisnąłem jej trochę zbyt szorstkie palce. Tym razem Serb szedł z tyłu i na pewno nie przegapił tego gestu.

– Jesteście małżeństwem?

– Nie. – Zapytał po angielsku, więc ja odpowiedziałem.

– To pana dziewczyna?

– Klientka.

– Pan jest jej klientem? – Zdawał sobie sprawę, że w angielskim obaj reprezentujemy ligę podwórkową, więc gładko uznał, że się pomyliłem. – To dziwka? Od Mamy Hagedusić?

– Ona płaci – powiedziałem wolno, pomagając sobie palcem. – Ja biorę pieniądze.

Pani Bigosiak jest moją klientką. Nie dziwką. Rozumie pan, czy mam ją prosić, by to powiedziała...

– Daj spokój – ścisnęła mi dłoń.

– Ona płaci panu? – Nedić się zdziwił, ale i dość paskudnie uśmiechnął. – No, no...

– Nie za to – warknąłem.

– A za co?

– To już nasza sprawa. – Jovanka przestała bawić się w ostrzegawcze ściskanie mi palców i podjęła bliską sukcesu próbę ich połamania. – Niech pan wypisuje ten swój mandat, sierzancie. I adres posterunku. Bo teraz muszę pana pożegnać. Bez wielkiej przykrości, szczerze mówiąc.

– Marcin – wysyczała, wyzywając się na moich palcach. Nedić popisał się większą spostrzegawczością. Zerknął przez ramię, po czym, demonstrując godną uznania klasę, posłał nam błysk zębów.

– Nadciąga kawaleria? – na poły zapytał, na poły stwierdził. Bez pośpiechu wyjął

mały kartonik. – Moja wizytówka. Jak wymienicie marki na dinary, zapraszam na posterunek do Crveneje Dragi.

Zasalutował nonszalancko i odszedł, pozostawiając trochę osłupiałą dziewczynę z kartonikiem w rękę. Jak przystało na stróża porządku, szedł lewą stroną drogi, chociaż kierowca nadjeżdżającego samochodu pancernego nie powinien go raczej przegapić i potrącić. Najpierw musiałby przejechać po mnie.

Gramolący się z wjazdu dowódca BRDM-a nie miał trudnego zadania: mój maluch nie tylko sylwetką, ale także tablicami starego typu, czarnymi z białym nadrukiem, musiał

kłuć w oczy pośrodku bośniackich gór.

– Polacy? – zapytał dla formalności, przekrzykując dudnienie silnika. –

Zabłądziliście, co?

– Nie wracacie przypadkiem do batalionu?

– Jeśli panu pasuje, to czemu nie? Możemy was pilotować.

– Dzięki. – Ruszyłem rakiem w stronę samochodu.

– I niech pan spyta żonę, czy nie chce się przejechać takim fajnym czółgiem –

poklepał lufę sterującego z wieżyczki wukaemu. – Miło by było pogawędzić z rodaczką.

– Co to miało być?

Odczekałem parę minut, nim zadałem pytanie. Prowadzący nas niespiesznie beerdeem zdążył minąć dwie nieduże wioski, a ona – taką miałem nadzieję – ochłonać.

– Co miało znaczyć „co”?

– Ten kawałek, że mogę na ciebie liczyć. – Nie zamierzałem dać się sprowokować.

– Nie wiesz, co znaczy liczyć na kogoś? – burknęła.

– Powiedz jeszcze, że chciałaś przez to powiedzieć: „Nie martw się mandatem, dorzucę się”. – Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, patrząc w boczne okno. – Naprawdę myślałaś, że zaprowadzi nas do lasu i zastrzeli?

– Nie powiedziałam...

– Nie potrafisz być ze mną szczerą?

– Nie jestem histeryczką – powiedziała cicho. – Może i mam trochę problemów emocjonalnych, ale panuję nad tym. I naprawdę możesz na mnie liczyć, niezależnie od okoliczności.

– To miłe. Tylko że nie wspinaamy się na Everest, związani jedną liną. Nie potrzebuję bohaterkiej towarzyszkii. Histeryzuj sobie, tylko mów mi prawdę. Im więcej o tobie wiem, tym większa szansa, że coś właściwie skojarzę.

Wyrazem twarzy dała do zrozumienia, że mnie nie lubi.

– Niech ci będzie. Tak sobie właśnie pomyślałam: że może nam zrobić coś złego.

Przepraszam za głupie babskie lęki.

– O co cię pytał?

– Co tu robimy, kim jesteś... O wszystko. – Uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

I kwaśno. – Chyba mam w sobie jakiś kurewski gen. Od razu założył, że jestem płatne towarzystwo.

– Kretyn.

– Ale dobrze trafił. To znaczy – poprawiła się – nie w twoim przypadku, tylko tak w ogóle. Faktycznie jestem...

Dałem jej szansę dokończenia. Nie skorzystała.

– Zrobiłaś na nim wrażenie – zauważyłem. – Nie wiem, może coś mi się przywidziało... Z niczym ci się nie kojarzy?

– Ten policjant? – Była mocno zdziwiona.

– Z niczym – odpowiedziałem sam sobie. – No cóż, może po prostu gapił się na dziewczynę o oryginalnej urodzie.

– O czym ty mówisz? – Nadal nie rozumiała.

– Odniosłem wrażenie, że lekko opadła mu szczeka na twój widok.

– Bardzo śmieszne – parsknęła.

– Jestem śmiertelnie poważny.

– Ale nie ślepy – rzuciła z załączkami złości. – Przecież widzisz, jak wyglądam.

Zasnuowało mi usta na dłuższy czas. Nie byłem aż tak zaślepiiony, by nie dostrzegać, że nad jakością jej urody da się dyskutować.

– Zostawmy to – powiedziałem w końcu. – Zaraz będziemy w bazie polbatu.

Pamiętasz ją? Byłaś tam kiedyś?

– Chyba zaraz po tym, jak nas znaleźli. A potem...

– Nas? – odwróciłem się tak gwałtownie, że maluch omal nie wylądował w rowie. –

Tego mi nie powiedziałaś.

– No... przepraszam. Tak jakoś... Właściwie nie zdążyliśmy jeszcze pogadać –

skonstatowała z lekkim zdziwieniem. – Plotę ci tyle bzdur, a o najważniejszych faktach...

Może to dlatego, że tamta dziewczyna nie żyje...

– Była druga dziewczyna – podsumowałem. – Razem wpadłyście na tę minę? To dlatego zmarła?

– N...nie – zawahała się. – To znaczy tak... Znaleźli nas razem i jakoś tam byliśmy ze sobą powiązane, ale ona nie była wtedy ranna. Gdyby była, pewnie trafiłybyśmy razem do szpitala. Ale nic jej nie dolegało, zwolnili ją, no i weszła na minę.

Za zakrętu wychyliła się strażnica strzegąca wjazdu na teren polskiego batalionu.

Worki, zasieki, niebieska flaga zwisająca smętnie z braku wiatru, dwóch wartowników napęczniałych od kamizelek kuloodpornych. Spokój i nuda.

– Kiedy zginęła?

Trudne pytanie. Musiała się zastanowić.

– Nie jestem pewna. Właściwie... to nie w porządku, ale jakoś nigdy się nie interesowałam... Roman mówi, że to nie był ktoś, z kim byłabym blisko. Nie było powodu, by jeździć po Polsce i rozpytywać ludzi. No i chyba wolałam, by pozostała kimś obcym, anonimowym. Może to wredne, ale...

– Mądra dziewczynka – pochwaliłem. – Ale teraz nieźle byłoby się czegoś o niej dowiedzieć. Mówisz: „jeździć i rozpytywać”? To znaczy, że któryś z Polaków może coś wiedzieć?

– Stąd nas odwozili – wskazała otoczony zasiekami kompleks kontenerów i baraków.

– Być może nie od razu, bo się ściemniało, a znaleźli nas chyba rano. Na pewno ktoś z nią rozmawiał. Zresztą jeśli Roman zapewnia, że to nie moja krewna...

– Jasne. – Zatrzymałem się za stojącym przed bramą wozem pancernym. – Uważasz, że można mu wierzyć? – Zerknęła mi pytająco w twarz. – Teraz się między wami nie układa, ale kiedyś było lepiej. To wtedy opowiadał, jak się poznaliście? – Przytaknęła. –

Myślisz, że powiedział całą prawdę?

– Dlaczego sądzisz, że mógł kłamać? – Wyczułem, że nie dotknęło jej moje pytanie, choć ludzi zwykle boli sugestia, iż byli bezkarnie oszukiwani przez bliskich. Może Roman bił za mocno i za często, skreślając się z ich listy.

– Nie wiem – wyznałem. – Pewnie uprzedziłem się do niego. Ale pomyśl: dziewczyna omal nie ginie na polu minowym i zaraz potem znów się pakuje gdzieś, gdzie leżą miny.

– Wszędzie leżały – powiedziała trochę niepewnie.

– Naczytałaś się gazet, a dziennikarze mają tendencję do robienia ludziom wody z mózgu. Pamiętam, że za moich czasów wpadało na miny około sześciuset osób rocznie.

To proporcjonalnie mniej zabitych, niż u nas ginie w wypadkach samochodowych. Jest powód do zmartwienia? Jest. Ale szansa, że się wyleci w powietrze, była jak ta, że w kraju wpadniesz pod samochód.

– Łatwo mówić takie rzeczy, kiedy się tu nie mieszka.

– Nie rozumiesz. Nie bagatelizuję problemu. Chodziło mi wyłącznie o to, że ktoś, kto rano cudem uszedł z pola minowego, nie ma statystycznego prawa zginąć wieczorem na minie. A psychologicznego tym bardziej. Mnie do dziś śni się tamten stok. –

Pomilczałem chwilę. – No, krótko mówiąc, nie wierzę, by twoja znajoma zapuszczała się od razu w niebezpieczne miejsca.

– Jednego nie bierzesz pod uwagę: była w szoku. I jeszcze coś: nie wiadomo, czy byliśmy tylko ja i ona. Bo jeżeli szedł z nami ktoś, kogo kochała, jeżeli ten ktoś miał

mniej szczęścia ode mnie... Może nie chciała żyć?

– Może – zgodziłem się. – Tylko to strasznie melodramatyczne. Ludzie rzadko odbierają sobie życie po stracie małżonka, kochanka czy nawet dziecka. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale tak już jest.

– Chyba nasza kolej – zmieniła temat, wskazując ruszający zad wozu pancernego.

Rzuciłem „poczekaj” i wysiadłem. Beerdeem odsłonił nie tylko przejazd do wnętrza obozu, ale też widok na szlaban i niewysokiego blondyna w koszuli z dystynkcjami majora.

– No proszę – Olszewski pokiwał głową. – Kapitan Małkosz, kto by pomyślał. Jak w kiepskim kryminale: zbrodniarz wracający na miejsce przestępstwa.

Uśmiechał się niby dość życzliwie, ale już trudu mówienia ciszej sobie nie zadał.

Wartownicy nie musieli strzyc uszami.

– Kapitan rezerwy – poprawiłem z uśmiechem.

– A tak, słyszałem. – Popisał się refleksem i pierwszy wyciągnął dłoń.

– Możemy wjechać?

Dopiero teraz musnął spojrzeniem malucha.

– Ma pan ładną żonę. Nie szkoda jej na Bośnię?

Odwrociłem się i zerknąłem na oślepiającą plamę odbitego od przedniej szyby słońca. Potem poszerzyłem uśmiech.

– Właśnie dlatego chcielibyśmy się tu zatrzymać.

– Niestety – schłodził uśmiech. – Nie da rady. To teren wojskowy, nie motel. Mogę panu wyszukać adres niedrogiego noclegu.

– Dlaczego zaraz niedrogiego? – wzruszyłem ramionami.

– W tym zawodzie... – urwał. Panował nad twarzą, wyczułem jednak, że chętnie przewinąłby czas jak taśmę i zaczął od początku. – Widzę po wozie, że nie przelewa się panu. To nie samochód na trasę. Nie myślałem, że dojedziecie. To znaczy – poprawił się

– nie pomyślałbym. Cud, że nic się nie rozsypało. Który to rocznik?

– Optymistyczny – mruknąłem. – Pamiętne osiem dziewięć. Pogrobowe dziecię komuny.

– Czyli rżęch – nazwał rzeczy po imieniu. – Na pana miejscu zabrałbym dziewczynę gdzie indziej. To nie jest samochód na bośniackie drogi.

– Trochę przygody i romantyzmu, dreszczyk emocji... Kobiety to lubią. I można się pokazać z korzystnej strony. Wie pan: „O, tu leżała mina wielka jak koło od naszego malucha, chłopaki nie mieli odwagi się do niej zabrać i musiałem osobiście...”

– Dobry sposób, tyle że na siksy – stwierdził bez entuzjazmu, po czym skinął w stronę wozu. – To nie ta grupa wiekowa.

– Spróbować zawsze warto. To co z tym noclegiem? – Pokręcił głową, niechlujnie udając żal. – Cóż, trudno. Ale wejść na chwilę i pogadać chyba mogę?

– Pogadać?

– Rozejrzeć się za znajomymi, może umówić na piwo...

– Nie sędzę, by kogoś pan jeszcze spotkał – poinformował mnie chłodno. – To już ładnych parę lat, a rotacja jest ostra.

– Szkoda. No to cóż... – rozłożyłem ręce, by następnie najpierw wyciągnąć prawą w jego kierunku, a potem pośpiesznie się wycofać. Wyglądało to, a przynajmniej miało wyglądać, jak wstęp do pożegnania, przerwany nagłym olśnieniem. – Byłbym zapomniał... Mogę na chwilę wejść i zamienić dwa słowa z tym kapralem? – Pokazałem tył beerdeema.

– Ze Staszuckim? On jest tu nowy.

– Mam wobec niego mały dług. Trochę nam pomógł.

– Nie trafilibyście sami z przełęczy? – zakpił.

– Nie w tym rzecz. Gdyby nie ci chłopcy, mielibyśmy problemy z tutejszą policją.

Zna pan niejakiego Nedicia?

– Wysoki, z wąsem, lekko siwiejący? – upewnił się. – A czymże zdążyliście się mu narazić? Pluł pan na groby, przejeżdżając przez przełęcz?

– Na groby?

– Tam leży jego brat. Innych przenoszono na dół, te krzyże są tylko symboliczne, ale młodszy Nedić zginął już na samej przełęczy i tam go zakopali. Niżej, na tych serpentynach, nie bardzo się dało. Rodzinom tak jest zresztą wygodniej. Ale ten facet robi wszystko po swojemu.

– Widzę, że orientuje się pan w tutejszych układach.

– Taka praca. – Pomyślał chwilę i machnął łaskawie dłonią, pokazując rzędy kontenerów za sobą. – No dobrze, ale na chwilę. Stary nie lubi oglądać tu cywilów.

– Do Staszuckiego i z powrotem – obiecałem. Pokazałem Jovance, by poczekała, prześlizgnąłem się pod szlabanem i pomaszerowałem do beerdeema energicznym krokiem człowieka, który nie zamierza nadużywać gościnności.

O tej porze obóz świecił pustkami. Dostrzegłem palacza, wygonionego na dwór albo przez starszego stopniem, albo przez poczucie przyzwoitości. Poza tym krajobraz tchnął

martwością i nie dokonałem wielkiego wyczynu, wyłapując spojrzeniem każdy ruch. Na samej granicy pola widzenia z alejki między kontenerami wychodziła szczuplutka dziewczyna w niebieskiej, bardzo kusej spódniczce, bananowej bluzce z obszernymi rękawami i tej samej barwy sandałach na niewysokim obcasiku. Złote, połyskujące w słońcu włosy utrzymywała w ładzie błękitna opaska, między odsłoniętymi uszami a ramionami migotały długie, metalowe klipsy. A poza tym...

Dwadzieścia lat, dwadzieścia cali w talii, dwudziestomilimetrowe – niemalże – rzęsy wokół chabrowych oczu. Itede. Moja na poły realna, na poły wysniona Dwudziestka.

Wiedziałem już, kim jest, a nawet – co mi zrobiła. Nieważne. Musiałem wrosnąć w ziemię i pogapić się na nią jak na cudowny miraż. Ona też się zatrzymała. Siłą rzeczy jako trzeci stanął towarzyszący jej trzydziestolatek w mundurze z sierżanckimi dystynkcjami, przygnębiająco brzydki na tle dziewczyny. Dawny plutonowy Żaniec. Bez wąsów.

Posłałem mu odrobinę żartobliwy salut – bycie cywilem ma swoje dobre strony.

Ruszyliśmy sobie naprzeciw. Niekiedy łatwiej podejść niż stać i się gapić z daleka.

Trochę trudniej znajduje się odpowiednie słowa.

– To pan – powiedziała w końcu ślicznie zarumieniona Dorota Kowalak. – Co za spotkanie.

– Co za – zgodziłem się. – Czołem, panie sierżancie. Gratuluję awansu.

– Jak pan tu wszedł? – Wyglądał na poruszonego moją obecnością.

– Stare znajomości – wzruszyłem ramionami. – Pan jeszcze tutaj? Pamiętam, że nie podobało się panu w Bośni.

– Pieniądze – mruknął. Jego twarz nie wyrażała niczego, ale pod owym „nic” nie krył się na pewno entuzjizm do mojej osoby.

– Nie powinien pan się tu pokazywać. Pułkownik nogi komuś wyrwie z tyłka.

Odszedł nieoczekiwanie, zostawiając mnie sam na sam z blondynką. Też nietryskającą szczęściem, ale o wiele dyskretniejszą.

– Znać się? – zapytała, by cokolwiek powiedzieć.

– A skąd? – potrząsałem ramionami. – Składam gratulacje każdemu jak leci. My, pijacy, mamy życzliwość we krwi.

Zarumieniła się. Nie wszystkim jasnowłosym kobietom jest z tym do twarzy, ale jej było.

– Gniewa się pan, prawda? – zapytała skruszonym tonem.

– A powinienem? – zapytałem spokojnie.

– Zastanawiałam się, czy nie przysłać panu artykułu do autoryzacji, ale... Wtedy ze trzy razy powtarzał pan, że mogę pisać wszystko, co usłyszałam. Bo to szczerza prawda, a pan nie wstydzi się prawdy. No i jakoś tak...

– Żadnych wyrzutów sumienia? – złagodziłem pytanie nieznacznym uśmiechem. Po krótkim wahaniu pokręciła głową.

– To było ostre – przyznała. – Ale nie dodałam wiele od siebie. I wcale nie chciałam panu dokopać. Po prostu... no, trochę inaczej patrzymy na życie.

– My?

– Kobiety – wyjaśniła. – Kiedy jeden facet napisze o innym, że tamten płakał, to jest to zwyczajna złośliwość. Kobieta to robi, bo współczuje, rozumie albo chciałaby pomóc lub przynajmniej prosi innych, by pomogli. Bez złych intencji. Nie chciałam panu zaszkodzić tym tekstem. Naprawdę.

– Tylko pomóc? Mnie czy sobie?

– To takie złe? Pisanie o tym, że w życiu nie wszystko się udaje?

– Muszę go w końcu przeczytać – powiedziałem po chwili milczenia. – Nie ma go pani czasem ze sobą?

– Nie czytał pan? – zadarła brwi pod samo niebo.

– A wyglądam? Píše pani, że wypłakiwałem się pani w kołnierzu, a ja nie wrywam teraz nikomu kudłów. To chyba o czymś świadczy, prawda?

– Nie pisałam o żadnym płaczu – zaprotestowała. – To taki akademicki przykład, przenośnia...

– No to bum – powiedziałem. – Kamień z serca.

Przyglądała mi się jakiś czas. Całkiem przyjaźnie.

– Co pan tu robi?

– Wywiad numer dwa? *Powrót nieomylnego?*

– Naprawdę pan nie czytał? – zmarszczyła brwi.

– Trzy palce na sercu. Znam tytuł i jedną subiektywną recenzję. Zawierała sugestię, że szlag mnie może trafić od lektury, więc zbieram się powoli na odwagę.

– Tego co prawda nie napisałam – zastrzegła się – ale żalił się pan, że nie ma nawet na benzynę. A teraz, hokus-pokus, spotykamy się w Bośni. Dziwne, nie uważa pan?

– Sprawy służbowe, żadna turystyka.

– Jakies niedokończone rozliczenia z armią?

– Nie. Zwyczajna niewdzięczna robota prywatnego detektywa. On jej robi dziecko i znika, ona go szuka. Proza życia.

– Ale tutaj? – Nie kryła niedowierzania. – I akurat pan?

– A zna pani innego sławnego detektywa, kojarzącego się potencjalnym klientom z Bośnią?

Uniosła dłonie w geście kapitulacji. Zauważyłem, że palce ma bielsze i na oko gładze od Jovanki, a dłonie mniejsze. Ale już w pojedynku na kształty i proporcje nie pobiłaby tamtej na głowę. W ten pokretny sposób odkryłem, że moja klientka ma ładne dłonie. Może dlatego przeniósłem wzrok niżej, na stopy dziewczyny. Mimo porannych chłódów były bosc pod paskami sandałów. I nie dawały się porównać z ukrytymi w ciężkich buciorach stopami Jovanki.

– Piszę o wyborach – oznajmiła Dorota. – Kręcę się po okolicy, rozmawiam z ludźmi. Tu, w batalionie, mają dobrego tłumacza, więc pomyślałam, że to wygodny punkt wypadowy. No i zawsze tak jest bezpieczniej. Pułkownik Leńczyk mówi, że robi się niespokojnie. Niech pan na siebie uważa.

– Będę – obiecałem. – Ma tu pani telefon?

– Komórkę? Nie, nasze tu nie działają. A dlaczego...?

– Sam nie wiem. – Mówiłem prawdę. – Gdybyśmy mieli się spotkać... Wcześniej trzeba się jakoś umówić.

– Nie zatrzyma się pan tu, w obozie?

– Nie dla psa kielbasa. Zresztą nie jestem sam.

– Ta pana klientka? – Zgadła od razu, choć wierzyć jej się za bardzo nie chciało. –

No, no... Musiało ją przypilić.

– Bo wybrała się na koniec świata z takim facetem?

– Wie pan, że nie to chciałam powiedzieć – rzuciła mi rozzalone spojrzenie osoby niesłusznie oskarżonej. To był niebezpieczny moment. Miała chyba naprawdę wyrzuty sumienia, a ja zapytałam ją o telefon. Wolałam podsunąć jej własny pomysł na rehabilitację, nim zaproponuje coś, czego nie będę w stanie odrzucić.

– Mamy trochę na pieńku, ja i Wojsko Polskie, więc jeśli przyjdzie do pani dyżurny i powie, że kuzyn prosi panią do telefonu, to proszę iść i odebrać. A na razie do widzenia.

Odszedłem. Gdybym pozostał dłużej, mogłoby się to skończyć próbą zaproszenia jej na kolację. No i interwencją Olszewskiego. Wyraźnie czułem między łopatkami czyjś wzrok. Z kapralem Staszuckim rozmawiałem więc krócej. Inna rzecz, że mówiliśmy szybciej, jak żołnierz z żołnierzem. Równie szybko wręczyłem kapralowi banknot, wykonałem w tył zwrot i wróciłem pod wartownię.

– Kto to był?

– Major Olszewski. – Uruchomiłem silnik. – Uszatek.

– To... przezwisko?

– Funkcja. Inaczej: oficer kontrwywiadu.

Jovanka była pod wrażeniem. Oglądała się aż do zakrętu.

– Nie wpuścił cię. Na noc – uściśliła.

– Nas – uściśliłem i ja. – Może przestraszył się twojego wpływu na morale wojska.

– Nie żartuj. Zresztą skąd miałby wiedzieć, że wozisz... Nie dokończyła, a ja na oślep, ale celnie, dotknąłem dłonią jej ust. Zaraz zresztą przenieśliśmy rękę na kierownicę.

– Wystarczy – oznajmiłem. – Nie chcę więcej słuchać, jaka to z ciebie kurwa.

– Ale to...

– Postawiłem piwo załodze wozu pancernego, musisz to doliczyć do kosztów.

Pytałem kaprala, jaki meldunek złożył przez radio, nim tu przyjechaliśmy. To miły i bystry chłopak, więc nie mam powodu mu nie ufać. Nie użył – podkreślam – nie użył

słowa „żona”. W ogóle ani słowa o kobiecie. Małkosz i tyle.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

– Olszewskiego nie było przy bramie, gdy podjeżdżaliśmy, a potem stał w miejscu, skąd nie dało się zajrzeć do wozu. Słońce – wyjaśniłem lakonicznie. – Od biedy mógł

dostrzec, że ktoś tam siedzi. Nic więcej. A mówił o mojej żonie. Że w ogóle jest, że ładna... –

zawahałem się.

– Tak?

– I już nie taka młoda – wziąłem się w garść, odrzucając sentymenty na rzecz profesjonalizmu. – Czyli wypisz wymaluj opisał kogoś, kogo nie widział. Ciebie.

– A co to ma wspólnego... no wiesz.

– To, że major fatalnie rozegrał całą rozmowę. Wsyłał się nie tylko na tobie. Dał po sobie poznać, że wie, czym się zajmuję.

– Mógł wyczytać w gazecie – przypomniała.

– Ale nie wyczytał tam, że właśnie jadę do Bośni. A odniosłem wrażenie, że nas oczekiwał.

– Nadal nie widzę związku.

– Za wiele kłopotów i dziwnych zbiegów okoliczności ciągnie się za tobą. Bomba w tapczanie, najazd braci Bigosiaków, Milo Nedić, teraz major służb dość specjalnych, cholernie nieuprzejmy i starający się zniechęcić mnie do pobytu w Bośni. Aż się boję myśleć, co będzie dalej. I nie zamierzam pchać się w kłopoty dla zwykłej dziwki.

Zatrzymałem malucha na poboczu. Widziałem, jak zbladła.

– Chcesz... zerwać umowę? – zapytała po długim zmaganiu się z sobą. – Do tego zmierzasz?

– Już wiem, kim nie byłaś w tamtym życiu. Studentką psychologii.

– Byłam za stara na studentkę. – Mówiła zbyt cicho, bym pokusił się o odgadnięcie, czy to pytanie, czy teza.

– Co ma do tego twój wiek? – parsknąłem. – Mówię, że nie znasz się na ludziach.

Jeżeli myślisz, że robię to dla forsy...

– Nie myślę. Chociaż nie wiem, co by w tym było złego.

– Nic – zgodziłem się. – Pomijając fakt, że nie masz forsy i musisz dopłacać w naturze. A że nie bardzo jesteś w tym dobra, na okrągło reklamujesz się jako zawodowa dziwka, co ma nam obojgu ułatwić pójście do łóżka. Ale nie ułatwia. Bo ja nie chcę iść z tobą pod kołdrę jako z panienką na godziny. Teraz jasne?

– Ona była dobra? – spytała z zimnym błyskiem w oczach.

– Hę? – Nie uznała za stosowne odpowiedzieć, jakby przewidując, że sam się domyślę, o co i o kogo chodzi. – Chyba żartujesz... Myślisz, że ta smarkula i ja...? To śmieszne!

– Śmieszne? Niby co śmiesznego jest w tym, że ambitna początkująca dziennikarka idzie do łóżka ze swoją przepustką do kariery?

– Nawet jej nie dotknąłem!

– Nie musisz się tłumaczyć. Nie jestem twoją żoną.

– I dzięki Bogu! Masz urojenia! Myślisz, że robiłbym z siebie idiotę na skalę kraju tylko po to, by zaliczyć jakąś panienkę?! Wielkie dzięki!

– Nie jakąś. Jest... – zacięła się. – Nie mówię, że nie ma klasy. Młoda, piękna, wykształcona i u progu kariery. Połowy by starczyło, by zawrócić facetowi w głowie.

A w dodatku to dziwka. Więc zna się na rzeczy.

– Ona też jest dziwką? No to ja muszę być jakimś cholernym alfonsiem, skoro tak do mnie Igniecie! Co ja tu w ogóle robię? Lepiej założyć agencję, pogonić was pod latarnie i zbijać kasę!

– Na mnie nie zbijesz! – Wzięła ze mnie przykład i też podniosła głos. – Mówiłam ci, że jestem do niczego! Nawet ty na mnie nie poleciałeś!

– Nawet ja?! Co znaczy: „nawet”?!

– Domyśl się! – Szarpnęła za klamkę, omal jej nie wyłamując, i wyskoczyła z samochodu. Po sekundzie powtórzyłem jej manewr, tyle że używając lewych drzwiczek.

– Nie spałem z Dorotą Kowalak!

– Przykro mi! I nic mnie to nie obchodzi!

– Nie jestem jakimś pieprzniętym erotomanem, skaczącym na wszystko, co w spódnicy! Do cholery, przecież cię nawet nie dotknąłem!

– Może nie jestem w twoim typie – odbiła odruchowo piłeczkę.

– Gówno prawda! – Miałem więcej rozsądku i wykrzychałem to nieco ciszej.

– No to się bałeś, że cię czymś zarażę!

– Z tymi wszystkimi gumkami, jakie ze sobą nosisz?! Nie rozśmieszaj mnie!

– No więc po prostu jestem za stara! – krzyknęła z rozpędu i dopiero wtedy włączyły jej się hamulce.

– Gówno prawda – zakończyłem trochę przez zęby, za to całkiem cicho. Potem ruszyłem dookoła samochodu i znalazłem się przy niej, nim któreś z nas zdążyło ustalić, czy przechodzimy od wrzasków do otwartego boksu.

W ostatniej chwili próbowała się cofnąć, ale zapomniała puścić drzwi i jej własna ręka, sparaliżowana gniewnym skurczem, przytrzymała ją w miejscu.

– To po prostu nie ma sensu. – Byliśmy tak blisko, że mój szept wydawał się usprawiedliwiony. – Trzeba myśleć realnie.

Poruszyła leciutko głową, a ja miałem wrażenie, że cały świat mi przytaknął. Tak niewielki dystans nas dzielił. Drzwi mają zawiasy, są niestabilne z definicji. Wystarczyło mocniej się oprzeć albo cofnąć, a nasze twarze znalazłyby się jeszcze bliżej i wtedy w naturalny sposób... Tylko że to nie miało sensu, a ja byłem rozsądny.

– Pamiętaj, po co tu jesteście – powiedziałem przesadnie oschłym głosem, cofając się o cały krok. Zamrugła powiekami. Nie takiego finału oczekiwała. – Wsiadaj, jedziemy.

– Myślałam – obejrzała się w stronę nieodległego zakrętu, z którego byłoby widać obóz – że chcesz na kogoś tu...

– Chciałem, ale zmieniłem zdanie. Po kłótniach zasycha mi w gardle. Będę jechał powoli, a ty wypatruj piwiarni.

– Nie mówisz poważnie...

– Taaak – pokiwałem głową. – Psychologiem to nie byłeś.

Salka była mała, ciemna i zadymiona. Musiałem postać jakiś czas w progu, by się upewnić, że zaliczyliśmy kolejne pudło. Paru klientów i żadnego munduru. Odwróciłem się na pięcie i nadziałem na Jovankę.

– Ładnie pachnie – zauważyła. – Może coś zjemy?

Stoły były solidne, drewniane, podobnie jak słupy podtrzymujące strop, bufet i cała reszta wyposażenia. W sumie tworzyło to staroświecki i całkiem miły wystrój, kojarzący się z gospodami epoki szwejkowskiej. Dym, produkowany przez duet kopających fajki staruszków, też miał znośny, niedrażniący aromat. O tym, że nie wylądowaliśmy w starej, pocziwej monarchii austro-węgierskiej, świadczył otwór w blacie naszego stołu –

jednoznaczna pamiątka po kałasznikowie i jakimś pijanym wojaku. Za starych, dobrych czasów karabiny były za długie, by stawiać je pod stołem.

– Zamów piwo dla siebie – poleciłem Jovance – i dwie porcje tego z cebulą, co tak ładnie pachnie. A potem spytaj, czy byli tu dzisiaj nasi żołnierze.

Jovanka najpierw spełniła polecenie, a dopiero potem zaprotestowała:

– Ale ja nie piję piwa.

– Musisz. Dobre wrażenie to podstawa w śledztwie.

– Jesteście z Polski? – ucieszył się gospodarz. Reszta jego dziwnie entuzjastycznej wypowiedzi pozostała dla mnie tajemnicą, dopóki dziewczyna, nieco urażona, ale nie mściwa, nie wyjaśniła mi, że facet ma w naszym kraju kuzyna z żoną Polką i czwórką wspaniałych dzieciaków, a także z jednym wnukiem w przedszkolu i jednym w drodze na świat.

Zanim uświadomiłem sobie, na co się zanosi, siedzieliśmy we trójkę. Może dlatego, że siwiejący pięćdziesięciolatek wyrzucał słowa w tempie karabinu maszynowego, udało mi się wyłowić jego oryginalny akcent.

– Pan jest Serbem? – zapytałem, gdy nabierał tchu.

– Grekiem – przetłumaczyła Jovanka. – Kostas Papastefandu, ale tu mówią o mnie Kosta Papież. Chociaż nie jestem katolikiem. To od nazwiska. W czasie wojny miałem z tym nawet kłopoty.

– Marcin Małkosz – uściśnąłem mu dłoń. – A to Jovanka. Jest... ze mną.

Ciekaw byłem, jak przebrnie przez ten kawałek, ale nie robiła takich jak ja przystanków, więc przegapiłem właściwy moment. Gospodarz zaraz zaczął zachwalać uroki okolicy, raz po raz uśmiechając się znacząco i przesadnie szafując słowem

„romantyczny”. Pretekstem do tego słowotoku była wzmianka, że podróżujemy z namiotem. Nim wzięłem widelec do ręki, byłem już święcie przekonany, że trafiliśmy do rajów.

Inna sprawa, że baranina w cebuli, papryce i pomidorach faktycznie smakowała bosko. Delektowałem się, słuchając jednym uchem lokalnego patrioty Kosta i po cichu współczując Jovance, której zasychało w gardle od tłumaczonych na polski słów.

Mogła mu przerwać. Nie zrobiła tego. Wiem, że to egoistyczne, ale dzięki tej wstrzemięźliwości baranina wydawała mi się jeszcze lepsza: nic tak nie dodaje smaku potrawie, jak dzielenie stołu z kimś, kto ma klasę i promieniuje duchowym pokrewieństwem. Bośnia była spalona, zrujnowana, ale Kosta prowadził nas szlakami swej młodości, zabierał w przeszłość, która była piękna i pełna słońca. Nie miała serca mu przerwać.

Dopiero później przyszło mi na myśl, że mogła nie być całkiem bezinteresowna, że sama grzała się ciepłem jego wspomnień i pierwszych chyba w jej nowym życiu dobrych słów o Bośni. Nie bez znaczenia było też piwo, które w nią wmusiliśmy. Oczy jej się lekko rozmaściły i to ja musiałem przerwać monolog na dźwięk słowa, które potraktowała jak każde inne i którego w żaden sposób nie zaakcentowała.

– Pecinac? – wepchnąłem swe pytanie jak kij w szprychy roweru. – Chyba przejeżdżaliśmy tamtędy rano. To tam zatrzymał nas ten policjant? – Spojrzałem na Jovankę, przesadnie unosząc brwi.

– Wysoki, siwy, po czterdziestce? – od razu trafił Kosta. Potwierdziłem. – To pewnie Milo Nedić, komendant z Crveneje Dragi. Serb.

– Ukarął nas mandatem – pochwaliłem się.

– Na przełęczy – zgał ponownie. – To dlatego, że niedawno paru smarkaczy się tam rozbiło. W czasie wojny niektórzy próbowali przeskakiwać tamtędy pod ostrzałem. Jeden ponoć w pół minuty... A młodzi jak to młodzi, próbują pobić rekord. Albo po prostu naśladują ojców i starszych braci. No a Milo nie lubi, gdy ludzie giną na jego terenie.

W czasie wojny tak było i teraz też.

– Wspominał, że walczył o tę górę.

– Mówił wam o tym? – zdziwił się Kosta. – No, no... Normalnie jednego słowa...

Stracił tam wielu żołnierzy, a ostatecznie ani nie dopadł Sułtana, ani go nawet nie wykurzył z Pecinaca. A na koniec, już po podpisaniu rozejmu, ten drań zastrzelił mu jedyne go brata.

– Ten Sułtan? – zapytałem dla formalności.

– Nie, skąd... – potrząsnął ramionami niemal gniewnie. – Sułtan nie schodził

z Pecinaca. Mówię o Rzeźniku, tym snajperze. – Dopiero teraz przypomniał sobie, z kim rozmawia, i uśmiechnął się przeprasząco. – Ci dwaj mają mnóstwo tutejszych ludzi na sumieniu. Sułtan zabijał ich, kierując z góry ostrzałem, a Rzeźnik osobiście, z karabinu.

Mnie też o mały włos...

– Walczył pan? – zapytałem możliwie delikatnie.

– Jestem Jugosłowianinem. Nie Serbem, nie Chorwatem czy Bośniakiem – po prostu Jugosłowianinem. Więc jak miałem walczyć? Z kim i o co? Tu zbudowałem dom, wykształciłem dzieci i byłem szczęśliwy, chociaż jestem tylko greckim uchodźcą. Gdyby w tej wojnie chodziło o ratowanie Jugosławii, zgłosiłbym się. Ale ją pogrzebali. Nie ma mojej ojczyzny, a za to nowe, cokolwiek będzie, nie warto ginąć. Pewnie – uśmiechnął

się smutno na zakończenie – nie podoba się panu to, co mówię?

– Nie, dlaczego? – wzruszyłem ramionami.

– Pan jest Polakiem. Może wojskowym? – Skinąłem głową, nie wdając się w rozważanie minionych spraw. – Tak myślałem. Poza wami mało kto tu przyjeżdża.

Jesteśmy dla świata bandą szaleńców, którzy zamiast wiwatować na cześć demokracji i wolnego rynku, zaczęli się mordować. I to pod przywództwem dawnych sekretarzy.

Dzicy, ciemni górale rzucili się sobie do gardeł, ledwie im zdjęto kaganiec. Tak to wygląda z polskiej perspektywy.

– Zależy, kto patrzy. Z mojej nie.

– Ale przyjechał pan zaprowadzać porządek. Swój.

– Przyjechałem, bo taki miałem zawód.

– Myślałem, że przysyłali ochotników. – Spokojny, smętny uśmiech łagodził

wymowę słów.

– Tu się zarabia przeszło tysiąc dolarów. W kraju moja pensja nie przekraczała pięciuset. No i tłumaczyli nam, że jedziemy czynić dobro.

– I czynicie.

– Można na to spojrzeć w ten sposób: wiele osób przeżyło, bo NATO przysłało myśliwce.

– Nie jestem Serbem i nie kiwnąłbym palcem dla budowania tej ich Wielkiej Serbii.

Wiem tylko, że nie oni zaczęli wojnę. To mnie u was, Europejczyków, irytuje. Zrobiliście z nich nie tylko zbrodniarzy wojennych, ale i podżegaczy. A przecież historia uczy, że wojen domowych nie zaczynają ci, którzy rządzą. Bo niby po co? To nie Serbia chciała rozbić państwo, które istniało i funkcjonowało. To Chorwaci, Słoweńcy, Muzułmanie...

Oni zaczęli, nawet jeśli pierwszy wystrzelił jakiś Serb. Amerykanie przerabiali to w czasie wojny secesyjnej i żaden nawet nie piśnie, że Lincoln to zbrodniarz, powinien dostać kopa w tyłek i zlecieć z pomników. Wszyscy władcy przed nim i po nim bronili całości państwa. Wszyscy. Niech pan pokaże państwo, w którym mniejszość ma prawo odłączyć się od reszty i ta nie pośle przeciw niej policji, a jak nie wystarczy, to wojska.

Jaki naród wyznaczył swoje granice bez użycia siły?

– Nie służę już – powiedziałem cicho.

– No tak... przepraszam. Nudno tu, rozgadałem się... stary dureń ze mnie.

– Nieprawda – mruknęła Jovanka.

– W czasie wojny byłem mądrzejszy – podziękował jej uśmiechem. – Ani słowa o polityce. Ale i tak przeżyłem, bo nikt nie wiedział, czy niewierzącego syna komunisty wypada zastrzelić za modlenie się w niewłaściwy sposób. A mieli okazję wszyscy: front przechodził tędy parę razy. I nic. Ojciec Nenad tylko pół szyldu mi odstrzelił, bo mu się obrazek z niemoralnością skojarzył. Jeździł dżipem – pół wozu Biblii, pół broni –

i nawracał kogo popadnie. A mnie zostawił w spokoju, bo ludzie wiedzieli, że Kosta Papastefandu jest neutralny. Nawet Rzeźnik mi darował.

– Ten snajper, który strzelał z Pecinaca?

– Ten sam. Ale z Pecinaca to on nie strzelał. Chodził za przełęcz, na Glavę, i tam się zasadzał. Bóg raczy wiedzieć, jak mu się to udawało, bo chłopcy z batalionu Mila zorientowali się, skąd poluje, i sami zaczęli na niego polować. Był jak duch. Znikał na całe tygodnie, potem wracał, strzelał i znów znikał, a na przełęczy przybywało grobów i spalonych ciężarówek. Najpierw wspierali go ci z Pecinaca, kierując ogniem artylerii, ale potem front się przesunął i pociski nie dolatywały. Chyba że armatnie. Na szczęście Muzułmanie mieli za dużo armat.

– Na szczęście?

– Mało neutralny komentarz? – domyślił się. – Tu było dalekie zaplecze. Ci, co zostali, chcieli po prostu przeżyć, nie umrzeć z głodu. I to głównie do nich strzelano na przełęczy. Bo to był najważniejszy szlak handlowy. Wielu ludzi żyło z tego, co tamtędy przenieśli. Ale że nosili i amunicję, Muzułmanie strzelali do wszystkich. Także do pieszych.

– Także?

– Na początku Sułtan kazał przepuszczać takich, co tylko z plecakiem... Ale jak i baby zaczęły nosić naboje, bo się opłacało, to już nie było wyjątków. I Rzeźnik strzelał

do każdego, kto mu się nawinął pod lufę. A oko miał, że nie daj Boże. Tylko nocą dało się przemknąć, a i to nie zawsze.

– Chodził pan tamtędy?

– Parę razy, zimą, jak inne drogi zasypało, a Rzeźnika mróz przeganiał ze stanowiska.

– Nie prościej było raz się postarać i go zastrzelić?

– Serbscy snajperzy próbowali. Wdrapywali się na Glavę, a Milo szturmował

Pecinac. Tyle że na jednej górze walczyli z duchem, a na drugiej z całą masą min.

Podobno muzułmańskie dowództwo planowało oparcie o Pecinac całego odcinka obrony i dlatego wpakowało ich tam tysiące. Ale coś nie wyszło, front ułożył się inaczej i na górze pozostał tylko Sułtan ze swoją kompanią.

– Kompania wojska broniła się na tej górze? – zapytałem z niedowierzaniem. – I jak długo to trwało?

– Ze dwa lata – pokiwał głową. – Nic dziwnego, że teraz przoduje w notowaniach. To ich bohater narodowy. – Wycelował palcem w ścianę. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na rozwieszane tam plakaty wyborcze. – Zulfikar Mehcić, doktor nauk biologicznych. Dla przyjaciół Zuk. A dla tych, co pamiętają wojnę, major Sułtan. Pan na Pecinacu.

Zulfikar Mehcić, rycerz islamu, okazał się jasnookim blondynem. Jedynym z zawieszonych na ścianie amatorów władzy, którego nie brałem pod uwagę.

– Więc przeżył?

– I ma się dobrze. Mówi się nawet, że może tu zajrzeć, objeżdżając swój okręg wyborczy. Ale ja w to nie wierzę. Zawsze był kuty na cztery nogi. Dopóki jest tu Milo, nie pokaże się u nas.

– Oprócz Mila jest jeszcze SFOR – przypomniałem.

– Oni nie powstrzymają Mila, jeśli się uprze.

– To mi wygląda na prywatną wojnę.

– Ci dwaj się nienawidzą. Dwa lata zabijali sobie nawzajem przyjaciół, gnili w błocie, głodowali i zamarzali, próbując załatwić drugiego. I nic im z tego nie wyszło.

Tak naprawdę obaj zmarnowali na tej górze szanse kariery. Kiedy się zaczynało oblężenie, Nedić był głównym kandydatem na dowódcę tutejszej brygady, a Sułtan najślawniejszym dowódcą frontowym we wschodniej Bośni. Ich koledzy dorobili się potem mnóstwa gwiazdek, stanowisk w polityce, no i pieniędzy. A oni niczego. Mają powody, by się nie lubić.

– Młodszy brat? – podsunąłem.

– Milo zrezygnował ze studiów, by go nie oddawać dalszej rodzinie. Byli sierotami, od zawsze opiekował się Mladenem. Mladen studiował, a Milo go utrzymywał, potem pomagał budować dom... I mu go zastrzelili. W pierwszym dniu pokoju. Całą wojnę robił, co mógł, by trzymać smarkacza z dala od frontu, a na koniec... No i teraz nim telepie, kiedy słyszy o Rzeźniku.

Wytarłem talerz skórką chleba, przeżułem ją powoli.

– Powiedział pan, że ten snajper pana oszczędził. Czy to znaczy, że krążył po okolicy i wybierał ofiary?

– Nie, nie... Raz tylko zabił poza Glavą, ale i wtedy chyba na Glavę szedł, a tamten zaskoczył go w drodze. Bogu dzięki, ograniczał się do przełęcz. Wie pan: taki smok z bajki, którego w zasadzie nie sposób pokonać, ale który zabija tylko niedaleko jaskini.

Nie wiem, może się bał, że po wojnie oskarżą go o zbrodnie, o zabijanie cywilów poza rejonem walk. A może po prostu... Nie, to nie to.

– Nie co?

– Chciałem powiedzieć, że może robił, ile mu kazali. Ale to nieprawda. Robił

znacznie więcej. Pamiętam zimę dziewięćdziesiątego piątego. Spadł śnieg, podejścia do Glavy zasypało, zrobiło się takie równiutkie, białe pole, a potem złapał silny mróz. Śnieg zamarzł z wierzchu, wiatr nie mógł go ruszyć. Co było równe, takie pozostało. Idealne warunki dla myśliwego: nie przegapi się żadnego tropu. No więc ludzie z osłony przełęcz, ci, co blokowali Sułtana, poobserwowali Glavę przez trzy doby. Nawet noktowizory pożyczili, te wrażliwe na ciepło. I nic,

ślądu życia. No to sformowała się kolumna i dawaj na przełęcz. Myśleli sobie: trzy dni nikt by na tym mrozie nie wysiedział, śladów nie ma, droga bezpieczna. Ale i tak posłali paru ludzi dla zabezpieczenia flanki, nim puścili ciężarówki.

– A on tam był – domyśliłem się.

– Zniszczył cztery wozy, kilka uszkodził i zabił jedenastu ludzi. – Grek milczał przez chwilę. – Potem niektórzy, niby żartem, zaczęli mówić, że to chyba diabeł.

– Też przeżył wojnę? – zapytała cicho Jovanka.

– A któż to wie? – westchnął Kosta. – Serbowie próbowali się dowiedzieć, kim był, ale nigdy im się nie udało.

– Dużo...? – Nie odważyłem się skończyć, Jovanka nie przetłumaczyła, ale i tak zrozumiał.

– Na przełęczy, po obu stronach, jest czterdzieści pięć symbolicznych grobów. Może co trzeci to sprawa artylerii i min, ze dwie osoby zastrzelono pod Pecinacem, ale reszta to jego robota. No i trzeba dodać kilkunastu, których udało się wyciągnąć i zmarli gdzie indziej. W sumie będzie z pół setki. Rannych nie liczę. Ani kalek.

– Kalek? – powtórzyła Jovanka. Kosztem tłumaczenia naturalnie, ale po służbie w Bośni co nieco po serbsko-chorwacku rozumiałem i nie we wszystkim byłem zdany na nią.

– Używał półcalowego karabinu, prawdziwej armaty. Byle co nie zatrzyma rozpedzonej ciężarówki gnającej setką, a tak się tam jeździło. Zresztą większość mimo wszystko się przebijała. Za to gdy pocisk trafił człowieka...

W tym momencie Jovanka urwała, z przepaszającą miną zapytała o coś Kostę i na dłuższą chwilę znikła za nieoznakowanymi drzwiami. Piłem, wpatrując się w rozjaśnione uśmiechem oblicze Mehcia. Prezentował się znakomicie, sam bym chętnie na niego zagłosował.

– Jak to było z panem i Rzeźnikiem? – Jovanka, wyraźnie szczęśliwsza z pustym pęcherzem, po raz pierwszy przejawiała inicjatywę.

– Poszedłem kiedyś przez przełęcz. Rano, we mgle. No i jak już byłem pośrodku, zaczęło dmuchać. Łupnęło przede mną, aż ziemia na metr podskoczyła. Od razu się zatrzymałem, bo ktoś mi opowiadał, że jakąś kobietę Rzeźnik zatrzymał strzałami, obejrzał sobie i puścił. A że był gdzieś blisko, tobym i tak nie uszedł. Byłem w wojsku, wiem, co można zrobić z karabinem. Na moje oko znajdował się wtedy najwyżej dwieście metrów ode mnie. Położyłby mnie bez trudu pierwszym strzałem, bo z tej odległości czy się biegnie, czy stoi... A on dobrze strzelał do ruchomych celów. Więc stanąłem i czekam. Nic. A potem słyszę, że coś pobrzękuje, jakby ktoś walił żelazem o żelazo. Nie przyszło mi do głowy, że próbuje mnie przegonić, a szkoda mu marnować amunicji. W końcu jednak uznał, że może nie słyszę albo nie rozumiem, no i wygarnął mi pod same nogi.

– Nie próbował wołać? – zainteresowałem się. – Jak rozumiem, było cicho. Z tej odległości nie zrozumiałby pan słów, ale kiedy ktoś krzyczy, wiadomo, że nie będzie strzelał.

– Też się nad tym zastanawiałem. Może się bał, że oprócz nas ktoś jest w pobliżu i po tym wołaniu się orientuje, gdzie Rzeźnik siedzi. Strzał niby jest głośniejszy, ale krótki.

A może gardło go bolało? Wcale bym się nie zdziwił. Im gorsza była pogoda, tym większa szansa, że Rzeźnik polezie na Glavę. Brał Serbów na przetrzymanie, to był

chyba główny element jego taktyki. Jeżeli leje trzy dni albo panuje ostry mróz, to zwyczajny milicjant nie wytrzyma w zasadzce. A jeśli nawet, to tak bardzo troszczy się o to, by jakoś przetrwać, że nie ma już głowy do podchodów. Z tych, co chodzili upolować Rzeźnika, dwóch zmarło na zapalenie płuc, paru poodmrażało sobie różne rzeczy, a chorych uzbierałoby się przez te lata cały szpitalik. Więc myślę, że dostał nieźle w kość. Nie przesiadywał na stanowisku tak długo jak ci w zasadzkach, ale czasem musiało to trwać parę dni. I w gorszych warunkach, bo myśliwi mogli się trochę poruszać, rozgrzać, wymienić...

– Dlaczego pana nie zastrzelił? – Niezręczne pytanie, ale rozmowa za pośrednictwem Jovanki miała swe dobre strony. Wiedziałem, że dziewczyna wygładzi kanty.

– Znali mnie w okolicy – uśmiechnął się. – No i szedłem od frontu, nie na front.

Przed wojną musiało mu smakować moje wino albo piwo.

– Czyli byłby stąd... – mruknąłem. – Nie domyśla się pan...?

– Tu każdy ma swoje domysły. To legenda. Ja... no, też mam. Tylko niewiele z tego wynika. Był tu taki jeden, Juka Spahović, gajowy. Straszny babiarz, wszyscy go znali, a połowa miała mu ochotę mordę obić, bo żadnej nie darował... Widywano go w oddziale Sułtana. Wtedy też się mówiło o nim i kobietach, tylko już... no, rozumiecie. –

Sposepniał, umilkł na jakiś czas. – Ale ponoć zginął na Sułtańskim Moście.

– Sułtański Most?

– Tak go potem nazwali. Mały mostek, u dołu jeszcze mniejszy potok, ale wtedy, wiosną, zrobiła się z niego prawdziwa rzeka. Oddział Sułtana cofał się tamtędy i wpakowali się chyba w czterdziestu na most, próbowali przeskoczyć z marszu... Mieli pecha, bo akurat z drugiej strony nadjechał ojciec Nenad. Jak zwykle w swoim łaziku, z kochanką, karabinem maszynowym, całą skrzynią kałaszy, kierowcą i jeszcze jednym pomocnikiem.

– Kochanką?

– Tak ludzie mówili. A inni, że to chorwacka zakonnica, bo ubierała się na czarno i nosiła taki wielki krucyfiks na piersi. Aż do końca trzymała z Nenadem, chociaż wariat był z niego, że strach mówić. Podobno razem zginęli.

– Wariat rozbijał się po okolicy z karabinem maszynowym i skrzynią automatów?

– Jego brat – wyjaśnił – był ważną figurą u Karadžicia, więc nikt nie śmiał popa palcem tknąć. Ci dwaj z nim to były niezłe zabijaki z porządnie zapapraną przeszłością.

No, ale na broni się znali. Nenad zresztą też, a ponoć i dziewczyna. Cała czwórka waliła do Muzułmanów jak do kaczek. Położyli paroma pierwszymi seriami ze dwunastu chłopaków Sułtana, potem drugie tyle wystrzelali, kiedy tamci próbowali uciec z mostu.

Rano się wszystko zaczęło, potem cały dzień padał deszcz, zimno było jak diabli, prawie mróz, a do wieczora nikt nie zszedł z mostu. Gdyby Nenad miał chociaż jednego strzelca na drugim brzegu, to wykończyłby i Sułtana, i prawdopodobnie Rzeźnika. Kiedy się ściemniło, Sułtan wyprowadził niedobitki. Jakoś zleźli po filarze do rzeki. Paru chyba spadło, połamało się. Potem naliczono prawie trzydzieści trupów. – Uśmiechnął się bez radości, choć i bez żalu, jak na neutralnego przystało. – Od tej pory krąży po okolicy taki nasz miejscowy dowcip: Sułtan umiera, trafia do czyśćca, no i pytają go, co za jeden.

A że obok już diabeł widły na muzułmanina szykuje, Sułtan szybko odpowiada, że chrześcijanin, jak najbardziej. „Tak? To powtórz przykazania”. Na to on, że stary już jest, pamięć nie ta, a tego w dzieciństwie uczą. „No, ale chyba pamiętasz, ile ich jest?” „No pewnie. Jedenaście”. Anioł się zdziwił i pyta o to jedenaste, a Sułtan na to: „To akurat pamiętam, bo mnie ojciec Nenad na stare lata dokszałcił. Jedenaste mówi: «Nigdy więcej przez most»,,.

Jovanka przetłumaczyła gładko i nawet zaczęła się śmiać razem z nami. Ale zaraz potem jej twarz zastygła w nieokreślonym grymasie. Kosta uznał go za niemą ocenę jakości dowcipu, bo szybko powrócił do głównego wątku.

– Juki Spahovicia w każdym razie nie rozpoznano wśród poległych.

– Dlaczego pan myśli, że to on był tym snajperem? – Oczekałem z tym chwilę, dając Jovance czas na zrobienie porządku z twarzą.

– Wszystko pasuje. Człowiek lasu, obeznany ze skrytym podchodzeniem, z bronią...

Awanturnik. Ale jeśli o mnie chodzi... Znałem Jukę. Na punkcie bab był zupełnie zwariowany. Zaraz na początku wojny zeszło się tu paru chłopaków z mieszanych rodzin.

Pili i zastanawiali się, co robić. No i Spahović wstaje w którymś momencie i na całą knajpę obwieszcza, że on, Juka, zamierza walczyć o zbudowanie w Bośni państwa islamskiego, bo komu jak komu, ale jemu jedna baba w łóżku nie wystarczy, nawet jak się już ustatkuje i ożeni. I że wielożeństwo to naturalna forma współżycia kobiet i mężczyzn, a o naturalne formy warto walczyć.

– Ale co to ma wspólnego z Rzeźnikiem?

– Po tym, jak mnie puścił żywego, parę razy odważyłem się pójść przez przełęcz.

I raz trafiłem pod ostrzał artyleryjski. Czort wie, po co strzelali, bo poza mną żywego ducha... Ktoś coś chyba pomylił. W każdym razie bili po drodze, więc skoczyłem w bok, na zbocze Glavy, wdrapałem się całkiem wysoko, aż po pierwsze skałki, bo tam już odłamki nie dolatywały. Idę sobie

przez odkrytą łączkę i nagle trach – łąduję w zamaskowanym dole. Bogu dzięki, płytki był, Rzeźnik nie miał widać czasu kopać.

Ale dwie osoby by pomieścił. I chyba mieścił. Łobuz wyłożył sobie igliwiem wygodne legowisko, w kącie zakopywał śmieci, słowem, prawdziwe mieszkanie z widokiem na przełęcz. A pod gałęziami... nie zgadniecie, co znalazłem.

Zamilkł, ciesząc się z góry na błyskotliwą puentę.

– Notes z numerami jego dziewczyn? – zażartowałem.

– Lepiej – błysnął zębami. – Tampon. Zużyty.

– Tampon? – Nie od razu zrozumiałem. – Był ran...ny?

Dokończyłem wyłącznie siłą rozpędu. Jovanka na podobnej zasadzie przetłumaczyła moje ociekające naiwnością słowa, rumieniąc się przy tym uroczo. Tylko Kosta bawił się dobrze, kwitując nasze zaskoczenie szerokim, radosnym uśmiechem.

– Tylko Juka był na tyle zwariowany, by zabrać panienkę na taką robotę – obwieścił triumfalnie.

Nie wiem dlaczego, ale popatrzyłem w tym momencie na Jovankę. Wybrała dokładnie tę samą sekundę i omal nie uszkodziliśmy sobie karków, w pośpiechu odwracając głowy.

– Może to nie to, o czym pan myśli – zmusiłem się do niemrawego uśmiechu. – Na wojnie różnych rzeczy używa się całkiem inaczej. Na przykład prezerwatywa założona na lufę chroni karabin przed...

– Ten tampon był świeży – przerwał mi, chyba nie bez satysfakcji obserwując zmagania Jovanki z twarzą. – I na pewno nie z karabinowej lufy go wyjęto. Tam była kobieta.

– Trudno uwierzyć – pokręciłem głową. – Chyba że zgarnął ją po drodze, przypadkiem. Może go widziała, a jemu żal się zrobiło... – Było jeszcze drugie, bardziej prawdopodobne wyjaśnienie motywów Juki, ale nie chciałem przeciągać struny. Jovanka już teraz nie wiedziała, co począć z oczami.

– Chyba nie – powiedział spokojnie Kosta. – Wiedział, że ją przyprowadzi, już jak budował schron. Ze dwie noce mu to musiało zająć, bo maskowanie było doskonałe, a niedaleko Serbowie utrzymywali posterunek. Każdą grudkę ziemi musiał wynieść i ukryć. A on zrobił w środku damską ubikację.

– Słucham?!

– No wiecie – posłał nam porozumiewawczy uśmiech. – Snajper może sikać, leżąc; wystarczy butelka. Ale dziewczyna musi mieć kawałek przestrzeni, żeby sobie przykucnąć. I właśnie coś takiego Juka wykopał w nogach ziemianki. Głębszy od reszty dołek. Na dnie czuć było moczem.

– Może nie lubił celować do butelki – mruknęła Jovanka i powtórzyła to po serbsku.

Kosta skwitował uwagę śmiechem. Zaraźliwym, jak się okazało: nawet dziewczyna okazała się nie tylko zakłopotana, ale i rozbawiona historią jurnego Bośniaka.

– Może i tak. W każdym razie słyszałem kiedyś, że podobno właśnie baba go zabiła.

Może dlatego skojarzył mi się z tym mostem. Bo Nenad dostał na początku w ramię i potem z kaemu strzelała ta jego panienka. Ale fakt – klepnął się nagle w czoło. – To z mostem było przed oblężeniem Pecinaca albo najwyżej na początku. Gdyby tam zginął, nie mógłby być Rzeźnikiem. No, chyba że więcej ich było.

– A ojciec Nenad nie żyje. – Sam nie wiem, po co to powiedziałem. Nawet jeśli z braku lepszych faktów do analizowania już wówczas zainteresowałem się osobą Juki Spahovicia, jego niedoszły być może zabójca nie wniósłby nic do sprawy, nawet gdyby przeżył wojnę i odzyskał rozum.

– Ano nie żyje. Sułtan odwdzieczył mu się za ten most. Nie, nie szukał go – Kosta uprzedził moje pytanie. – To nie ten typ człowieka. Jest raczej... no, chłodny. Kalkuluje.

Ale Nenad w końcu przesadził, zapędził się aż na Pecinac podczas któregoś z natarć Nedicia, no i Muzułmanie go złapali. Jego, chyba tę czarnulę zakonnicę i jeszcze kogoś.

Zresztą tamci dwaj to mogli być ludzie Mila, trudno powiedzieć. Słabo ich było widać.

– Słabo...? – Nie zdołałem dokończyć.

– Przykuli ich do skały, zaraz za pierwszą linią. Parę dni wcześniej Serbowie popędzili przed sobą na pole minowe zagarnięte w muzułmańskiej wiosce stado krów razem z pastuchami. Nie ci od Nedicia, ale sprawa była głośna, no i Sułtan się odgryzł.

Zadowolony z gawędziarskiego sukcesu, przydźwigał następne kufle.

– Pamięta ją pan? – zadałem ostatnie pytanie. – Tę dziewczynę?

– Nie widziałem jej. Krótko z nim była. I chyba nie pochodziła stąd. Czarnula, podobno niebrzydka. I całkiem zwariowana. Niektórzy mówili, że to córka Nenada, ale on miał ledwie czterdziestkę, a ona ze dwadzieścia parę, więc raczej nie. Tak czy siak dobrali się nieźle.

Wysłuchaliśmy paru innych historyjek, po czym zapłaciłem i ogłosiłem koniec przerwy obiadowej.

– To nie tu.

Uniosłem oczy znad kluczyka, który utknął w szwankującym zamku, zerknąłem na Jovankę, a potem na budynek.

– Co znaczy: „nie tu”? Sama pytałaś po drodze. To jedyny szpital.

– To nie tu – powtórzyła, nie zamykając swych drzwiczek.

– Mówiłaś, że zawieźli cię do szpitala w Doboju. To właśnie on – pokazałem ręką.

Jovanka popatrzyła za przejeżdżającą karetką, potem przeniosła wzrok na grupę kilku rozgadanych pielęgniarek, przechodzących przez ulicę.

– Tam było spokojnie. Bardzo. Pamiętam ciszę.

– Może leżałaś z drugiej strony, od ogrodu. No, chodź.

Zatrzasnęła drzwiczki i z ociąganiem ruszyła do wejścia.

– Tu musi pracować mnóstwo ludzi. Aż tu słyszać...

– Chyba nie boisz się szpitali? – zażartowałem.

– Teraz się boję – odpowiedziała cicho. – Ale to nie to – zapewniła nieco za miłym głosem. – Po prostu to nie ten szpital.

– To zapytajmy w recepcji o inny.

Szpital był cywilizowany, więc weszliśmy bez problemu. Równie łatwe okazało się odnalezienie wolnej pielęgniarki i nakłonienie jej do rozmowy. Ale potem, w jednej chwili, zrobiło się nieprzyjemnie. Nie rozumiałem prawie nic z krótkiego dialogu obu pań, ale nie trzeba znać języka, by wyczuć, że odsyłają człowieka z kwitkiem.

– Nie sprawdzi w kartotece, czy tu leżałaś – zgadłem. Odniosłem wrażenie, że Jovanka mnie nie słyszy. Stała wpatrzona w perspektywę korytarza, lekko gryząc dolną wargę.

– Chyba zawałam sprawę. Za dużo jej powiedziałam.

– Że się źle prowadzisz?

– Że nie wiem, czy nie jestem Muzułmanką. – Nie czułem się na siłach skomentować tego. – Boże, jak oni się tu nienawidzą... Widziałeś jej oczy?

– Daj spokój. Oczy jak oczy – wzruszyłem ramionami.

– Miała w nich tyle blasku, ciepła... A potem wyjaśniłam, że straciłam pamięć, a ona spytała, trochę żartem: „Ale to, że jest pani Serbką, chyba pani pamięta?” No i...

– Dałaś plamę i powiedziałaś, że tego też nie – dokończyłem i poklepałem ją po ramieniu. – Nie przejmuj się, człowiek uczy się na błędach. Więcej nie mów o swoim pochodzeniu. Coś powiedziała, zanim cię splawiła? Jest tu inny szpital?

– Wtedy w każdym razie nie było.

– Czyli to ten – podsumowałem. – Poszukajmy kogoś...

– Nigdy tu nie byłam – przerwała mi. I ruszyła do drzwi.

– Sama powiedziałaś, że byłaś półprzytomna i...

– To nie ten budynek. Uwierz mi. Po co miałabym kłamać?

Idąc w kierunku parkingu, zastanawiałem się jak, do ciężkiej cholery, cokolwiek znajdę, jeżeli nie potrafimy nawet odszukać szpitala?

– Cóż, musimy spróbować z drugiej strony – mruknąłem bez zapału. – Poszukać tych, którzy cię zawieźli do szpitala.

– Nie wygląda na to, by wojsko chciało z tobą rozmawiać.

Popsuła mi humor. Najpierw ona, potem zamek, który znów się zaciął. Przez jakiś czas wydawało się, że zebrać o pomoc armii pójdziemy pieszo.

– Te okna – oznajmiła nagle. – Tam było zupełnie inne.

– Słucham?

– A za oknem, bardzo niedaleko, stał jakiś budynek. Taki... no, zwyczajny.

Mieszkalny. Pamiętam, jak Roman męczył się z zasłonami.

Przyjrzałem jej się z niedowierzaniem. Zarumieniła się, co uznałem za przejaw radosnego podniecenia.

– Zasłony w szpitalu? – zapytałem łagodnym tonem. Posłała mi spojrzenie pełne wyrzutu. – Byłaś ranna, chora... no i na pewno strasznie zdezorientowana od tej amnezji.

Coś ci...

– Tam był jakiś dom i Romek biedził się długo z zasłonami, bo nie chciał, by ktoś widział, jak to robimy. A ten jeden jedyny raz robiliśmy przy zasłoniętych oknach.

W domu sypialnia jest na piętrze, okna wychodzą na sad, nie ma się przed kim kryć.

Nigdy nie kochaliśmy się gdzie indziej, bo praktycznie nie wyjeżdżaliśmy z tej wiochy, a on nie jest amatorem seksu w plenerze czy w stodole. Więc nie wmawiaj mi, że poprzestawiały mi się wspomnienia. Pieprzyłam się z jednym mężczyzną w dwóch łóżkach, to cały bagaż moich doświadczeń w tej dziedzinie. Przedtem był ojciec Oli, ale jego nie pamiętam. – Milczeliśmy przez chwilę. – Tych... Zawodowych kontaktów nie liczę. To było potem. I nikt nie tracił czasu na walkę z zasłonami.

Zamek, pewnie też lekko wstrząśnięty, ustąpił. Wsiadłem i wpuściłem Jovankę.

Opadła na fotel, nie patrząc na mnie.

– To na pewno był Roman?

– Nie zapomina się pierwszego razu – uśmiechnęła się smutno. – Będiesz się śmiać, bo ostatecznie byłam w ciąży, ale... no, bałam się, że pobrudzę pościel krwią. Wiesz...

Skinąłem ostrożnie głową, a potem zdobyłem się na odwagę i delikatnie poklepałem ją po spoczywającej na udzie dłoni. Cofnęła ją, krzyżując ręce na piersi jak ktoś, kto zmarł.

– Nie wiem, czy to ma znaczenie – powiedziała po chwili. – Ta pielęgniarka wspomniała o jakimś prywatnym gabinecie czy może małej klinice... Nie, to bez sensu.

– Dlaczego? – zapytałem tonem cierpliwego nauczyciela.

– Bo, jeśli dobrze zrozumiałam, to coś związanego... no, krótko mówiąc, robili tam skrobanki. Wiesz, tego typu...

– Placówka służby zdrowia – dokończyłem. – I dlaczego ta siostra o niej napomknęła?

– Bo w czasie wojny odsyłali tam niektóre przypadki. Nie tylko ginekologiczne.

Zapytałam, gdzie jeszcze leczono ludzi, no i wymieniła ten gabinet czy co to jest. Znam adres.

– No to zobaczmy, co to jest – sięgnąłem do stacyjki.

Z budynku został kawałek okopconej frontowej ściany otoczony gruzowiskiem i wysokimi do pasa zagonami zielska. O dziwo, pożar – raczej zwyczajny niż wywołany przez spadający z nieba pocisk – oszczędził lekko tylko nadżartą przez rdzę tabliczkę przy głównym wejściu.

– Dobrze przeczytałem? To coś związanego z ginekologią?

– Tak – potwierdziła Jovanka. Po czym dodała tonem nieco dziecinnej skargi: – Nie ma ani jednego okna.

Zajrzałem do wypełnionego gruzem wnętrza.

– Ba. Całej kliniki w zasadzie nie ma.

Znowu przeciągnęła wzrokiem po elewacjach sąsiednich budynków. Oba stały blisko, jak to w willowej dzielnicy.

– To chyba ten dom – powiedziała niepewnie. – Z czymś mi się kojarzy.

– Zobaczę, co jest z tyłu.

Z tyłu było to samo: dużo rozzuchwalonej nieobecnością gospodarza zieleni, gruzy i śmieci, pewnie zrzucane tu przez sąsiadów. Wróciłem i zobaczyłem, że Jovanki nie ma.

Obszedłem budynek raz jeszcze w nadziei, że odnajdę ją podążającą moim śladem. Bez skutku. Wyszedłem na ulicę, ale obok malucha też jej nie było. Podenerwowałem się bezmyślnie jakieś pół minuty, a potem wkroczyłem na teren sąsiedniej posesji.

Zza rogu dobiegły kobiece głosy. Mocno stłumione, ale rozpoznałem głos Jovanki Bigosiak nawet z daleka i gdy mówiła w języku z innym rozkładem akcentów. Byłem obcym facetem, a to była Bośnia, więc pozostałem dyskretnie za węglem. Nie wycofałem się jednak dalej, poza linię, do której dobiegał szmer rozmowy.

Rozmowa skończyła się nagle i zaraz potem najpierw zapach Jovanki, a potem ona sama wypadły zza narożnika.

– O! – poderwała brwi. – Jak mnie tu znalazłeś?

– Jestem detektywem – mruknąłem. – Słuchaj, nie możesz tak po prostu... Trzeba było powiedzieć, że odchodzisz. – Jej spojrzenie mówiło, że uważa reakcję za nieadekwatną i – co gorsza – że dała jej do myślenia. – To nie Polska – powiedziałem szybko. – Wojny już nie ma, ale pozostali ludzie. Biedni i wojną zepsuci. Nie chcę, by jakiś łachudra wyrwał ci torebkę albo coś zrobił.

– Kto i co miałby mi zrobić? – wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – burknąłem. – Ktoś coś. Powinnaś być ostrożniejsza. Nie chcę tracić klientki na tym etapie.

– Nie stracisz – zapewniła.

– Albo torebki z forszą klientki – rzuciłem jej mroczne spojrzenie. – Na jedno by wyszło.

– Jestem ostrożna. Nie noszę jej w torebce.

Odwróciłem się i niespiesznie ruszyłem ku furtce. Gdybyśmy za szybko znaleźli się w samochodzie, musiałbym zniżyć się do wypytywania Jovanki o rezultaty jej samowolnego wypadu albo po prostu odjechać. To drugie przyszłoby mi co prawda łatwo, ale gdyby potem się okazało, że dziewczyna nie dowiedziała się niczego, musielibyśmy wracać.

Ona też się nie odezwała. Ująłem klamkę po swojej stronie malucha, sięgnąłem po kluczyki i... zastygłem.

Coś szcęknęło w zamku i drzwiczki uchylily się nieznacznie.

– Nie zamknąłeś – pokiwała głową.

– Zamek się chyba... – wymamrotałem. Po czym, nie kończąc, gwałtownie zanurkowałem do środka.

W bagażniku zapasowe koło, trochę części i kanistry zajęły całą wolną przestrzeń i nasze bagaże podróżowały na tylnym siedzeniu. Nie było ich za dużo, więc dość szybko wyzbyłem się resztek nadziei.

– Jasna cholera...

Kłęczałem kilka sekund, tępo wpatrując się w pocerowaną tapicerkę. Potem odblokowałem prawe drzwiczki, wycofałem się na swój fotel i usiadłem, opierając lewą stopę o asfalt jezdni. Słuchałem, jak Jovanka wciska się do ciasnego wnętrza i powtarza moje wykopki w stercie zwalonych bezładnie bagaży. Była duża i silna, jej nerwowe ruchy przenosiły się na zawieszenie malucha. Wiedziałem, co teraz nastąpi. Po minucie cmentarnej ciszy wiedza zamieniła się w absolutną pewność. Chciało mi się krzyczeć.

– No, to by było na tyle.

Czułem, że powinienem spojrzeć jej w oczy. Siedziałem jednak i z uporem wpatrywałem się w kołysane delikatnym podmuchem liście, w taniec cieni i słonecznych plam na pokruszonych płytach betonowego chodnika.

– Zwrócę ci za benzynę – usłyszałem. – I za stracony czas.

– Trzymałaś wszystko w torbie? – zapytałem cicho.

– Przepraszam. – Mówiła jeszcze ciszej. – Jestem taka głupia... – Milczała długo, nie poruszała się, prawie nie oddychała i tylko zapach dowodził, że nie siedzę sam w otwartym na przestrzał samochodzie. – Postaram się o pieniądze jak najszybciej. Ale łatwiej mi będzie w Polsce. Odwieszisz mnie?

– A jak nie, to co? – rzuciłem przez zęby. – Pojedziesz autostopem?

– Niezły pomysł – mruknęła. – Chyba lepszy niż siedzenie ci na karku. Przecież widzę... – nie dokończyła.

– Co widzisz? No, słucham.

– Powinniśmy się rozstać.

Wziąłem się wreszcie w garść i odwróciłem ku wnętrzu samochodu. Tak jak oczekiwałem, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Zrywasz umowę? – zapytałem oschle.

– Chyba nie mam wyjścia. Ukradli mi wszystkie pieniądze. A jak słusznie zauważyłeś, bez forsy nie ma klientki.

– I co dalej? – Nie zrozumiała, więc wyjaśniłem niechętnie: – Co chcesz robić, jak już dotrzesz do Polski?

– Wróć do pracy.

– Do której?

– A jak myślisz? – wzruszyła anemicznie ramionami. – Muszę zdobyć tyle pieniędzy, ile się da. Pewnie i tak nie starczy, ale trzeba próbować. Prawo biologii. A faceci potrzebują seksu. To też prawo biologii. Więc jakoś to będzie. Musisz tylko trochę poczekać.

Patrzyłem jej w oczy. Były jak para wypalonych gwiazd.

– Ola umrze bez szpiku ojca czy bez szpiku i pieniędzy? Czego oczekujesz od tego faceta?

– Dlaczego pytasz?

– Bo jestem ciekawski. No więc?

Przygryzła na chwilę dolną wargę.

– Pieniądze są chyba ważniejsze – powiedziała głosem, który zaczął lekko drżeć. –

Lekarze mówią, że szansa znalezienia obcego dawcy jest całkiem spora, ale żeby poszukać, też trzeba zapłacić. No i to niewielkie pieniądze w porównaniu z kosztem zabiegu.

– Za darmo się nie da? – zapytałem dla formalności. – Konstytucja konstytucją, a my nie mamy forsy?

– Stać ją było jedynie na kiwnięcie głową. – Słuchaj, dlaczego myślisz, że ten, którego szukamy, będzie miał pieniądze?

– Biedni nie dają kobietom kolczyków z brylantami.

Nie powinienem tego robić, zwłaszcza teraz, ale mój palec sam odgarnął kurtynę czarnych włosów znad ucha. W dodatku – choć tu już winę dzielił z oczami – nie wykonał zadania odpowiednio szybko. Całe sekundy wypatrywałem najpierw błysku złota, a potem śladów po igle. Bezskutecznie.

– To dlatego pytałam o bośniackie dziewczyny – powiedziała cicho. – Ciągle się zastanawiam, które z nas wpadło na taki pomysł i czemu to służyło.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Nie w uszach je nosiłam. – Teraz i moje uszy nabrały żywszego koloru. – Podobno niektórzy faceci namawiają do tego nawet własne żony... Ale większość kobiet, które tak się przyozdabiają, to albo mocno puszczalskie, albo regularne dziwki. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Miałem dość sceptycyzmu, by się zastanawiać, czy nie odgrywa przedstawienia i nie próbuje takimi sztuczkami omotać mnie do reszty. Ale byłem już dostatecznie omotany, by poprzestać na samym zastanawianiu się, bez formułowania wniosków.

– Dużo... ile tego było?

– Dużo. W złotówkach dużo – uściśliła. – Roman nie powiedział, ile za nie dostał, ale chyba większą część nowego centralnego założył za to, co zdjął ze mnie. A w naturze...

pięć kolczyków, wisiorków, czy jak to zwać. Niektóre spore. Musiałam grzechotać przy chodzeniu – uśmiechnęła się cierpko.

– Żartujesz...

– Nie, Marcin – powiedziała ostrzej. – Ani mi w głowie żartować na ten temat.

Wiesz, jak się czuje człowiek, kiedy rodzi się na nowo z takim garbem z poprzedniego życia? Kiedy przy każdej sprzeczce mąż sypie kurwami i nie można protestować, bo oboje wiecie, że pewnie ma rację? Myślisz, że mówię ci o tym, żeby się pochwalić? –

Cofnąłem dłoń już dawno, ale dopiero teraz przyprasowała włosy gniewnym pociągnięciem palców. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Lepiej zamknij drzwi.

Popatrzyła na mnie niepewnie i sięgnęła po klamkę. Ruszyliśmy.

Nie próbowaliśmy rozmawiać. Może oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że za wcześnie na słowa, że najpierw muszę się uporać z natłokiem sprzecznych myśli. A może i nie; może nie była nawet w połowie tak cwana, za jaką ją brałem, i święcie wierzyła, że nie jest za wcześnie, lecz za późno, niczego już nie da się zmienić, a cisza oznacza tylko tyle, iż nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Nie potrafiłem ustalić, którą Jovankę bym wołał.

Jechałem wolno przez miasto, wciąż straszące wypalonymi szczerbami w szeregach budynków, ale dziwnie normalne. Po ulicach sunęły samochody, czasami całkiem porządne, chodniki pełne były kolorowo ubranych, zwyczajnych ludzi. Nawet żołnierze sił rozjemczych sprawiali wrażenie raczej spacerujących niż patrolujących niespokojną okolicę. Niektórzy byli bez broni, a jednego jasnowłosego dryblasa udało mi się przyłapać na chodzeniu za rękę z dziewczyną.

– Muszę zadzwonić. Mogłabyś się dowiedzieć o karty?

– Stać cię? – zapytała apatycznie.

– Trochę drobnych jeszcze mam.

Wysadziłem ją i patrzyłem, jak rozmawia z trzema kolejnymi przechodniami. Tak się złożyło, że trafili jej się sami faceci w sile wieku i trzy razy musiałem odpychać natrętną wizję ubranej w kusą spódniczkę Jovanki, odklejającej leniwym ruchem plecy od ulicznej latarni i ruszającej składać wiadomą ofertę. Tak naprawdę oprzytomniałem dopiero podczas wystukiwania numeru. Były sprawy ważniejsze od Jovanki B.

– Sławek? Cześć, to ja. Możemy pogadać?

Popołudnie było szare, pełne nisko ciągnących chmur, nie padało jednak. Na razie tylko muchy rozbijały się o zakurzoną szybę samochodu, a przed maską raz po raz śmigały polujące na nie jaskółki. Jechaliśmy wąską drogą, a ja się zastanawiałem, czy Jovanka zdaje sobie sprawę, po której stronie mamy słońce i co z tego wynika. Może kobieca intuicja ją ostrzegła, by nie wyciągać pochopnych wniosków z faktu, że jedziemy na południe? Jeśli tak, miała rację. Nadal nie wiedziałem, co robić.

Kilka kilometrów za miastem dogoniliśmy wojskowego stara. Wyprzedziłem ciężarówkę, zamrugałem światłami i wyhamowując, zatrzymałem oba wozy. Parę lat temu kosztowałyby mnie to obejrzenie paru odbezpieczonych automatów – teraz jedynie widok nie bardzo zadowolonego dysponenta, wyskakującego z kabiny.

– Przepraszam, panie sierżancie. Może to marny sposób, ale od rana szukam kaprala Błażejskiego i pomyślałem...

– Pan... nowy? – Spoglądał z niedowierzaniem to na mnie, to na malucha. – Do kontyngentu, tak?

– Raczej stary. Służyłem tu parę lat temu. Razem z nim i...

– Jesteśmy cholernie spóźnieni – przerwał mi, odwracając się w stronę ciężarówki. –

Błażejski, dawaj tu! – Jeszcze jeden obrót, twarzą do mnie. – Ale migiem. Parę słów.

– Czołem – przywołałem na twarz szeroki, nie do końca spontaniczny uśmiech. –

Kopę lat.

Błażejski zamrugał z niedowierzaniem powiekami. Uśmiechnął się dopiero po chwili, niepewnie i też niezbyt spontanicznie.

– Pan kapitan? Co pan tu...? Myślałem, że nie jest pan...

– Bo nie jestem. Słuchaj, mam prośbę. Moglibyśmy pogadać? Tak w cztery oczy, spokojnie?

– Ale... no pewnie, tylko że teraz... – Machnięciem wskazał szeroki zad ciężarówki, a w domyśle skrytego w bryle wozu dowódcę i całą resztę wojskowej maszyny. – Sam pan widzi.

– A później? Wieczorem? Jutro?

– No nie wiem. – Próbował ukrywać ostrożność i brak entuzjazmu, ale zaskoczenie nie pozwoliło mu osiągnąć znaczących sukcesów w tej dziedzinie. – Do bazy pana wpuszczają?

– Nie jestem pewien – zełgałem bezwstydnie. – Jak nie, to gdzie cię szukać?

– Chyba nie da rady. – Odniosłem wrażenie, że się lekko odprężył. – Załapałem się na Jeżynową Górkę.

– Trzymają jeszcze ten posterunek? Po co?

– A kto ich tam wie. Nie ja tu...

– Błazejski! – dobiegł okrzyk zza samochodu. – Kończ!

– Znajdę cię jakoś! – zawołałem, przekrzykując się z silnikiem. Pokiwał głową i odjechał. Wróciłem wolno do malucha i nieoczekiwanie dla siebie samego wyszczerzyłem zęby. Jovanka czekała na poboczu, więc nie przegapiła tej nagłej zmiany.

– Jakies dobre wieści? – zapytała nieufnie.

– Nie wiem – przyznałem. – Ale chyba właśnie umówiłem się z kolegą z wojska.

A to znaczy, że musimy jeszcze zostać. To święta rzecz, takie spotkanie rezerwy.

– On nie jest w rezerwie – zauważyła.

– Ale ja jestem. – Cywile mają mnóstwo wolnego czasu, więc zatrzymałem się przy drzwiczkach, klejąc się brzuchem do wozu, ignorując przejeżdżające za moimi plecami samochody i patrząc na czarnowłosą. Chyba w jakiś szczególny sposób, bo coś przebiło się przez skorupę jej apatii i też znieruchomiła z dłonią na klamce.

– Co? – Uniosła brwi i, może z winy specyficznego układu mięśni twarzy, także kąciki ust. Bardzo blady i smutny był ten uśmiech, ale właśnie dlatego wkleiłem go do swojego wewnętrznego albumu najładniejszych uśmiechów Jovanki Bigosiak. – No co?

Na co się tak gapisz?

– Nie mamy forsy – zacząłem wyliczać – śpiwora, jedzenia, a tobie podpieprzyli wszystkie ubrania.

– I? – Trafnie odgadła, że wysłuchała jedynie wstępu.

– Będiesz musiała zbierać jagód na kolację, a w nocy zmarzniesz. Zapowiada się kurewsko nieprzyjemne śledztwo. Więc chciałem zapytać, czy nadal cię to interesuje.

Przyglądała mi się długo, próbując zrozumieć, co w mojej wypowiedzi zinterpretowała niewłaściwie. A potem... Właściwie to nic takiego. Po prostu konstelacja dwóch brył martwego żużlu znów stała się parą rozjarzonych gwiazd.

Byliśmy parą coraz bardziej głodnych nędzarzy, więc większą część popołudnia zajęło mi wyszukanie odpowiedniego miejsca na nocleg. W końcu znalazłem – bezładne poletko namiotowe, nie dość, że bezpłatne, to sąsiadujące ze strumieniem, w którym pływały ryby. Zignorowałem chmury nad głową, wyciąłem w zaroślach dwa tęgie kije i właśnie kończyłem przerabianie ich na parę cholernie zabójczych ości, kiedy lunęło.

Porzuciłem swój sprzęt rybacki i umknąłem do namiotu. Zjedliśmy po trzy herbatniki i położyliśmy

się.

Było gorzej niż w Chorwacji. Materac zmókł, trzeba było go wyścielić jednym z koców. Pozostał nam drugi, którym musieliśmy się dzielić. To oznaczało, że śpimy razem. Co z kolei znaczyło, że ja nie śpię, tylko walczę z pokusami. No i cierpię niewygodę: Jovanka co najmniej trzy razy deptała po mnie, wychodząc z namiotu. Niby dobrze, bo dziewczynę biegającą w krzaki co pół godziny łatwiej zaszeregować do kategorii „bynajmniej nie doskonałe”. Ale i tak długo nie mogłem zasnąć.

Przebudzenie nie było przyjemne. Coś chwyciło mnie za kostki, jednym solidnym szarpnięciem wyrwało zarazem ze snu i namiotu, przygniotło do mokrej trawy.

– Nie ruszaj się!

Napastnik używał serbsko-chorwackiego, ale bez trudu go zrozumiałem. Mimo to próbowałem wstać. I dostałem butem w czoło.

– Nie słyszałeś? Leż spokojnie – warknął ten stojący dalej. Zaraz potem oślepił mnie latarką, zdążyłem jednak dostrzec, że jest ich co najmniej dwóch i że ten z tyłu oprócz latarki trzyma coś półmetrowego i połyskującego metalicznie na przedłużeniu ręki.

Facet, który potraktował mnie butem, a teraz przydusił nim do ziemi, trzymał nóż sprężynowy. Nie wiedziałem, czy jego towarzysz przyszedł tu z automatem, czy tylko gazrurką, ale cokolwiek to było, nie mogło być znacznie groźniejsze od dwunastu centymetrów dobrze wyostrzonej stali przy gardle.

Leżałem i czekałem. Trzeba przyznać, że niedługo.

– Gdzie ona jest? – zapytał ten z tyłu, chyba ważniejszy. Światło latarki spenetrowało wnętrze namiotu, a teraz biegało chaotycznie po otoczeniu.

– Nie rozumiem – wymamrotałem po polsku, nie starając się kryć strachu. Pytanie zwiększało prawdopodobieństwo, iż nie padam ofiarą zwykłych łotrzyków. Nawet jeśli śledzili nas wcześniej i stąd wiedzieli, że nie jestem sam, nieobecność Jovanki nie powinna wywołać takiej reakcji.

– Gdzie dziewczyna? – powtórzył wolniej. – Ko-bie-ta.

– Jestem Polakiem. Nie mówię po jugosłowiańsku.

Zacząłem to samo dukać w języku, który przeciętny Polak mógł od biedy wziąć za mowę bałkańskich pobratymców. Za co wziął mamrotanie facet z latarką, nie dowiedziałem się. Nożownik cofnął nóż i trzasnął mnie obcasem w zębra. Na tyle blisko żołądka, że mimo bólu wykorzystałem okazję, zwinąłem się w kłębek i z jękiem przewróciłem na bok. Potem szef powiedział do nadgorliwego pomocnika coś o patrzeniu, czego nie rozumiałem, dopóki nie odszedł, szcękając kurkami. Nie próbowali włamywać się do wozu, nie przeszukali namiotu. Nie przyszedł tu rabować.

Jezu...

– Co robi Bośnia? – zapytał łamaną angielszczyzną ten, który został. Mówił

spokojnie: kucając nade mną z nożem zawieszonym przy gardle i blokując moje przyciśnięte do brzucha ręce lewym kolaniem, miał dostatecznie dużą przewagę, by nie niepokoić się brakiem asekuracji.

– Co robię? – upewniłem się. – Podróżuję.

Przyłożył czubek noża do mojej powieki.

– Może duży ból, może mały. Twoja wybór. Rozumiesz?

– Czego chcecie?

– Informacja. Gdzie dziewczyna?

– Ta, z którą przyjechałem z Polski? – Skinął głową. – Tu jej nie ma. Została w hotelu. Zimno, deszcz...

Wycedził coś, czego nie warto było chyba powtarzać na przyjęciu w serbskiej ambasadzie.

– Ty kłamie, oko nie ma. Rozumiesz?

Cofnął nóż, więc mogłem kiwnąć głową. To wszystko, co mogłem. Człowiek, nawet człowiek guma z nogawkami pełnymi noży i rewolwerów, nie przeskoczy praw biologii i ograniczeń własnego organizmu. Dopóki nie przyjdzie mu do głowy drapanie się nożem po nosie albo nie zdrętwieje źle ustawiona noga, musiałem leżeć i poddawać się biernie wyrokowi losu.

– Adres dziewczyna – zażądał. – Gdzie śpi?

Jąkając się i kalecząc moją i bez tego kaleką angielszczyznę, zacząłem tłumaczyć, że nie wiem, że pensjonat czy coś takiego i że mógłbym co najwyżej trafić tam po raz drugi, a i to nie na pewno. Jeśli zależało im na dziewczynie, uchylałem sobie w ten sposób wążutką furtkę do odroczenia egzekucji: mogli się nie czuć na siłach, by odnaleźć ją samodzielnie w jakiejś prywatnej kwaterze.

Nie byłem pewien, jak głęboko wpadłem. Zjawili się w środku nocy, choć miejsce było ustronne i mogli zrobić swoje wcześniej. To sugerowało, że szukali okazji do spokojnego przesłuchania ofiar. Jeżeli obaj byli takimi poliglotami jak ten mój, to faktycznie potrzebowali sporo czasu. O ile zamierzali rozmawiać ze mną, a polowanie na Jovankę miało być jedynie sposobem na zapewnienie sobie niezakłóconej sesji.

Nie wiem, jak długo nożownik męczył się ze mną, zagadując po serbsku i wysłuchując konsekwentnego polskiego „nie rozumiem”, nim w dole strumienia pojawiło się światło. Mężczyzna z obrzynem wracał równie powoli, jak przedtem penetrował zarośla – chyba do końca nie stracił nadziei. Albo po prostu dmuchał na zimne.

– To ty? – Nożownik udowodnił po raz kolejny, że nie jest amatorem i nie popełnia błędów nieostrożności.

– A niby kto? – Głos dobiegał z odległości zaledwie kilkunastu metrów, a ja nadal nie widziałem nadchodzącego. – Nic. Zajrzę jeszcze do samochodu. Ona musi...

Zrozumiałem wszystko. Oto co znaczy adrenalina.

– On mówi, że została w Doboju. Nocuje w jakimś pensjonacie. Chce nas tam zaprowadzić.

– Oszalałeś?! Nie będziemy ryzykować...

Kwestia miała być dłuższa, ale człowiek z obrzynem jej nie skończył. Trudno się dziwić. Dokładnie w chwili, gdy wreszcie zacząłem go widzieć, coś długiego przemknęło tuż obok jego ucha, minęło nas o metr i uderzywszy o kamień, znikło w ciemności, wywijając nieskładne kozły. Bardziej po dźwięku niż kształcie rozpoznałem solidny kij.

Zaskoczenie było pełne. Facet z latarką machał nią chaotycznie, a kiedy wreszcie trafił w przygiętą w biegu ludzką postać, od razu ją zgubił. Potem zmarnował już tylko ułamki sekundy na ponowne odnalezienie szarej plamy swetra, ale też trochę na dziwienie się.

Był zdziwiony, bo choć ociekające wodą ubranie lepiło się do ciała, włosy lepić się nie zamierzały, wskutek czego pędząca na niego Jovanka promieniowała kobiecością równie silnie jak latarka światłem. Wiedziałem, że dziewczyna jest duża i silnie zbudowana, ale on jej nie znał i przy zwodniczym oświetleniu mógł ocenić jedynie proporcje ciała swej przeciwniczki. Gdyby nie ten pierwszy, prawie celny kolek, który musiał napędzić mężczyźnie stracha, a przede wszystkim drugi, cofający się wraz z ramieniem, właściciel obrzyna chyba nawet nie pomyślał o użyciu broni.

W zderzeniu dwóch instynktów zwyciężył ostatecznie ten silniejszy, krzyczący: „Zabij zagrożenie, przeżyj!”, lecz krótka chwila wahania przesądziła o wyniku starcia. Ona i oczywiście przypadek.

Strzelając z odległości paru metrów, mężczyzna spudłował. To nie śrut, tylko oszczep dosięgnął celu. Ugodzony w okolice prawego obojczyka, Bośniak zatoczył się w nieskładnym piruecie, a jego broń poleciała łukiem pod nogi dziewczyny.

Gdyby w grę wchodził oszczep z prawdziwego zdarzenia, facet byłby pewnie załatwiony. Ale Jovanka rzuciła się do tej wariackiej szarży, mając do dyspozycji jedynie zastrugane scyzorykiem gałęzie, nieudolnie udające prawdziwy oręż, i to przeciw rybom.

Smukłe i niezbyt wytrzymałe ostrze nie poradziło sobie najlepiej przy uderzeniu w cel.

Drzewce ani nie przebiło się na wylot przez bark Bośniaka, ani nawet nie utkwilo w nim na dłużej.

Być może to uratowało mi życie. Zaatakowany utrzymał się na nogach, a atakująca właśnie zdawała się potykać i padać na mokrą trawę. Gdyby padła, kopniak czy skok na plecy zakończyłby walkę. Kolega byłego strzelca tak to zapewne widział i dlatego nie ciachnął mnie odruchowo po szyi, by zabezpieczyć sobie tyły i skoczyć z odsieczą.

Sprężył się i nieco zmienił pozycję, nie pobiegł jednak ani nie wstał. Na sekundę tylko zapomniał, po co tu jest.

Kopnąłem go kolanem w lewą nerkę. Żałośnie słabo. Gdyby nie fakt, że obrócił się nieco i od klęczenia przeszedł do kucania, obejrzałby się pewnie i zapytał ze zdziwieniem, czy czegoś od niego chce. Na szczęście siedzenie na piętach to jedna z najmniej stabilnych pozycji, jakie można przyjąć. Poleciał więc szczupakiem na twarz.

Prawie udało mi się zerwać na nogi. Zdażyłem dostrzec, że Jovanka podrywa leżącą w trawie strzelbę, a mężczyzna z pokiereszowanym barkiem wali się na nią z góry, po czym coś mignęło mi przed oczami i po raz trzeci dostałem butem w głowę. Nogi wpadły w poślizg, łokieć lewej ręki puścił i zwałem się na brzuch z hukiem w czaszce i falą uderzeniową kołącą się po całym kręgosłupie. Tym razem już na wejściu znalazłem się w beznadziejnej sytuacji taktycznej. Bośniak upadł lepiej, zdażył przewrócić się na plecy i zaczął zasypywać mnie gęstymi i ciągłymi ciosami nóg.

Leżał za blisko i starał się dzielić uwagę między mnie a tamtych dwoje. Kiedy w końcu uznał, że lepiej będzie mnie zarznąć, było już za późno. Dopadł mnie od tyłu, opasał ramieniem szyję – i na tym poprzestał, mimo noża, którego czubek czułem na skórze.

Skoncentrowałem się i spojrzałem na Jovankę.

– Rzuć to – wycharczał ten z tyłu. – Bo mu...

Mówił po swojemu, więc nie zrozumiałem końcówki. Nieważne. Sytuacja była jednoznaczna i na dobrą sprawę facet popadał w banał, w ogóle otwierając usta.

Właściciel obrzyna leżał jakiś metr przed szeroko rozstawionymi nogami dziewczyny. Pięknie oblepionymi mokrymi spodniami od dresu, cudownie kształtnymi, i jeszcze cudowniej silnymi nogami, które przybiegły tu, by nieść mi ratunek, i które tak bardzo chciałbym całować do końca życia. Gapiłem się na nie, bo – choć to dziwnie brzmi – z nich właśnie promieniowała duchowa siła dziewczyny. Tak nie stoją ludzie zalęknieni, ludzie przytłoczeni rozwojem sytuacji i pozwalający się nieść nurtowi wydarzeń. Miałem dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że to, co trzyma w rękach, niewiele tak naprawdę zmienia, ale kołatała we mnie odrobina nadziei, że coś bardzo ważnego da się ocalić z tej katastrofy. Ją.

– Nie oddawaj broni – powiedziałem nie za głośno, ale dobitnie. Bośniak trzasnął mnie w ucho, krzycząc coś o zamykaniu się. – Zabije cię, jeśli odłożysz strzelbę.

Tym razem nie oberwałem. Nie miał trzech rąk, nie mógł trzymać mnie, noża i boksować równocześnie. Gdybym choć na parę sekund zdołał pochwycić jego uzbrojoną dłoń, byłby skończony. To znaczy: o ile dziewczyna stanęłaby na wysokości zadania, podbiegła i w taki czy inny sposób przyłożyła mu ze strzelby. Chyba obaj nie wierzyliśmy, by była do tego zdolna.

– Co proponujesz?

Trochę wstrząsnął mną jej głos. Ukrywając się w strumieniu, musiała połknąć jakąś bryłkę spływającego z gór lodu. Ktoś, kto by ją nadal lekceważył jako nieskuteczny dodatek do obrzyna, dowiódłby dużego braku wyczucia.

– Zamknij się! – wrzasnął Bośniak.

– Jeżeli mnie dźgnie – zignorowałem go – poczekaj, aż się odsłoni i podejdzie bliżej.

Dopiero wtedy strzelaj. Rozumiesz? Masz jeden pocisk, nie możesz go zmarnować.

– Cicho! – W głosie nożownika pojawiły się pierwsze nutki bezradnej złości.

Zapatowali się z Jovanką dość skutecznie i wszystko uzależnione było teraz od emocji łączących ze mną dziewczynę. Problem sprowadzał się do tego, czy okaże się zdolna do wytargowania mego życia. Mężczyzna z nożem przemyślał to sobie i powiedział do Jovanki parę zdań, których nie zrozumiałem.

– Nie wiemy, z kim zadarliśmy – przetłumaczyła. – Ale pozwolą nam ujść z tego z życiem. Mamy tylko natychmiast opuścić Bośnię. Mówi, że próbowali się jedynie dowiedzieć, czego tu szukamy. Jak mu powiesz, a ja odłożę strzelbę, to on cię puści i rozstaniemy się w zgodzie. Powtórzył dwa razy, że gdyby im zależało na twojej śmierci, już byś nie żył.

– Chce pogadać? Dobra. Zapytaj, dla kogo pracuje.

Bośniak zaprotestował, nim w ogóle otworzyła usta.

– Ty masz się zamknąć – przełożyła na polski, robiąc mały krok w stronę czy to latarki, czy samochodu. – Bo jeszcze jedno słowo, a poderżnie ci gardło.

– Powiedz mu, że wtedy go zastrzelisz.

Nie powiedziała. Wszyscy doskonale znaliśmy reguły gry, a zabijanie jedynej żywej tarczy daleko poza nie wykraczało. Bośniak nie był jednak całkiem bezradny.

– Obetnie ci ucho – przetłumaczyła Jovanka jego rzucone w pośpiechu słowa. Nadal przemieszczała się wolno, lecz wyraźnie, na swoją lewą stronę. Na razie dało się to uzasadnić tym, że facet, którego potraktowała najpierw ościeniem, a potem, zdaje się, obrzynem, poruszał się i obmacywał głowę. Trudno było winić kobietę i posiadaczkę jedyne naboju, że wołała nie stać za blisko.

Prawa ręka mężczyzny cofnęła się sprzed mego gardła, nóż znad tętnicy zawędrował

nad prawe ucho i znieruchomiał ponownie, trzymany pewnie w odchylonej w bok ręce.

To, co robił, byłoby może błędem, gdyby naprzeciw nas stał snajper antyterrorysta albo jakiś bezmyślny amator strzelania, niespecjalnie przejęty moim losem. Ale w danych okolicznościach trudno było mówić o błędzie. Prawdę mówiąc, i zawodowiec postawiony na miejscu Jovanki nie zaryzykowałby strzału, mając taką broń i choć cień nadziei na kompromis. Dziewczyna trzymała się zdumiewająco dobrze, rozumiała zasady i nie potrzebowała moich rad aż tak bardzo, by warto było prowokować Bośniaka.

Uświadomiłem to sobie jeszcze dobitniej, gdy stanęła nad latarką i podnosząc obrzyn bliżej oczu,

popchnęła ją stopą. Stożek światła ustawił się teraz w naszym kierunku.

Natychmiast przestałem ją widzieć. Bośniak zaprotestował jakąś mocno plugawą klątwą.

A potem rozległ się huk.

Coś smagnęło mnie po skroni, ostrze noża zawadziło o ucho i odleciało w tył, a na policzku poczułem wilgotny podmuch podobny do tego, jaki daje psiknięcie aerozolem.

Lewa ręka Bośniaka odskoczyła do tyłu, zdążyła jednak pociągnąć mnie za sobą.

Wykonałem przewrót przez bark, przetoczyłem się w bok i zerwałem na kolana, gotów do odparcia ataku noża. Niepotrzebnie. Nie byłem pewien, gdzie wylądował nóż, ale dzięki latarce natychmiast dostrzegłem, gdzie wylądowała trzymająca go ręka. Nawet jeśli dłoń nadal zaciskała broń, robiła to w odległości niemal dwóch metrów od reszty Bośniaka. Rozluźniłem mięśnie. Tylko na filmie człowiek, któremu właśnie odstrzelono połowę ramienia, trafiając w łokieć grubym śrutem, może zerwać się i atakować.

W rzeczywistości raczej leży i próbuje nie umrzeć na skutek szoku.

Jovanka też nie zniosła tego najlepiej.

– Zabiłam cię? – wymamrotała, a potem wypuściła dubeltówkę, padła na kolana i zwymiotowała. Miała niezawodne oko tej nocy. Po raz drugi trafiła idealnie –

prościutko w szkło latarki.

– Teraz ty – powiedziałem, opadając na materac. Ułożyliśmy na nim wszystko, co mogło służyć do udzielania pierwszej pomocy oraz wiązania jeńców. Jednoręki przeżył

i nic nie wskazywało, aby w najbliższym czasie umarł z upływu krwi, a jego kolega, związany i zabandażowany podartą bielizną, wylądował w samochodzie.

– Mam się przebrać? – domyśliła się Jovanka. – Ale w co?

Rzuciłem jej dwie lekkie koszulki z krótkimi rękawami, szorty i parę skarpet. Potem uśmiech, trochę przepaszający, ale też odrobinę kpiący. I na końcu jedne z moich majtek.

– Strój na noc – pokiwała głową. – We wrześniu i w górach. Mam w tym iść między ludzi?

– A pójdziemy?

– Usiądź tyłem – zażądała. – A jest inne wyjście?

– Chcieli nas zabić. – Właściwie to się cieszyłem, że się przebiera i mogę patrzeć w drugą stronę. – Możemy skończyć walkę i zakopać ich w jakimś dyskretnym miejscu.

Jakiś czas było cicho.

– Nie powiedziałaś tego poważnie. – W jej stłumionym głosie niewiara mieszała się z osłupieniem. Dałbym sobie uciąć rękę, że zastygła w połowie wykonywanego ruchu i że cokolwiek zdejmowała, musiała wyglądać ładnie. Ale nie dlatego się uśmiechnąłem.

– Oni by nas tak właśnie potraktowali.

– Nie powiedziałaś tego poważnie – powtórzyła twardszym, domagającym się szybkiego zaprzeczenia tonem.

– Jestem żołnierzem. To polega na tym, że robi się przeciwnikowi wszystko, co on usiłuje zrobić tobie.

– Nie w każdej armii morduje się jeńców – poinformowała mnie oschle.

– I tu się mylisz. Żołnierz ma unieszkodliwić przeciwnika. Jeśli nie może odesłać jeńca na zaplecze...

– Zamkną ich – powiedziała nie całkiem pewnie.

– Albo nas. Jeśli oddamy ich bośniackim glinom, to pewnie trafią na starych frontowych kumpli. I wtedy my możemy wylądować w ziemi.

– Mówisz poważnie? – W zasadzie się powtarzała, ale teraz było to przynajmniej pytanie.

– Nie pokażę palcem, kto spodziewał się kuli w łeb za przekroczenie szybkości. Tym razem naprawdę możemy się liczyć z czymś takim. Oni mają za sobą wojnę.

Mój szary sweter plasnął miękko o ziemię. Płomień świętego oburzenia jakoś go nie wysuszył.

– Jest jeszcze SFOR – powiedziała. I chyba usiadła.

– Owszem. Z mojego punktu widzenia najwygodniej będzie oddać tych dwóch.

Wtedy żołnierze poproszą nas grzecznie o pozostanie pod ich opieką do momentu wyjaśnienia sprawy, a zaraz potem zostaniemy zapakowani do samolotu i odesłani do kraju. Problem w tym, że mamy tu coś ważnego do załatwienia. Nie chcę dramatyzować, ale na drugiej szali też leży ludzkie życie. I to nie życie oprycha, który przychodzi nocą i próbuje podrzynać gardła całkiem obcym ludziom.

Spodnie wylądowały obok swetra. Potem coś znacznie lżejszego, dyskretnie rzuconego poza zasięg mego wzroku. Nie spieszyła się. Kiedy kobieta rozbiera się tak powoli w obecności mężczyzny, zwykle nie o to chodzi, ale wiedziałem, że Jovanka po prostu wykorzystuje ten czas na myślenie.

– Dzięki – mruknęła w końcu.

– He?

- Wiesz, o czym mówię – powiedziała jeszcze ciszej.
- Nie mam zielonego pojęcia.
- Nie zrobiłbyś tego. – Wyczułem jej uśmiech. – Nawet teraz. Więc zamknijmy ten temat, zgoda?
- Co znaczy: „nawet teraz”? Co masz na myśli?
- Tylko to, że uratowałam ci życie – odparła. – Nie bój się. Nic więcej.

Nie odważyłem się dalej pytać.

Odnalezienie posterunku okazało się dziecinnie proste: jak biuro westernowego szeryfa stał w samym środku wsi, przy jedynej ulicy. Po trzecim dzwonku za zakratowanymi oknami błysnęło światło.

– Mam nadzieję – uśmiechnąłem się słabo do trzęsącej się obok Jovanki – że nie trafi nam się jakiś nerwus.

Moje nadzieje się ziściły. Szczęknęła zasuwa i w mdłym blasku żarówki ujrzałem trochę zaspanego Mila. Miał na sobie spodnie od dresu, trampki i wymięty podkoszulek.

Przede wszystkim jednak miał rewolwer – staroświecki i ewidentnie nieregulaminowy.

– No proszę – gładko przeszedł ze snu do angielskiego. – Pan Małkosz z klientką.

Nie od Mamy Hagedusić. – Otworzył szerzej drzwi, dając znać, że mamy wejść.

W powstałą szczelinę natychmiast wepchnął się jeszcze bardziej zaspany od pana wielki psi pysk. – Od razu uprzedzam, że nocą też nie biorę łapówek.

Na końcówkę nie starczyło mu już szkolnej angielszczyzny i Jovanka, lizana po gołym kolanie przez Ustasza, musiała znów przyjąć rolę tłumaczki.

– Wymieniliście marki i przyjechaliście zapłacić?

Uśmiechał się, a rewolwer w jego ręce wisiał niedbale przy udzie, ale nie dałem się zwieść pozorom.

– Nie stać nas teraz na mandaty. Ukradli nam wszystkie pieniądze. A jej nawet ubranie.

Przesunął niespiesznym spojrzeniem po odkrytych kończynach, zatrzymując się nieco dłużej na zabawnie kontrastujących z resztą stroju wojskowych butach z opinaczami.

– I przyszliście donieść o kradzieży?

– Nie. O napadzie – wskazałem samochód. – Mamy dwóch rannych. Próbowali nas zabić. Jeden potrzebuje lekarza, a wy tu pewnie macie telefon.

Zerknął na zewnątrz, potem na mnie.

– Nie prościej było podrzucić ich do Doboju? Wiecie, gdzie jest szpital.

Ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy, choć mnie drgnęło sporo i miał po czym poznać, że uchwyciłem drugi sens tego, co powiedział.

– Żołnierze mogliby nas zatrzymać.

– Ja też – pochwalił się. Po czym wsadził rewolwer do kieszeni, przeszedł na drugi koniec pomieszczenia i przez chwilę rozmawiał stłumionym głosem przez telefon.

Jovanka, zwolniona z obowiązków tłumacza, przykucnęła i zaczęła bawić się z psem.

Po dwóch minutach Milo skończył.

– Przykro mi, ale karetka nie przyjedzie. Chyba będę musiał ich sam odwieźć. A was zamknąć. Na noc – dorzucił tonem pocieszenia. – Cóż, skoro to ma być praworządny kraj...

Jovanka przetłumaczyła, ale zaraz potem rozchyliła usta, by zaprotestować. Udało mi się ją uprzedzić.

– Jeśli ma pan suche prycze, to chętnie. Prosiłbym tylko o dwuosobową celę. –

Posłałem szeroki uśmiech, po połowie Milowi i dziewczynie. – Na szczęście nie jesteście przesadnie praworządni, prawda? Tyle da się załatwić?

Popatrzył na Jovankę, odczekał, póki się nie zaczerwieniła, po czym skinął głową.

Udało mi się zasnąć, nim Jovanka przestała się dąsać skrycie i przeszła do fazy pełnych wyrzutu spojrzeń. Nie podobała jej się ani moja błyskawiczna kapitulacja, ani brak wyobraźni, który spowodował, że wyładowaliśmy w celi z jednym tylko kocem.

Uciekłem przed tym w sen i dobrze zrobiłem, choć nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia, dopóki nie obudził mnie szcęk zamka. Do celi wkroczył sierżant Nedić, a ja poczułem, że jest mi ciepło i błogo, bo leżę z kocem na sobie i Jovanką przy sobie.

Inna sprawa, że miałem ochotę zawyć jak wilk na myśl o tym, jaką okazję zmarnowałem.

– Mogę wejść? – zapytał policjant cicho i nie do końca żartobliwie. Stał w progu i przyglądał się twarzy leżącej na boku dziewczyny.

– Czemu nie? – Nie wiem dlaczego też starałem się mówić cicho. Tuliłem się do pleców Jovanki, jej ucho miałem tuż przy ustach. Obudziłby ją nawet mój szept.

– Zastanawiam się, czy w czymś nie przeszkadzam – powiedział powoli, z trudem dobierając słowa.

– W spaniu – wymruczała dziewczyna, nie poruszając się. Milo był jednak bezlitosny i zapytał o coś po serbsko-chorwacku. Nie odwracając się, przetłumaczyła: – Chce wiedzieć, czy tylko to robimy w nocy.

– To nie jest grzeczne pytanie – powiedziałem z wyrzutem.

– Zna pan rosyjski? – zaskoczył mnie i samym pytaniem, i faktem, że zadał je właśnie w tym języku i z całkiem przyzwoitym akcentem. Odruchowo kiwnąłem głową, zapominając o roli pośredniczki, przypisanej Jovance. – Grzeczne może nie –

wykorzystał moją wpadkę, przechodząc na język Puszkina – ale zawodowe tak. Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Pani Bigosiak, pan Małkosz – wzruszył ramionami. –

Chyba nie małżeństwo. Więc kto?

– Mówiłem: pani Bigosiak to moja klientka. – Rosyjski znałem dużo lepiej od angielskiego, ale akurat słowa „klientka” nie mogłem sobie przypomnieć, wobec czego wspomogłem się właśnie angielskim. Od tej pory w sposób naturalny dogadywaliśmy się za pomocą mieszaniny języków obu supermocarstw, z wyraźną, ale nie miażdżącą przewagą tego położonego na łopatkach. – Jestem kimś w rodzaju prywatnego detektywa. –

W tym miejscu znów angielski termin sam wpychał się na usta. – Szukam jej rodziny.

– Pani Bigosiak – powtórzył, smakując wydźwięk tych słów. – Tak do siebie mówicie? Proszę pani, pana?

– Nie śpimy ze sobą – oznajmiła Jovanka o niebo lepszą od naszej angielszczyzną.

I zdołowała mnie do reszty, kończąc po rosyjsku: – Pod jednym dachem tak. A teraz pod kocem, ale nie w ten sposób, o jaki pan pyta.

– Jeżeli zatrzymam panią pod zarzutem zabójstwa – Milo mówił wolno, może z niewiary w jej talent poliglotki, ale raczej dla wywarcia odpowiedniego wrażenia – to co robi pan Małkosz?

– To pytanie do pana Małkosza – wtrąciłem się. – I co znaczy: „zabójstwo”?

Nikogo... – urwałem. – Nie. Niech mi pan nie mówi, że ten facet...

– A jednak – powiedział z chłodną obojętnością. – Ona strzelała, on nie żyje. Jak pan sądzi, co w tej sytuacji powinien zrobić dobry policjant?

Jovanka usiadła jak pchnięta sprężyną.

– Poczekaj – też się poderwałem i czort wie po co, położyłem rękę na jej ramieniu. –

Może źle zrozumiałem... Powiedział pan: „dobry policjant”. Nie „ja”, tylko...

– Nie obrażaj go – syknęła Jovanka.

Milo nie poczuł się jednak obrażony, tylko podszedł do drzwi i wystawiwszy rękę na korytarz, zapalił światło w celi. Wrócił, usiadł na przeciwległej pryczy, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej malutki album zawierający w tej chwili jedną tylko fotografię.

– Pokażę pani pewnego mężczyznę – oznajmił. Potem przypomniał sobie, że są rodakami, i przeszedł na serbsko-chorwacki, więc nie wszystko rozumiałem. Mówił

chyba coś o czasie i o oczach. I groził. Może nie wprost, ale dzięki niedomówieniom, zastąpionym tonem i spojrzeniem, ten kawałek pojąłem najlepiej. Jovanka skinęła głową.

I popatrzyła w dół, na podsunięte jej pod nos zdjęcie.

Po paru sekundach Milo ukrył je, kładąc na udzie. Zdążyłem spostrzec, że nieocenzurowana połówka była wyblakła i ukazywała jasnookiego żołnierza z wyrzuconą w bok i ginącą pod okładkami ręką. Nie studiowałem nigdy umundurowania armii jugosłowiańskiej, ale odniosłem wrażenie, że chłopak nie był zwyczajnym szeregowym z poboru. I jeszcze coś: on i ktoś, kogo poufale obejmował ramieniem, stali na tle minaretu.

Zerknąłem pytająco na Nedicia i dopiero teraz zauważyłem, że niemal przepała wzrokiem oczy Jovanki. Było to najbrutalniejsze spojrzenie, z jakim się w życiu zetknąłem. Nie chciało mi się wierzyć, że nie próbowała się spod niego uchylić, że wytrzymała to niemal fizyczne grzebanie w mózgu.

– O co chodzi? – Poczekałem, aż skończyli.

– Sierżant pytał, czy znam tego człowieka – wyjaśniła po rosyjsku. Sprawiała wrażenie spokojnej. I szczerzej. Widziałem, jak ta szczerłość gasi płomyki nieśmiałej nadziei w oczach Mila. – Ustaliliśmy, że mam szybko spojrzeć na niego i powiedzieć prawdę. Bo kłamstwo rozpozna. A wtedy robi to, co nakazuje regulamin. Pośle nas do bośniackiego aresztu śledczego. Przy czym nie możemy liczyć na wielkie odszkodowanie, jeśli się okaże, że byliśmy niewinni.

– I co, powiedziała prawdę? – zapytałem Mila. Schował zdjęcie, uśmiechnął się krzywo.

– Słyszałem zabawną historię. Do pewnego szpitala przyszła kobieta, żadna staruszka, i powiedziała, że straciła pamięć. Kompletnie. Nie pamięta nawet, kim jest.

Rzecz się dzieje w kraju, gdzie do niedawna za taką niewiedzę trafiało się do ziemi.

A wcześniej pod nóż, papierosa albo pałki. Bo tubylcy byli bardzo ciekawi pochodzenia każdego obcego.

– Skoro pan wie, to po co pan pyta? – wzruszyłem ramionami, schylając się po buty.

– Jovanka odniosła ranę już po wojnie, na polu minowym, i doznała amnezji. Rzadkie, ale się zdarza. No i teraz próbujemy ustalić, gdzie są jej bliscy. Oto cała prawda. Prawie cała – dodałem ucziwie.

– Nic pani nie pamięta? – Jovanka jakby z zawstydzieniem pokręciła głową.

– Kto jest na tym zdjęciu? – zapytałem. Uśmiechnął się grzecznie i zignorował

pytanie. Westchnąłem i spróbowałem jeszcze raz: – Ale ją pan zna?

– Panią Bigosiak? – W twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień, pomijając te służące do mówienia. – Nie, nie znam.

Spasowałem. Obrażanie Mila nie leżało w naszym interesie, a oświadczając, że nie bardzo mu wierzę, mogłem go urazić. Zwłaszcza że nie miałem stuprocentowej pewności, czy tam, na przełęczy, nie oślepiła go po prostu uroda Jovanki. Zaczynał się nowy dzień, a ja patrzyłem na jej smutny, trochę senny profil i zastanawiałem się, jak mogłem tego wcześniej nie dostrzec. Że nie jest ładna czy atrakcyjna, tylko zwyczajnie piękna.

– I co teraz? – zapytała. – Co pan z nami zrobi?

Jego odpowiedzi nie zrozumiałem, ale domyśliłem się treści, kiedy Jovanka zaczęła opowiadać. Ciężko jej szło, zacinała się, a pod koniec jąkała i nawet gdybym nie wychwytywał znajomych słów, domyśliłbym się, że opowiada o incydencie na polu namiotowym. Milo słuchał, nie przerywając. Skomentował, dopiero kiedy skończyła.

– Miał pan szczęście. Nocą, ze strzelby, śrutem...

– Głupota – nazwała rzecz po imieniu Jovanka. – Po prostu byłam pewna, że zabije Marcina, jeśli nic nie zrobię. No więc strzeliłam. – Przez jej twarz przebiegł nerwowy uśmiech. – Pewnie pierwszy raz w życiu. Nawet nie wiem, jak takie coś załadować. –

Posiedziała chwilę, wpatrzona w swe stopy w grubych skarpetach. Przynajmniej ta część mojej garderoby trafiła w jej potrzeby. – Nie pomyślałam o śrucie. Jak to się w ogóle stało, że tylko tamten...?

– Mała odległość – wyjaśnił Milo. – A śrut gruby: duże, ciężkie kulki. Nie rozlatują się tak szybko. Ale w przyszłości nie radzę odbijać zakładników śrutówką. – Zamilkł na chwilę. – Chcę, żebyście mi powiedzieli o sobie. Co robicie w Polsce, jak się poznaliście, co was łączy. Aha, i lepiej by było, gdybyście przedstawili mi to kolejno, na osobności. Wiecie – uśmiechnął się lekko – takie policyjne sztuczki.

– Po co to panu? – zapytałem ostrożnie.

– Wolałbym was wypuścić. Taka jest cena: wolność za szczerość. Chcę mieć czyste sumienie.

Popatrzyłem Jovance w oczy, a potem skinąłem głową.

– Nie podziękowałem ci – przypomniało mi się po przejechaniu pierwszego kilometra. Czyli dość wcześnie, bo choć Milo po bliższym poznaniu robił na mnie coraz lepsze wrażenie, wolałem znaleźć się jak najdalej od jego cel i kajdanek.

- Nie dziękuj. Jechaliśmy na jednym wózku. Gdyby zabił ciebie, zabiłby i mnie.
- Jak ta bomba w tapczanie? – uśmiechnąłem się do wspomnień. Chyba zaczynałem głupieć.
- Wygląda na to, że wyrównaliśmy rachunki. – Też błysnęła zębami. – Teraz muszę jeszcze dać gazem po oczach twojej byłej i będziemy kwita.
- Trudno będzie – przygasilem nieco uśmiech.
- Zmarła? – I tym razem wzięła ze mnie przykład, ale zbyt szybko się nie wysiliła i zrozumiałem, że nie wierzy w uzyskanie odpowiedzi twierdzącej.
- Nie miałem żony.
- Nie miałeś żony? – powtórzyła z lekkim zdziwieniem.
- Słuchaj, nie musisz mnie dołować. I bez tego...

Na jakiś czas dała mi spokój. Maluch, powarkując dzielnie, piął się na kolejne wzgórze, którego niższe partie tonęły w porannej mgle. Między chmurami było sporo błękitu, ale wciąż nie potrafiłem ocenić, czy rozpoczynający się piątek da nam w kość upał, czy deszczem i zimmem.

- Mogę o coś zapytać? Tylko to trochę... osobiste.

Zerknąłem na nią bez zapału, ale w twarzy miała za dużo skruchy i napięcia, bym potrafił posunąć się dalej.

- Najwyżej pokażę ci ten znak palcami. Pamiętasz.
- Pamiętam. Jej znak. – Obejrzałem się w bok, trochę spanikowany. – Właśnie o nią chciałam zapytać. O tę fujarę, nieznającą się na znakach drogowych.

Jakiś czas prowadziłem w milczeniu.

- Dlaczego od razu fujarę? – zapytałem z nikłym uśmiechem. – Bo jej się pomyliło z ustawieniem trójkąta?
- Bo od ciebie odeszła.
- Skąd wiesz, że to ona, a nie ja? – mruknąłem po chwili.
- Mam oczy. Widzę, jak o niej... – zawahała się. I dokończyła z niewesołym uśmiechem: – Jak o niej nie mówisz.
- Zdolna z ciebie bestia. Czerpanie informacji z braku informacji... Chyba cię wezmę na asystentkę.
- Może w ten sposób pospłacam dług. – Zrobiła sobie przerwę. – Jak myślisz, dlaczego nas

wypuścić?

– Pewnie chciał zaoszczędzić na wikcie dla więźniów.

– Pytam poważnie.

– To była prawie poważna odpowiedź. Ci ludzie zarabiają grosze. Dwie dodatkowe gęby do wykarmienia to spore obciążenie dla wiejskiego gliny, który nie bierze łapówek.

– Nie ufam mu. To jego spojrzenie... Ile mu powiedziałaś?

– W zasadzie wszystko.

– Żartujesz... – Nie skomentowałem tej sugestii. – To dlatego ani trochę nie naciskał... Wyśpiewałeś mu całą prawdę.

– Wstydzisz się tej prawdy?

– Nie o to chodzi. On... nic o nim nie wiemy.

– Wiemy, że nas nie wsadził. I nie wydał Polakom. – Odczekałem chwilę. –

Powiedziałaś mu, jak próbowałaś zarabiać na operację Oli?

– A ty powiedziałaś?! – Jej oburzenie wystarczyło za odpowiedź. Pokręciłem głową, co sprawiło, że natychmiast oklapła jak przebita dętka. – Przepraszam. Tchórz ze mnie.

Nie potrafię spojrzeć prawdzie w oczy.

– Nie jesteś tchórzem. To w nocy...

– Myślałam, że poderżnie ci...

– Nie o tym mówię. – Rozchyliła usta, ale trochę wcześniej odgadła, co mam na myśli, więc zamknęła je na powrót. – Na wojnie daliby ci Virtuti za tę szarżę z kijami.

Ale wiesz co? Na drugi raz zdejmij buty. Zwłaszcza jeśli wcześniej wytapiasz się w potoku. Samo mlaskanie mogło go zaalarmować. Bose stopy są bezkonkurencyjne przy podchodzeniu ofiary. – Jej oczy były ciemne, prawie smutne, choć po ustach błąkał

się cień uśmiechu. – Nie tylko przy tym – ni to mruknęła, ni westchnęła. Po czym zmieniła ton na rzeczowy. – Kazałeś nie mówić, że jestem dziwką. Teraz pytasz, czy mówiłam, jak się puszcza. Chodzi ci o coś czy jedynie zmieniłeś zdanie?

W jej głosie nie było pretensji, naprawdę tylko pytała. Pomyślałem, że daleko zaszliśmy. I zaraz potem – że biorę za oznakę życia i zaufania coś, co jest po prostu cechą jej charakteru. Charakteru kobiety, która nie widzi nic złego w handlowaniu własnym ciałem.

– Wolałbym do tego niewracać – też zdobyłem się na rzeczowość – ale to, co powiedziałaś o kolczykach, nie daje mi spokoju. Pomyślałem sobie, że warto pójść tym tropem.

– Chcesz odwiedzać kolejno okolicznych jubilerów?

– Nie. Mamę Hagedusić.

Biuro mieściło się w starej szacownej kamieniczce przy jednej z bocznych uliczek Maglaja, czyli po mużulmańskochorwackiej stronie kordonu. Znudzeni żołnierze zatrzymali nas i w ramach wyrywkowej kontroli sprawdzili, czy w bagażniku nie wieziemy narzędzi do wywołania kolejnej wojny bałkańskiej. Byli z Danii, więc najpierw pomęczyli się trochę z odszukaniem samego bagażnika. Na koniec zapytali, czy na pewno nie zabłądziliśmy i czy wiemy, że po tamtej stronie jest trochę inaczej.

Może było, ale jedyne rzucające się w oczy oznaki owej odmienności stanowiły napisy w łacińskim alfabecie i sporo zielonych plakatów wyborczych, porozlepianych na ulicach. Jovanka, jak przedtem w Doboju, wysiadała i wypytywała ludzi o drogę, a oni, identycznie jak Serbowie na północy, albo ją wskazywali, albo rozkładali ręce, jednakowo uprzejmi, a w większości przypadków nawet uśmiechnięci. Obserwując ich reakcję, wyzbyłem się ostatnich złudzeń dotyczących akcentu dziewczyny. Wyglądało na to, że strony, które tak ochoczo wyrzynały się parę lat temu, nie potrafiły rozpoznać wroga po sposobie mówienia.

Przed dziesiątą dotarliśmy na miejsce. Nieźle, biorąc pod uwagę, że zaczynaliśmy w całkiem innym mieście, zaczepiając nielicznych porannych przechodniów i pytając prosto z mostu, czy nie słyszeli o niejkiej Mamie Hagedusić. Nie miałem serca zwałać tej roboty na barki osamotnionej Jovanki i wyjeżdżając z Doboju, wiedziałem z grubsza, jak ludzie patrzą na alfonsów.

– Tu jest napisane, że to biuro – powiedziała niepewnie Jovanka, odrywając wzrok od eleganckiej tablicy przy wejściu do budynku. – I te samochody... Może to nie tu?

Samochody były faktycznie luksusowe jak na Bośnię, ale tylko trzy. Mimo to parking dorobił się strażnika, który wyglądał, wypisz wymaluj, jak ci dwaj od Harvarda. Dał nam minutę, po czym podszedł i dość grzecznie o coś zapytał.

– Hagedusić – powiedziałem pewnie nie na temat i dodałem w zuluskiej angielszczyźnie: – Chcę się z nią widzieć.

Zmieszał się odrobinę, pomyślał, a na koniec odwzajemnił mi się kameruńską odmianą niemieckiego. Jovanka nie rwała się do tłumaczenia, ale nie musiała nic mówić, by załatwić nam przepustkę do budynku. Ochroniarz obejrzał sobie jej kusy strój, uśmiechnął się domyślnie i wskazał drzwi. Wewnątrz było jak w hotelu: z boku bar, buraczkowe chodniki i numery na drzwiach. Na dwóch klamkach wisiały tabliczki, jakimi posługują się goście niezyczący sobie nagłego wkroczenia pani z odkurzaczem.

Jedynym zgrzytem był widok dziecięcego wózka na półpiętrze. Kiedy go mijaliśmy, podążając za milczącym ochroniarzem, twarz Jovanki upodobniła się barwą do chodnika.

– Miłe na swój sposób – bąknąłem. Udała głuchą, więc ugryzłem się w język i nie dodałem, że zatrudnianie samotnych matek dobrze świadczy o Mamie H.

Gabinet też dobrze o niej świadczył. Antyki, boazeria, kominek pełen bibelotów, książki, a na ścianach i pod ścianami prawdziwa galeria sztuki. Wisiały tu chyba wszystkie dzieła z gatunku „goła baba i...”, jakie wyszły spod pędzli europejskich mistrzów – oczywiście w reprodukcjach. Nieco więcej oryginałów znający się na rzeczy koneser znalazłby wśród rzeźb, z tym że tu dominowała sztuka Indii i Afryki, czyli wymyślnie kopulujące pary i posązki postaci składających się niemal wyłącznie z zakrywanych na plaży części ciała. Biurko z komputerem było w miarę standardowe, ale już zawieszony obok grafik wywarł na mnie potężne wrażenie. Czekaliśmy na gospodynię ładnych parę minut, więc zdążyłem się połapać, w czym rzecz, choć uroczo zaczerwieniona Jovanka uciekła pod przeciwległą ścianę i udawała, że podziwia co śmielsze erotyki. Najbardziej napalony rzeźbiarz kamasutrysta nie mógł się równać z zatrudnionym przez Mamę Hagedusić plastykiem, który za pomocą prostych, niemal ascetycznych ikon skatalogował najwymyślniejsze ze świadczonych pod tym dachem usług. Zresztą nie tylko pod tym: kolorowymi strzałkami zaznaczono sesje wyjazdowe, a ponieważ obok umieszczono adresy klientów, zorientowałem się, że firma jest zasłużona w odbudowywaniu zaufania między narodami Bośni. Jeśli wierzyć grafikowi, tutejsze dziewczyny miały za sobą pracowitą dekadę i sporo wypraw na serbską stronę.

– Jasny gwint – strzeliłem w którymś momencie palcami. – To mi wygląda na naszego orzełka. Zobacz.

Jovanka rzuciła mi mroczne spojrzenie i wróciła do obcowania ze sztuką. Zaraz potem drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczyła pani na tych interesujących włosciach.

Oczekiwałem wielkiej jak szafa baby po pięćdziesiątce. Była niewysoką, szczupłą czterdziestolatką, która w dzinsach i swobodnie wypuszczonej koszuli w kratę wyglądała na młodszą o dziesięć lat, a poruszała się i uśmiechała jeszcze młodziej.

– Aisza Hagedusić – po męsku potrząsnęła moją dłoń, po czym błysnęła amerykańską angielszczyzną i amerykańskim uzębieniem. – Ona nie jest moja, prawda?

Oboje przez chwilę przyglądaliśmy się Jovance. Dopiero teraz zaczerwieniła się tak naprawdę.

– Nie – potwierdziłem – jest moja. Marcin Małkosz.

– O co chodzi, Marty? Co mogę dla ciebie zrobić?

Wyglądało na to, że cała przesiąkła amerykańskością. To mi odpowiadało.

W przełamywaniu pierwszych lodów jankesi są bezkonkurencyjni. Dalej bywa różnie, ale moje ambicje nie sięgały tak daleko.

– Mam nietypową prośbę...

– Bardziej od tego? – pięknie utrzymaną dłoń zatoczyła półkole, wskazując gromady kochających się golasów. – Nie przejmuj się, dobrze trafiłeś. Mam parę albumów. Obejrzyj, coś sobie

wyberzesz. Och, przepraszam... wybierzecie.

Jej uśmiech był trochę żartobliwy i na pewno nie kpiący. Właśnie tak, akcentując swą klasę, ale nie obrażając klientów, powinna się uśmiechać kobieta biorąca setki dolarów za noc.

– Chodzi o to, by pani obejrzała ją – wskazałem Jovankę. Aisza uniosła brwi, ale zaskoczona bynajmniej nie była. Miała oko nie gorsze od odzwiernego i potrafiła oceniać ludzi.

– Ja nie kupuję dziewczyn, Marty. Wręcz przeciwnie.

– Nie chcę jej sprzedać. Chcę wiedzieć, czy nie pracowała w branży... Koniec wojny.

– Męczyło mnie dobieranie angielskich słów, ale nie miałem odwagi zaproponować Jovance, by tłumaczyła. Niektóre z afrykańskich fallusów były i poręczne, i ciężkie, a ona z trudem gasiła gniewne błyski w oczach. – Jesteś tu monopolistką.

W jej brązowych oczach pojawiło się zainteresowanie.

– To żart? – uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie. Miała ciężki wypadek. Straciła pamięć. – Na szczęście przygotowałem się do tej rozmowy i nie potykałem co rusz na brakującym zwrocie. – Nie pamięta niczego sprzed zimy dziewięćdziesiątego szóstego. Ale są podstawy... No, chyba pracowała jako prostytutka.

Jovankę też przygotowałem do tej rozmowy. Miałem nadzieję, że wystarczająco dobrze.

– Jesteś Polakiem, Marty? – Kiwnąłem głową. – Wojskowym? – Jeszcze jedno kiwnięcie. – Mówisz poważnie?

– Po co miałbym kłamać?

Oczywiście nie wiedziała.

– Dlaczego miałabym wam pomagać? – spróbowała z innej strony. – Mężczyźni przychodzą tu wydawać pieniądze. Przysługi to nie moja specjalność.

W jej oczach nie było niechęci. Ludzie lubią niespodzianki, o ile nie są to, dajmy na to, miny przeciwpiechotne. Wyrwałem ją z rutyny, a to się liczyło. Ale czułem, że potrzeba czegoś więcej.

– Teraz nie mamy pieniędzy – powiedziałem cicho. – Może kiedy znajdziemy jej rodzinę... Ale nie mogę obiecać.

Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi.

– Przydałoby mi się dojsście do polskiego kontyngentu. Może w ten sposób...

– Raczej nie da rady – powiedziałem z żalem. Zamilkła, tym razem na długo.

Patrzyła na sterczące z szerokich cholew łydki Jovanki, na rozepchane biodrami szorty i pogniecioną koszulkę, która była z kolei zbyt luźna, by skutecznie zastąpić stanik, skutkiem czego obfite piersi umykały na boki, wołając z dala: „A ona nic nie nosi pod spodem!” Minęło wiele sekund, nim ponownie popatrzyliśmy sobie w oczy.

– Do czego ci to? – zapytała cicho, choć nie aż tak, by przypisać jej chęć zatajenia czegoś przed obiektem naszej rozmowy. – Jej przeszłość – wyjaśniła.

Znalazłem w twarzy Aiszy to coś, czego szukałem.

– Do niczego. Robię to dla niej. Nie dla siebie. Ja... nie ma znaczenia, jak pracowała.

Kim była. Cieszę się, że żyje.

– Na pewno?

– Na pewno – uśmiechnąłem się.

– Aż tak ją kochasz?

Patrzyły na mnie obie. Od dawna, ale dopiero teraz odczułem to tak intensywnie.

– Nie trzeba aż tak. Wystarczy zwyczajnie. – Głupio mówić takie rzeczy, gapiąc się w oczy burdelmami, w dodatku atrakcyjnej jak cholera, ale wolałem to od ryzykowania, iż natknę się na spojrzenie Jovanki. – Nie mówię, że każdy facet... Ale tacy też są.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, a potem, z przyjaznym uśmiechem, zagadnęła o coś Jovankę.

– Ona zna angielski – poinformowałem ją, by samemu nie wypaść z grona dobrze poinformowanych. – Lepiej niż ja.

– No to tym bardziej nie pracowałaś – rozwinęła poprzednią myśl. – Zapamiętałabym na pewno. Masz ciekawą twarz. Nie jest piękna, ale... – bezradnie zakręciła dłońmi. – No, gdyby nie wyszło, masz u mnie posadę.

– Dzięki – odparła wstrzemięźliwie Jovanka.

– Sporo dziewczyn wyprawiłam prosto za granicę; większości bym nie poznała, ale ciebie chyba tak. Duża jesteś – uśmiechnęła się. – Nie wydaje mi się, byś tu pracowała.

– A u konkurencji? – zapytałem rzeczowo. – Albo sama?

– Może inaczej... Dlaczego w ogóle myślicie, że pracowałaś na ulicy? Jesteś chora?

– Nie. – Jak na charakter rozmowy, Jovanka trzymała się znakomicie. – Badałam się.

– Zerknęła na mnie i szybko uciekła wzrokiem. – I przedtem, i teraz, przed wyjazdem.

Jestem czysta. I podobno byłam w przeszłości.

– No więc?

– Nosila biżuterię – uznałem za stosowne pomóc jej pchać ten kamień. – Tam gdzie większość kobiet nie nosi.

– Dużo? – zainteresowała się gospodyni.

– Pięć sporych sztuk – mruknęła Jovanka. I dorzuciła bohatercko: – Po jednej na każdej piersi i...

Na więcej nie starczyło jej samozaparciu, ale Mama Hagedusić nie domagała się szczegółów.

– Sporo – stwierdziła rzeczowo. – Marny gust. Taka przesada nie jest dobra. To było coś drogiego?

– Jovanka kiwnęła głową. – To tym bardziej. Nie miałabym sumienia posłać do pracy dziewczyny, którą warto po wszystkim zabić i obrabować. I mogę ci zaręczyć, że żadna dziewczyna z branży nie ryzykowałaby tak idiotycznie. Chyba że pracowałabyś w takim miejscu – zatoczyła dłonią. – Ale jeśli mowa o okolicy i ostatnich... no, powiedzmy, dwunastu latach, to na pewno nie.

Jej chłodna pewność siebie robiła wrażenie.

– To znaczy – podsumowałem – że nie była prostytutką?

– Na dziewięćdziesiąt procent nie. Te świecidełka... Owszem, była taka moda.

Niektórzy frontowcy fundowali takie coś swoim dziewczynom, żeby nawet w łóżku zaakcentować związki ze światem islamu. Albo po prostu przechować łupy w bezpiecznym miejscu – dorzuciła z uśmiechem. – Dużo złota, bransolety na nogach, rękach... Mehcić miał podobno fioła na tym punkcie.

– Zulfikar Mehcić? – uniosłem brwi. – Sułtan?

– Sułtan – przytaknęła, po czym się roześmiała. – Powinniście wybrać się na któreś z jego spotkań wyborczych i zapytać o to. Już widzę minę Zuka.

– Znać się?

– Z pracy – spoważniała, a potem sposepniała. – Z tym pytaniem to żart. Głupi. Nie zbliżajcie się do niego.

– Dlaczego? Był dowódcą, może sporo wiedzieć.

– O dziewczynach kręcących się przy wojsku? O, to na pewno. Tylko że to nie wiedza na sprzedaż. Nawet – podkreśliła – na sprzedaż. Za darmo możecie dostać po pysku od jego ochroniarzy. A z tobą – uśmiechnęła się niewesoło do Jovanki – zabawią się jeszcze inaczej.

– Były z nim kłopoty? – strzeliłem na oślep. – Zrobili coś złego pani dziewczynom?

– Moje dziewczyny – powiedziała powoli – były Muzułmankami. Przynajmniej te, które im oferowałam.

Skinąłem głową na znak zrozumienia.

– Jeszcze jedno... Jesteś kobietą, Bośniaczką, no i znasz się na tych sprawach... Co mogłabyś nam poradzić? Gdzie mamy szukać śladów dziewczyny, która nosiła takie ozdoby? – Posłałem błagalne spojrzenie Jovance i dodałem: – A potem, już po wypadku, poszła szybko do łóżka z żołnierzem SFOR-u.

Jovanka nabrała do płuc powietrza. To wszystko. Może zrozumiała, że i mnie boli upokarzanie jej, a może tylko nie chciała pogłębiać zawstydzienia.

– Jeśli za darmo – uśmiechnęła się lekko Aisza – to nie pośród byłych prostytutek.

Nie daj się zmylić tą rozmową, Marty. Nie mam z kim odświeżać angielskiego, więc gawędzimy. Ale w tym fachu trzeba brać pieniądze za każdą usługę. Bo to zawód, który krótko trwa i wymaga dużych składek emerytalnych. Nie pomyślałaś, że ten żołnierz powinien ci coś odpalić za wpuszczenie między nogi? – Jovanka energicznie, choć bez śladów oburzenia potrząsnęła głową. – No to albo ci się całkiem w mózgu poprzestawiało, albo nie masz kurewskiego charakteru. Jedno mnie zastanawia...

– Tak? – zapytałem cicho.

– Nie jest najmłodsza. Pod koniec wojny miała ze dwadzieścia pięć lat. W tym wieku kobiecie nie chodzą już po głowie takie głupoty jak kolczyki w sutkach. Nie wiem... –

Aisza potarła czoło z bezradną miną. – Zupełnie nie pasujesz do żadnego schematu, dziewczyno. Dam wam wizytówkę, zadzwońcie za dzień, dwa, może się czegoś dowiem, ale na moje oko... Zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że z tego żyłaś. Masz w sobie coś takiego... No, po prostu bym się zdziwiła.

Podziękowałem. Jovanka położyła już dłoń na klamce, kiedy odezwał się we mnie instynkt detektywa.

– Jeszcze jedno... Jest tu ktoś, kto... pracował u Sułtana?

– Macie pecha. – Jovanka, może chcąc zaakcentować dystans, a może dlatego, że tak robią profesjonaliści, tłumaczyła wszystko dosłownie. Z jej trzymanej na wodzy miny też nie wynikało, czy się do owego pecha poczuwa. – Miesiąc temu jeszcze tu spała.

„Tu” oznaczało jeden z dwóch jednoosobowych tapczaników w skromnie umeblowanym pokoiku na poddaszu. W tej chwili tapczan, zwolniony miesiąc temu, zawalony był damską garderobą i kolorowymi pismami dla pań.

– Słyszałem. Aisza – celowo posłużyłem się imieniem szefowej – wspomniała, że Emina wyjechała do Niemiec. Ale długo mieszkaliście razem. Może opowiadała ci coś o tej górze. Podobno tam

bywała.

Gospodyni raczej nie bywała: wyglądała niemal na kogoś, kto w epoce oblężenia Pecinaca bawił się lalkami w przedszkolu. Nie mogłem się wyzbyć myśli, że rozmawiam z czternastolatką. Sandra – tak się przedstawiła – braki we wzroście, wadze i metryce nadrabiała wielką ilością nałożonych na twarz kosmetyków, więc trudno było ocenić jej prawdziwy wiek.

– To już ostatnia z wojennych dziewczyn. – Jej uśmiechu i skrytych za nim myśli też nie umiałem ocenić. – I tak długo się utrzymała. Miała prawie trzydzieści pięć.

Sądząc z jej tonu, był to już przedsiónek grobu.

– Pecinac – przypomniałem. – Co o nim mówiła?

– Nie za dużo. Że za każdym razem obcierała nogi, bo trzeba było pół dnia po jakichś wertepach... Że raz się posikała ze strachu, jak je Serbowie przez pomyłkę ostrzelali, i to między dwoma polami minowymi. Co tam jeszcze... A, no i że nie było warto, bo chłopcy marnie płacili jak na tyle roboty.

– Tyle roboty? – Miałem wyrzuty sumienia, wykorzystując Jovankę do tłumaczenia, ale gdybym chciał się dogadać z Sandrą sam na sam, musiałbym zamknąć się z nią w pokoju na całe przedpołudnie. Aisza wystawiłaby mi rachunek, a Jovanka – opinię rozpustnego pedofila.

– No wie pan – uśmiechnęła się znacząco. – Pół setki facetów, a one chodziły po dwie, trzy.

– Były tam jakieś kobiety? Może uciekinierki?

– Na górze? No, chyba nie. Emina nic nie mówiła. Ale bywała tylko w głównym obozie, tam gdzie wojsko... Może i gdzieś obok koczowali cywile. – Przez jej oczy przemknął cień. – Moja rodzina też rok w lesie, przy wojsku... a i tak Serbowie babkę i brata... – Mimo wieku była twarda, więc dość szybko na uszminkowane usta powrócił

profesjonalny uśmiech. – W każdym razie za dobrze z babami u nich nie było. Potem Emina chodziła pod tę niższą górę. Dalej się nie dało.

– Glavę? – zaryzykowałem.

– Nie wiem, żadna z nas nie jest z tamtych okolic. Niższa, za szosą. Tyle pamiętam.

Po drugiej stronie była wieś i właśnie w tej wsi, Dubovce czy jakoś tak, Emina spotykała się parę razy z Juką.

Jovanka utknęła na moment z tłumaczeniem, ale i bez tej wskazówki raczej nie przegapiłbym tropu. Mieliśmy ich tak żałośnie niewiele...

– Juka Spahović? Były gajowy?

– A faktycznie! – ucieszyła się. – Zapomniałam. Mówiła, że myśliwy albo ktoś taki...

Napalony facet. Specjalnie do tej Dubovki chodził, przez front, żeby sobie ulżyć. I z Eminą, i z jakąś tamtejszą. Ponoć narzeczoną. Mówił Eminie: ty jesteś do seksu, ona do ołtarza. To był ostry zawodnik. Kiedyś, jeszcze na tej większej górze, Pecinacu, wrócił

zza przełęczy, cały brudny, podrapany, pot aż z niego kapie, a on od razu na Eminę.

„Strzeliłem dwa razy panienkę i raz Serba – mówi – trochę mało na jeden dzień, nie uważasz?” No i tak ją wymaglował, że głowa boli. Ale przynajmniej dobrze płacił.

Potem, jak już całkiem Sułtana obiegli, to właśnie dla niego Emina chodziła do Dubovki.

– Ta wieś jest za przełęczą? – upewniłem się. – I za Glawą, tą niższą górą?

– Nie wiem, tak jakoś zapamiętałam. Ona w ogóle za dużo nie mówiła o wojnie, tylko czasem jak sobie popiła. Zgwałcili ją – wzruszyła ramionami. – Przedtem ponoć była porządna, ale ją w obozie jedenastu Serbów po kolei zerznęło na oczach rodziny i potem już jej wszystko wisiało. Ktoś z bliskich zaczął przebąkiwać, że lepiej by było, jakby ją na koniec litościwie dobili... No to odeszła z domu i trafiła do Aiszy. Taka tam zwykła wojenna historyjka.

– A ta narzeczona... To coś poważnego? – Nie zrozumiała pytania. – Naprawdę chciał się z nią ożenić?

– Skąd mogę wiedzieć – wzruszyła ramionami. – Wszystko, co o niej słyszałam, to że dobrze strzela. – Uniosłem brwi. – Tak kiedyś żartował z Eminy. „Uważaj w tej Dubovce – mówi – bo moja dobrze strzela, a jest cholernie zazdrosna”.

– I nic więcej sobie nie przypominasz?

Zastanawiała się jakiś czas, a potem uśmiechnęła pod nosem i wskazała wetkniętą za ramię lustra fotografię. Przedstawiała ją samą, obejmującą się serdecznie z krótko obciętą, dwa razy starszą kobietą o włosach koloru słomy.

– Chyba nie była blondynką – rzuciła żartobliwym tonem. – Emina zapytała go kiedyś, po cholere mu dziwka, skoro ma we wsi niebrzydki i darmowy towar. Zrobił jej tak – przebiła się rozczapierzonymi palcami przez swą fryzurę – i powiedział: „Dla odmiany”.

Dopiero za miastem przerwałem milczenie.

– Przepraszam. Mnie też to nie sprawiło przyjemności.

– Daj spokój – wzruszyła ramionami. – Ciebie bardziej wymęczyła ta rozmowa.

Nielatwo łągać w żywe oczy. Zwłaszcza takiej lasce jak Aisza.

– Łgać?

– Biedaczka wyobraża sobie teraz, że oto stał się cud i dane jej było poznać faceta przez wielkie „F”. „Co mi tam opinia świata, ważne, że ją kocham”. Trzeba przyznać, że dobry jesteś w te klocki. Ja bym nie wpadła na pomysł, by tak to rozegrać. Nie mam forsy, nie mam dojść, to za co kupuję informację u superdziwki? Za szczyptę marzeń i złudzeń.

Musiałem przemyśleć to, co i jak powiedziała.

– Nie oszukałem Aiszy – oznajmiłem w końcu. – To znaczy... Mówiłem to, w co naprawdę wierzę. I nie przekonywałem, że to łatwe albo nagminne. Ale są faceci, którzy się poženili z byłymi prostytutkami. Wierzę w miłość, i tyle. Jak się wierzy, reszta jest już prostą konsekwencją.

Po paru sekundach gniewnego marszczenia brwi Jovanka uniosła kąciki ust.

– Co teraz? Kiedy już wiemy, że kurewski trop wysechł w dziewięćdziesięciu procentach?

– Pani Bigosiak! – posłałem jej oburzone spojrzenie. – A cóż to za słownictwo? Robi się pani wulgarna!

– Cała ta sprawa taka jest – stwierdziła, podtrzymując jednak uśmiech. – Wszystko kręci się wokół dupy.

– Cóż, jeśli się wgłębić... Cała historia tak się kręciła i kręci. Władza i pieniądze temu jednemu podobno służą. Im więcej masz, tym łatwiej wpadają ci do łóżka najlepsze kobiety.

– Jesteście chorzy. Wszyscy faceci mają nie po kolei.

– Reklamacja tam – wskazałem dach. – Ale to ma i dobre strony. Ktoś spotyka taką Aiszę i już nie potrafi bez niej żyć.

– Teoretycznie masz rację – przyznała niechętnie. – Różne są zboczenia... Ale statystyka jest przeciw nam.

– Wam? – postarałem się o łagodny ton.

– Nie byłem porządną dziewczyną – powiedziała cicho. – Czuję to. Można stracić pamięć, ale charakter... Czasem sobie myślę, że gdyby istniał cień szansy, by jakoś inaczej... Wolami by mnie tu nie zaciągnęli. Czuję, że nie chcę wiedzieć, jaka była tamta dziewczyna. Ale dała sobie zrobić dziecko, więc muszę ciągnąć ten wózek.

– Nie rozklejaj się. – Przypomniałem sobie o czymś. – Z niczym ci się nie skojarzyło to zdjęcie Nedicia?

– Z niczym. Dokąd jedziemy?

– Do rodaków. Chcę się zobaczyć z modrooką Dorotką.

– Faktycznie – przyznała. – Wy na okrągło tylko o jednym.

Nie zobaczyłem się z modrooką. Okazało się, że zostałem ogłoszony przez Olszewskiego osobą mocno niepożądaną, a żołnierzom w ogóle zabroniono się ze mną kontaktować. Klnąc w duchu brak przezorności, czym prędzej odjechałem sprzed bramy.

– Musimy poczekać – wyjaśniłem Jovance. – Cholera, to mogło być niezłe źródło...

– Rozkoszy? – weszła mi w słowo z miną niewiniątka.

– Informacji – dokończyłem z urazą. – Jak jesteś taka mądra, to powiedz, co teraz.

– Może powinniśmy wrócić do tej kliniki.

– Do pogorzelska po klinice – uściśliłem. – No cóż...

– To znaczy do lekarzy – poprawiła się. – Nie powiedziałam ci? Sąsiadka podała jedno nazwisko – dokończyła ciszej.

– Jovanka, ja cię zabiję. To ma być współpraca?

– Ojej, przepraaaaaszam. Naprawdę wyleciało mi z głowy. Wściekłeś się przez tych złodziei, no i... Zresztą to pewnie niewiele da. Wiesz: tajemnica lekarska. A na łapówki nie mamy. – Obejrzała się. – Marcin, widziałeś ten samochód?

– Jaki samochód?

– Taki śmieszny, zielony... Jakby wojskowy.

– Jezu, byliśmy pod koszarami; co w tym dziwnego...? – urwałem, a po sekundzie wdepnąłem z całej siły hamulec. Na szczęście byliśmy w pasach.

– Jasnozielony? – warknąłem. – Ze składanym dachem?

– Zgłupiałeś?! – parsknęła, ale zaraz potem udowodniła, że nie jest typową kobietą, biorącą się do wiercenia dziury w brzuchu w najmniej stosownej chwili. – Zgadza się.

Ten.

Gapiałem się na drogę ze trzy minuty. Bez powodzenia.

– To ważne? – Prychnęła przez nos. – Idiotka ze mnie. Nie pomyślałam... Marcin, ja go widziałam już wcześniej.

– Oboje widzieliśmy – mruknąłem. – Na przełęczu.

– Nie... to znaczy... – zamilkła z lekko rozchylonymi ustami. – Kurczę, masz rację!

Dałem spokój tylnej szybie i popatrzyłem na nią.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze gdzieś go widziałaś?

– Na przejściu granicznym. Tym z Węgier.

Ruszyłem. Jechałem szybko, zerkając w lusterko.

– Nie pamiętasz, kto nim jechał? Ile osób?

– Nie. – Chwila przerwy. – Myślisz, że to przypadek?

– Nie wiem. Cholera... Słuchaj, ja ci też czegoś nie powiedziałem. Jak wczoraj telefonowałem do Dolaty... Niedaleko domu Kurowskiego widziano podobny samochód.

Zrobiła się z tego sprawa o morderstwo, więc policja zaczęła rozpytywać, no i znaleźli jakiegoś chłopaka, który zapamiętał jasnozielony samochód z brezentowym dachem.

Pytał nawet właściciela o markę, ale facet go po prostu olał.

– Boże. – Splotła dłonie na karku i przez dłuższy czas powtarzała moje wysiłki poskładania tego w logiczną całość. Ocknęła się dopiero w Doboju, przed spaloną kliniką. – Nie, nie, nie tu. Poszukaj jakiejś poczty.

– Chcesz wysłać widokówkę Romkowi? – burknąłem. Odnalezienie ulicy kosztowało mnie niemało wysiłku.

– Musimy zdobyć książkę telefoniczną i sprawdzić, gdzie mieszka doktor Bulatović.

Klnąc pod nosem i nie troszcząc się zanadto o dyskrecję, zawróciłem ku centrum.

– Ale numer – jęknęła, gdy udało nam się dopaść jedyną chyba w mieście przedwojenną książkę i odnaleźć doktora, który w nowszych spisach nie figurował. – On mieszka w Maglaju. Nawet pamiętam tę ulicę.

– Ty nic nie pamiętasz – przypomniałem jej ponuro.

– Dzisiejszy ranek tak. Przejeżdżaliśmy tamtędy.

Pół godziny później byliśmy w Maglaju. Doktor Bulatović mieszkał w starej willi otoczonej niedużym ogrodem. I dom, i ogród sprawiały wrażenie zapuszczonych.

O rumianolicym staruszku, który otworzył nam drzwi, w zasadzie dało się powiedzieć to samo. W powyciąganym swetrze, workowatych spodniach i znoszonych kapciach nie wyglądał na lekarza.

– To on – poinformowała mnie Jovanka po krótkiej wymianie zdań ze zdziwionym, ale na szczęście chętnym do rozmowy gospodarzem. – Ty mów, ja będę tłumaczyć.

Zacząłem od wręczenia Bulatovićowi mojej legitymacji i zapewnienia, że mam ważną sprawę.

Oddał mi ją, praktycznie nie czytając. Zostaliśmy zaproszeni do dużego salonu. Umeblowanie pasowało do właściciela: było stare, sfatygowane, ale roztaczało aurę dawnej świetności.

– Jestem prywatnym detektywem – wyjaśniłem, nie będąc pewien, ile usłyszał od Jovanki. – Szukam śladów pewnej kobiety, która prawdopodobnie była leczona w waszej klinice wiosną pięćdziesiątego szóstego.

– U Stojanovicia? – Uśmiech doktora odrobinę przyblakł. – Nie wiem, czy będę mógł panu pomóc. Tajemnica zawodowa obowiązuje lekarza do końca życia. Powinien pan zwrócić się do doktora Stojanovicia. To był jego interes. Ja tam jedynie dorabiałem.

– A gdzie go można znaleźć?

– Po tym, jak mu spalili klinikę, wyjechał do Chorwacji.

– Jeśli mnie dobrze poinformowano – nie patrzyłem na czarnowłose źródło informacji – tamtej wiosny budynek jeszcze stał. Już po zawieszeniu broni.

– Przez wojnę – wyjaśnił – ludzie zrobili się religijni. A dla kapłanów świat byłby lepszy bez ginekologów. Dopóki zwożono rannych, Stojanović był potrzebny, ale potem... Przed wojną – dodał – nikt nie próbował podpalać kliniki.

– Zapytam o okna – zasugerowała nieśmiało Jovanka po chwili niezręcznej ciszy.

Podniosła leżący na ławie długopis i zaczęła kreślić na marginesie gazety. W twarzy Bulatovicia pojawiło się zdziwienie i niedowierzanie.

– Tylko tyle wiecie? Że leczono ją w budynku z takimi oknami?

Skinąłem głową, ponieważzastanawiając się, czy dobrze to rozegraliśmy. Jeżeli uzna za stosowne wykręcić się od odpowiedzi, będzie miał ułatwioną sprawę.

– Jeżeli to było w Doboju, to u nas – zaskoczył mnie mile. – Co jej właściwie dolegało?

– Rana głowy po trafieniu odłamkiem miny i chyba zapalenie płuc, ale to mogło przyplątać się później. – Jak do nas trafiła? I dlaczego akurat do nas? Odniosłem wrażenie, że raczej mnie sprawdza, niż ułatwia sobie odświeżanie pamięci.

– Przywieźli ją polscy żołnierze. A dlaczego... To właśnie jedno z pytań.

– Nie prościej zapytać rodaków?

– Nie prościej. – Dałem mu trochę czasu na podjęcie decyzji i zrozumienie, że nie naciskam zbyt mocno. – Pamięta ją pan?

Zastanawiał się jakiś czas. Może nad tym, czy nie wykorzystać swego wieku i nie ukryć się za słabnącą pamięcią. Inna sprawa, że Jovanki ewidentnie nie rozpoznał.

– Był ktoś taki – powiedział ostrożnie. – Szef się tym zajmował. Raz czy dwa poprosił mnie o konsultację. Głowa – uśmiechnął się – to nie jego specjalność. Interniście do niej bliżej niż ginekologowi.

Dopiero teraz zerknął na Jovankę.

– Może pan o niej opowiedzieć? To dla mnie ważne.

– Domyślam się, skoro przyjechał pan z tak daleka. Ale nie jestem pewien... Do czego panu potrzebna ta wiedza?

– Powiedz mu – szepnęła Jovanka.

Powiedziałem o amnezji, chorym dziecku i nieznanym ojcu, który był jedyną szansą Oli. O tym, kto tłumaczy naszą rozmowę, nie wspomniałem. Jovanka trzymała się dobrze, więc Bulatović niczego się raczej nie domyślił.

– Z jakiego powodu polska armia nie chce panu pomóc? To mi wygląda na czystą sprawę.

– Ale chyba nie jest. Dziewczyna trafiła do prywatnej kliniki. Dlaczego? Szpitale nie były aż tak przepełnione, od dawna nie strzelano. Umie pan to wytłumaczyć?

– Żołnierze NATO krótko tu stacjonowali, mogli się nie orientować w miejscowych układach. – Zawahał się, po czym dodał ciszej: – Albo wręcz przeciwnie.

– Co pan ma na myśli?

– Słyszałem kiedyś o żołnierzach, którzy przywieźli na badania dziewczynę czy może kilka... No, krótko mówiąc, chcieli, by je sprawdzić pod wiadomym kątem.

– Czy nie są w ciąży? – zapytałem naiwnie.

– Czy nikogo nie zarażą. – Umilkł na chwilę. – To dowód, że klinika cieszyła się jakimś rozgłosem i uchodziła za dyskretną. Ona – zmienił temat – naprawdę nic sobie nie przypomina?

– Ze szpitala pamięta wizyty polskiego żołnierza. To chyba nietypowe dla waszej kliniki, prawda?

Pokiwał głową, potem westchnął i trochę pomyślał.

– Nie mówię, że nie potrafię sobie przypomnieć tego przypadku. Zastanawiałem się tylko... No dobrze – westchnął jeszcze raz. – Ma pan rację, u pacjentki stwierdzono ranę głowy z naruszeniem kości czaszki, a także wstrząs pourazowy i ogólne wycieńczenie.

Dziewczyna była bardzo brudna, ale nie wyglądała na zabiedzoną.

– Kto ją przywiózł?

– Nie jestem pewien... Chyba pamiętam trzech żołnierzy...

– Był tam jakiś oficer? – Rozłożył bezradnie ręce. – Nie rozmawialiście?

– A właśnie – przypomniał sobie. – Oficerowie zwykle znają angielski, a z tamtymi trudno było się porozumieć. Ten starszy chyba był sierżantem. Widziałem go tylko wtedy.

To jeden z młodszych odwiedzał pacjentkę.

– Często?

– To już tyle lat... Powiem tak: bywał u niej i wśród personelu mówiło się o tym.

O dziewczynach też.

– O dziewczynach? Było ich więcej?

– Dwie. Tyle że druga szybko znikła z kliniki; może nawet tego samego dnia.

Postrzelono ją w udo. Niegroźna rana, kula nie naruszyła niczego ważnego. Zmieniłem tylko opatrunek i dziewczyna odeszła o własnych siłach.

– Postrzał? Nie odłamek? Jest pan tego pewny?

– Oczywiście. Skoro zapamiętałem, że to kula, widocznie nie miałem wówczas wątpliwości. Była w złej formie.

– Ta z raną uda? – Trochę się pogubiłem od nadmiaru kobiet w tej historii.

A dokładniej: historiach. Bo albo coś źle zrozumiałem, albo z jednej zrobiły się dwie, ciut odmienne.

– Właściwie obie były w marnej kondycji emocjonalnej. Podano im środki uspokajające. Ten podoficer wspominał coś o zaleceniach ich lekarza... a może to Stojanović? W każdym razie sensownie nie dało się z nimi pomówić. Z pana klientką zresztą było tak niemal do końca.

– Co do drugiej dziewczyny... Jak określiliby pan jej stan? – Uniósł pytająco brwi. –

Powinna leżeć w domu czy raczej w szpitalu? A może w ogóle mogła biegać?

– Och, nie... Udo to nie serce, ale... Powiedziałbym: łóżko i od czasu do czasu wyprawa o kulach do ubikacji. Łazienki już bym nie zalecał. Brałem pod uwagę możliwość infekcji. Ona też trafiła do nas brudna i śmierdząca.

– Brudna i śmierdząca?

– To typowe na wojnie – uświadomił mnie.

– Chodzi mi o to, że nie trafiły tu prosto z pola minowego. To znaczy – poprawiłem się – moja

klientka nie trafiła. A o tej drugiej sam pan wspominał, że miała opatrunek.

Lekarze wojskowi to nie rzeźnicy, myją pacjentów.

– Nie wiem, co panu opowiadała klientka, ale to akurat dobrze zapamiętałem. Nie trafiła do nas prosto spod natrysku.

– Zauważył pan u niej coś dziwnego, nietypowego? Dwa razy otwierał usta i dwa razy zabrakło mu przekonania, by pójść o krok dalej.

– Biżuteria – podsunąłem. Chyba odetchnął, choć nie krył zdziwienia.

– Powiedziała panu?

W fotelu obok nie siedziała kobieta. Siedział tam kobietopodobny automatyczny tłumacz. Pewnie dlatego zaszarżowałem aż tak.

– Jest więcej niż moją klientką. Powiedzmy... no, sypiamy razem. Może kiedyś poproszę ją o rękę.

Bulatović uniósł trochę brwi i pokiwał głową. Jovanka nie zareagowała, jedynie troszeczkę pociemniały jej policzki.

– Cóż – gospodarz powiercił się w fotelu. – Więc wie pan, w czym rzecz. Jestem starej daty i głównie to utkwilo mi w pamięci. Może ginekolodzy częściej oglądają takie obrazki.

– Nosila złoto dyskretnie – podsumowałem. – Coś jeszcze?

Powiedział kilka słów, których Jovanka nie przetłumaczyła. Wymienili parę zdań i dopiero wtedy zwróciła w moją stronę wolną od emocji twarz.

– Ma wątpliwości, czy powinniście omawiać te kwestie w mojej obecności.

Wyjaśniłam, że mnie tu nie ma.

Skinałem głową i popatrzyłem na doktora.

– Była mocno posiniaczona. – Mówił, nie patrząc na tłumaczkę, a ona wzięła z niego przykład, rozszerzając zasadę niepatrzenia na wszystkich obecnych. – Stłuczenia były w większości wcześniejsze od rany na głowie. Wyglądało to trochę jak przypadek maltretowanej żony. Miała okaleczone stopy, ale to nie było nic świeżego. Biżuterię założono niedawno; rany, zwłaszcza w okolicach pachwiny, nadal lekko ropiały. Na kostkach i nadgarstkach znalazłem ślady otarć. Biodra zdarte, paznokcie rąk w większości połamane, a całe ciało nasmarowane jakimś tłuszczem, chyba margaryną, który przemieszał się z błotem i krwią. Liczne zadrapania, głównie kolan i łokci, ale też dwa spore rozcięcia na łopatkę i pośladku. Nie wyglądało to na ślady bicia. Kiedyś opatrywałem nad Adriatykiem plażowniczkę, którą fala zmiotła z przybrzeżnych skałek.

Miała podobne obrażenia. Nagie ciało, plus kamienie, plus ruch... Nie potrafię wyjaśnić pochodzenia

skaleczeń wczesną wiosną, ale to już pańska działka. No i na koniec; skoro mowa o ciele, ktoś bardzo niedbale posłużył się maszynką do golenia.

– To znaczy...?

– Na jej miejscu chodziłbym tak – daleko odchylił łokcie. – I szeroko stawiał nogi.

Przepraszam. – To do poblądłej Jovanki. – To nie na kobiece uszy. Chyba powinniśmy postarać się o...

Odczekałem kilkanaście sekund.

– Możemy? – zapytałem cicho. Twarz miała trochę szarą, kiwnęła jednak głową. –

Zapytaj, czy to wszystko.

Rzuciła mi rozzalone spojrzenie, lecz przetłumaczyła, prawie równie płynnie, jak każdą z poprzednich kwestii. To Bulatović się zawahał.

– Nie wiem, czy to ważne... Jej bielizna... to znaczy dół... no, założona była odwrotnie. Na lewą stronę.

– Rozumiem. – Znów dałem Jovance parę sekund. – To było coś stylowego?

Koronki, jedwab? No wie pan...

– Nie. Pamiętam, że zaskoczył mnie widok tych wszystkich kolczyków, bo bielizna była... nie pasowała. Ta kobieta wyglądała... kojarzyła się z seksem. A majtki i stanik miała stare, chyba nawet cerowane. Aha, bielizna też była świeżo pobrudzona ziemią i poszarpana. Nie dam głowy, ale prawdopodobnie była w wojskowym dresie, z kocem na ramionach.

– Koc na ramionach? Nie przyjechała na noszach?

– Przytomną bym jej nie nazwał, ale chodziła.

Następna chwila wytchnienia dla Jovanki. Pomyślałem, że może jej potrzebować.

– Wiem, że to trochę głupie pytanie, ale ile mogła mieć wówczas lat?

Przyjrzał mi się z niedowierzaniem, a potem nieoczekiwanie uśmiechnął.

– Więc to prawda, że miłość zaślepia? No cóż... A co wolałby pan usłyszeć?

– Nie rozumiem...

– Zwykle mężczyzna chętniej żeni się z młodszą. Ale to nietypowy przypadek.

Dojrzała, rozsądna kobieta ma większe szanse podźwignąć się po takich przejściach.

– Chodzi panu...?

– Pewności nie mam, ale to pachniało bardzo brutalną formą gwałtu. Oczywiście spekuluję. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby amnezja miała podłoże bardziej psychologiczne. Ludzie najczęściej zapominają o tym, co chcieliby wymazać z pamięci.

Ta pana narzeczona... Jej sprawność intelektualna nie odbiega znacząco od normy?

Gdybym miał narzeczoną, to pewnie by musiała.

– Jest... bardzo bystra. Mądra – dodałem tym samym, mocno stłumionym głosem.

– Tym większa szansa, że któregoś dnia zacznie sobie przypominać przeszłość. Nie jestem psychologiem, lecz na pana miejscu cieszyłbym się, że nie miała wtedy osiemnastu lat.

– Pytałem o wiek, bo to może pomóc w poszukiwaniach. – Musiałem to powiedzieć.

– Rozumiem. Ale nawet w normalnych warunkach trudno ocenić wiek kobiety, a ona była w kiepskim stanie. Myślę... powiedzmy: od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Na ile wygląda teraz, jeśli wolno spytać?

Ktoś pragnący w tej chwili obrócić moją twarz ku Jovance musiałby użyć buldożera.

– Dobrze wygląda – powiedziałem drętwym głosem. – Bardzo dobrze. –

Odchrząknąłem. – Jeszcze jedno... Ta druga dziewczyna. Co się z nią stało?

– Mówiłem: nie leżała u nas. Chyba odjechała z tymi, którzy ją przywieźli.

– To wszystko?

– Nie. Słyszałem, że zginęła. Chyba któraś z pielęgniarek ją знаła. To raczej pewna informacja.

– Jest szansa...? Gdyby przypomniał sobie pan, która to pielęgniarka...

– Niczego nie obiecuję, ale... Proszę tu wpaść po południu, może wieczorem.

– Jeszcze jedno: nie pamięta pan, jakiego koloru miała włosy?

Oboje sprawiali wrażenie zaskoczonych, ale Jovanka przetłumaczyła pytanie bez większej zwłoki, a on równie szybko udzielił odpowiedzi.

– Czarne. Bardzo czarne. Tak jak pani – uśmiechnął się do dziewczyny.

Podziękowałem ze trzy razy, potem Jovanka porozmawiała z nim przez chwilę, pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

– Nie wyglądasz dobrze.

– Nic mi nie jest – powiedziała chrapliwym półgłosem.

– W bagażniku mam trochę tego spirytusu z tapczanu. Strzel sobie pięćdziesiątkę.

– Nic mi nie jest – powtórzyła, nie potrafiąc wykrzesać z siebie złości. Pokazałem palcem bagażnik i wysiadłem.

Telefon okupowała jakaś gadatliwa mamusia, znudzona pchaniem wózka, więc nim doczekałem się kolejki, Jovanka przemyślała sprawę, wysiadła i chyba nawet zdążyła się lekko wstawić. Przestraszyłem się, by nie przesadziła, ale to nie dlatego po dodzwonieniu się wyrąbałem swoją kwestię w tempie karabinu maszynowego:

– Mówi kuzyn redaktor Kowalak, karta mi się kończy, więc zadzwonię za pięć minut, niech czeka przy aparacie, dzięki! – Odwiesiłem słuchawkę i usiadłem na murku.

Odczekałem minut dziesięć: telefon odbierał szwejk z poboru, a umawiałem się z kobietą. Właściwie powinienem dodać im jeszcze z pięć następnych, ale Jovanka, miotana emocjami, raz po raz pociągała z butelki.

– Podoficer dyżurny...

– To ja, do pani Kowalak. Znalazł ją pan? Mam ważną...

– Już daję.

Jeszcze nie podskakiwałem z radości. W słuchawce równie dobrze mógł się rozlec podszyty ironią głos Olszewskiego.

– Halo? To ty?

– To ja – uśmiechnąłem się do telefonu. – Naprawdę mam mało impulsów, więc krótko: możemy się spotkać? Teraz?

– Gdzie?

– A dokąd możesz się dostać bez pomocy wojska?

– Mam wóz. Czerwona astra.

– To nawet pasuje. Znajdź na mapie wieś Crvena Draga. Tam czekamy.

Wróciłem do wozu, uruchomiłem silnik i sprawdziłem, czy żaden z włączających się do ruchu pojazdów nie jest aby jasnozielony. Dopiero potem zerknąłem na kolana Jovanki i leżącą tam butelkę.

– Wystarczy. Nie upij się. Pilnuj tyłów.

– Mam mocną głowę – mruknęła.

– Słuchaj... nie powinnaś wyciągać pochopnych wniosków z tego, co mówił

Bulatović.

– Na przykład jakich? – rzuciła wyzywająco.

– Nie wiem – skłamałem. – Po prostu widzę, że cię nieźle rąbnęło po duszy. Ale to tylko domysły. Mogło być całkiem inaczej.

– Jasne. Mogłam lubić ostry seks i sama się rzucać w łóżku. Stąd te siniaki. Cholera, szkoda, że jestem taka stara i mi się temperament skończył. Tak bym dogodziła Romkowi, że opchnąłby te zasrane szklarnie i nie byłoby problemu z forszą.

Była duża i na pewno potrzebowała sporo alkoholu, by się dobrze wstawić, ale i butelka nie należała do najmniejszych.

– Jovanka... Słuchaj, jeżeli chodzi o to, że ktoś mógł ci zrobić krzywdę... no wiesz...

Przecież to bez... Nie to chciałem powiedzieć – poprawiłem się szybko. – Pewnie, że to ma znaczenie. Jest straszne dla kobiety. Ale...

– Ale ja jestem kurwą i byle gwałt nie powinien robić na mnie wrażenia? – Nie dopuściła mnie do głosu. – Masz rację. Milion razy myślałam o tej wojnie, co wtedy robiłam i co mi się przydarzyło. I uznałam, że jest duża szansa, że to samo co masie innych dziewczyn. Jak się zawczasu pogodzisz z najgorszym, to potem łatwiej... No i to moje handlowanie dupą też pomogło. Nie obchodzi mnie, czy Bulatović ma rację.

Naprawdę myślałeś, że to dlatego?

– Posłuchaj...

– Z takim wyczuciem psów powinieneś szukać, a nie... Niech cię cholera, Marcin.

Wszyscy jesteście tacy sami. Pieprzenie się – to jedno się liczy. Czy po dobroci, z iloma, ile razy, za forszę czy bez... – Przymknęła oczy. – Gdybyś kogoś zgwałcił z kumplami...

Obchodziłoby cię dziecko?

– Nie pij już.

Nie odzywaliśmy się aż do Crveneje Dragi. Jovanka uchyliła szybę i pozwalała wiatrowi wywiewać z siebie procenty. Patrzyła też w lusterko, ale raczej nie po to, by sprawdzić, czy od traumatycznych przeżyć nie ucierpiała jej uroda. Czulem, że powoli ją odzyskuje.

– Po co? – zapytała dość obojętnie, kiedy zajechałem przed znajomy posterunek.

– Zapytam o tych od dwururki. Może coś już wie.

– Nie ufam mu.

– Ma miłego psa. Nie może być całkiem wredny.

Ustasz był nie tylko miły, ale i czujny: powitał mnie już na ganku, szeroko merdając ogonem. Urzędujący wewnątrz dwaj młodzi gliniarze też starali się być uprzejmi, lecz po paru minutach bezskutecznego przebijania się przez barierę językową ten trochę starszy obraził mnie ciężko, wykonując pełen rezygnacji gest i przechodząc do rozmowy z psem.

Ustasz zwiększył tempo merdania, podbiegł do drzwi i szczeknął na mnie zachęcająco.

Z podejrzeniem robienia z siebie idioty poszedłem za nim.

Z wioski nie zostało wiele po toczących się tu walkach, a to, co ocalało, mocno zarosło.

– To tu? – upewniłem się, kiedy doprowadził mnie do stojącej w krzakach budy.

Ustasz łypnął po bernardyńsku smętnymi ślepiami i wsunął się do wnętrza. Wszedłem ostrożnie za nim. Milo stał przy rozsypującej się ścianie boksu, goszczącej niegdyś jakiegoś dużego czworonoga. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę z przeciwległych stron znanego mi już rewolweru.

– Mam dwie wiadomości – powiedział, nie opuszczając broni i z godną uznania konsekwencją mierząc mi dokładnie między oczy z przestarzałego może, ale wypróbowanego w dwóch wojnach światowych i jednej dużej rewolucji siedmiostrzałowca Nagant wzór 1895. – Dobrą i złą. Która najpierw?

– Jeżeli dobra to ta, że umrę szybko i lekko, to proszę od razu o złą.

– Zła? Proszę. – Prawą ręką wykonał parę kuglarskich ruchów, opróżniając bębenek z naboji, lewą sięgnął za plecy, skąd wyjął o sto lat młodszego glocka. Z pełną premedytacją chwyciłem rzucony mi rewolwer. Z glocka na razie we mnie nie celował, ale wiedziałem, że zacznie, jeśli dopuszczę do uwalania zabytkowego siedmiostrzałowca ziemią.

– Bandyta miał broń – domyśliłem się – a na broni są jego odciski? Jak w amerykańskich kryminałach?

– Za mało ich pan widział. Najpierw się strzela – wskazał rozsypane naboje. – Parę kul w ścianie i glina jest kryty. – Uśmiechnął się. – Bez obaw, nie zabiję pana. To polisa.

Odłożyłem rewolwer na jakąś rozpadającą się skrzynkę i dopiero wtedy przyjrzałem się lokatorowi boksu. Leżał na wznak, a dokładniej: leżało całe ciało od pośladków wzwyż, bo o nogach nie dało się już tego powiedzieć. Obie, związane w kostkach, łączyła z więźbą dachową solidna linka, zaś ręce, związane i wyciągnięte za głowę, przymocowano do kołka wbitego w klepisko.

– Gdyby chciał pan donosić władzom – powiedział Milo, biorąc ze mnie przykład i odkładając broń, tyle że jedynie za pasek – to uprzedzam, że grozi panu oskarżenie o morderstwo. Dokonane za pomocą tego rewolweru.

– Czy to nie jest... – wskazałem wisielca.

– Jest. Dlatego nie wierzę, by te odciski były potrzebne. Zabił mi ćwieka tą sceną.

Nie byłem pewien, czy wdepnąłem w coś paskudnego, czy wręcz przeciwnie.

– Nie odstawił pan ich do aresztu?

– W areszcie dostaliby wygodne łóżko i adwokata, który od razu doradziłby im milczenie. A ja chciałem wiedzieć, kim są i po co na was napadli. Taka niezdrowa ciekawość.

Zerknąłem na jeńca. Mimo nisko umieszczonej głowy był blady i zbyt udręczony, by zadać sobie trud patrzenia w naszym kierunku.

– Bardzo niezdrowa – mruknąłem. – Gdyby ktoś to zobaczył...

– Nie zapytał pan o dobrą wiadomość. – Począł, aż przybiorę odpowiedni wyraz twarzy. – To Muzułmanie. Obaj.

– Co z tego wynika? – zapytałem po chwili samodzielnego roztrząsania tej nowiny.

– Mówi się: „Wróg mojego wroga to mój przyjaciel”. Ci faceci chyba was nie lubią.

Z tego wynika, że ja powinienem lubić przynajmniej pana.

– No... tak. – Zdobyłem się na wysiłek posłania uśmiechu wrogowi moich wrogów. –

A dlaczego jedynie mnie?

– Pani Bigosiak to jeden wielki znak zapytania. On – skinął w stronę jeńca – chyba nie wie, czego od niej chce jego szef. Ale powiedział coś ciekawego. Otóż jej mieli raczej nie zabijać. A pana raczej tak. To was trochę różnicuje, prawda?

– Miał mnie zabić? – Patrzyłem na zamknięte powieki Muzułmanina. – I tak po prostu to powiedział?

– Nie torturowałem go, jeśli o to pan pyta. Wyjaśniłem tylko, że za próbę morderstwa można karać jak za samo morderstwo.

– I tak się przestraszył, że właśnie do usiłowania się przyznał? – Nie próbowałem kryć sceptycyzmu.

– Nie studiowałem prawa – wyznał – więc nie mam gówna zamiast mózgu. Dla mnie mordercę, takiego prawdziwego, z wyboru, należy likwidować. No więc jednego zlikwidowałem. Z tego – wskazał rewolwer. – Zaszokowany?

– Prawdę mówiąc... – Prawda była taka, że nie wiedziałem.

– Pięćdziesiąt lat temu pana rodacy też nie brali bandziorów za ucho, by zaprowadzić na posterunek

hitlerowskiej policji. Strzelali im w łeb albo puszczały wolno. Patrząc na rzecz chłodno, wasze AK dokonywało samosądów i zbrodni wojennych. Widzi pan analogię?

– Powiedzmy, że widzę. Ale inni...

– Wiem. Inni widzą amerykańskie lotniskowce i muszą robić to, co uważa za jedynie słuszne wuj Sam. Ale na szczęście wuj nie jest jeszcze do końca wszechwładny. Żaden satelita nie umie, na razie, zajrzeć tu i zameldować do Pentagonu: „A w szopie starej Obradoviciowej ten skurwysyn Nedić właśnie łamie prawa człowieka, może by tak przetestować na nim naszą nową rakietę?” Od pana zależy, czy ten bydlak wyjdzie za parę tygodni, czy dostanie, na co zasłużył.

Ustasz trącił pyskiem moją bezsilnie zwieszoną dłoń, ale, choć nie było to uczciwe, odmówił mi drapania za uszami. Wpakował mnie w niezły pasztet.

– Jak powiem: „Nie zabijaj”, daruje mu pan życie? – zapytałem cicho.

– Powiem panu coś o współczesnej Bośni. Po tamtej stronie go wypuszczą, nim skończy pan zeznawać. Po tej stronie posiedzi dłużej, ale ponieważ sędziami będą Serbowie, wkrótce zjawi się paru grzecznych panów ze SFOR-u i poprosi, by proces przenieść do Federacji Chorwacko-Muzułmańskiej, bo tutejszy skład sędziowski nie gwarantuje bezstronności.

– O co panu chodzi? Mam pomóc go zabić?

– Ma pan zapomnieć, co tu widział.

– A jeżeli nie?

Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Zabiłem jego kolegę, więc albo teraz zamknę mu usta, albo inni jego koledzy zabiją mnie i przy okazji może moją rodzinę. Nie bardzo mam wyjście. Nie powiem, że podoba mi się strzelanie mu w łeb, ale ostatecznie pana ukochani Amerykanie nic innego nie robią z ludźmi, którzy stanowią dużo mniejsze zagrożenie. Zabij zabójcę – to najstarsza z zasad samoobrony. Nie jestem społeczeństwo, nie mam własnego więzienia, a jak mnie zabiją, to nikt nie weźmie na utrzymanie mojej babki, bratanka i psa. Wiem, kto przysłał

tego faceta, i wiem, że sprawa nie rozejdzie się po kościach. Albo ja ich, albo oni mnie.

Wy stąd wyjedziecie i może dadzą wam spokój. Ja nie mam dokąd jechać. Cała ta kurewska wojna od tego się zaczęła: że ludzie nie mieli dokąd wyjechać z Bośni. Myśli pan, że rznęliśmy się, bo lubimy? Gdyby NATO wydało miliardy na domy i miejsca pracy dla Bośniaków, a nie bomby, albo otworzyło granice, to zaręczam, że ochotników do strzelania wystarczyłoby na tydzień wojny. Umilkł, chyba zakłopotany faktem, że zadryfował tak daleko. O dach szopy zaczęły postukiwać krople deszczu.

– Kto to jest? – zapytałem. – Kto kazał mnie zabić?

Milo roześmiał się z goryczą.

– Musiałem zastrzelić rannego, żeby się dowiedzieć. Myśli pan, że to para gnojków, którzy zaczynają mówić od pogrozenia palcem? – Pokręcił głową. – Tego nie znam, ale o tym bez ręki co nieco słyszałem. Miał na koncie udział w paru pacyfikacjach, w których zginęli serbscy cywile, i co najmniej jedną dziewczynę. Zabrał ją do lasu.

Ciała nigdy nie odnaleziono, więc dla sądu to żaden dowód. Ale tu za taką kartotekę dostaje się kulę i nikogo to nie dziwi.

– Nie powie mi pan?

– A ile jest pan skłonny dać za tę informację?

Przeliczyłem w myśli aktywa. Nie było tego wiele.

– Na pewno nie zgodę na strzelanie w łeb jeszcze i temu – pokazałem boks. – Musi panu wystarczyć obietnica dyskrecji.

– To trochę mało.

– Na tyle mnie stać – wzruszyłem ramionami.

– Cóż – mruknął. – Zasięgnąłem o panu języka. Pytałem o trzech frajerów, którzy wylecieli na minach, próbując łązić po Pecinacu. Nadal uważam, że to było głupie. Ale dowiedziałem się, że ten sam oficer i ci sami żołnierze wcześniej ściągnęli z innego pola minowego dwie krowy i smarkatego pastucha. Bez pomocy śmigłowca, bo padało, i szybko, chociaż chłopak nie był ranny i mógł tam posiedzieć następnych parę godzin.

– To było głupie – przyznałem. – Ale co to ma do rzeczy?

– Może nic, ale co konkret, to konkret.

– To nie było po waszej stronie – zwróciłem mu delikatnie uwagę. – Rodzice tego małego dziękowali pewnie Bogu w meczecie.

– Nie o to chodzi. – Odetchnął głęboko. – Cena jest następująca: nim pan wyjedzie, chcę poznać wyniki waszego dochodzenia. – Po sekundzie wahania skinąłem głową. –

No i fajnie. Ten facet, któremu nadepnęliście na odcisk, nazywa się Mehcić. Zulfikar Mehcić.

– Ten polityk? – Dorota Kowalak otworzyła szerzej błękitne oczy, udowadniając, że mogą być jeszcze większe i bardziej zabójcze.

– Ten polityk. Z plakatów. – Odruchowo wyciągnąłem rękę, ale to była serbska strona i mimo starań przedstawicieli ONZ plakat wydrukowany w niewłaściwym alfabecie wisiał na ścianie tak długo, jak długo obok stał wojskowy posterunek.

– Znam go – przyznała modrooka. – Ale nie rozumiem...

– Ja też – wyznałem. – To jedynie przeczucie. Gdyby umówiła się pani z nim w jakimś odpowiednim miejscu, darowałbym pani ten artykuł.

– To w końcu kto miałby z nim rozmawiać? Ja?

– Pani. My bylibyśmy milczącym dodatkiem. To znaczy ja, bo Jovanka... –

obróciłem się w fotelu, chcąc przyjrzeć się nieco dokładniej plamie mroku zajmującej tylne siedzenie. Od momentu pojawienia się Doroty wiało stamtąd zdecydowanym chłodem.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Błękitne oczy jeździły między nami spojrzeniem.

– Skoro mam pomóc, powinnam chyba coś wiedzieć.

– I ja także – rzuciła przez zęby Jovanka.

– On może cię znać – wyjaśniłem zwięźle. – Chcę zobaczyć jego reakcję, kiedy pani redaktor przedstawi cię jako swoją tłumaczkę.

– Może po prostu Dorota – uśmiechnęła się słodko Cudowna Dwudziestka. – Skoro razem spiskujemy... Ale nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. Raz, że właściwie go nie znam, a dwa, że to polityk. I nie jest zwyczajnym facetem. Można się przestraszyć.

Podobno w czasie wojny...

– Wiem, o czym mówisz – przerwałem jej łagodnie.

– Pani redaktor ma rację. – Jovanka dyskretnie, lecz jednoznacznie podkreśliła zdystansowanie od zażyłości z panią redaktor. – Stracimy tylko czas. Nawet mu powieka nie drgnie.

– Zawsze możesz się mylić – pocieszyłem ją. – Jak zobaczę, że ma problemy z okazywaniem uczuć, postaram się go rozruszać. Redaktor Małkosz, spec od chamskich pytań wprost. – Uśmiechnąłem się do Doroty. – To mu pewnie nic nie powie, ale mogłabyś mnie przedstawić jako kolegę z „Nie”.

Roześmiała się. Jovanka, pewnie z przekory, wykrzywiła pogardliwie usta.

– Problem w tym, że miejsce musi być publiczne.

– Myślisz...? – uśmiech Doroty nieco przygasł.

– Bez obaw. Sama powiedziałaś: to zimny gracz. Nie zrobi niczego głupiego.

Zastanawiała się. Niepokoiło mnie, że spogląda przy tym i na Jovankę. Prawie otwarta wrogość w brązowych oczach nie zachęcała do narażania się facetowi pokroju Sułtana.

– Jeżeli mam to zrobić – powiedziała powoli – to nie za darmo.

– Ta dzisiejsza młodzież... – westchnąłem. Jovanka posłała mi kose spojrzenie.

– Ciekawość to mój zawód. Chcę wiedzieć, co tu robicie.

– Wszyscy chcą wiedzieć, co tu robimy – poskarżyłem się. – Chyba dam sobie spokój z tą robotą i napiszę książkę.

– Mógłbyś najpierw spytać – zasugerowała Jovanka lodowatym tonem – czy wyrażam zgodę.

Przez sekundę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Ty zgarniasz honorarium – próbowałem ją udobruchać. – Nie zapominaj o tym.

I trochę mi zaufaj.

Przewietrzyła mocno płuca, dzięki czemu stwierdziłem, że moja koszulka wcale nie jest taka luźna z punktu widzenia ukrytych pod nią piersi. Odwracałem wzrok ku wyraźnie mniejszym pagórkom nie bez pewnego żalu.

– Zgoda. Po wszystkim dowiesz się, czego szukaliśmy.

Zerknęła do tyłu. I skinęła głową.

– Jak on się tego dowiedział? Po prostu mu powiedzieli?

W głosie Jovanki niedowierzanie górowało nad strachem. Nadal sprawiała wrażenie obrażonej, ale wolałem to od rezygnacji czy płaczu.

– Powiedział – poprawiłem. – Nie zapominaj, że rano był już tylko jeden. Drugiego, jak twierdzi Milo, uśmierciłaś.

– „Jak twierdzi” – zacytowała z przekąsem. – Nawet ty mu nie wierzysz. Obaj z Sułtanem są siebie wari, a ty jednego się boisz, a drugiego traktujesz prawie jak mnie.

Bądź konsekwentny.

– Mehcić to polityk, czyli facet z definicji nieuczciwy, a Milo nie bierze łapówek.

I nie traktuję go jak ciebie. Masz ładniejsze nogi.

Głośno wypuściła powietrze, prawie jak przegrzany kocioł.

– Wyhamuj trochę – mruknęła. – Jej już tu nie ma.

Wyhamowałem, tyle że dosłownie, na widok zasieków przydrożnego punktu kontrolnego. Był jeszcze daleko, ale wolałem pokonać ten dystans grzeczną czterdziestką.

– A co ma do tego Kowalak? – zapytałem prawie szczerze.

– Przecież widzę, jak na nią patrzysz.

Pozostała ostentacyjnie z tyłu, choć fotel obok mnie od dawna świecił pustką.

– Jak na nią patrzę? Jak na źródło informacji, a niby jak.

– Nie musisz się tłumaczyć. Już uzgodniliśmy, że to świetna laska.

– Jak mam to rozumieć?

– Ja mam cię uczyć polskiego? Świetne laski to te z nogami do...

– Czasami zachowujesz się jak stara, nudna żona.

– Bo jestem stara i jestem żoną. No to się zachowuję.

– Nie dam ci więcej alkoholu.

Nie wziąłem tego z powietrza. Kiedy wróciłem z szopy, w butelce było trochę mniej spirytusu. Może właśnie dlatego trzymała się tylnego siedzenia.

Zatrzymałem fiata przy nieco zakłopotanym kapralu.

– Pan Małkosz? – skinąłem głową. – Przykro mi, ale nie może pan przejechać na muzułmańską stronę.

– Co? – szczeka mi trochę opadła.

– Taki dostaliśmy rozkaz. Wszystkie posterunki. Nie wiem, o co chodzi – rozłożył ręce.

Chyba naprawdę było mu przykro, bo stał obok, gotów udzielać wszelkich możliwych wyjaśnień. Czyli powtarzać, że nie wie, co strzeliło do głowy jego dowódcom.

– U kogo mógłbym interweniować? Macie tu radio?

– Lepiej niech pan jedzie – powiedział cicho, pochylając się nad okienkiem. – Mamy pana zatrzymać, gdyby próbował pan za dużo dyskutować albo co...

Wybąkałem podziękowanie i wrzuciłem wsteczny, kiedy Jovanka chwyciła mnie za ramię.

– Zobacz!

Z naprzeciwka, raz po raz migając między drzewami, nadjeżdżało coś jasnozielonego. Za szybko, bym mógł marzyć o dyskretnym odwrocie. Zawróciłem, ale trochę zbyt nerwowo: omal nie zaliczyliśmy obu przydrożnych rowów.

– Spokojnie – usłyszałem dziwnie łagodny głos Jovanki.

Wrzuciłem luz i wychyliłem się przez okienko.

– Panie kapralu!

Nie spiesząc się, zawrócił spod drzwi piaskowo-workowego bunkra. Kierowca zielonego ARO z brezentowym dachem też się nie spieszył: zaczął zwalniać, nim wóz wytoczył się na ostatnią prostą, co sugerowało, że nadjeżdżający wiedział o czekającym za zakrętem punkcie kontrolnym.

– Sprawdźcie ten wóz – wskazałem ręką. Kapral wytrzeszczył na mnie oczy.

– Słucham?

– Sprawdźcie go. Dokładnie. Szeregowy! – huknąłem w stronę chłopaka na pół

śpiącego przy karabinie maszynowym. – Uważajcie na tych facetów! Mogą być uzbrojeni!

Erkaemista, gwałtownie poderwany z osłoniętej workami ławeczki, z rozpędu szczęknął zamkiem, za jednym zamachem wprowadzając nabój do komory i nerwową atmosferę na całym posterunku. Powinienem wsiąść, wrzucić bieg i oddalić się jak każdy rozsądny intrygant, napuszczający bezzasadnie jednych na drugich. Problem w tym, że kiedy samochód podjechał bliżej, udało mi się dokonać kluczowego odkrycia – ARO

wiózł tym razem więcej niż jedną osobę. Poza ciemnowłosym czterdziestolatkiem przy kierownicy podróżowało nim jeszcze dwóch mężczyzn, młodszych od kierowcy, jak on nieogolonych i ubranych w stroje bardziej drwala niż urzędnika, niebudzących zaufania w miejscach takich jak bośniackie pogranicze. Kapral wysadził całą trójkę, ustawił

z boku, gdzie w razie konieczności można ich było łatwo skosić jedną serią, a sam z jednym podwładnym zabrał się do przeszukiwania wozu.

Armia mnie raczej nie lubiła, ale na tę armię składali się moi byli koledzy – a żaden rozsądny podoficer nie będzie nadgorliwie tępił dawnego kumpla swego dowódcy.

Kapral podporządkował się więc dla świętego spokoju mojej zachciance. Kierowca ARO

nie od razu zdecydował się skrzyżować spojrzenie z moim, za to kiedy już to zrobił, w ciemnych oczach wyczytałem wyrok śmierci. Gdzie indziej odebrałbym to jedynie jako wyzwanie. Ale byliśmy tu i teraz i wiedzieliśmy o sobie co najmniej o jedną rzecz za dużo.

– Jeżeli mają kable w bagażniku – powiedziałem, nie spuszczać wzroku z kierowcy

– to sprawdźcie, czy to na pewno kable. Ten facet lubi bawić się lontem.

Zignorowałem pytające spojrzenie kaprała, zerknąłem przełomie na obu pozostałych pasażerów terenówki i odjechałem. Nikt nie próbował nas zatrzymać. Jovanka też milczała. Może nie chciała

przekrzykiwać się z silnikiem, z którego wycisnąłem wszystko, co potrafił znieść.

– Rozleci się. – W końcu musiała zareagować. – Nie wspomnę o benzynie.

– Żołnierze niczego nie znajdą – powiedziałem ponuro.

– To po co ich napuściłeś?

– Chciałabyś spotkać tych trzech na pustej drodze? Bo ja nie.

Skinęła głową. Nie wyglądała na przestraszoną bardziej, niż tego wymagała jazda setką samochodem takim jak mój.

– On wie – powiedziała. – Wie, że ty wiesz o nim.

– A ja wiem, że on wie, że ja wiem – burknąłem, zdejmując nogę z gazu. – I co z tego wynika?

– Że musimy uciekać? – zaryzykowała.

– Nie wiem, tak tylko zapytałem... Ale zgubić go musieliśmy. Na szosie chyba jesteśmy w miarę bezpieczni za dnia. Spory ruch – wskazałem nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę. – Ale jak wjedziemy w las...

– Chcesz mnie zabrać do lasu? – zmusiła się do słabego uśmiechu. – Jakie to miłe.

– Nie nastawiaj się na przyjemności.

– Tak, wiem... Mężczyźni wolą blondynki.

Zerknąłem na nią z ukosa. Błąkający się po obrzeżach ust i oczu uśmiech wydał mi się mizerny. W ogóle wyglądała na zmęczoną.

– Blondynki mają dostęp do informacji, więc mężczyźni muszą być dla nich mili –

powiedziałem cicho. Mogłem sobie na to pozwolić: jechaliśmy dużo wolniej, a kiedy przedstawicielka pokrzywdzonych przez los brunetek rzuciła mi pełne niedowierzania spojrzenie, skręciliśmy w leśny dukt.

– Po co mi to mówisz? – Wpadliśmy w pierwszy wybój i omal nie odgryzła sobie języka. – To twoja sprawa. Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Ja na przykład też wolę blondynów. Pewnie od zawsze, sądząc po Oli.

– Jako dziecko zdecydowanie byłem blondynem – pochwaliłem się. I już poważnie dodałem: – Właśnie tak musisz o tym myśleć. Że ty ich, a nie oni ciebie.

Paroma głębokimi jak transeje dziurami nie dało się wytłumaczyć tak długiego milczenia.

– Nie musisz mnie pocieszać – wyrzuciła z siebie wreszcie.

– A jeśli chcę? Choćby po to, by nie stracić klientki?

– Mówiłam ci: nie jestem z cukru. Nie rozpuszczam się od byle kubła zimnej wody.

Jeżeli myślisz, że to, co mówił Bula...

Kolejna dziura dostarczyła jej pretekstu do zakończenia rozmowy. Może trzy, a może pięć kilometrów od szosy dukt ostatecznie zrezygnował z aspirowania do roli szlaku kołowego i rozmył się na skraju pofałdowanej przestrzeni, porośniętej trawami.

Wysiadłem i rozejrzałem się. W blasku wychylonego zza chmur słońca otoczenie cieszyło oko nieprawdopodobnym przepychem soczystej zieleni, z którą kontrastowała zamglona, podszyta błękitem czerń odległego lasu na wschodzie. Bliżej rządkiem oszlifowanych wodą, białych głazów zdradzał lawirujący w poprzek łąki strumień.

– Po co tu jesteśmy?

Na tle potężnych sosen i świerków sprawiała wrażenie maleńkiej leśnej nimfy, zdolnej przemykać przez gąszcz bez strącania kropel rosy z iglastych gałązek. Jakiś zbłąkany promień słońca przedostał się przez labirynt omszałych pni, ozłacając nagie łydki i uda delikatną aureolą. Przynajmniej tu, na granicy lasu i łąki, trawa była sucha.

Gdyby rozłożyć na niej koc...

– Za tamtym lasem na wschodzie jest Jeżynowa Górka. Pamiętasz Błażejskiego?

Powinien tam teraz być.

– Trochę daleko – oceniła. – Samochodem się nie da?

– Nie od serbskiej strony. Ale nie w tym problem. Kiedy ostatnio odwiedzałem te strony, łąki były pełne min. Masz dobre oczy?

– Nie narzekam. To białe w zaroślach... Czy to przypadkiem nie...?

– Owszem. Szkielety krów. Tyle że nie kości w krzakach, ale krzaki, które wyrosły na kościach. Podobno Serbowie puścili tędy na zwiady całe stado, a potem od razu poszli do ataku.

– Ten twój Błażejski wart jest aż takiego ryzyka? – W jej pytaniu rzeczowości było więcej niż zdumienia czy wywołanej moją głupotą złości.

– Nie aż takiego – wzruszyłem ramionami. – Wiem, których miejsc unikać.

– Mam nadzieję. Cholernie się naszarpiesz, jeśli urwie mi nogę i będziesz mnie musiał taszczyć.

– Za stary jestem na noszenie takich dużych dziewczynek. Ty zostajesz.

– Idę z tobą – zapewniła spokojnie.

– Wykluczone.

– Są dwie możliwości – poinformowała mnie. – Albo przejdiesz, a wtedy i ja przejdę, albo nadepniesz na minę. Wtedy nie dasz rady zwlec się z tej łąki, a może nawet założyć sobie opatrunku. Lepiej, żebym była wówczas blisko ciebie.

– Jasne. Nie ma lepszego środka dezynfekującego niż babskie łzy. Wybij sobie...

– Nie będę płakać, jak ci coś urwie. Od tego masz Dorotę.

– Zostajesz tutaj – rzuciłem twardym jak stal tonem.

– Zaczynj lepiej myśleć, zakichany rycerzu. Chcesz mi oszczędzić ryzyka? Proszę, mnie też się nie spieszy do robienia z Oli sieroty. Ale pomyślałeś, co będzie, jeżeli naprawdę wleziesz na minę?

– Jestem saperem. Nie wleżę. A ty tu poczekasz.

– No to inaczej: myślisz, że jak usłyszę huk i zobaczę cię wylatującego ślicznym łukiem w niebo, to co zrobię? Powiem „ojej” i odjadę? – Dopiero teraz poczerwieniała i prawie wykrzyczała końcówkę swego wywodu: – Ty kretynie, przecież będę musiała po ciebie biec, i to najkrótszą drogą! To nazywasz zapewnieniem kobiecie bezpieczeństwa?!

W dupę sobie wsadź taką troskę!

Na wszelki wypadek odstąpiłem o krok. Była nienormalna. Histeria i krzyki to naturalna reakcja kobiety na pomysły takie jak mój, ale ona nie wybuchła dlatego, że poinformowałem ją od niechcienia o wycieczce po polu minowym. Dopiero ogłaszając listę wycieczkowiczów, wytrąciłem ją z równowagi.

– Muszę z nim pogadać – łagodziłem.

– Nie płacę, więc trudno mi wymagać. – Przy wygłaszaniu takiej kwestii mogłaby bardziej spuścić z tonu. – Ale gdybyś znalazł chwilę i wtajemniczył mnie w swoje plany...

– Planu to za mocne słowo... Naprawdę będziesz mnie ratować, jeśli...?

Jej spojrzenie wystarczyło za odpowiedź. Przyniosłem po prostu apteczkę.

– Mam iść po twoich śladach? – upewniła się.

– Dokładnie po śladach, a nie po prostu po śladach. Jasne? – Skwapliwie pokiwała głową. – I cztery kroki za mną. W trawie nie pozostaną odciski stóp, więc musisz zapamiętywać miejsca. – Jeszcze jedno kiwnięcie. – Jesteś rąbnięta, wiesz?

Posłała mi leciutki uśmiech. Podniosłem z ziemi upatrzony wcześniej kij i ruszyłem bez pośpiechu.

– Większość min ma w sobie choć odrobinę metalu – mówiłem cicho. – Statystycznie biorąc, większość można dzięki temu znaleźć za pomocą wykrywacza. Błazejski to saper, a Jeżynowa Górka ma na stanie wykrywacz indukcyjny i resztę sprzętu. To pierwszy powód. Może uda mi się coś wypożyczyć.

– Idziemy przez pole minowe, by pożyczyć sprzęt do przechodzenia przez pole minowe? – upewniła się.

– Wiem, jak to brzmi. Ale to tutaj to najmniej groźny rodzaj pola minowego.

– Miło słyszeć – zakpiła. Bała się, ale jej strachowi daleko było do paraliżującego.

Szedłem powoli, stawiając długie kroki. Od czasu do czasu zatrzymywałem się i za pomocą kija sprawdzałem zbyt bujne kępy traw.

– Pewnie ci się to nie przyda... – Mówiłem tak, jak chodziłem, czyli swego rodzaju krótkimi skokami, przerywając za każdym razem, gdy zaczynałem się przemieszczać. –

Na takiej patelni trzymaj się miejsc odsłoniętych i położonych wyżej. Minuje się te kawałki przedpola, których nie można ostrzelać. Nigdy nie wchodzić do rowów, niecek i temu podobnych. A na polu uważaj na druty odciągowe, a nie na to, co pod ziemią.

Jedna mina odłamkowa może położyć pół drużyny, a reaguje na szerokości parunastu metrów.

Zatrzymałem się przy kupce krowich kości. Leżały w głębokim leju. Zakląłem bezgłośnie i obejrzałem się przez ramię. Jovanka, zgodnie z zaleceniem, stała w szerokim wyroku równe cztery kroki za mną. Wyglądała dość zabawnie, ale nie było mi do śmiechu.

– To nie moździerz – powiedziałem trochę za cicho. – Widzisz tę dziurę? Ktoś zakopał minę przeciwpancerną, ale dał zapalnik od przeciwpiechotnej. Krowy nie są aż tak ciężkie...

– Czyli nie tylko na druty musimy uważać – podsumowała.

– Nie tylko. – Odczekałem chwilę. – W razie czego wracaj po śladach.

Stawiając stopę w kolejnym miejscu, starałem się zmiażdżyć i połamać jak najwięcej traw. Jovanka dyskretnie poprawiała po mnie, ale nie wierzyłem, byśmy wracając, odnaleźli choć połowę śladów. Przy strumieniu przypomniało mi się, że nie do końca wytłumaczyłem się ze swych ekscesów.

– Błazejski był tu w tym samym czasie co twój mąż – wyjaśniłem w trakcie krótkiego postoju. – Potem wyjechał, podpisał kontrakt, później znów tu trafił. Może pamiętać coś, co nam się przyda. Koszarowa plotka, wiesz. No i byłby niezłą wtyczką w obozie.

Strumyk nie był szeroki, ale nie chciałem ryzykować skakania w błoto. Szturchnąłem sterczący ze środka nurtu kamień. Nie eksplodował mi w twarz, przeszedłem więc po nim, nie mocząc nawet

podeszew. Zatrzymałem się i wyciągnąłem rękę.

– Poradzę sobie – zapewniła Jovanka. Cofnąłem dłoń. Nie traktowałem tego jak okazji do dotknięcia kawałka kobiecego ciała. Było ślisko, ona była moją podopieczną.

Za bardzo denerwowałem się czyhającą wśród traw śmiercią, by myśleć o głupstwach.

Aż do momentu, gdy stopa Jovanki osunęła się nagle w tył, a ona sama poleciała w moje objęcia. Gdybym nie był saperem, pewnie bym ją przytrzymał, ale w podświadomości siedział mi głęboko zakaz pochopnego przestawiania nóg w podobnych miejscach. Niemal mi się udało. Wprawdzie runęliśmy w trawę, ja na plecy, Jovanka na mnie, ale przynajmniej pięty moich stóp pozostały tam gdzie przedtem.

Grzmotnąłem o brzeg. W tej chwili byłem bardzo męski i zdecydowanie wolałbym oberwać blondynką. Przez pierwsze sekundy huczało mi w głowie.

– O Boże. – Potrzebowała paru chwil, by to wyszeptać. – Tak cię przepraszam... Ja...

Dotknąłem jej policzka, tuż przy ustach. Miała tam delikatne jak pajęczyna załączki zmarszczek i jeszcze trudniejszą do wychwycenia wypukłość, oddzielającą policzek od bladego różu warg. Pomyślałem, że to znakomite miejsce i że można je traktować jak policzek podstawiany do niewiele znaczącego pocałunku, czerpiąc zarazem przyjemność bliską tej, którą oferują usta. Poczułem ciepło jej skóry. Smaku już nie. W swoim za lekkim na taką pogodę ubraniu nie miała szans się spocić, kosmetyki też przypadły złodziejom, a ja nie odważyłem się na nic poza dotykaniem wargami jej policzka. Mimo wszystko oszołomiła mnie własna odwaga.

Ją też coś musiało oszołomić. Kiedy opuściłem głowę i zdjąłem dłoń z zeszywniałej szyi, twarz Jovanki opadła powoli, ocierając się aksamitem policzka o mój szorstki zarost. Leżała z nosem wtulonym w mój obojczyk, łaskocząc mnie włosami w ucho i oburącz przytrzymując się mych ramion. Była strasznie ciężka, strasznie ciepła i strasznie miła w dotyku.

– Jovanka... – utknąłem, nie potrafiąc wyjaśnić, że to taki sam wypadek jak jej poślizg i że tak naprawdę pocałowałem ją całkiem niechcący.

– Pocałowałaś mnie. – Szept, który wlał mi się prosto do ucha, niósł więcej ciepła niż ucisk jej obfitych piersi i szerokich bioder. Dziwne, bo ona sama marzła: wyczułem gęsią skórę w okolicy łokcia. Chyba po to, by zyskać pewność, powędrowałem palcami niżej, w kierunku gołego uda.

Trawa była wilgotna, a moja koszula stopniowo przejmowała od niej tę cechę. Głowa oparta o moje ramię poruszyła się, coś chłodnego dotknęło szyi pod uchem.

Zeszywniałem. Nie chciało mi się wierzyć, że mogła to zrobić za pomocą języka.

I miałem rację. Po prostu nos. Nie pocałowała mnie. Może była to forma pytania o zgodę.

Musiałem stłumić bunt dłoni i nie dopuścić, by jednym szarpnięciem naprowadziła usta Jovanki naprzeciw moich. To, czym ponoć myślą faceci, otrzymywało dwa razy więcej krwi niż mózg, nadal

jednak byłem w stanie myśleć w sposób zbliżony do logicznego.

– Przemoczymy ubrania. – Pomogłem sobie chrząknięciem. – Bądź rozsądna.

Nos znieruchomiał, a zaraz potem coś bardzo delikatnego musnęło mą szyję odrobinę niżej. Kiedy się odezwała, poczułem taniec jej warg na skórze.

– No to się rozbierzmy.

Była taka ciężka... Nie wiem, jak udało mi się zmusić płuca do wypchnięcia jeszcze jednej porcji powietrza.

– Nie, Jovanka. Nie. To by nie było rozsądne.

Jeszcze przez chwilę dotykała mnie ustami. Potem, dziwnie wolno, zaczęła się podnosić. Niezdarnie. Trudno wstawać z kogoś, kogo próbuje się nie dotknąć. Kiedy już stała, z rozpędu omal nie zaczęła się cofać. Na szczęście bezwiednie, i kiedy złapałem ją za nogę, znieruchomiała.

– Żadnych zbędnych ruchów. – Niełatwo było to mówić we właściwy sposób, siedząc z twarzą na wysokości jej bioder i czując pod palcami wilgoć w zagłębieniu za kolanem. Chciałem wtulić twarz w to, co miałem przed oczami, zatonać w ciepłe i zapachu kobiecego ciała. Zamiast tego wstałem i wolno rozpiąłem koszulę.

– Zamieńmy się. Zmarzłaś.

– Nic mi nie jest. – Unikała mego wzroku jak ja jej.

– Ale będzie. Przeziębisz się. No, bierz – wcisnąłem koszulę w bierne dłonie. –

Będziemy musieli skombinować coś ciepłego. Może Dorota...

– Nie będę donaszać brudów po twojej Dorocie – prychnęła nieoczekiwanie porcją zimnego jadu. Na szczęście na tym poprzestała. Zaraz potem, nie przesuwając się ani o milimetr, zdjęła wierzchnią ze swoich koszulek, oddała mi ją, a sama skryła pokryte gęsią skórą ramiona pod znacznie cieplejszą flanelą. Wkładałem podkoszulek szybciej, niż chciałem. Nie powinna się domyślić, że szukam w bawełnie jej zapachu.

Po lewej spływający z gór las połykał biegnącą z zachodu drogę gruntową. Pośrodku zza gałęzi wyłoniło się przysadziste wzgórze, podobne do odwróconej miednicy, prawy zaś, południowy horyzont zasłonił stromy stok dużo potężniejszej góry porośniętej rzadkim lasem.

Szliśmy przez niewysoki zagajnik, więc najpierw dojrzałem żołnierza. Dopiero idąc po odkrytym, pozbawionym drzew terenie, odszukałem wzrokiem przyczajony między kępami jeżyn schron z desek i worków. Gdyby nie maszt z niebieską flagą, przypadkowy grzybiarz mógłby minąć placówkę, nie mając o niej pojęcia. Jeżynowej Górki –

a dokładniej: biegnącej obok drogi – strzegła uszczuplona drużyna piechoty. Niepozorna gruntówka

wiła się tak finezyjnie pośród lasów pogranicza, że każdy przemytnik wyłożyłby grube pieniądze za możliwość korzystania z niej. Właśnie z myślą o zablokowaniu szmugłu utrzymywano tu posterunek. W efekcie było to nadzwyczaj spokojne miejsce, gdzie pojazd czy człowieka widywało się jedynie przy okazji transportu ciepłych posiłków.

Wspinając się, dość wcześnie wyczułem zapach smażonej cebuli. Natychmiast zacząłem się ślinić. Dzień był nerwowy i bogaty w wydarzenia, a my przeżyliśmy go na paru sucharach i gumie do żucia.

– Chyba całkiem panu odbiło.

Przeleżałem na kolanach przez krawędź stoku, wciągnąłem dziewczynę i dopiero na końcu spojrzałem w ozdobioną cienkim wąsikiem twarz. Był w kamizelce, co przekreślało szansę odczytania jego stopnia. Stałem przed Wąsikiem, nie mogąc zdecydować, czy mam z nim rozmawiać jak z oficerem, czy potraktować lekko z góry, jak kaprała z posterunku na szosie. Miał paskudną twarz osobnika w wieku lat osiemnastu-dwudziestu ośmiu i równie dobrze mógł dowodzić drużyną, plutonem albo i kompanią. Wyglądał na twardziela obnoszącego się ze swą męskością.

– Przychodzę z niewłaściwej strony? – posłałem uśmiech jemu i stojącemu trochę dalej Błażejskiemu.

– Przekroczyliście granicę w niedozwolonym miejscu i chodźcie po polu minowym

– poinformował mnie surowo.

– Skąd pan wie, że przekroczyliśmy granicę? – uprzedziła mnie Jovanka.

– Major Olszewski ostrzegł nas, że możecie się tu zjawić. Ale dowiedziałem się z nasłuchu, że cofnęli was z linii rozgraniczenia, a to znaczy, że musieliście przejść przez zieloną.

– Powiedzmy, że zabłądziliśmy w lesie – zaproponowałem z uśmiechem. – Czuję zapach kolacji. Nie poczęstowalibyście głodnych rodaków?

Zerknął na Jovankę, ale był zbyt męski, by tak łatwo ulec męskiej słabości i skapitulować przed parą gołych ud.

– Nakarmią was w obozie – rzucił chłodno. – Darek, łącz batalion! Niech przyślą wóz po tego Małkosza!

– Kazali nas zamknąć – pokiwałem głową, patrząc na nieszczęśliwą minę Błażejskiego. – Cóż, rozkaz. Ale chyba mogę pogadać ze starym znajomym?

– Żadnych rozmów! – Wąsik, zapewne nie wierząc w skuteczność samych słów, szybko wskoczył między parę starych znajomych. – Major wyraźnie powiedział...

Nie dane mi było wysłuchać słów majora. Kula trzasnęła chłopaka w plecy i przeszła na wylot przez klatkę piersiową, łamiąc po drodze Bóg wie ile kości.

Życie to nie film, a karabin nie śrutówka, więc Wąsikiem nie cisnęło jak szmacianą kukłą, gdy porcja stali uderzyła go z szybkością kilkuset metrów na sekundę, lecz efekt przekazywania pędu dał się zauważyć. Żołnierz musiał być martwy nim jeszcze zaczął

padać, zdążył jednak przejść – czy jakkolwiek to zwać – prawie dwa kroki i wylądować głową dokładnie na mej twarzy.

Usłyszałem okrzyk Jovanki. Potem zrobiło się cicho i do moich uszu dotarł upiorny bulgot krwi, wylewającej się z rozprutej piersi, a na koniec coś wściekle ukąsiło czubek hełmu leżącego na mnie żołnierza.

– Padnij! – zawołałem, wypluwając z płuc resztki powietrza i całe litry strachu. – Nie ruszaj się, Jovanka!

Znów przegapiłem huk wystrzału. Pod powiekami tkwił mi obraz pękającej piersi i krwi wypryskującej ku mojemu brzuchowi. Strzał padł z wysoka; było tylko jedno miejsce wchodzące w rachubę. Na nasze nieszczęście – cholernie wielkie jedno miejsce.

– Skacz w dół! – krzyknąłem. – Za skarpe, ale już!

Kiedy wyrząłem spod zwłok, ujrzałem Jovankę pędzącą w moją stronę. Przez chwilę miałem nadzieję, że może raczej ku schronowi, bo kierunek był z grubsza ten sam, ale im bliżej była, tym wyraźniej padała w efektownym ślizgu na kolana i tylko ktoś kompletnie pozbawiony wycucia perspektywy mógł się nadal łudzić.

Trzecia kula, z impetem tnąc powietrze, przemknęła tuż obok. Kolana Jovanki zetknęły się z trawą, pojechały ku mej twarzy. Czwarty pocisk zderzył się z grzbietem pagórka kilka metrów przed nami. Jovanka hamowała na mej piersi, waląc w nią buforem biustu. Wziąłem odwet, zwalając się na nią i obalając na plecy, by w sekundę później wylądować obok.

Snajper strzelał z tej dużej góry na południe od nas, czyli z dystansu jakichś pięciuset metrów. Daleko. I sporo potencjalnych przeszkód, mogących ograniczyć pole widzenia.

Musiałem znaleźć odpowiedź na pytanie, czy kolejny pocisk nie nadlatuje dlatego, że leżymy w martwym polu, czy z powodu umieszczenia nas na liście martwych. Różnica była zasadnicza.

– Wynośmy się stąd!

Jovanka krzyczała szeptem, co dowodziło, że podobnie jak ja ma problemy z działaniem w sposób logiczny. – Leż!

– Nie tutaj! – Podniosła głos, lecz jeszcze nie ciało. – Na stok! Szybko!

– Leż! Chyba nas nie widzi!

Wymówiłem to w złą godzinę. Piąta kula uderzyła w ziemię gdzieś za moimi plecami, odskoczyła rykoszetem od kamienia i obsypała nas deszczykiem drobnych ziaren.

– W nogi! – Poderwałem się niezdarnie, za to Jovankę udało mi się pchnąć w pośladki tak solidnie, że omal nie przebyła dalszej drogi lotem poziomym. Aż do mety, czyli oddalonej o kilka susów krawędzi stoku, miała problemy z równowagą, a jej głowa znacznie wyprzedzała nogi. Mną rzuciło jak Małyszem i gdybym nie wylądował

w jeżynach, pewnie przeorałbym stok aż do podnóża. Mocno pokłuty, ale cały, szybko ruszyłem na górę.

Pierwsza piątka naboju skończyła się snajperowi, ale drugą zaczął wystrzeliwać niemal natychmiast. Musiał być przygotowany do zmiany magazynka, względnie nakarmienia broni kolejną łódką. Cztery spośród następnych pięciu pocisków przeleciały niziutko nad stokiem i dość szybko zrozumiałem, że daleko nam do wygrzebania się z tarapatów. Musiałem rozejrzeć się znad krawędzi i zorientować, jak głęboko tkwimy w bagnie.

Dość szybko zrozumiałem, dlaczego żyjemy. Jeżynowa Górka nie przypadkiem została wybrana przez Muzułmanów jako centralny węzeł obrony tego odcinka. Była niższa od kolosa po prawej, ale natura wysunęła ją lekko ku zachodowi i to z niej można było ostrzeliwać oba skrzydła. Tych kilkadziesiąt metrów wystarczyło, by zachodni stok wzniesienia znalazł się poza zasięgiem ukrytego na południu snajpera. O ile był sam i miał dość rozsądku, by nie przebiegać teraz na zachodnie zbocze wzniesienia, skąd bylibyśmy jednak widoczni.

– Nie podnoś głowy – rzuciłem na wszelki wypadek.

– Musimy się stąd wynosić – powiedziała opanowanym głosem, obracając się na plecy i zaczynając zsuwać. Głowy nie unosiła, więc nie protestowałem, choć wszystko krzyczało we mnie na myśl, że w ogóle porusza się w miejscu, które ktoś ogląda uważnie przez celownik optyczny. Może dlatego, kiedy już się spotkaliśmy w połowie drogi, zacząłem od opasania ramieniem jej piersi i unieruchomienia. Leżeliśmy tak, gapiąc się na siebie i biorąc nerwy w garść.

– To kolce, prawda? – zapytała, gdy już się napatrzyła.

– Nie trafił cię? – Doskonale pamiętałem jej ślizg na gołych kolanach i wcale nie musiałem obmacywać ich po kolei, sprawdzając, czy krwawi jedynie zdarty naskórek.

Z drugiej strony jej palce też nie miały czego szukać na mojej twarzy: były brudne i zdecydowanie nie nadawały się do przecierania zadrapań.

– Kazałem ci uciekać. Na drugi raz masz robić, co powiem.

– Myślałam, że dostałeś. – W jej głosie nie było skruchy, za to cofnęła dłoń i przestała rozmazywać mi krew po policzku. – Dlaczego nie strzelają?

Dobre pytanie. Już się miałem zastanowić, kiedy coś nie za głośno huknęło w lesie po wschodniej, przeciwległej stronie wzgórza. Znacznie potężniejsza eksplozja wstrząsnęła rosnącymi wokół nas krzewami. Z miejsca, gdzie stał schron, przyniosło najpierw dźwięk i podmuch, a potem obłok kurzu i poszarpanych traw. Po sekundzie odpędzania najczarniejszych myśli poderwałem się na czworaki i

dopadłem szczytu skarpy. Widziałem stąd dach budowli i to mi wystarczyło. W jednym miejscu wyrzuciło spod niego sporo tworzących ścianę worków, kilka belek sterczało pionowo, a z każdego możliwego otworu unosił się rzadki dym.

– Jasna cholera...

– To granatnik. – Jovanka popisała się większą rzeczowością, choć i jej głos był pełen oznak silnego wstrząsu i głębokiej niewiary. – Rozwalili bunkier z granatnika.

Nigdy nie miałem okazji przysłuchiwać się strzelającym RPG-7 od strony wylotu lufy, ale to było to – metalowa rura wyrzucająca półtorakilogramowe pociski z precyzją wystarczającą, by pokusić się o upolowanie czołgu z odległości kilkuset metrów.

– Biegniemy tam – ścisnąłem rękę Jovanki. – Gdybym dostał, gnaj do bunkra, znajdź

jakąś broń i spróbuj zabić tego gnoja z granatnikiem. Potem strzelaj, tylko gdyby próbowali podejść. Nie baw się w wymianę ognia, rozumiesz?

– Nie lepiej... – wskazała las na północy.

– Za daleko, a oni są cholernie blisko. No i ten snajper... Słuchaj, wiem, co robię.

Naprawdę najlepiej...

– Ty dowodzisz – przerwała mi. – Już?

– Już.

Mieliśmy dobry start: tylko jedna kula warknęła wysoko w górze, udowadniając, że zaskoczyliśmy snajpera. Drugą wystrzelił, gdy przeskakiwaliśmy przedpiersie z worków, waląc się z impetem do okopu. System umocnień nie był zbyt rozbudowany. Jeden zakręt i już znalazłem się przy drzwiach. Tu zatrzymał mnie widok lufy karabinowej, obracającej się gwałtownie w moją stronę. Na szczęście Błazejski miał niezły refleks i zdążył zatrzymać zginający się palec.

– Wykończyli ich – wymamrotał. – Widział to pan? Wykończyli chłopaków.

– Już dobrze – rzuciłem ostro. – Uważaj na wschodnią stronę, ale nie wystawiaj głowy. Nasłuchuj. Zaraz dołączymy.

Kopnąłem przekrzywione drzwi i skoczyłem do schronu. Dym zacierał szczegóły, ale to akurat mi odpowiadało. Co najmniej jeden z czterech przebywających tu ludzi znalazł

się na drodze wpadającego przez strzelnicę pocisku, co dosłownie przypłacił głową.

Hełm, o który się potknąłem, był o wiele za ciężki jak na puste okrycie głowy. Nie wszyscy byli aż takimi służbistami, ale kamizelki nosiła chyba cała czwórka, bo żadna wolna nie wpadła mi w ręce.

Zerwałem z wbitych w ścianę kołków dwa karabiny Beryl i jedną ładownicę starego typu. W gniazdach karabinów tkwiły magazynki, co dawało w sumie pięć sztuk. Aż nadto, by serio myśleć o odparciu szturm, zwłaszcza że pod jednym z karabinów połyskiwała lufa granatnika kaliber 40 mm. Cieszyłem się tym może dwie sekundy, by płynnie przejść do kłatw. Pakująca się do środka Jovanka od razu zapytała:

– Co się dzieje?

– Tu gdzieś musi być amunicja do tej rury. – Mówiłem szeptem, nie mając pewności, jak daleko jest facet odpowiedzialny za tę jatkę. Stawiałem raczej na to, że podpełzł

całkiem blisko. Gdyby nas usłyszał... – Wracaj do Błażejskiego i powiedz, że muszę jej poszukać. Jak wybuchnie...

– Ja to zrobię. – Widząc moje wahanie, niemal wypchnęła mnie za drzwi. W progu wyszarpnęła karabin. – No idź. Odgońcie ich.

Przebiegłem okalającą bunkier transzeją na jego wschodnią stronę. Rów kończył się tu stanowiskiem z trójką strzelnic, spoglądających na trzy strony świata. Dla porządku zerknąłem na południe i północ, po czym, dużo ostrożniej, uniosłem się z kłeczek ku tej najważniejszej, wschodniej. Przytulony do ziemi szanćzyk nie oferował tak dobrego widoku jak strzelnice schronu, ale też stanowił o wiele gorszy cel. Może dlatego facet z granatnikiem nie próbował na niego polować. To znaczy: póki nie nabrał pewności, że ktoś tu przebywa. Zaszył się sprytnie w jeżynowo-sosnowym gąszczu, skąd, podobnie jak ja, nie miał najlepszego widoku. Na nieszczęście nie byliśmy sami.

Pocisk snajpera trzasnął w worek nad moją głową i choć nie przebił ziemno-kamiennej zawartości, niemal zwałił mi ją na kark. Upadłem odruchowo na dno okopu.

Dwie kolejne kule zabębniły o ścianki i zrobiło się cicho. Podniosłem się i ignorując niedoszłego zabójcę, zerknąłem za główną strzelnicę. Refleksu już mi zabrakło. Nie zdążyłem przetrwać widoku mknącej wprost na mnie rakiety i uczynić jedynej sensownej rzeczy, jaka pozostawała do zrobienia, o ile ktoś nie był specem od bardzo szybkich modlitw. Nie zwałem się na plecy, by choć trochę zwiększyć znikome szanse przetrwania eksplozji.

Bóg, w którego istnienie mocno powątpiewałem, udowodnił, że guzik go obchodzi czyjaś wiara albo jej brak, i odwrócił bieg pocisku. O centymetry zaledwie, ale te centymetry wystarczyły, by rakietka otarła się jedynie o krawędź przedpiersia, przypaliła worek i trawę ogonem odrzutu i pomknęła w kierunku serbskiej części Bośni.

Ponieważ nie leżałem na plecach, miałem czas przeładować beryla i przejechać długą serią po rejonie, który wypluł to obrzydlistwo. Udało mi się skosić jedną choinkę i sporo gałęzi. Operator RPG nie był sam i ten drugi błyskawicznie odgryzł mi się jeszcze dłuższą serią. Worki zatrzęsły się od tuzina wściekłych kul, deska szalująca otwór pękła na pół, a ja klapnąłem na tyłek. Chyba dobrze zrobiłem, bo dwie kule z następnej serii wdarły się przez obłożony workami otwór.

Wycofałem się na czworakach – nie zapomniałem o tym drugim, wypatrującym czubka mojej głowy z

góry na południu. Nie miał szansy na pewny strzał, ale nie zamierzałem dawać mu okazji. Jego ogień informował tych dwóch, stanowiących sekcję granatnika.

– Wyłaż z bunkra! – zawołałem stłumionym głosem po dotarciu do głównej transzei.

Przycupnięty w gnieździe strzeleckim Błażejski był na tyle blisko, że zdołał chwycić mnie za rękę.

– Ostrożnie – wyszeptał, a mnie poniewczasie przypomniała się własna instrukcja w tej kwestii. – On może widzieć drzwi. Niech pan spojrzy, jak biegnie ten rów.

Lodowate ciarki przemknęły mi po kręgosłupie.

– Stój! – Tym razem niemal się wydarłem. – Nie wychylaj się z bunkra! Okop jest pod obstrzałem!

Wcale nie próbowała wychodzić. Miotła się pewnie po pełnym dymu i trupów wewnątrz, po omacku szukając... No właśnie, na dobrą sprawę, nie wiedziała nawet czego.

Granaty do podlufowego pallada wyglądały jak bardzo duże naboje pistoletowe i było niemal pewne, że nawet jeśli je wymaca, zwyczajnie ich nie rozpozna.

Okazało się, że narobiłem wystarczająco dużo hałasu. Granat przeleciał nad resztkami dachu i pacnął miękko o zewnętrzną stronę workowego szańca. Potem odtoczył się chyba i nim zapalnik zainicjował wybuch, zdążył oddalić się o następny metr, ale mówiąc o celności, nie należało brać go pod uwagę. Błąd wyniósł więc kilkadziesiąt centymetrów. O tyle bliżej powinien upaść, by wylądować nam na kolanach.

– Są za blisko! – Teraz już i mogłem, i musiałem krzyczeć, jako że obaj lekko ogłuchliśmy. – Nie wychylaj się! Idę na tamtą stronę! Stąd się nie da strzelać!

– Wykończy pana!

Trochę za późno próbował mnie chwycić. Nie pokazałem snajperowi więcej niż kawałek potylicy – ale to wystarczyło. Pocisk wycesał mi przedziałek we włosach.

Natychmiast runąłem z powrotem pod ścianę.

– Może... Gdybyśmy wszyscy razem skoczyli... – Błażejski kiwnął głową ku zachodowi i skarpie, która już raz dała schronienie mnie i Jovance. – Was nie trafił, a biegaliście wte i wewte.

– Nie – mruknąłem. Zastanawiałem się gorączkowo.

– Ale tu nas wykończą granatami!

– Nie – powtórzyłem, już stanowczo. – Za schronem jest facet z automatem. Ten drugi też nie przyłazł z samym granatnikiem. Skoszą nas, nim przejdziemy przez worki.

– Ale oni mają granaty! Mamy tak siedzieć i czekać?!

– Bez paniki – warknąłem. – Widzisz ten deszcz granatów? Mają może jeden albo dwa. Nie będą ich marnować. – Chciał mi wierzyć, więc nie skomentował. – Słuchaj, muszę wejść do środka. Przejdź dalej i jak dam znak, postrzelaj trochę w tę górę.

Nie był zbyt przekonany. Pokiwał jednak głową, ścisnął karabin i zaczął

przesuwać się ku wschodniemu końcowi rowu. Był przy pierwszej z dwóch strzelnic tego odcinka, kiedy znad jego głowy ryknął krótką serią karabin maszynowy. Padł jak długi, a ja potrzebowałem drugiej serii, by zrozumieć, że kaem tłucze z wnętrza schronu, a celem jest góra na południu. Zaskoczenie było kompletne.

Nogi same poniosły mnie ku drzwiom. Jeżeli nawet snajper próbował mnie zabić, nie spostrzegłem tego: kaem zajazgotał akurat kolejną serią. Przeskoczyłem próg i zderzyłem się z Jovanką. Opasana taśmą amunicyjną, tuląc do piersi masywny karabin, próbowała właśnie pokonać drzwi w przeciwnym kierunku.

– Na dwór! – krzyknęła mi w twarz.

– Snajper! – Zastąpiłem jej drogę, całkiem niepotrzebnie, bo nie tyle sama rwała się na zewnątrz, co wypychała mnie.

– A tu granatnik! Wyłaź!

Nie wiem, dlaczego to jej wola wzięła górę. Byłem oficerem, a ona nawet nie szeregowym, snajper miał mnóstwo kul, a ten z RPG-7 mógł dysponować już tylko bezużyteczną rurą bez rakiet. A jednak dałem się wypchnąć. Błazejski nie strzelał i nie działało się nic, co mogłoby odwrócić uwagę tego drania na górze. Mogłem tylko grzmotnięciem między łopatki posłać dziewczynę w stronę północnego ramienia okopu i pobiec za nią, licząc na łaskawość losu. Gdybyśmy dopadli zakrętu naprawdę szybko...

Trzeci wystrzał z granatnika wyleczył mnie z nadziei. Jovanką pognęła dalej, ale mnie podmuch eksplozji dopadł za blisko drzwi. Fala sprężonego powietrza rzuciła mną o ściankę z worków, obaliła, splątała ręce z nogami i karabinem. Na domiar złego upadłem w poprzek okopu i zaklinowałem się beznadziejnie. Wtedy nadleciała pierwsza kula. Usłyszałem ją. Warknięcie, uderzenie, szelest piasku. Blisko. Wyszarpnąłem nogę spod karabinu i zacząłem się obracać, w pełni świadom żółwiego tempa swych ruchów.

Dwa, może trzy mierzone strzały – tyle wybuch w bunkrze podarował snajperowi i tyle musiałbym przetrwać, by dotrzeć za zakręt rowu. To znaczy: gdyby Jovanka zachowała się rozsądnie. Zawracając i wbiegając z powrotem do odsłoniętego odcinka transzei, przekreśliła ostatecznie moje szanse.

– Chowaj się! – krzyknąłem, przewracając się na plecy. Następny nabój trafił do komory. Pocisk powinien równie łatwo dosięgnąć celu, ale nagle snajper zaczął się spieszyć. Broń powtarzalna jest stosunkowo powolna i jeśli strzelec chciał wykorzystać okazję i trafić także Jovankę, musiał zrezygnować z jakości mierzenia na rzecz ilości.

– Szybko! – usłyszałem jej krzyk. Podciągnąłem kolana jeszcze bliżej nosa i jakimś cudem wykonałem przewrót w tył, lądując na łokciach i kolanach. Właśnie wtedy zrozumiałem, jak strasznie zawałem sprawę.

– Chowaj się!!! – ryknąłem, rzucając się w kierunku Jovanki i niemal natychmiast waląc z powrotem na brzuch, zdradzony przez źle ustawioną stopę.

Stała i była bliżej kryjówki! To na nią musiał polować każdy rozsądny strzelec.

Trzeba być ostatnią idiotką, by zrobić to, co zrobiła, czyli poderwać do ramienia ciężki jak cholera karabin maszynowy i stojąc w szerokim wykroku, zacząć się przestrzeliwać z ukrytym pół kilometra dalej snajperem.

Jedna pięciostrzałowa seria, druga, następna... Jeżeli celowała we właściwą górę –

a wcale nie byłem tego pewny – to musiała mierzyć dość nisko. Nie mogłem nawet porządnie pobiec, bo gdybym się wyprostował, ta wariatka rozniosłaby mi głowę, pogałem więc w jej stronę jak własny praprzodek, nieufający jeszcze dolnym kończynom na tyle, by nawet w biegu nie podpierać się górnymi. A ona strzelała, strzelała i strzelała... Wciąż żywa. Nie rozumiałem tego.

Prawdziwy cud dane mi jednak było obejrzeć parę sekund później, kiedy Jovanka płynnym, cudownie skoordynowanym ruchem zeskoczyła mi z drogi, otwierając przejście do północnej odnogi transzei, zamarła na ułamek sekundy, po czym podniosła dymiącą lufę kaemu i króciutką, dwustrzałową serią odłupała czubek wychylającej się zza worków głowy.

Potem okazało się, że były to ostatnie dwa naboje w taśmie. Ale cudu nie umniejszyło to w żaden sposób.

Major Olszewski wszedł do kontenera, nie pukając.

– A już myślałem, że to dyżurny – westchnąłem, dźwigając się z łóżka. – Pół godziny temu zamówiłem kolację.

– Jest w drodze – stwierdził beznamiętnie. Chyba czekał, aż wyrażę mu szacunek, siadając porządnie.

– Mam dla pana nieciekawą wiadomość. Okazuje się, że jest pan poszukiwany przez policję.

– Ciekawa wiadomość – udałem zaintrygowanie. Nie spodobała mu się taka reakcja.

– Podobno jest pan zamieszany w morderstwo. Nie ma w tym nic zabawnego.

– Mogę zapytać, jak uzyskał pan tę informację? Podsluchujecie policyjne częstotliwości?

– Niech pan opowie, co zaszło na Jeżynowej – zażądał.

– Wolałbym najpierw coś zjeść. I zobaczyć klientkę.

– A ja bym wolał ustalić, co z wami zrobić i komu przekazać: policji czy żandarmom. Jesteście po

uszy zamieszani w napad na wojskowy posterunek i zabójstwo pięciu żołnierzy.

– Pięciu? – powtórzyłem powoli. – To znaczy... ten ranny jednak nie przeżył?

– Dziwi to pana? Błazejski twierdzi, że nawet nie próbowaliście mu pomóc.

– Błazejski tak powiedział? Dosłownie?

– Taki był sens – wzruszył ramionami. – Dopiero po kwadransie ktoś się nim raczył zająć. Wykrwawił się.

Cofnąłem się, na ile pozwalało oparcie. Major nigdy mi się nie podobał, ale teraz nie podobał mi się w dwójnasób.

– O co chodzi? Po co całe to pieprzenie? Dobrze pan wie, że ten, który przeżył

w bunkrze, nie miał ani jednej rany. Krwotok? Owszem, tyle że wewnętrzny. Nawet w szpitalu niewiele by mu pomogli. Dostał morfinę; co więcej mogliśmy zrobić?

– Nie wiem – uśmiechnął się chłodno. – Nasz lekarz nie dałby mu morfiny. Był

nieprzytomny i to mogło mu jedynie zaszkodzić. Może właśnie to go zabiło. Może przyczynił się pan do śmierci tego chłopaka swoimi amatorskimi zabiegami.

Zerknąłem w okno. Po zaułku między dwoma rzędami kontenerowych kwater przechadzał się wartownik. Przed – tern go tam nie było.

– Jeszcze raz – powiedziałem cicho. – O co chodzi? Zanim odpowiedział, obejrzał

mnie i ustalił, na ile zostałem nastraszonej. Rezultat chyba go zadowolił.

– Nie wiem, jak poważna jest ta sprawa w Krakowie, ale tego tutaj wystarczy na miesiące aresztu śledczego. Może nawet rok, kto wie...? Podłożył się pan. Wie pan kiedy?

– Na Jeżynowej Górcie?

– Nie. Na granicy; zaminowanej granicy, którą nielegalnie przekroczyliście, czego ludzie porządni nie robią. Ten pomysł z nasyłaniem naszych żołnierzy na facetów w zielonym samochodzie... Już pan kojarzy?

– Co niby mam kojarzyć?

– Zameldowano mi o tym. Nie dawało mi spokoju, że w odległości paru kilometrów i w krótkim odstępie czasu jeden człowiek zamieszany jest w dwie niebanalne historie z udziałem Wojska Polskiego. Zadałem więc sobie pytanie: czy aby na pewno jeden? No i przejechałem się do kostnicy z kapralem z posterunku przy szosie. – Zrobił efektowną przerwę. – Ten z połową głowy nie bardzo

nadawał się do identyfikacji, ale drugiego na pana nieszczęście rozpoznał i kapral, i jeszcze jeden żołnierz.

– Drugiego? Zabiliśmy jeszcze kogoś?

Roześmiał się.

– No i widzi pan? Wystarczy, że nie wymienię w raporcie karabinu, i załapie się pan dodatkowo na uśmiercenie przypadkowego grzybiarza. A to stromy stok, karabin miał

prawo zjechać dziesiątki metrów w dół, zaginać...

– Mówi pan o tym snajperze? – Nie wierzyłem. – Ktoś go trafił? Niemożliwe...

– Nie ktoś – pokiwał palcem przecząco. – Marcin Małkosz go zabił. Trzeba było użyć beryla. Dostał w głowę. Kula by się pewnie odkształciła i nie dałoby się ustalić, czy to nie Błazejski... A tak ma pań jedno zmartwienie więcej. Kaem był jeden i to pan z niego strzelał. Zgadza się?

Po sekundzie namysłu skinąłem głową. Przyszło mi to o tyle łatwo, że faktycznie wystrzelałem z kaemu trzy pełne taśmy. Po fakcie, na postrach i chyba do pustego już lasu. W kierunku góry nie posłałem ani jednej kuli.

– Wiem, że się powtarzam – zaznaczyłem – ale do czego panu dziura w całym?

– W całym? Jest pan pewien?

– Jestem zmęczony i głodny – wyznałem. – Mózg zaraz przestanie mi funkcjonować.

Jak dotrzemy do sedna, mogę być już niezdolny do zrozumienia, o co chodzi. I coś zrobię nie tak. Do prasy z tym pójdę, albo co...

– Nikt z panem nie będzie rozmawiał – zapewnił. – Ta sprawa przerasta i pana, i mnie, i tę sikszę z „Polityki”.

– Więc czego chcą ci wielcy, którzy za panem stoją? Czuję się przestraszony, przejdźmy do konkretów.

– Dobrze – zgodził się. – Konkretnie jest taki: wyjedzie pan stąd i nigdy nie wróci.

Wygekwuje też pan swoje honorarium od pani Bigosiak...

– Słucham?!

– ...i przekaże je nam. Nie życzymy sobie, by te pieniądze posłużyły jej do wynajmowania następnych awanturników.

– To o nią chodzi? – Sam nie wiem, co mnie tak dziwiło: ostatecznie to Jovanka była jedynym

powodem, dla którego tu przyjechałem.

– Koniec z idiotycznymi wywiadami dla prasy. Utrzymujemy tę misję, by o naszym rządzie pisano dobrze, jasne? Bośnia ma się Polakowi przyjemnie kojarzyć. Już choćby za to posłałbym pana do pierdła. Ile razy kapitan Małkosz zawita w te strony, ktoś ginie i robi się masa smrodu. Oczywiście podpisze pan zobowiązanie, że nie piśnie słowa o tym, co zaszło na Jeżynowej Górcie. No i...

– Jedną chwilę – uniosłem dłoń. – Zgoda na wszystko. Ale musicie załatwić przeszczep córce pani Bigosiak.

– Myli pan adresatów – wzruszył ramionami. – Od przeszczepów jest Kasa Chorych.

Ja jestem, przynajmniej dla pana, od stawiania warunków. Albo je pan akceptuje, albo wędruje za kraty. Policzmy – zabrał się do odginania palców. – Morderstwo w Krakowie plus zahaczające o terroryzm podpalenie mieszkania ofiary. Strzelanie do męża pani Bigosiak. Nielegalne przekroczenie granicy. Udział w napadzie na posterunek SFOR-u.

Spowodowanie śmierci ранego. Spowodowanie śmierci niezidentyfikowanego przechodnia. Przy tylu oskarżeniach któreś po prostu musi wypalić, nie ma cudów.

A pewnie znajdzie się dużo więcej, kiedy prokuratorzy dostaną polecenie starannego poszukania.

– Biwak w niedozwolonym miejscu – westchnąłem pod nosem. I głośniej dodałem: –

To się kupy nie trzyma. Udział w napadzie? Chyba UOP pana szkolił. Tak debilną logiką tylko oni się posługują. Przy okazji polowania na jakiegoś premiera. Aż się czuję zaszczycony...

– Uważaj – wycedził. – Mogę to załatwić po dobroci, ale wcale nie muszę. Licz się ze słowami, Małkosz, albo wpakuję cię na całe dziesięciolecia. Wyjdiesz siwiutki.

– Powiedz swoim szefom – z pełną premedytacją przeszedłem na „ty” – że to dziecko ma wyzdrowieć. Taka jest moja stawka. Opłacą małej leczenie, a więcej o mnie nie usłyszą.

– Wydaje ci się, że możesz stawiać warunki?! – Jego twarz czerwieniała z sekundy na sekundę. – Ty nam?!

– Ja tylko składam propozycję – spuściłem nieco z tonu.

– Ja tu jestem od składania propozycji! Zapamiętaj sobie!

Chyba nie był dumny, że tak go poniosło, bo ku memu zaskoczeniu po prostu ruszył do drzwi. Dopiero szarpnąwszy klamkę, przypomniał sobie, że nie wystrzelał całej amunicji.

– Rano będzie tu samolot z Polski. Specjalnie po ciebie, mądralo. Zastanów się, które pudło wolisz: cywilne czy wojskowe. Ale myśl szybko. – Chyba uznał, że nie zrobił na mnie odpowiedniego wrażenia, bo już zza progu strzelił ostatnią, pożegnalną salwą: –

A ta dziwka cię okłamała. To nie jest kwestia pieniędzy. Dla niej pewnie tak, ale nie dla małej.

Dłubałem w porcji makaronu z gulaszem, kiedy następny nieuznający pukania gość wkroczył do pokoju. Dorota Kowalak przemknęła nad progiem niczym spłoszona sarna i natychmiast zatrzasnęła drzwi. Miała na sobie ciemnogatową sukienkę w białe groszki, trochę za grube czarne rajstopy, czarne półbuty, chyba niepasujące do reszty stroju, i – co zupełnie mnie rozczuliło – bordową czapkę z daszkiem, pod którą upchnęła długie, jasne włosy.

– Kobieta włamywacz – powiedziałem cicho, odkładając widelec. – Chyba ciut przesadziłaś. Wartownik na widok kogoś w takim stroju mógłby...

– ...nie dostrzec go po ciemku. O to ci przecież chodziło, prawda? Cytuję: „Tylko postaraj się nie rzucać w oczy”. Nie rzucam się. – Podobnie jak ja, posługiwała się półgłosem.

– W ciemności – sprecyzowałem. – Bo poza tym... No nic. Dziękuję, że przyszałaś.

– Nie co wieczór dzwonią do mnie z celi mordercy i terrorysty. Jak to właściwie załatwiłeś? – Usiadła ładnie na brzegu łóżka. – I dlaczego tak marnie cię pilnują? Nie widziałam wartownika.

Wyjąłem spod koszuli telefon komórkowy.

– Rozczaruję cię. Po prostu zadzwoniłem do Błażejskiego, a konkretnie do dyżurnego. Metoda „na kuzyna” – posłałem jej uśmiech. – Bezpośrednio się nie dało, bo to akurat jego aparat.

– Tego żołnierza, który do mnie przyszedł? – upewniła się. – Zaraz, zaraz... Czy to czasem nie...?

– Owszem. Jedyny ocalały z Jeżynowej Górki. – Oczekałem chwilę i dodałem: – Na taką wersję oficjalną w każdym razie się zanoszą.

Oczy zaśniły jej jak para niebieskich żarówek.

– Opowiedz mi o tym.

Opowiedziałem. Zwięźle, ale na szczęście konspiracyjny charakter spotkania podziałał na jej wyobraźnię i nie drażyła tematu podchwytliwymi pytaniami.

– Potem już była kaszka z mleczkiem – dokończyłem. – Tamtym odechciało się atakować, a Błażejski znalazł sprawną komórkę i zatelefonował po pomoc. Przywieźli nas tutaj, rozdzielili, trochę przegłodzili, a mnie Olszewski postraszył. Co do Jovanki nie mam pewności. To właśnie pierwsza prośba. Gdybyś mogła jakoś się z nią skontaktować...

– Ja? – zdziwiła się. – Żartujesz?

Przez chwilę się zastanawiałem, jak to ująć delikatnie.

– Nie bardzo się lubicie; dwie ładne dziewczyny to za dużo jak na jedno miejsce. Ale jesteś profesjonalistką, na pewno potrafisz wznieść się ponad...

– O czym ty mówisz? – Nie umiem wyjaśnić, na czym polega nie do końca szczerze wzruszenie ramion, ale jej takie właśnie było. – Nic do niej nie mam. Tylko trochę mnie dziwi, że napuszczasz ją na wartownika po to, by mnie tu przemycić, bym z kolei ja z nią pogadała. Nie prościej...?

– Napuszczam na...?

– Ten Błazejski powiedział, że twoja dziewczyna weźmie na siebie wartownika, więc mam iść co prawda bez zwracania uwagi, ale nie muszę skradać się po dachach. Nie wiem, jak miała to zrobić – dwuznaczny uśmiech pojawił się w kącikach starannie uszminekowanych ust – ale tak właśnie powiedział.

– To nie jest moja dziewczyna – mruknąłem. – Cholera, to przez to porozumiewanie się szyfrem... No nic, to była ta mniej ważna prośba. – Musiałem przerwać na jakiś czas, uświadamiając sobie ze zgrozą, że treści ważniejszej nie pamiętam. Myśl o Jovance biorącej na siebie wartownika położyła się ołowianym ciężarem na moim mózgu i musiałem mocno się sprężyć, by zepchnąć ją przynajmniej z jednej półkuli. – Druga jest taka, byś pojechała do Maglaja i zamieniła kilka słów z jednym facetem. Miał mieć dla nas wiadomość, jak dobrze pójdzie. Wiem, że dużo od ciebie wymagam, ale...

– Jestem dziennikarką – przerwała mi. – Załatwione. Ale dasz słowo, że po wszystkim usiądziemy, wypowiadasz się i pozwolisz mi napisać artykuł. Dam ci go do autoryzacji, ale zachowasz się jak dżentelmen i niczego nie wykreślisz.

– Jeśli zgodzisz się sięść we trójkę... To historia Jovanki, nie bardzo mogę... Wiesz, to wszystko zahacza o rzeczy, po których opublikowaniu przeciętna kobieta podcina sobie żyły.

Zawiesiła na mnie spojrzenie o nieodgadnionym wyrazie. Dopiero na koniec dopatrzyłem się lekkiego, wieloznacznego uśmiešku.

– Trójką? – zmarszczyła w zadumie brwi. – No cóż, to też może być ciekawe.

Staram się być elastyczna, więc niech będzie trójką.

Wolałem się nie zastanawiać, czy po prostu niefortunny dobierała słowa.

Dochodziła dziewiąta, kiedy cichy zgrzyt wyrwał mnie z drzemki. Odepchnąłem senne wizje, pełne kobiet o włosach płynnie zmieniających barwę ze złota na czerń, podszedłem do drzwi i stwierdziłem, że zamknięto je na klucz. Znacznie bardziej zainteresował mnie brak wartownika. Zastanawiałem się nad tym, gdy zadzwonił ukryty pod poduszką telefon.

– Błazejski – powitał mnie głos. – Skołowałem komórkę, no i dzwonię, żeby powiedzieć, że możemy swobodnie pogadać, gdyby pan kapitan chciał. Niech pan zapisze numer, dobrze?

Z braku papieru użyłem mocno zapuszczonego lustra.

– Co słyhać? – zapytałem, cofając pośliniony palec.

– No właśnie nic. Cicho o tej strzelaninie. Zwykle donoszą o każdej urwanej nodze, nim trafi na szpitalny śmietnik, a tu... U nas podwyższyli gotowość, ale już u Szwedów i Norwegów spokój, jakby nic się nie stało. Chyba komuś zależy na ukreśleniu łba całej sprawie.

– Rozmawiali z tobą?

– Nie za bardzo. Olszewski wpadł, kazał trzymać gębę na kłódkę. A starego nie ma.

Siedzi na jakiejś konferencji w Sarajewie. Gdyby wiedział, toby pewnie lądował tu jak nie śmigłowcem, to na spadochronie. Upierdliwy z niego gość, ale o ludzi zawsze dbał.

– Przedzwoń, gdyby się zjawił. Aha, i dziękuję, że nam...

– Szuka pan tych dupków, którzy do nas strzelali? – Nie dał mi odpowiedzieć. –

Sram na Olszewskiego i jego zakazy. To byli moi kumple. Nie chcę, by sprawa rozeszła się po kościach i skończyła na salwie honorowej.

– Mimo wszystko dziękuję. – Odczekałem chwilę. – Nie wiesz, co z Jovanką?

Teraz on zrobił sobie przerwę.

– Mogę się do niej wybrać z telefonem – odparł w końcu głosem, który zaklasyfikowałem jako emocjonalnie niewyraźny. – Sami pogadacie.

Nie podobała mi się taka odpowiedź, ale nie miałem odwagi domagać się innej.

– Gdybym potrzebował stąd wyjść... Da się załatwić?

– Z obozu? – Milczeliśmy obaj przez jakiś czas. – Co pan kombinuje?

– Na razie tylko myślę. – Znów przerwałem. – Ten wartownik sprzed moich drzwi...

Chyba go odwołali. Za to zamknęli mnie na klucz. Możesz się rozejrzeć?

– No... dobrze. Oddzwonię.

Na kolację, oprócz gulaszu, był chleb i masło, a do masła dodano nóż. Do dziesiątej udało mi się za jego pomocą wyciągnąć listwy z plastikowego okna i nie rozbić przy tym szyby. Przygotowałem też namiastkę drewnianej łopatkę, zastąpił ją widelec, dobrze owinięty chustką. Dorota zjawiła się o dziesiątej dziesiątej. Błyskawicznie usunąłem plastikowe kliny i wyjąłem szybę z ramy.

– Wskakuj.

Zgasilem światło, ale po sąsiedzku kwatrowali ludzie i całkiem ciemno nie było, więc zauważyłem bez trudu, że to, co brałem za rajstopy, było pończochami. Poruszała się zgrabnie, a sukienka do przesadnie krótkich nie należała. Mimo to dane mi było obejrzeć kawałek białego uda pomiędzy

czernią i granatem w grochy. Potem zabiła mi kolejnego ćwieka: siadając na łóżku, w którym trochę pospałem i którego celowo nie doprowadziłem do porządku. Zamocowałem z powrotem szybę, zaciągnąłem zasłonę i niepewnie skierowałem rękę w stronę kontaktu.

– Nie zapalaj – poprosiła cicho. Weszło nam już w nawyk porozumiewanie się konspiracyjnym półgłosem. Nie umiałem ocenić, czy jej ton jest rzeczowy, czy zmiękczony podobnymi do moich rojeniami. Stałem przy stole. Wyciągając rękę, mógłbym jej bez problemu dotknąć.

– Nie dało się? – pokiwałem głową. – Nie szkodzi, to nie...

– Dlaczego się miało nie dać? – błysnęła zębami. – Za szybko wróciłam?

Zapomniałam ci powiedzieć, że lubię ostrą jazdę. Też potrafię dostarczyć mężczyźnie mocnych wrażeń. To znaczy pasażerowi – poprawiła się niedbale.

– Masz na myśli Jovankę? – upewniłem się. – I tę strzelaninę na Jeżynowej Górze?

– Ciekawe to wasze dochodzenie. Myślisz, że coś z tego wyniknie?

– Nie bardzo rozumiem – powiedziałem powoli.

– Podobno tego typu wspólne przeżycia nieuchronnie rzucają ludzi do łóżka.

Problem w tym, że nie na długo.

– Dlaczego o tym mówisz? – zapytałem jeszcze wolniej.

– Nie wiem – mruknęła. – Lubię cię. Chyba nie chcę, byś całkiem utonął w butelce.

– Aha. – Nie zapytałem, co ma łóżko do butelki. Pomilczeliśmy trochę.

– Dlaczego to robisz? – zapytała bardzo cicho.

– To mój zawód.

– Zapłaciła chociaż? Pieniędzmi?

– Dziennikarska ciekawość? – Zirytowała mnie trochę, ale to nie tłumaczyło następnej kwestii. – A niby czym?

Nie odpowiedziała od razu. Może dawała mi szansę, bym jakoś to odkręcił, zręcznie zmienił temat.

– Rozmawiałam z Błażejskim. O tym wartowniku. – Zrobiła dłuższą przerwę. – To nie moja sprawa, ale powinieneś wiedzieć...

– Jest moją klientką – powiedziałem szybko. – Płaci mi i razem staramy się uratować jej dziecko.

– I tylko to was łączy? Jej pieniądze? Nie wygląda na bogatą, a ty na faceta robiącego życiowy

interes.

– Nie spałem z nią, jeśli o to pytasz.

– Chyba nie o to. – Musiała się lekko uśmiechnąć. – Co w dzisiejszych czasach znaczy przespanie się z kimś? Ważne, na co liczysz w przyszłości, czego oczekujesz po tym związku.

– Niedługo skończę czterdzieści lat – wyznałem. – Nie jestem taki dzisiejszy jak ty.

A co do związku... nie ma żadnego. Zaproponowała mi ciekawą i użyteczną pracę. To twoim zdaniem nic nie znaczy?

– Znaczy. Ja też nie dla forsy... Ale mnie przynajmniej płacą.

– O czym my właściwie mówimy?

– Przepraszam, nie z tego końca zaczęłam. No więc znalazłam tego lekarza.

Wyjaśniłam mu wszystko, jak kazałeś, ale chyba nie całkiem mi ufał. Powiedział, że znalazł tę dziewczynę, drugą ranną, ale nie chciał mi powiedzieć gdzie. Musisz pofatygować się osobiście.

– Drugą ranną? Tak powiedział? Nie chodziło mu o pielęgniarkę?

– Jest pewna różnica. Zapamiętałabym. – Przyjrzała mi się przez barierę mroku. –

Coś z tego wynika?

– Owszem. Że muszę stąd prysnąć. Jeszcze tej nocy.

Czekali na nas w cieniu śmietnika, parę kroków od płotu. Musiałem prawie wdepnąć na Błażejskiego, by odkryć ich obecność.

– Co ona tu robi? – Jovanka patrzyła pod światło i nie miała takich problemów.

– Potem – uciałem i zwróciłem się do żołnierza: – Którędy?

– Właśnie wtedy – wskazał płot. – Widno, ale wartownik nie będzie patrzył. To ten sam.

Żaden z nas nie spojrzał na Jovankę.

– Masz to, o co prosiłem?

– To nie jest dobry...

– Masz? – Skinął niechętnie głową. – Tutaj?

– Włożyłem do bagażnika. – Wręczył Dorocie breloczek z kluczykami. – Niech pan tego nie robi.

– Czego? – Po raz pierwszy obie damy okazały się jednomyślne. Błażejski skinął na Dorotę i odszedł, a ja przejąłem z rąk Jovanki krótki kij, podważyłem dolny drut ogrodzenia i zapoczątkowałem ucieczkę.

Okazała się dziecinnie łatwa, choć męcząca i stosunkowo długotrwała, bo większą część drogi pokonaliśmy na brzuchach. Potem, gdy już szliśmy, przedzierając się przez zarośla, Jovanka konsekwentnie milczała. Dopiero siadając w krzakach przy szosie, udowodniła, że stres związany z tą na pozór karkołomną imprezą nie sparaliżował jej strun głosowych.

– Co dalej? – Zauważyłem, że woli się siłować z gałęziami niż usiąść bliżej mnie.

– Przyjedzie Dorota, zawiezie nas do Maglaja, pogadam z Bulatoviciem. Potem się zobaczy.

– Myślałam, że pojedziemy twoim samochodem.

– Dobrze by było – przyznałem. – Tyle że nie miałem pomysłu na wyjechanie nim przez bramę.

– Więc musiałeś się poświęcić i błagać o pomoc panią redaktor.

– Właśnie. – Żałowałem, że jest tak ciemno i nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy.

– Przypomnij, że jestem ci winna specjalną premię za poświęcanie się dla sprawy.

– Aż tak się nie poświęcałem.

– Dzięki za szczerość. A może to ty mnie powinieneś z tego tytułu dopłacić?

– Za wzięcie na siebie wartownika? Może.

Diabli wiedzą, dokąd doprowadziłyby nas ta rozmowa. Na szczęście na drodze pojawiła się astra. Usiadłem obok Doroty, klnąc w duchu firmę Opel, która nie pomyślała o wypuszczeniu tego modelu z trzema rzędami foteli. Dwa wymuszały swego rodzaju deklarację.

Przed domem Bulatovicia wyłączyła silnik i wysiadła, nie pytając mnie o zdanie.

– Lepiej zostańcie – rzuciłem w środek oddzielającej obie panie przestrzeni. Pomysł

nie wypalił: żadna nie wzięła słów do siebie i kiedy ruszyłem ku furtce, okazałem się przednią strażą sporego oddziału.

W domu panowały ciemności, a ulica pogrążona była w głębokiej ciszy; słyszałem terkot dzwonka i mogłem być pewien, że w końcu wyrwany ze snu Bulatović pojawi się w progu. Nie pojawił się. Kiedy po paru minutach Jovanka zamiast do dzwonka sięgnęła ku klamce i drzwi nieoczekiwanie ustąpiły, błyskawicznie wyzbyłem się złudzeń.

– Do samochodu – warknąłem. – Włączcie silnik i gdyby co, wiejcie.

– Tam nikogo nie ma – mruknęła. – Po tym dzwonienu...

Miała chyba rację, ale wolałbym odgryźć sobie język niż jej to przyznać. Bałem się.

Jeśli nawet nie kogoś, to przynajmniej czegoś, co znajdę za drzwiami.

– Róbcie, co mówię – syknąłem i wsunąłem się w mrok przedsionka. Nie zdążyłem przemyśleć taktyki. Pakując się do środka w swych hałaśliwych buciorach i z marszu zapalając światło, Jovanka zaoszczędziła mi podejmowania trudnych decyzji. Nie podziękowałem jej. Stałem jak sparaliżowany, przyglądając się ze zgrozą i niedowierzaniem rozpartemu w fotelu gospodarzowi. Doktor Bulatović miał na sobie jedynie białą koszulę, założoną tyłem na przód. Każdą z jego gołych nóg oparto na wysokim, przyniesionym z kuchni taborecie i przywiązano w kostce paskiem od spodni.

Usłyszałem stukot pantofli Doroty, potem nagły bulgot i o wiele szybsze uderzenia zelówek o podłogę. Pomyliła drzwi i zamiast do łazienki wpadła do kuchni. Raczej nie zdążyła do zlewu: widziałem ją jeszcze, gdy zaczęła wymiotować. Chętnie poszedłbym w jej ślady. Koszula, po pierś nasiąknięta świeżą krwią, zakrywała wprawdzie korpus Bulatovicia, ale była o całe metry za krótka, by zasłonić upiorny sznur wyciągniętych w poprzek pokoju jelit. Trzymałem żołądek na wodzy wyłącznie dzięki ambicjonalnej niechęci do rzygania na oczach bladej, lecz opanowanej Jovanki. Staliśmy i patrzyliśmy.

No i słuchaliśmy wydawanych przez Dorotę odgłosów, z których wynikało, że najadła się więcej grozy niż kolacji.

– To raczej nie ona – usłyszałem rzuconą półgłosem uwagę Jovanki.

– Chyba nie mówisz serio...

– Mówię – zapewniła. – Nie podejrzewam jej. Aż taką aktorką nie jest.

Nie mogłem oderwać wzroku od jej ściągniętego w beznamiętną maskę oblicza.

– Naprawdę przyszło ci na myśl...? Po co by miała...?

Odwróciła twarz, przebiegła spojrzeniem po umazanej czerwienią ścianie.

– Co tam jest napisane? – zapytałem nieco pokorniej.

– „Za nienarodzonych” – przetłumaczyła cicho.

Obejrzałem zwłoki, starając się zarazem widzieć i nie patrzeć. Przy okazji zamknąłem Bulatovićowi oczy.

– Chyba nie żył, kiedy mu to robili – mruknąłem. – Popatrz na jego twarz. Nie zdążył się przestraszyć.

Zamiast tego skorzystała z karafki stojącej na stoliku. Ze szklanki już nie.

– To nasza wina? – zapytała trochę chrapliwym głosem. W kuchni Dorocie udało się odkręcić kran i łomot wody o blachę zagłuszył trochę odgłosy wymiotowania.

– Jeśli wierzyć faktom, to nie – rozejrzałem się. – Pomijając napis... co ci to przypomina? Jego poza, strój, te paski na nogach? Wypisz wymaluj, gabinet ginekologa po najeździe aktywistów jakiegoś tutejszego ruchu obrońców życia. Policja nie powinna mieć problemów z ustaleniem kierunku śledztwa.

Zostawiłem ją, wszedłem na piętro i odszukałem sypialnię gospodarza. Wyjąłem z szuflady jakiś podkoszulek i używając go jako rękawic, przeszukałem pokój. Znalazłem dwie informacje, w tym jedną w postaci niematerialnej. Byłem mianowicie jedyną osobą, która trafiła tu po śmierci gospodarza. Morderca, który tak zabawił się w salonie, z pewnością pozostawiłby jakieś ślady. Wróciłem na dół z informacją numer dwa w dłoni.

– Niczego chyba nie zrabowano – oznajmiłem.

– A myślałeś, że to napad rabunkowy? – zripostowała. – Przy szafie został odcisk buta. Terenowy, jak nasze. A ubranie Bulatovicia znalazłam w łazience. W szlafroku jest dziura na wysokości serca. Ten bydlak musiał go pchnąć, jak tylko stanął w drzwiach.

Potem rozebrał zwłoki, znalazł koszulę i zrobił całą resztę.

– Brawo. – Wręczyłem jej złożoną na pół kartkę. – Rzuć na to okiem. Skróty w serbskim to dla mnie chińszczyzna. Co on mógł tu zapisać?

Rozłożyła papier jak gdyby z szacunkiem i zagłębiła się w łamigłówce dwu-, trzyliterowych zbitek. Zostawiłem ją i podszedłem do Doroty. Siedziała ze zwieszoną głową na ostatnim z kuchennych taboretów. Twarz i spore partie sukienki miała mokre, ale na szczęście przeważała woda. Ukucnąłem naprzeciw jej kolan.

– Już dobrze. Zaraz wyjdziemy na powietrze. – Pochyliła się i wsparła czołem o mój bark. – Przepraszam, że cię w to wplątałem. Nie myślałem... Już dobrze.

Kłęczałem u stóp ślicznej, młodej dziewczyny i myślałem o najgłupszej rzeczy, o jakiej mógł myśleć facet dźwigający na karku taki bagaż kłopotów. Jakie niby znaczenie mógł mieć fakt, że z płaczem nie jest Dorocie Kowalak do twarzy? Jovance też mogło nie być. Nie mogłem mieć pewności, że załzawiona i zasmarkana nie prezentowała się jeszcze gorzej. Ale miałem i byłem nieszczęśliwy z tego powodu.

– Nie chcę przeszkadzać, drodzy zakochani, ale chyba powinniśmy się pospieszyć.

Z głową Doroty na ramieniu i uchem pełnym jej włosów nie umiałem wyczuć, czy poza kpina pobrzmiwa w głosie Jovanki coś jeszcze.

– To tu – zakreśliła zdecydowane kółko na mapie. – Ciekawe.

Przyglądałem się śladowi rysika ładnych parę sekund. Potem zerknąłem w czarne w tej chwili oczy Jovanki.

– Prawie tam byliśmy. Gdyby Nedić nie zatrzymał nas wtedy na przełęczy...

– Nie o tym mówię – mruknęła. – Dubrovka, po drugiej stronie Glavy. Nic ci to nie mówi?

– Jesteś pewna, że Bulatović miał na myśli tę wioskę?

– Nie – przyznała. – Ale jeśli mają tam cmentarz, a grób jest opisany, nie będzie problemu z jego odnalezieniem.

– No, nie wiem... Ana B... To mała wieś, ale imię Ana nie jest chyba w Jugosławii egzotyczne. Co zrobisz, jak będzie ich tam więcej?

– Znamy datę. Romek mówi, że znaleźli nas dwudziestego czwartego marca.

Klepnąłem się w głowę w geście samokrytyki.

– Dojedziemy bez zahaczania o posterunki? – zainteresowała się Dorota.

– My? – Jovanka z premedytacją patrzyła na mnie, omijając dziennikarkę wzrokiem.

– Chcesz ją nadal w to mieszać?

– Dorota? – ograniczyłem się do uniesienia brwi.

– Bez samochodu jesteście uziemieni.

– A co ze zdrowym rozsądkiem? – zapytała beznamiętnym tonem Jovanka. Nie byłem pewien, do czego zmierzała. Ona chyba też nie. Nie przepadała za Dorotą, ale znałem ją już na tyle, by wiedzieć, że potrafi panować nad emocjami.

– Nie w tej branży – westchnęła redaktor Kowalak i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

– Twoja historia śmierdzi, a tacy jak ja muszą iść za obiecującym smrodem. Zresztą... na razie to tylko nocne łożenie po odludnym cmentarzu. Może być nawet ciekawie.

Zaczęło się nieźle: dotarliśmy na miejsce, nie napotykając nikogo, i już po drugiej rundzie wzdłuż pogrążonych w mroku ruin zlokalizowaliśmy nieduży cmentarzyk w gromadce drzew. Poprosiłem Dorotę, by zaparkowała w cieniu i otworzyła bagażnik.

Wraz ze sprzętem saperskim Błażejski dostarczył wojskową latarkę z filtrami i pewnie z myślą o niej tak niefrasobliwie podnosiła klapę. Dopiero na widok żołnierskiej łopatkę wydłużyła jej się mina.

– Po co ci to? – zapytała dość ostro Jovanka.

– Nie oczekuję pomocy – odciąłem się. – Znajdziemy grób i możesz wracać.

– To nie jest na serio – pokazała palcem łopatkę.

– Chyba nie zamierzasz rozkopywać grobu?! – poparła ją Dorota.

– Słuchajcie, dziewczyny, ja też wolałbym tego uniknąć.

– To uniknij – poradziła Jovanka. – Czemu to niby ma służyć?

– Po pięciu latach niewiele znajdziesz – zauważyła przytomnie Dorota. – Trochę kości, jak dobrze pójdzie. – Wzdrygnęła się na myśl, jaki widok mnie czeka, gdyby poszło jeszcze lepiej.

– Pewnie macie rację – przyznałem. – Ale w kryminałach gliny zawsze zaczynają od oględzin zwłok.

Przeleżałem przez płot i dopiero pod jego osłoną włączyłem latarkę. Na wszelki wypadek z czerwonym, zapewniającym największą dyskrecję filtrem.

– Same stare groby. – Jovanka zerknęła na przemykającą po tabliczkach plamę czerwieni. – To nie tu. Może szukaj biedniejszych.

Miała rację. Stosunkowo szybko znaleźliśmy alejkę nowych grobów, a w niej drewniany krzyż z nazwiskiem Ana Brkanić. Na blaszanej tabliczce, podchodzącej już rdzą, nie było daty urodzenia, jedynie informacja „przeżyła dwadzieścia jeden lat”. Za to drugi szereg cyfr cieszył oko swą długością.

– Dwudziesty piąty marca – odczytałem bez uciekania się do pomocy Jovanki. –

Mamy ją.

Próbowałem wręczyć dziewczynie latarkę. Stała jednak ze spojrzeniem utkwionym w trawiastym kopczyku, nie widząc ani mojej ręki, ani chyba mnie samego. Na szczęście obok leżał jakiś bogatszy od Any Bośniak, którego nagrobek oferował niezłą kolekcję półeczek pod źródła światła. Zacząłem kopać, od początku w tempie radzieckiego piechura, któremu pośrodku stepowej pustki oznajmiono, że faszystowskie czołgi są tuż-

tuż, a nasza artyleria cholera wie gdzie. Dotarłem do trumny szybko, za to całkiem wyczuty z zapasów energii i optymizmu. Kiedy ostrze przebiło się z mokrym trzaskiem przez wieko trumny, byłem na tyle znieczulony, że prawie się nie przejąłem. Dyszałem więc i odór nie bardzo mnie zaszokował. Jovanka lekko się cofnęła.

– Boże... Pochowali ją w szafie?

– Zbili trumnę z tego, co było pod ręką. – Woleliśmy mówić o opakowaniu, a nie tym czymś w środku. – Spróbuj zamocować latarkę tak, by świeciła w dół.

– Mam ci pomóc? – W jej głosie zabrzmiała autentyczna zgroza. – Zejść do ciebie?

– Chodziło mi raczej o to, że nie musisz tam stać i patrzeć. Jeśli nie da rady zamocować latarki, po prostu zamknij oczy.

Dorota się nie odezwała. Pewnie powtarzała sobie, że dziennikarz musi być twardy.

Zdjąłem koszulkę, rzuciłem na najbliższy nagrobek. Zegarek schowałem do kieszeni, a nogawki podwinąłem, na ile się dało.

– Jezu... – Panią redaktor zatrzęsło. – Naprawdę ci odbiło.

– Ze skóry wszystko da się zmyć.

Zmrużyłem oczy i podważyłem wieko. W skrzyni znajdowało się trochę kości i marne resztki miękkiej tkanki. Szczątki ubrania zachowały się dużo lepiej: w paru miejscach dało się nawet odróżnić błękit sukienki.

– Nie ma butów. – Zacząłem mówić, głównie w nadziei, że przez zajęte słowami gardło nie przedrze się fala wymiotów. – Długie włosy, sukienka, chyba biustonosz, więc to raczej kobieta. – Wyjąłem scyzoryk i posługując się łopatką jako podkładką, zacząłem usuwać przegniłą tkaninę. – Nie widzę żadnej biżuterii, zegarka... Zamilkłem na jakiś czas. Trudno mówić o radości, gdy się stoi nad zwłokami dwudziestoletniej dziewczyny, którą brutalnie uśmiercono, zapakowano do obskurnej skrzyni i oddano na żer robactwu, ale zrobiło mi się trochę lżej na duszy, kiedy zrozumiałem, że moje makabryczne wykopki czemuś posłużą.

– To nie mina – oznajmiłem.

– Skąd wiesz, co ją zabiło? – zapytała słabym głosem Dorota. Musiała przynajmniej raz zerknąć do grobu, w efekcie czego stała teraz tyłem. – Nic z niej nie zostało.

– Stopy ma nietknięte. Myślałem, że może nadziała się po raz drugi na odłamkową, ale to nie kawałki miny tak jej pogruchoły zebra.

– A co? – Jovanka znów świeciła gdzie trzeba, ale oczywiście nie mogła widzieć wszystkiego, co na poły dostrzegłem, na poły wymacałem ostrzem scyzoryka.

Nie odpowiedziałem. Krzywiąc się ze wstrętu, rozgarniałem saperką zalegające dno trumny okropieństwo, wzdragając się za każdym razem, gdy musiałem pomagać sobie nożem. W końcu dokopałem się prawdy. Grudka została ściśnięta między dwoma kawałkami stali i ostrożnie przeniesiona pod stopy Jovanki.

– Jeśli któraś z was ma chusteczkę... Może da się to jeszcze wykorzystać.

– Co to jest? – Jovanka przykucnęła i trąciła znalezione czubkiem palca. Przyszło mi na myśl, że przydałyby jej się dłuższe paznokcie. Ten jeden raz, bo tak w ogóle, to podobały mi się jej dłonie oraz fakt, że często używa nożyczek.

– Pocisk karabinowy. Kaliber 5,56 albo coś zbliżonego.

– Co to znaczy?

– Natowski kaliber. Nasze beryle strzelają takimi właśnie pociskami. Duża siła przebicia przy strzale z bliska. Większość przeszła przez Anę i poleciała dalej. Ten musiał

trafić w coś twardego.

– O czym ty mówisz? – Dorota obróciła się na pięcie. – Twierdzisz, że tę dziewczynę ktoś zastrzelił? Z natowskiego karabinu?

– Nie zastrzelił – uściśliłem. – Rozwalił. Wybebeszył. Wpakował cały magazynek nie tyle w nią, co już w jej zwłoki. Ten jeden zachowany pocisk musiał przez nią przejść, kiedy już leżała. Zrykoszetował od kamienia, betonu, czy co tam było pod spodem, i jeszcze raz wbił się w ciało. Może nawet morderca oglądał potem ciało i zastanawiał się nad problemem pocisków, ale założył się, że na widok ran wylotowych przestał sobie zawracać tym głowę.

– Jesteś pewien? – zapytała cicho Dorota. Skinąłem głową. – A te natowskie naboje...

– Owszem. – Nie musiałem czekać, aż skończy. – Różne patałachy też mogą ich używać. Tyle że w Jugosławii to znacznie mniej prawdopodobne, bo tu króluje jego wysokość kałasznikow. Tani, prosty, niezawodny. No i to nie jakieś patałachy odwoziły Anę do domu.

– Może... może to nie ta dziewczyna? Diabli wiedzą, czego Bulatović dowiedział się o grobie. Może...

– Widzisz to coś na jej udzie? – Powiniennem mówić o kości udowej, ale co tam. –

Jeżeli to nie był bandaż, to nie wiem, co by to mogło być. Bulatović był godnym uwagi informatorem, sądząc po tym, co z nim zrobili. Ta biedaczka miała na nodze opatrunek, a zabito ją z broni kalibru 5,56 mm. W dodatku bardzo nieprofesjonalnie, nie tak jak się tu zabijało po tylu latach praktyki. Ewidentnie komuś puściły nerwy. No a potem ją pochował, zamiast porzucić w jakimś rowie. Po co tyle fatygi, o ryzyku nie mówiąc? Bo jeśli cię ktoś widzi jako ostatniego w towarzystwie ofiary, to automatycznie stajesz się podejrzanym numer jeden. A o kim wiemy, że był tym ostatnim, czy raczej: tymi ostatnimi?

– To nie ma sensu – Dorota powoli pokręciła głową.

Zamknąłem trumnę i ostrożnie wygramoliłem się z grobu. Dorota podała Jovance papierową chustkę, mogłem więc zawinać kulę.

– Znaleźli was dwudziestego czwartego – dorzuciłem.

– Ale dlaczego? – Czarne w tej chwili oczy wydały mi się pełne bólu. – Dlaczego polscy żołnierze mieliby zrobić coś takiego? Nawet jej nie znali.

– Posłuchajcie – uniosłem uspokajająco dłonie. – Po ekshumacji człowiek wyobraża sobie Bóg wie co o tym, który zabił. Ale to mógł być zwyczajny wypadek. Może dziewczyna chciała uciekać, a jakiś

wystraszony albo nadgorliwy żółtodziób do niej strzelił i...

– Całym magazynkiem?

– Nie. Potem już wyraźnie chodziło o to, by zabić. Ale co innego na zimno dokonać egzekucji, a co innego postrzelić cywila, przerazić się konsekwencji i po prostu dobić świadka.

– I mielibyśmy motyw – poparła mnie Dorota. – Wszystko zależy od tego, ilu ludzi brało w tym udział. Im mniej, tym większe prawdopodobieństwo, że mogło do czegoś takiego dojść.

Zastanawiałem się może sekundę, po czym zacząłem zasypywać dół.

Astra stanęła obok wielkiego dębu, flankowana z obu stron równie imponującymi zaroślami, które osłaniały ją przed wzrokiem każdego, kto nie siedział akurat na czubku Pecinaca. Góra Trzech Szkieletów majaczyła na tle granatowego nieba ponurym, czarnym masywem. Bliska, a zarazem zbyt odległa, by w wątlym blasku przedświtu dało się ocenić rozmiary czy wyodrębnić szczegóły.

– I oto jest – mruknąłem w zadumie. – Stara wiedźma. Ciągle tu stoi.

– To ta góra? – zdziwiła się Dorota. – Boże, zupełnie się pogubiłam. Myślałam, że jesteśmy całkiem gdzie indziej. – Wyłączyła silnik i zabrała się do masowania karku. –

I co dalej?

– Rozwidni się – przeciągnąłem się leniwie w fotelu. – Wzejdzie słońeczko, las się zazieleni, zrobi się ciepło. Już całe wieki nie byłem w prawdziwym lesie.

– O czym...? – Dorota nie dokończyła. – Chcesz tam iść?! Na tę górę?!

Zwariowałaś?!

– Niezupełnie. Po prostu jestem konsekwentny.

– Konsekwentnie pakujesz się na jedno i to samo pole minowe?

– Tamto było po przeciwnej stronie. I nie powinienem na nie wchodzić.

– Teraz też nie powinieneś – westchnęła Jovanka.

– Wiem. Powiniennem zabrać cię do Sarajewa, poszukać szkoły, gdzie tak dobrze nauczyli cię angielskiego, objeżdżać kolejno wszystkie uczelnie byłej Jugosławii.

Możliwe też, że to nie studia, ale jakiś anglojęzyczny rodzic. Albo młodo wyszłaś za mąż za faceta z ambasady. Jest sto różnych możliwości. Powinniśmy znaleźć Jovankę małolatę i od tego momentu, zgodnie z chronologią, dojść do tej góry. Ale to wymaga dwóch rzeczy, których nie mamy. Czasu i pieniędzy.

– I dlatego musimy iść na skróty – podsumowała. Po czym uśmiechnęła się nieoczekiwanie. – Przez miny i druty.

Nie mogłem się nie roześmiać.

– Owszem, tyle że nie „my”.

– Nie wszyscy – zgodziła się szybko. – Dorocie wszystko opowiemy po powrocie.

Ze szczegółami – podkreśliła, z umiarkowanym powodzeniem próbując posłać jasnowłosej przyjazny uśmiech.

– Nie pójdziesz ze mną – stwierdziłem bez emocji.

– Pójdę – zapewniła równie spokojnie. – Nie zapominaj, o co w tym wszystkim chodzi.

– Właśnie – wtrąciła się zniecierpliwiona Dorota. – Nie o wycieczki po lesie. Masz pomóc córce Jovanki. – Oboje posłaliśmy jej zdziwione spojrzenia. – Zastanawiam się, czy nie prościej byłoby napisać mocny artykuł i zmobilizować trochę ludzi w kraju.

– Artykuł? – powtórzyłem tępo.

– To niesamowita historia. Nie musisz wchodzić na następne pole minowe, by dała się dobrze sprzedać.

– Zaraz... Myślisz, że zwróciłem się do ciebie...?

– Nie – zamachała rękami. – Nie poluję na temat. To znaczy owszem, chętnie o was napiszę, ale mówiłam o sprzedawaniu nie w takim sensie. Twoja mała – zwróciła się do zaszępionej Jovanki – potrzebuje forsy albo dużego przeskoku na liście oczekujących, prawda? Jedno i drugie da się chyba załatwić, jeżeli cała Polska się dowie, że istnieje jakaś Ola i że ma taką matkę.

– Jaką? – zapytała Jovanka.

– No, typowa to ty nie jesteś. Amnezja, niejasna przeszłość, ten wariacki pomysł

wyjazdu do Bośni z takim facetem jak Marcin... Że nie wspomnę o strzelaninie.

Czoło Jovanki pozostało zmarszczone, przyczyną był jednak namysł, nie nieufność.

– Zrobiłabyś to? – zapytałem miękko.

– Myślałam, że już robię – odparła lekko urażona Dorota.

– Przepraszam – poklepałem jej dłoń. – I dziękuję. Nie myśl, że nie doceniam twojej pomocy. Gdybyś jeszcze mogła zabrać teraz Jovankę w jakieś bezpieczne miejsce...

Obgadacie strategię kampanii medialnej, a ja się...

– Gównu – przerwała mi czarnowłosa. A blondynka pokręciła głową z wyraźnie niezadowoloną miną.

– Jesteś mi potrzebny żywy, żeby coś z tego wyszło. Bez urazy – zerknęła na tylne siedzenie – ale on się lepiej nadaje do potrząsania opinią publiczną.

– Ja? – Nie chciało mi się wierzyć.

– Ludziom opatrzyły się już nieszczęśliwe matki, błagające o ratunek dla dzieci.

Zwłaszcza... bez urazy... cudzoziemki. Polski oficer, który nie ma w tym żadnego osobistego interesu, prawdziwy żołnierz z krwi i kości, który zbierał kiszki swoich ludzi z pola walki, to jednak coś zupełnie innego.

– Kto ci powiedział o tych kiszkach? – zapytałem nieco drętwym głosem. – Tak napisałaś w artykule?

– A jakie to ma znaczenie?

– Sama przed chwilą powiedziałaś – przypomniałem. – Czytelnikowi podobają się takie kawałki. Ale ja po wszystkim odwiedzałem rodziny tych chłopaków. Rozmawiałem z nimi i zapewniłem, że przynajmniej śmierć mieli lekką. Bum i koniec.

– Nie ujęła tego w ten sposób – odezwała się Jovanka po chwili ciężkiego milczenia.

– Nie musisz na nią krzyczeć.

Przez jakiś czas wpatrywaliśmy się w milczeniu w sylwetkę Pecinaca.

– I co? – przerwała ciszę Dorota. – Który wariant wybieramy?

Pytała Jovankę, choć nie przepadały za sobą i zdążyłem zauważyć, że dużo chętniej zwraca się do mnie. Jak na matkę rozstrzygającą o być albo nie być swego dziecka, Jovanka nie zastanawiała się długo.

– Wracajmy do Polski – powiedziała cicho, nie patrząc na nikogo. – Masz rację. Z tą górą to może i romantyczny, ale całkiem szczeniacki pomysł. Zginęlibyśmy, i tyle. A tak jest przynajmniej cień szansy... – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Dziękuję, że chcesz mi pomóc. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Przez tę krótką chwilę chyba się lubiły. Otwierając usta, zdeptałem bardzo mizerne załączki sympatii.

– Dobrze, że jesteście rozsądne. Łatwiej zrozumiecie, że dwie szanse to zawsze więcej niż jedna. – Otworzyłem drzwi, wpuszczając do wnętrza chłód poranka. –

Wracajcie do kraju, dziewczyny. Jak dobrze pójdzie, dogonię was za dzień czy dwa, a jak źle, to doleczę jeszcze przed wami. W takim przypadku liczę na paczki.

– Głupota – powiedziała Dorota jakoś niepewnie. – Ile wynosi prawdopodobieństwo, że wrócisz żywy z tej góry?

– Dziewięćdziesiąt... no, powiedzmy... osiem.

– Jest optymistą – wyjaśniła jasnowłosej Jovanka.

– Aż tyle? – oczy Doroty zrobiły się trochę szersze. I zaśmiały. – Jesteś pewny?

– Posłuchaj – uśmiechnąłem się, kretyn nieszczęsny, pobłaźliwie. – Saperzy torują wojskom drogę przez pola minowe nocą, pod ogniem... I też nie giną masowo. Kiedy jest czas i nikt nie strzela, wejście na minę uważa się w naszym fachu za wypadek. Coś jak u kierowcy zderzenie na szosie.

– To znaczy – mówiła powoli – że ktoś, kogo prowadzi dobry saper, ma szanse zbliżone do...?

– Trochę większe od przewod... – Nagłe łuski opadły mi z oczu. – Czekaj...

Właściwie o co ci...?

– Bo pójdę z tobą.

Zrobiło się tak cicho, że bez trudu usłyszałbym każdą spacerującą po łące mrówkę.

– Oszalałaś? – Oczywiście pokręciła głową, co było typową reakcją szaleńca. –

Zresztą po co pytam...

– Nie jestem normalna – oświadczyła bez wstydu. – Jestem dziennikarką.

– Masz zamiar być – uściśliłem. – I wydaje ci się, że bez nadstawiania tyłka... to znaczy głowy – poprawiłem się – nie zrobisz takiej kariery, jak byś chciała. Ale to dziecinne myślenie. Który z pierwszoligowych dziennikarzy wypłynął dzięki temu, że ryzykował życie? Praktycznie żaden.

– Nie ucz ojca dzieci robić. A co do twojej freudowskiej pomyłki... Alternatywa bywa i taka. Albo kładziesz się pod naczelnym, albo pod gilotyną i informujesz czytelnika, jak wygląda ostrze z takiej perspektywy. Ktoś ważny przeczyta, doceni i zacznie rozmawiać o etacie bez znaczących uśmiezków i łóżkowych aluzji.

– Chcesz powiedzieć, że załapałaś się...? – nie dokończyłem. – A tak porządnie wygląda ten wasz naczelny...

Obie rzuciły mi mocno nieokreślone spojrzenia.

– Nie spałam z nim, jeśli o to pytasz. I może na tym poprzestaamy. – Nagle jej głos złagodniał. – Zrozum: chcę być dziennikarką i czuję, że mogę być w tym dobra. Za daleko wszystko zaszło.

– Nie zabiorę cię – oświadczyłem stanowczo.

– Więc po prostu za tobą pójdę – wzruszyła ramionami. – Masz pomysł, jak temu zapobiec?

– Zwiążę cię – skopiowałem jej gest. – Żaden problem.

– Oskarżę cię o napad – obiecała Dorota.

– Wszystko opowiem, kiedy wrócę. Słowo.

– Jeśli wrócisz, to ja też. Na miny wpada ten z przodu. Więc zamknijmy temat.

Potrzebna mi jest ta wyprawa. Nie tak jak Jovance, ale bardziej niż tobie. Ona ma nadzieję znaleźć tam szansę dla córki, ja klucz do kariery. A ty co? Po kiego diabła tam leziesz?

– Dla forsy. – Staralem się wypaść przekonująco. – To mój zawód.

– Dla małej forsy – dopowiedziała, posyłając mi niepokojące spojrzenie spod rzęs. –

Sam widzisz. Z nas trojga to ty powinieneś tu czekać.

Ten odcinek frontu był nie do ruszenia. Spróbowałem ataku na słabiej bronionym.

– Wyjaśnij jej, jakie to głupie – zwróciłem się do Jovanki. – I że skoro nawet ty nie idziesz, to tym bardziej...

– Ale ja idę – przerwała mi, co prawda łagodnie. – Może źle się wyraziłam, przepraszam. Nie myślałeś chyba, że cię puszcze samego?

– Powiedziałaś, że wracasz do Polski!

– Że wracamy – uściśliła. – My. Nie ja. Myślałam, że zrobimy to na sposób Doroty.

Ale skoro najpierw zamierzasz połączyć po górach... – Zerknęła na blondynkę. – Co racja, to racja: forsa nie jest imponująca. Jestem ci winna przynajmniej swoje towarzystwo.

– Tylko że mnie nie zależy na twoim towarzystwie – rzuciłem bez zastanowienia.

– Domyślam się – powiedziała ciszej. – Mam oczy. Ale i tak z tobą pójdę. Każdemu przyda się pomoc.

– A jeszcze bardziej dwie – dodała Dorota. – Czujcie się przegłosowani, Małkosz.

I róbcie, co wam każe pracodawca.

Zatrzymaliśmy się w odpowiednim miejscu. Wyłowiłem z krzaczastego tła sylwetkę klęczącego mężczyzny tylko parę sekund wcześniej, niż obrócił szkła lornetki w naszym kierunku.

– Stop – warknąłem. Rozłożysta choinka osłoniła całą naszą trójkę przed wzrokiem faceta z lornetką. Cofnąłem się i sięgnąłem po własną lornetkę.

– Kto to? – wyszeptała klęcząca obok Jovanka.

– Ornitolog – mruknąłem. – Wracamy. Tą samą drogą, tyle że głowy trzymamy niżej.

Cofnęliśmy się i pod osłoną zagajnika skręciliśmy na południe. Zbliżyliśmy się do rejonów patrolowanych przez wojsko, ale nie widziałem lepszego wyjścia. Od wschodu las był rozdzielony szerokim pasem pastwisk i poletek, niedającym szansy skrytego podejścia. Właśnie jego pilnować musiał mężczyzna, którego zauważyłem.

– Kto to mógł być? – Jovanka odczekała kwadrans, nim o to zapytała.

– Ktoś dużo lepiej od nas przygotowany do tego, co robi – oświadczyłem z goryczą.

– Był w zielonym plamiaku, nie sukience w grochy czy szortach.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – rzuciła chłodno Dorota. – Nie mówiłeś, że jestem źle ubrana.

– Nie jesteśmy przygotowani do wyprawy w góry. Wiedziałeś o tym od początku i nie zrobiłeś niczego, by to zmienić. – Jovanka miażdżyła mnie wzrokiem. – Ten facet, o ile jakiś był, to jedynie wygodny pretekst.

– Skończyłaś?

– Nie. Prowadzisz nas w stronę samochodu. Chcę ci powiedzieć, że to zauważyłam.

– Więc dobrze. – Obie razem były za cwane, by kusić się o wodzenie ich za nos. –

Ten facet to chyba nie ornitolog. Co znaczy, że jest niebezpieczny. Za dużo krwi się polało, by chowający się po krzakach faceci mogli liczyć na wstrzemięźliwość SFOR-u.

Teraz obowiązują kowbojskie zasady i dam głowę, że wszyscy zainteresowani dobrze to wiedzą. Jeśli ryzykują, muszą mieć silną motywację.

– I?

– I trzeba ich traktować poważniej.

– Więc wracamy wszyscy – powiedziała Jovanka po paru sekundach. – Ryzyko przerosło spodziewane zyski. Jedźmy do Polski i piszmy artykuł.

– Nie całkiem o tym myślałem.

– Aha – spokojnie skinęła głową. – A o czym myślałeś?

– Jeden człowiek przemknie się trzy razy łatwiej.

– Nie puszcę cię samego.

– A ja was – dodała Dorota. – Nie wracajmy do starych argumentów. Ty idziesz, my też.

Uśmiechnąłem się kwaśno, jak to przegrany.

– Pójdę się rozejrzeć, a wy tu poczekacie.

– Na co? – zaproponowała Jovanka. – Zamierzasz nam uciec?

Nie była paranoiczką: stąd aż do samochodu można było dojść zagajnikami. Dalej zaczynał się pas odkrytej przestrzeni porośniętej lichymi krzaczkami, rodzaj Rubikonu dla takich jak my. Po drugiej stronie był już regularny górski las porastający zbocza Pecinaca i gdybyśmy tam dotarli, odsyłanie kobiet z uwagi na ich bezpieczeństwo stanęłoby pod wielkim znakiem zapytania. Najwyraźniej widziała to podobnie.

– Zapamiętajcie raz na zawsze – powiedziałem z naciskiem. – Nie zostawię was, a jeśli nawet, to nie w tak gówniarski sposób. Nie jesteśmy na wycieczce, tylko na wojennej ścieżce. Nie ma miejsca na wygłupy. Kto chce sikać, mówi: „Chcę sikać”, i uzgadnia czas, miejsce i technikę. Informujemy się o wszystkim, ufamy sobie i nie robimy głupstw. Jasne? – Pokiwały głowami z ujmującą zgodnością. – A teraz pójdę sprawdzić, czy droga jest bezpieczna. Gdyby stało się coś niedobrego, wracajcie po własnych śladach.

Czmychnąłem w krzaki, nim przypomniały sobie o prawie podkomendnego do zadawania pytań. Po dziesięciu minutach manewrowania między zaroślami i niepozornymi garbami ziemi dotarłem do pierwszych dużych drzew. Uznałem szlak za przetarty i zacząłem odczołgiwać się z powrotem.

– Na nogach byłoby szybciej.

Nie podskoczyłem z wrażenia, bo trudno przejść od pełzania do nerwowych podskoków. Podniosłem się na kolana i posiałem niepewny uśmiech wychodzącemu zza drzewa mężczyźnie.

– A to spotkanie... Co pan tu robi tak wcześnie?

– Jak to co? – udał zdziwienie Milo Nedić. – Wyprowadzam psa.

Zerknąłem na Ustasza, który dopiero teraz, gdy się okazało, że wolno, wprawił ogon w szybki ruch wahadłowy.

– Zawsze pan bierze karabin na psie spacer? – przeniosłem spojrzenie na parciany pas, przecinający ramię Mila.

– Nie. Ale w tych okolicznościach... Narobił pan niezłego zamieszania.

– Ja? – Ustasz biegł już z jęzorem, więc podniosłem się na równe nogi.

– Wieczorem regularna wojna, a w nocy brutalne morderstwo. Nie uwierzy pan, ale to sporo, jak na

naszą spokojną okolicę.

– Morderstwo? – powtórzyłem powoli.

– Okolica jest i spokojna, i mała – wzruszył ramionami, co spowodowało, że muszka skrytego za plecami karabinu wysunęła się z za poszerzonego kaburą biodra.

Kałasznikow, naturalnie. – Wieści rozchodzą się szybko. Na przykład te o doktorze Bulatoviciu i jego ostatnich gościach.

– Okolica jest mała – przyznałem – ale przedzielona granicą. Nie wiedziałem, że współpracujecie tak sprawnie z muzułmańską policją.

– Staram się trzymać rękę na pulsie. – Na razie trzymał na pasie karabinu. – Nie ukrywam, że interesowałem się wami. A gdzie pani Bigosiak? – zapytał niby od niechcienia.

– Chyba nie myślał pan – uśmiechnąłem się z rozbawieniem – że zabrałbym ją ze sobą?

– Na Pecinac? A niby dlaczego nie? – spytał prowokacyjnym tonem.

– To przecież kobieta – wzruszyłem ramionami. – Nie jestem staroświecki, ale nie zabieram dziewczyn na pola minowe. Nawet takich.

– No właśnie – podchwycił. – „Nawet taka” to dobre określenie. – Zrobił krótką przerwę. – Wiem, dlaczego byliście u Bulatovicia. Nie mam pewności, kto go zabił, ale dopuszczam myśl, że wy, a przynajmniej ona. I proszę mi nie wmawiać, że nie jest do tego zdolna.

– Psychicznie może i tak – zgodziłem się. – Ale nie fizycznie. Nie potrafi się rozdzwajać, a wczoraj nie odstępowała mnie na krok.

– Na pewno?

– Dopiero w nocy nas rozdzielili, zresztą na krótko, a w dodatku oboje siedzieliśmy w wojskowym obozie, pod strażą... Zresztą po co by miała...?

– Dwóm dziewczynom przydarza się coś bardzo złego. Tak przynajmniej twierdzi ta, która przeżyła. Bo druga, dziwny traf, zaginęła zaraz potem. A teraz ginie człowiek, który widział je razem i mógł stwierdzić, jak bardzo się lubiły. Ciekawe, prawda?

– Bezsensowne – stwierdziłem chłodno. – Przyjechała tu po tylu latach aż z Polski, by zabić Bulatovicia? Doktor zdążyłby sto razy wszystko panu opowiedzieć.

– Gdybym pytał – uśmiechnął się lekko. – Ale tak się składa, że to wy naprowadziliście mnie na Bulatovicia.

– Śledzi nas pan? Nie prościej – skinąłem dłonią ku północy i stanowisku ornitologa

– było przydzielić nam oficjalną asystę? Bardziej ekonomiczne, zwłaszcza jeśli trzeba obstawić taką dużą górę.

Zmarszczył czoło. Popatrzył we wskazanym kierunku, potem na mnie.

– O czym pan mówi? – Posłałem mu pytające spojrzenie. – Spotkaliście tam kogoś?

Jestem tu sam. Tylko ja i Ustasz.

– Sam? – Byłem równie podejrzliwy jak on.

– A więc spotkaliście – odpowiedział na własne pytanie. – Mężczyźni? Uzbrojeni?

Ilu ich było?

– Jeden – mruknąłem. – Mogę zapytać, co pan tu robi?

– Jak to co? – Przez chwilę myślałem, że znów zaserwuje ten kawałek o spacerach z psem. – Czekałem na was.

– Tutaj? I sam?

– To dobre miejsce, jeśli się chce przyłapać kogoś idącego na szczyt. Skrycie – podkreślił.

– A skąd pomysł, że będziemy szli skrycie na szczyt?

– Kiedy się spotkaliśmy, krążyliście wokół Pecinaca. Z Kostą rozmawialiście o Pecinacu. Tu znaleźli dziewczyny i to tu stracił pan żołnierzy. Pomyślałem, że teraz, kiedy ziemia zaczyna się wam palić pod nogami, nie przepuścicie okazji i zajrzycie tutaj.

– Pana brat też zginął pod Pećinacem – powiedziałem cicho. Nie zareagował. – Kim jest ten facet ze zdjęcia?

Długo milczał. Potem zaskoczył mnie nieprzyjemnie, z ostentacyjną powolnością sięgając pod kurtkę, tam gdzie policjanci po cywilnemu noszą wiadomo co. Spod skórzanej kurtki faktycznie wynurzył się rewolwer.

– Pewnie nie zaprowadzi mnie pan do niej. – Wyciągnął dłoń z trzymanym za lufę naganem. – Proszę. Bez obaw, tym razem nie chodzi o odciski palców. Niech pan to weźmie i dobrze schowa.

– Nie rozumiem. – Nie sięgałem jeszcze po broń.

– Może się co do niej mylę – przyznał łaskawie. – Ale jeśli nie, to lepiej, by miał pan jakiegoś asa w rękawie. Jednego faceta już załatwiła samym tylko kijem.

– O czym pan, do cholery, mówi?!

– Nawet jeśli straciła pamięć, a to wcale nie takie pewne, kiedyś coś tu robiła. Tu –

podkreślił. – Nie na zapleczu. Na linii frontu. Nie daje to panu do myślenia?

– Daje – przyznałem. – Ale to nie była ona. Rozumie pan? Tamtej dziewczyny już nie ma, zostało po niej jedynie ciało i jakieś strzępy charakteru.

– I dziecko – dodał spokojnie. Posłałem mu spojrzenie wyrażające całkowity brak zrozumienia. – Matka jest zdolna do niejednego, gdy trzeba ratować dziecko.

– Do czego pan zmierza, bo jakoś...

– Mogła tu nie wracać, bo naprawdę cierpi na amnezję i jest teraz Polką. Ale mogła właśnie dlatego, że pamięta i boi się pamięci innych.

– Aha – pokiwałem głową. – Tak pan to widzi.

Wziąłem w końcu rewolwer. Sprawdziłem, czy w myśl policyjnego BHP ma pustą komorę na przedłużeniu iglicy – miał pełną – i wetknąłem go do plecaka.

– Idzie pan tam, oczywiście, sam. – Nie wierzył mi raczej, więc darowałem sobie przytakiwanie. – Na tę górę nikt nie wszedł od zakończenia wojny.

– Bo nie było po co. Ja wejdę.

Niewiara niewiarą, ale pozory musiałem zachować. Skinąłem Milowi głową, poprawiłem plecak i przemaszerowałem obok niego, kierując się w zarośla porastające stok Pecinaca.

– Małkosz! – Odwróciłem się, nie przerywając marszu. – Nie wiem, co tam znajdziesz, ale dobrze ci radzę: patrz jej w oczy.

Pomachałem ręką i poszedłem dalej.

Powrót kosztował mnie równą godzinę, z czego połowę zajęło oczekiwanie, aż Milo się wyniesie. Trochę przystopowała mnie też słaba, ale tłąca się nadal nadzieja, że jeśli odpowiednio się spóźnię, nie zastanę już obu dam w wyznaczonym miejscu. Do pewnego stopnia nie zawiodłem się w rachubach: faktycznie dojrzały do uznania mnie za ofiarę jakiegoś nieszczęścia. Nikt nie rzucił mi się na szyję, za to Jovanka cisnęła mi prosto w nos najsoczystszą „kurwamacią”, jaką słyszałem w ostatniej dekadzie.

– Gdzieś ty się włóczył?!

– Poszedłem na panienki... – Coś mi podpowiedziało, że może wyładować resztę lęku i złości za pośrednictwem pięści, więc dodałem szybko: – Wpadłem prosto na Mila.

– Co?!

– Opowiem po drodze. Jesteśmy spóźnieni, więc trzeba się spieszyć, chyba że ktoś się rozmyślił. To ostatnia okazja, by dowieść swej inteligencji.

– Ale z niego drań. – Jaśniejsza z dziewczyn popatrzyła wymownie na ciemniejszą. –

A myśmy tu na niego czekały z gotowymi łzami.

Poszliśmy, choć należałoby raczej mówić o czołganiu się i wylegiwaniu na brzuchu.

To ostatnie zresztą dominowało, bo byłem ostrożny i każdy kolejny etap poprzedzałem dokładną lustracją okolicy. W czasie przerw zrelacjonowałem im przebieg rozmowy z Milem, nie wspominając o rewolwerze. Pokonaliśmy w takim stylu niemal kilometr –

tylko po to, by na końcu porośniętej krzakami łąki trafić na zupełnie otwartą przestrzeń.

I na wóz pancerny.

Stał na szosie: tej samej, którą wjeżdżaliśmy na przełęcz między Pecinacem a Glavą i na której Milo chciał ukarać nas mandatem. Wąską wstążkę asfaltu oddzielało od nas dobre pół kilometra, ale od czasu wynalezienia lunety nie jest to odległość rzucająca na kolana.

– Jasna i ciężka cholera – podałem lornetkę Dorocie i przepuściłem ją bliżej prześwitu między gałązkami osłaniającego nas krzaka. – Jeszcze ich nam było trzeba. –

Chyba nie zrozumiała, więc musiałem niemal położyć się na jej plecach i nakierować lornetkę na odpowiedni sektor.

– To Polacy – wydyszała.

– Zgadza się. – Leżałem jeszcze jakiś czas, ciesząc się uciskiem kobiecej łopatki pod piersią, a potem chwyciłem dziewczynę za biodra i wciągnąłem głębiej pod krzak.

Niefortunnie – zaczęła się obracać i w efekcie wylądowałem nosem w jej biuście. Nie na długo, ale i tak wystarczyło. Podniosłem głowę i niemal od razu nadziałem się na spojrzenie Jovanki.

– Co jest? – Jej ton był doskonale nijaki.

– Albo się popsuł – wskazałem beerdeema – albo oni też próbują nas przyłapać.

Skinęła głową i spojrzała na Dorotę.

– W takim razie chyba powinnaś zawrócić.

Żadna nie próbowała się uśmiechać.

– Nie żartuj – powiedziała właścicielka najbliższych oczu świata, mrużąc je nieznacznie. – Dopiero teraz robi się naprawdę ciekawie.

Zatrzymałem się, gdy błoto zaczęło mlaskać pod podeszwami. Usiadłem na jednej z wyższych kęp i zacząłem zdejmować buty.

– Co robisz? – Jovanka obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem moją dłoń, znikającą w plecaku wraz z parą zwiniętych skarpet. – Będiesz mył nogi?

– Bardzo śmieszne. – Wyjąłem rolkę foliowych worków na śmieci, oddarłem pierwszy i wręczyłem Dorocie. – Jeśli nadal nie zmańdrzałaś, włóż tu ubranie. To znaczy sukienkę. No i oczywiście buty. – Obie przyglądały mi się z dziwnymi minami. –

Musimy przejść przez to rozlewisko w strojach kąpielowych. Bez bielizny jakoś się później obejdziemy, a w przemoczonych butach i ubraniach szybko stracilibyśmy formę.

To nie jest naturalne mokradło. Za tymi zaroślami jest wieś, a rozlewisko to element jej umocnień. Mieszkańcy próbowali zabezpieczyć się wodą i minami, a że robili to po amatorsku, najpierw ktoś ich spalił, a potem woda zalała i wieś, i pola minowe. Też wolałbym czołgać się przez tę bryję w ubraniu. Ale nie mamy niczego na zmianę, a na górze możemy spędzić nawet kilkadziesiąt godzin.

– Kilkadziesiąt? – Dorocie mocno zrzędała mina.

– Z przodu pola minowe, z tyłu lornetki. Musimy iść bardzo ostrożnie, no i potrzebujemy dobrego oświetlenia, a mamy już wrzesień i krótkie dni. Prawie na pewno przyjdzie nam nocować w lesie. A wtedy docenicie luksus suchej odzieży.

Aby zakończyć dyskusję, pozbyłem się koszulki. Ze spodniami nie poszło już tak łatwo – zabagniony las to nie plaża, a dwie stojące nieruchomo i gapiące się młode kobiety to coś nieporównywalnego z tłumem półnagich amatorów słońca i wody. Wcale mi nie ulżyło, kiedy Dorota wykonała skłon i płynnym ruchem przeciągnęła sukienkę wzdłuż prężącego się, smukłego ciała. Niektóre fragmenty mojego ciała też były bliskie prężenia się. Na szczęście było za zimno, no i atmosfera nie sprzyjała pewnym reakcjom.

Procent opalonego ciała zakrytego czernią koronki był z grubsza taki sam, jak procent sukienki zadrukowanej jasnymi kropkami, czyli wyjątkowo mały. Widok był fascynujący, piękny i niebezpieczny, a ja miałem chyba nie w porządku z głową, bo czekałem na coś podobnego w wydaniu Jovanki i właśnie to sprawiało, że wiązałem worek długo i starannie.

– Naprawdę powinniście zrezygnować – spróbowałem raz jeszcze, po czym posłałem pytające spojrzenie Jovance, ubranej w kompletny strój, czyli wojskowe trzewiki do pół łydki, szorty, flanelową koszulę, no i bandaże na obu kolanach.

– Założę się – powiedziała cicho – że zapomniałeś poprosić Błażejskiego o worek z moimi rzeczami.

– Bagna nie było w planach. – Uciekłem z oczami. – I nie wiem, czy wyschły.

– Więc chyba będę musiała iść w ubraniu – stwierdziła dziwnie spokojnie. – Krucho u mnie z bielizną.

Zahaczając spojrzeniem o Jovankę, niejednym raz łapałem się na rozważaniach, jaka jest tam, pod spodem, i jak na męskiego egoistę przystało, nie pomyślałem, że przede wszystkim niekompletnie ubrana. Wszystko, co miała na sobie, było moje. A staników nigdy nie nosiłem.

– Pójdiesz z tyłu. – Unikałem jej wzroku.

– To nic nowego. Cały czas idę z tyłu. – Jej spojrzenie dla odmiany świdrowało mi twarz. Sięgnąłem do plecaka i wyjąłem pas z szelkami i całym zawieszonym na nich oporządzeniem. Czułem się idiotycznie, zakładając to wszystko w charakterze dodatku do majtek w niebiesko-białe paski. – Ale chcę... Macie obiecać, że się nie będziecie na mnie gapić.

– Bez przesady – zaprotestowałem odrobinę zbyt szybko. – Nie mam piętnastu lat.

A tak w ogóle to jestem oficerem i dżentelmenem. W rezerwie, ale zawsze. Jak mam nie patrzeć... – Bałem się, że obie zaczną szczerzyć zęby, więc podniosłem się szybko. Już bezpiecznie, bo przez ramię, rzuciłem: – Tylko nie zdejmuj bandaży. Musimy dbać o łokcie i kolana. Jeszcze nam się przydadzą.

Posuwałem się powoli, choć jeszcze ani razu nie użyłem zaciskanej w zębach macki.

Wybrałem drogę wzdłuż archipelagu miniaturowych wysepek, wystających na kilkanaście centymetrów ponad rozlewisko. Fałda leżała blisko osady i z wojskowego punktu widzenia sprzyjała raczej obrońcom niż napastnikom, czyli nie powinna być zaminowana. Za względny luksus posuwania się po terenie prawdopodobnie wolnym od min płaciliśmy koniecznością kurczowego trzymania się ziemi, a w zasadzie błota i śmieci. Niemal mnie zemdliło, gdy spod kozucha rzęsy wychyliła się ruda od rdzy puszka po konserwie. Wystraszyłem się tężca, gangreny i widoku rozprutego brzucha.

Było to na kilka sekund przed tym, jak ujrzałem ślimaka. Szedł po niebie.

– Cofnijcie się – wydyszałem.

Wyciągnąłem nożyczki, sprawdziłem napięcie żyłki i przeciąłem ślimaczy mostek.

Nic się nie stało. Odciąg był słabo napięty, a teren nie sprzyjał wieszaniu czegoś paskudnego na jego końcach. Uniosłem dłoń z wyprostowanym kciukiem i ruszyłem dalej. Tyle że teraz przepojony optymizmem kciuk nie opuszczał już ani na sekundę drzewca macki.

Za pierwszym płotem poziom wody się obniżył, ale nadal musiałem poruszać się na czworakach. Do owej płycizny trzeba było przedtem podpłynąć, względnie dotrzeć w przysiadzie, więc maskowanie z błota diabli wzięli i znów obawa przed uzbrojonymi w lornetki strażnikami wzięła we mnie górę nad lękiem przed minami. Szukałem parawanów mogących nas ukryć.

Wybrałem wrak samochodu tkwiący między na pół spalonym budynkiem i kępą zarośli.

– Macie tu siedzieć i grzać się jak koty. To rozkaz, jasne? I nasmarujcie się błotem.

Czarne mniej widać, a lepiej łapie ciepło. Ja się rozejrzę.

Ludzie, którzy zdobywali wieś, najpierw bardzo długo ostrzeliwali ją z moździerzy i działek bezodrzutowych, a potem spalili połowę tego, co pozostało. Na szczęście mury nadal stały, a między nimi roilo się od drzewek, wraków maszyn, pryzm budulca i opału, zapewniających więcej niż przyzwoitą osłonę przed wzrokiem ciekawskich.

Zeskoczyłem w sięgające kolan bajoro i ruszyłem w stronę upatrzonego budynku.

Zignorowałem drzwi i okna parteru, przystawiłem drabinę do okna piętra i ostrożnie wspiąłem się na wysokość pokiereszowanego kulami parapetu. Obejrzałem sobie za pomocą lusterka na długiej rączce pajęczynę dyskretnie zamocowanych pod parapetem odciągów, zerknąłem na rosnące w łóżku pokrzywy i zszedłem na dół. Z podkulonym ogonem wróciłem do naszego gniazdka w karoserii przedpotopowego volkswagena.

Plecy dziewczyn były czarne. Nie na tyle jednak, bym przegapił, że tylko te Doroty przecina pasek stanika, w przypadku zaś Jovanki jest to wyłącznie czerń pokrytej szlamem skóry. Szedłem powoli, dając jej czas, by usiadła inaczej, trochę dalej od słonecznych promieni, za to wyraźnie tyłem i jeszcze dalej od osi mego spojrzenia.

– No proszę. – Siedząca po turecku Dorota posłała mi łobuzerski uśmiech. –

Zobaczył, że nie ma szansy na podziwianie aktu zza płotu, więc wraca. Cały facet.

– Wam, babom, tylko jedno w głowie. – Opuściłem wzrok i manewrując nim tak, by omijać Jovankę, usiadłem w miejscu zwolnionym lata temu przez fotel kierowcy. – Nie jest dobrze. Ktoś się tu zabawia minami. W budynku widziałem coś całkiem świeżego.

Ktoś użył drutu na odciąg. Gdyby zrobił to przed zimą, na drucie byłaby rdza. Nawiasem mówiąc, następne pułapki mogą być schowane pod wodą lub ziemią. Jeśli chodzi o skuteczność w likwidowaniu intruzów, trudno coś tym facetom zarzucić.

– Jakim facetom? – zdziwiła się Dorota.

– Tym, którzy konserwują pole.

– Którzy co?

– Powiedział – wyręczyła mnie Jovanka – że ktoś cały czas dba o to, by nie dało się wejść na Pecinac.

Wielkie, przez to trochę dziecinne oczy Doroty domagały się, bym zaprzeczył.

– Może to tylko kwestia tej wioski – mruknąłem. – Jakiś pies ogrodnika...

– Sam w to nie wierzysz – stwierdziła spokojnie Jovanka.

– Ale to ma jakiś sens – stanęła w mojej obronie jasnowłosa. – Jeden świr to nie to samo, co banda maniaków, rozkładających miny siedem lat po wojnie.

– Nikt nie mówi o maniakach.

– No nie wiem – odwzajemniłem się Dorocie. – Po takiej wojnie pozostają nie tylko inwalidzi na wózkach. Poszkodowanych na umyśle też przybywa. Albo na przykład patriotów, którzy nie potrafią pogodzić się z przegraną. Może to robota jakiegoś miejscowego Hubala? Facet postanowił, że przynajmniej tej jednej góry będzie przed kimś bronił: może Serbami, a może NATO.

– Dobry pomysł na powieść – rzuciła kpiąco Jovanka.

– Pewnie tak. – Dźwignąłem się bez zapału. – Musimy iść.

Za wioską zaczynał się Pecinac, porośnięty w tym miejscu bujnym lasem, ale wcześniej zdążyliśmy jeszcze natrafić na kupkę spalonych szmat, rozpiętych na ludzkim szkielecie. Przyspieszyłem, lecz dziewczyny miały czas, żeby zauważyć to, co ważne.

– Miał... miał plecak – wydyszała Dorota, kiedy wczółgaliśmy się między paprocie. –

Chyba dobrze mówiłeś. Szabrują tu. To pewnie dlatego te miny...

Zerknąłem do tyłu. Jovanka, niechroniona przez biustonosz z mętnej wody, utrzymywała trochę za duży dystans.

– Możecie się ubrać. – Wyjąłem z plecaka worek z rzeczami Doroty. – Rozejrzę się.

Przebrałem się w największym gąszczu, obejrzałem ruiny mostu, zlustrowałem okolicę i wróciłem. Jak należało się spodziewać, czekały na mnie już obie, ubrane i nawet umyte.

Pół godziny później i może z pięćset metrów dalej zatrzymałem się, rozejrzałem i bez słowa skręciłem w prawo.

– Zmiana planów? – Głos Doroty był lekko zdyszany. Nie jest łatwo przedzierać się na czworakach przez najgęściejsze zarośla, nurkować pod gałęziami czy stawiać monstrualnie długie kroki, obchodząc stare drzewa po sterczących korzeniach. Nadal bardzo wstrzemięźliwie korzystałem z zaciskanej w dłoni macki, ale o minach nie zapominałem. Jedyne z uwagi na nie zafundowałem nam ten tor przeszkód.

– Tu był najpierw front i Serbowie atakowali od zachodu – wyjaśniłem. – Siłą rzeczy tam powinno być najgorzej. Więc idziemy na wschód.

– Dlaczego nie prosto do góry? – Jovanka przetarła spocone czoło.

– Ten stok za dobrze widać z przełęczy.

Ruszyliśmy i po kilku minutach trafiliśmy na jedno z miejsc, o których myślałem.

Z góry w dół ciągnął się wolny od drzew pas kamieni, traw i gliniastych osypisk, nie za szeroki, ale stanowiący poważną przeszkodę dla takich jak my. Pomyślałem chwilę i wskazałem nowy kierunek.

– Mamy schodzić? – zaprotestowała Dorota.

– On tu rzą... – Jovance nie dane było dokończyć. Usłyszałem odległy trzask pękającego drewna, a kiedy kuciałem, rzucając dookoła serię spłoszonych spojrzeń, dobiegł nas stłumiony terkot postukującego basowo urządzenia. Zdążyłem wyłowić powolny ruch, nim oddalona o sto metrów jodła straciła wierzchołek, a odstrzelony kawałek znurkował między korony drzew. Choć nie wydałem komendy, wszyscy leżeliśmy już w zagłębieniach między poduchami mchu. Było cicho. Las szumiał swą delikatną melodię, słońce przygrzewało, gdzieś tam nawoływały się ptaki. Nie działało się absolutnie nic godnego uwagi.

– Co to było? – Z tonu Doroty domyśliłem się, że doskonale zna odpowiedź.

– Wielkokalibrowy karabin maszynowy. – Opuściłem lornetkę. – Na razie podstawa uzbrojenia naszych beerdeemów. Jak trafi, to nie daj Boże.

– Strzelali do nas?! Polacy?!

– Słabo go stąd widać – wzruszyłem ramionami. – Teoretycznie to może być nawet forpoczta armii jugosłowiańskiej, która ruszyła wyzwalać Bośnię. Ale praktycznie nikt inny nie jeździ tu takimi wozami, tylko nasi. Chodźcie, zabieramy się stąd.

Zaraz potem natknęliśmy się na leżącego w zaroślach mężczyznę z wielkim plecakiem. Nie ruszał się. Krótka charakterystyka karabinu NSW kalibru 12,7 mm, jaką uraczyłem Dorotę, znalazła odbicie w rzeczywistości. Czterdziestolatek, wpatrujący się w niebo parą szklistych oczu, otrzymał tylko jeden postrzał, w dodatku w boczną część tułowia, i gdyby miał do czynienia z kulą zwykłego karabinu, zapewne jeszcze by żył.

– Jezu... Można mu tam wetknąć pięść.

Dorota miała rację, ale choć pięści zaciskała aż do białości, raczej nie byłaby do tego zdolna. Opadła na kolana i chyba tylko dlatego nie czmychnęła w krzaki. W porównaniu z nią Jovanka zachowywała się jak robot.

– Nie był sam – powiedziała, kucając nad zachlapanym krwią ciałem. – Patrz, jak leży. No i plecak... Nie mógł spaść w taki sposób.

Spadanie spadaniem, ale jakoś nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak zwykły, ani trochę nieinteligentny pocisk kalibru 12,7 miałby rozpiąć suwak, nie mówiąc o wywleczonym kawałku podszewki.

– Miał tam coś cennego – skinąłem głową – i jego koledzy to zabrali.

– Nie ma to jak dobrzy kumple.

– Daj spokój. – Ostrożnie, by nie upaprać się krwią, zacząłem rozpinąć plecak. – Nie żył już, nim upadł. Niby co mogli dla niego zrobić?

Sięgnęła pod biodro leżącego i po paru sekundach szarpaniny wyciągnęła czarny, łukowaty kawałek blachy.

– Wygląda na to – rzuciła grobowym tonem – że stać ich było na oddanie salwy honorowej. – Milczałem, bez entuzjazmu wpatrując się w trzydziestonabojowy magazynek karabinka AK-47. – Nawet nie zabrali ładownicy. Muszą mieć kupę amunicji.

Nie powiem, bym czuł zaskoczenie. Plecak był zielony, podobnie jak ubranie trupa, które nie wyglądało na mundur regularnej armii tylko dlatego, że każdy element zdawał

się pochodzić z innego demobilu.

– Kto to jest? – Dorota była tylko troszeczkę mniej blada niż ten, o którego pytała.

– Ba. W życiu go nie widziałem.

Pokonałem oporną sprzączkę i przez chwilę oglądałem z niedowierzaniem zapakowany w tłusty pergamin walec.

– Zaraz, zaraz... – Jovanka ujęła nagle dłoń zabitego i zaczęła podwijać rękaw panterki. Prawie od razu naszym oczom ukazała się plama zaschniętej, zbrązowiałej krwi.

Na opasującym biceps bandażu było jej oczywiście więcej niż na rękawie panterki, choć i tak mało, jeśli porównać z raną po pocisku półcalówki.

– O co chodzi? – zapytałem bezradnie. Nie odpowiedziała. Najpierw udowodniła do reszty robocią naturę, szarpiąc się z węzłem bandaża.

– Nie dam głowy – zastrzegła. – Ale chyba nie masz racji. Widziałeś go już. Oboje widzieliśmy. I chyba – dotknęła brzydkiej, nadal wilgotnej szczyrby po wewnętrznej stronie odsłoniętego ramienia – do niego strzelaliśmy. O ile ci z zielonego samochodu i z Jeżynowej Górki to jedna i ta sama drużyna.

Sugestia to potężna siła. Nagle ujrzałem go, stojącego z ponurą miną pośrodku szosy i przyglądającego się gromadce żołnierzy, przeszukujących zielone ARO.

– Obyś się myliła.

– To po kuli – jeszcze raz dotknęła rany. – Bardzo świeże. Jak myślisz: ilu postrzelonych kilkanaście godzin temu kręci się teraz po bośniackich górach?

– Znacie go? – Dorota, podobnie jak ja, chyba nie wiedziała, jaką odpowiedź

wolałaby usłyszeć.

– Za dużo powiedziane. – Zabrałem się do przeszukiwania plecaka, co polegało na wysypywaniu z niego wszystkiego jak leci. – Może znamy z widzenia faceta, który znał

tego.

– Pamiętam go – rzuciła trochę gniewnie Jovanka. – Mam niezłą pamięć do twarzy. –

Zerknęła bez wielkiej emocji na wylatujące z plecaka paczki. – Zresztą wszystko inne też pasuje do Tapczaniarza. Mamy twarz, ranę po kuli, a teraz jeszcze trotyl.

– Trotyl? – zapytałem niedbale.

– No... – zawahała się, patrząc na mnie ze zdziwieniem. – A niby co to jest?

– Trotyl. – Zacząłem przetrząsać boczne kieszenie. – Pytanie, skąd to wiesz.

– Mam telewizor.

Niby racja. W ostatniej kieszeni znalazłem obronny granat z wkręconym zapalnikiem, zawleczką i wszystkim co trzeba.

– No proszę – zatriumfowała. – Jeszcze i to.

Musiałbym podetknąć jej pod nos głowicę jądrową, by poczuła się nieswojo.

– Nie przyszli na majówkę. – Wykręciłem rurkę zapalnika i włożyłem obie części granatu do różnych kieszeni spodni. Ponieważ przyglądały mi się dwie atrakcyjne dziewczyny, zabezpieczyłem się jeszcze bardziej i zapalnik umieściłem w kieszeni tylnej.

Gdyby co, z tyłkiem w bliznach miałem jeszcze szanse cieszyć się takim towarzystwem.

Z rozwalonym przodem...

– Pójdziemy ich śladem?

Formalnie było to pytanie. Ale czasem wystarczy i tyle, by ujrzeć kolejną twarz kogoś, o kim myślało się już jak o osobie nieźle poznanej.

– Oszalałaś?!

– Chyba idą w tę samą stronę. – Wzruszyła nieznacznie ramionami. –

I prawdopodobnie znają drogę lepiej od nas. Zyskalibyśmy mnóstwo czasu.

– I dziur w skórze – warknąłem. – Są uzbrojeni po zęby i nie patyczkują się.

– Kto to właściwie jest? – Dorota nadal trzymała się z boku, starając się nie patrzeć ani na trupa, ani na otaczające nas zarośla, co na dobrą sprawę wymagało zamykania oczu. – I kto to jest Tapczaniarz?

Może z łaski swojej powiecie mi, co się tu dzieje?

– Jovanka wszystko ci wyjaśni. Ja idę przodem.

– Idziesz przodem – skinęła głową Jovanka. – W kierunku...?

– A jak ci się zdaje? – Nie odwróciłem wzroku. – To zaszło za daleko. Może gdybym był sam... Nie mieliśmy w planach wojny, i to na dwa fronty. Trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać.

– Wracasz – nazwała rzeczy po imieniu. Równie dobrze mogłaby napluć mi między oczy.

– Nie kłóćmy się teraz – powiedziałem cicho.

– Wracamy? – Dorota zapytała niepewnie. Bardzo chciała być jak najdalej od miejsca, gdzie żywi przed paroma minutami ludzie leżą jak wyrzucone na śmietnik manekiny.

– Wracamy. – Wmawiałem sobie, że w moich uszach to słowo brzmi równie słodko.

– Po co im tyle trotylu? – bąknęła Jovanka.

– Słucham?

– Mieli tego więcej – trąciła stopą jeden z ładunków. – A tylko tu jest kilkadziesiąt kilogramów. Nie zastanawia cię, po co im to?

– Może na handel – rzuciłem bez wiary.

– Ta góra nie stoi na granicy. Nie ma powodu chodzić akurat tędy. Nie... Oni chcą tego użyć tutaj. – Odczekała chwilę. – Powiedz, że się mylę.

– Wypchaj się. – Wstałem i zacząłem się rozglądać, chyba za usprawiedliwieniem dla przedłużenia postoju w tym miejscu. Nie potrafiłem ruszyć w dół ot tak, po prostu.

Rozsądek rozsądkiem, a Jovanka Jovanką.

Mocno zgłupiałem, kiedy nagle jej trochę za duża dłoń wpakowała mi się do kieszeni. W dodatku tej z granatem, a więc umieszczonej z przodu, w bardziej wrażliwych rejonach. Mimo ciasnoty zdołała wyciągnąć żeliwne jajo. Dopiero czując jej palce na pośladku, w tylnej kieszeni, zdołałem wziąć się w garść.

– Po co ci ten granat? – zapytałem ze sztucznym spokojem.

– Na wszelki wypadek – mruknęła. – Wezmę też ten twój szpikulec, dobrze?

– Ty wariatko... – Nie patrzyła mi w oczy, udając pochłoniętą wkręcaniem zapalnika w gniazdo. – Nie pozwolę ci za nimi iść. To samobójstwo.

– Nie. To tylko duże ryzyko. – Przez chwilę zaglądałem w brunatną otchłań jej oczu.

– Słuchaj, to niczego między nami nie zmienia. Chcę... dziękuję ci. Zrobiłeś dla mnie więcej niż ktokolwiek inny. Tylko nie myśl, że to jakiś sarkazm – potrzęsnęła energicznie głową. – Naprawdę jestem ci wdzięczna.

– Jasna cholera...

– Wiesz, że potrafię sobie radzić. Nie jestem z cukru. – W uśmiechu, który przemknął przez jej twarz, nie brakowało kpiny z samej siebie; widać i ją zaczynało bawić wysłuchiwanie tej formułki. – Chcę przynajmniej spróbować. Jak się robi groźnie, sama się wycofam. Nie bój się. Zamierzam jeszcze zobaczyć Olę, nie zostawię jej.

– Niech was jasny szlag trafi – powiedziałem bezradnie. – Obie.

Przyglądały mi się bez słowa. Dwa cholerne kamienie, które bezmyślnie pozwoliłem zawiesić sobie na szyi. Najgorsze, że Jovanka miała dużo racji. Nie była z cukru.

Wiedziałem, że potrafi sobie radzić. Mogła śmiało pójść dalej beze mnie i osiągnąć sukces. Dorota nie przeszłaby sama stu metrów.

– Zrobimy tak – cedziłem słowa przez zęby. – Zejdziemy teraz co najmniej do rozlewiska, dostarczymy Dorotę do miejsca, skąd będzie mogła bezpiecznie wrócić do samochodu, a potem jeszcze raz wejdziemy tutaj i pójdziemy za tymi... O co chodzi?

– Nic z tego nie będzie. Zanim wrócimy, po śladach nic nie zostanie. Zwłaszcza że pogoda się psuje – zerknęła w górę, gdzie słońce szukało kawałka czystego błękitu między coraz liczniejszymi stadami chmur.

– Mam ci dać po głowie czymś ciężkim, żebyś posłuchała?

– Potrzymaj za mnie kciuki. To wszystko, czego od ciebie oczekuję.

– Wracaj z nami – poprosiła znękany tonem Dorota.

– Spieprzaj.

Jasne oczy Doroty zrobiły się szersze i zastygły jak para stawów, zmrożonych powiewem arktycznego powietrza w środku słonecznego dnia.

– Powodzenia – powiedziała tonem kogoś, kto nie ma ambicji udawania, iż w grę wchodzi cokolwiek poza dobrym wychowaniem. – Idziesz czy zostajesz, Marcin?

Nie zaszczyciła mnie spojrzeniem: obie miażdżyły się nimi zbyt zajadle.

– Cześć – rzuciła Jovanka, po czym postawiła mnie przed faktem dokonany, ruszając ku szczytowi Góry Trzech Szkieletów zdecydowanym krokiem kogoś, za kim nie warto wołać. Wziąłem z niej

przykład i zastosowałem tę samą politykę faktów dokonanych, polegającą na rzuceniu jej się na plecy, obaleniu na ziemię i przyduszeniu do porastającego zbocze mchu.

– Puszczaj, sukinsynu – wysyczała bezsilnie po chwili szarpaniny. Potraktowałem ją poważnie, chowając do kieszeni męską ambicję. Nie zrzuciła mnie, choć niewiele brakowało.

– Najpierw obiecasz, że się podporządkujesz – wygłosiłem swoje ultimatum.

– Złaź! – szarpnęła się.

– Nie stracę już nikogo na tej zasranej górze – powiedziałem nieco innym tonem. –

Nie po to tu wróciłem, żeby jeszcze raz...

Leżała przez chwilę nieruchomo, w milczeniu.

– Nie wrócisz tu przecież ze mną... – Zawartą w jej słowach goryczą dałoby się zneutralizować kilka worków cukru.

– Okłamałem cię kiedyś?

Za mocno ścisnąłem jej uwięzione między udami ciało, by nie odczuć, jak zwiotczało, zmiękło. Nagle przestała być godnym respektu przeciwnikiem i znów stała się tym, kim była od samego początku: kobietą. Przełożyłem kolano nad jej biodrami, usiadłem na ziemi. Podniosła się, uklękła obok. Nie patrzyliśmy na siebie.

– Już? – zapytała cicho Dorota. – Możemy iść?

Jovanka dźwignęła się i ruszyła powoli w dół zbocza, a ja się dowiedziałem, jak będzie chodzić za trzydzieści lat, gdy jej włosy pokryje siwizna, a mięśnie zwiotczeją.

– Myślałam, że mamy wracać tą samą drogą.

Od godziny posuwaliśmy się w poprzek starego, rzadkiego, ale i mrocznego lasu, gdzie warunki ostrzału były znakomite i teoretycznie nie powinniśmy napotkać min.

Trochę się przeliczyłem: gdy już weszliśmy na tyle głęboko, by odwrót stał się nieopłacalny, omal nie zerwałem matowej nici, przeciągniętej nad poduchą brązowego mchu. Potem znalazłem jeszcze trzy inne odciążki – dwie nici i drut. Były umieszczone w miejscach, które sam bym wybrał, co podniosło mnie na duchu bardziej niż oszczędność chłopców Sułtana. Okazali się żołnierzami z krwi i kości, stawiającymi miny tam, gdzie należy je stawiać, jeśli celem nie jest okaleczanie Bogu ducha winnych cywilów, lecz wygrywanie bitew.

– Nie chciałem łazić przed lufą temu nerwusowi z beerdeema.

Kiwnęła głową, jakby oczekiwała takiej odpowiedzi.

– Cały czas się nad tym zastanawiam... Dlaczego oni w ogóle zaczęli strzelać?

W misjach pokojowych tak się nie robi. I tak tu spokojnie od lat...

– Jeżynowa Górka – dobiegł z tyłu głos Jovanki. – Jak Kuba Bogu...

– Masz jeszcze ten telefon? – zignorowała ją Dorota.

Sam już o tym myślałem. Nic prostszego. Problem w tym, co potem począć z informacjami.

– Tak? – Błażejski musiał czekać: odezwał się po pierwszym sygnale.

– To ja. Kuzyn – dorzuciłem na wszelki wypadek.

– Jezu... – westchnął w końcu. – W co wyście się wpakowali...

– W co się wpakowaliśmy? – powtórzyłem zdziwiony.

– Jest z panem ta dziennikarka? – Zaskoczył mnie tak, że odruchowo kiwnąłem głową. – Mogę z nią zamienić dwa słowa?

Dotrzymał słowa: nie pogadali wiele. Oczy dziewczyny rozrosły się nie tyle od ilości, co od jakości informacji.

– Co takiego?!

Powtórzył. Potem ona wymamrotała: „Nie, skąd?”, i z wyrazem kompletnego zagubienia wyłączyła telefon.

– Co jest? – zapytała mocno zaniepokojona Jovanka. – Hej, słyszysz mnie?

Dorota posłała jej przytępione spojrzenie.

– Powiedział... powiedział, że ten wartownik nie żyje. – Otworzyłem usta, ale nie zadałem pytania. – Boże... Ktoś mu normalnie poderznął gardło. Wszyscy mówią, że to Marcin.

Potrzebowałem najwyżej pięciu sekund, by się pozbierać. Otoczenie złożone z min, morderców i napalonych celowniczych wukaemów pozwala człowiekowi nieco inaczej spojrzeć na problemy natury prawnej.

– No to się wszyscy mylą – oznajmiłem.

– Ot tak? – Jovanka doskonale odegrała niedbałe wzruszenie ramionami. – Po prostu?

– Nie mówię, że mnie to podnosi na duchu – przyznałem. – Ale to nie najlepsza pora na rwanie włosów z głowy ani – popatrzyłem na Dorotę – na składanie uroczystych przysiąg.

Jovanka zdziwiła się, zerknęła na blondynkę, pomyślała chwilę i przestała się dziwić.

– Zwariowałaś?! – Święte oburzenie uczyniło z jej pytania niemal jęk. – Chyba nie myślisz?...

Jasnowłosa przełknęła ślinę. W tej jednej chwili wolałaby chyba być sama w pachnącym śmiercią lesie.

– Przecież nic nie mówię...

– Po co miałby to robić? – Jovanka wskazała mnie ręką. Mało flegmatycznie, więc omal nie straciłem oka. – Dla paru marnych groszy? I niby kiedy? Przecież tam byłaś, wiesz, jak się wszystko...

Urwała. Jako adwokat była rewelacyjna, ale ogień świętego oburzenia nie przesłonił

jej tego, co odkryłem jakąś sekundę wcześniej. Niemal w tej samej chwili połapaliśmy się, kto tak naprawdę znalazł się na muszce. Prawnicze abecadło mówi, że nikt nie jest dobrym obrońcą we własnej sprawie.

– Sens to ma, owszem. I okazja też była. – Patrzyłem jej w oczy, błagając w duchu, by zrozumiała. – Mogłaś go ciachnąć, technicznie to łatwe. Ale... – przeniosłem wzrok na drugą z mocno nieszczęśliwych dziewczyn – ona nie jest taka zwariowana, na jaką wygląda. – Dałem jej trochę czasu i wyjaśniłem: – Na krótką metę skorzystałaby na mojej wolności, ale co potem? Trup to drobiazgowo dochodzenie, w dodatku w zamkniętym, bardzo małym kręgu podejrzanych. A w takich warunkach trudno o zbrodnię doskonałą.

– Dzięki. – Nie udało mi się odczytać emocji Jovanki, które legły u źródła owych podziękowań. Ważne, że w niebieskich oczach wyczytałem niepewność. Dorota, nie bez pewnej ulgi, dokonała odkrycia, że inni też się czasem mylą.

– To jakiś koszmar. – Skarżyła się nam, nie na nas. – Akurat tej nocy, akurat ten wartownik...

– Akurat – powiedziałem twardo. – To nie przypadek, jeśli to chciałaś...

Nie dokończyłem, i to w sposób wystarczająco dramatyczny, by zrozumiały, że sprawa jest ważna. To znaczy: w stosunku do takiej błahostki jak niemal urzędowe posądzenie o morderstwo. Nie było pytań, a najwolniejsza w naszej trójce Dorota ukucnęła wśród paprotek ledwie w sekundę po mnie.

– Coś stuknęło – oderwałem wzrok od górnych partii zbocza. – To znaczy... chyba.

Tam nie ma co stukać.

– Tam było skalne osypisko. Bliżej szczytu – mruknęła Jovanka. Wszyscy zrozumieliśmy, co tak naprawdę powiedziała.

– Niby dlaczego mieliby zawracać? – przeciągnąłem językiem po wyschniętych wargach.

– Może tak trzeba kluczyć, by ominąć miny. Albo któryś wrócił po granat i zobaczył, jak nabałaganiliśmy. Albo zobaczyli spłoszone ptaki – dokończyła z ponurym uśmiechem. – Ostatecznie

to ornitolodzy.

Ptaki faktycznie stanowiły problem. Zdomowały się tu dzięki minom i nieobecności intruzów, a my już parę razy stawaliśmy się źródłem małej paniki. Ktoś obserwujący górę z dołu i dysponujący telefonem komórkowym mógł poinformować tych nad nami.

– Dobra. Od tej pory masz mieć oczy z obu stron. A ty – dotknąłem dłoni Doroty –

dla odmiany nie patrz za siebie. Masz uważać na moje ruchy, bo pójdziemy szybciej.

Zaraz za paprotkami wypatrzyłem wypukłość, po której dałoby się biec. Pobiegliśmy.

Kawałek. Huk pięciu czy sześciu strzałów dotarł do mnie równocześnie z widokiem kucającej Doroty. Druga seria poszła wyżej. Odnalazłem wzrokiem Jovankę, mknącą w naszą stronę na czworakach, a potem uniosłem się nieco i dwoma szybkimi spojrzeniami zlustrowałem okolicę. Nie udało mi się dokładnie obejrzeć faceta, który wziął nas na cel – zrezygnował właśnie ze strzelania i pognął w dół zbocza, ginąc za kolumnadą pni. Najważniejszego jednak zdołałem się dowiedzieć: że jest sam i będzie nas zabić. Nie byłoby to aż tak straszne, gdyby nie fakt, że zarośla, w które omal nie wpadliśmy biegiem, były na tyle rozległe i gęste, że ktoś uznał za stosowne zagęścić je dodatkowo paroma kilometrami żyłek.

– Tamtędy! – zerwałem się, wskazując macką kierunek. – Uwaga na odciążki, tam jest pełno min!

Ścigający nas mężczyzna znalazł cztery okazje do oddania strzału. Każda z salw przemykała tuż za moimi plecami. Albo polował na jasną, widoczną z daleka czuprynę Doroty, albo celował we mnie i pudłował, bo nie brał poprawki na poprzeczny ruch celu.

Zniknęliśmy mu definitywnie z oczu, dopiero skręcając między dwa skupiska krzaków. W dość straceńczym tempie pokonałem pierwszy rząd. Potem, gdy wkroczyliśmy w coraz węższy, wijący się w dół korytarzyk, zacząłem nawet używać macki w bardziej podejrzanych miejscach. Nie zatrzymało nas to, a przewagę mieliśmy sporą, ale nie zaskoczył mnie protest Doroty.

– Szybciej! – rzuciła płaczkliwym szeptem. – Dogonią nas!

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Nawet nie dlatego, że AK-47 posłał nam kolejną piątkę pocisków. Trochę wcześniej rozległo się warknięcie Jovanki:

– Nie dogonią, bo jest jeden. Uspokój się. I nie przeszkadzaj Marcinowi. Wie, co robi.

Pewnie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo rozmija się z realiami. Minęła minuta, a ścigający nas Bośniak zdążył wystrzelać w krzaki następny magazynek, nim dorosłem do roli twardziela z jej wizji Małkosza i dokonałem dość oczywistego odkrycia.

– Nie wie, gdzie jesteśmy – wyszeptałem. – I raczej nie ma zamiaru włączyć w krzaki.

Przez następne parę minut przeszliśmy na czworakach może ze dwadzieścia metrów i chociaż starałem się po prostu posuwać naprzód, musiałem przeciąć siedem różnych odciążków. Niektóre były

kawałkami żyłki, przywiązanych do gałązek i mającymi pozorować prawdziwe zagrożenie, ale znalazłem też potrójnie zakotwiczoną minę ukrytą w kępie mchu, po której zamierzałem przejść. Nie dało się jej ominąć, poodcinałem więc wszystkie tworzące sieć nitki i ostrożnie wykręciłem zapalnik.

– Ciii... – Jovanka położyła palec na ustach. – Słyszycie?

Słyszałem. Ledwo ledwo. I krótko. Potem przez jakieś trzy minuty do moich uszu nie docierało nic.

– Było dwóch – zapytałem szeptem – czy po prostu się modlił?

– Rozmawiał. Ale raczej przez telefon. Po co ci to żelastwo?

Nie odpowiedziałem. Zaciągnąłem ostatni supel, owinałem sztukowaną nić wokół cylindra miny i wepchnąłem całość do kieszeni.

W karkołomnym stylu przebyliśmy kilkaset metrów, skręcając ku północy zaraz za naszpikowanym minami gąszczem zarośli. Wybrałem odpowiednią skałkę, kazałem wszystkim usiąść i zacząłem wyjaśniać, jak widzę sytuację.

– Dowiedzieli się, że jesteśmy bezbroni. Więc kiedy się tu zlecą całą kupą, pognają w dół tak szybko, jak tylko miny pozwolą. Czyli szybciej od nas.

– Ten tam – wskazała Jovanka – był bez plecaka. To znaczy, że są wolniejsi. Posłali zwiadowcę, wzięli jego bagaż... No i mogą być całkiem daleko. Może zdążymy...

– Dokąd? Wiesz, gdzie zaczyna się bezpieczny rejon? – Zerknąłem w dół. – A tam akurat siedzą ci cholerni ornitolodzy.

– To co zrobimy?

– Spokojnie – posłałem uśmiech tej drugiej, jasnowłosej, dużo bardziej potrzebującej słów otuchy. – Kawałek stąd zaczyna się północne zbocze. Z dołu las, z góry las, a pośrodku wielka łąka. Przebiega tamtędy droga na szczyt, ale nie w tym rzecz. Ważne, że nie ma min.

– Na pewno? – Jovanka nie bardzo mi dowierzała.

– Taktycznie nieopłacalne – wzruszyłem ramionami. – Zresztą Serbowie mieli cały teren pod ostrzałem; trudno było instalować zapory. Pójdziemy przez dolny las, obejdziemy górę i spróbujemy od zachodu.

– My? – zerknęła wymownie na Dorotę.

– Mamy telefon – mruknąłem – a wojsko śmigłowce. Po tamtej stronie rozejrzę się za lądowiskiem. – Wyciągnąłem rękę i poklepałem podrapane kolano Doroty. – Nie bój się, na obiedzie będziesz już w polbacie.

Trudno było to nazwać urwiskiem. Pięć metrów, najwyżej sześćdziesiąt stopni spadku. Nie bardzo sobie wyobrażałem, by któreś z nas mogło zlecieć z czegoś takiego.

I w zasadzie miałem rację. Zamykająca pochód Jovanka nie odpadła od ściany. Po prostu zjechała nagle pół metra, szorując po glinie brzuchem i piersiami, rozpaczliwie szukając palcami jakiejś szczeliny i zasypując niżej położone zarośla gradem kamieni. Oczywiście zatrzymała się, nie tracąc nawet opatrunków z kolan. Niestety polegało na tym, że któryś z kamieni trafił w zapalnik ukrytej w dole miny. Rąbnęło jak z haubicy, dziewczyna osunęła się o kolejny metr, a mnie zmiękły kolana.

– Jovanka?! – Przed skokiem za krawędź powstrzymała mnie świadomość, że wylądowałbym na karku dziewczyny.

– W porządku! – odkrzyknęła błyskawicznie. – Nic mi nie jest! Nie schodź!

Pomogłem jej pokonać ostatni odcinek. Nie potrzebowała tego, co nie znaczy, by choć przez ułamek sekundy unikała mojej wyciągniętej dłoni. Za to ze zwalnianiem uścisku spóźniliśmy się już nie o ułamki, lecz o całe sekundy.

– Obróć się. – Usłuchała natychmiast, co nie przeszkodziło mi pomóc jej lekkim naciskiem na biodro. – Nie widać krwi...

– Musimy odpuścić – powiedziała cicho Dorota. – Nawet ty już sobie nie radzisz.

Nie zaskoczyło mnie posłane jej mroczne spojrzenie. Zaskakujący był ukryty w nim niepokój.

– Nic mi nie jest – rzuciła szorstko Jovanka. – Martw się o siebie.

Wówczas uznałem to za zbędną złośliwość, bo choć od dawna w milczeniu, Dorota niczym innym się właściwie nie zajmowała. Jej uwagę zdawała się zaprzętać wyłącznie kwestia przetrwania, a ponieważ miała na karku tylko samą siebie, doszedłem do wniosku, że jakoś sobie radzi. Kilometr dalej nadal tak uważałem. Nawet wtedy, gdy pień mijanej przeze mnie sosny zadudnił nagle głucho.

– W las! – Skoczyłem w stronę rosnących niżej solidnych drzew. Do wysuniętych przed linię lasu samotnych choinek mieliśmy ledwie parę kroków i przynajmniej pod ich osłonę należało odskoczyć. Jovanka to zrobiła, Dorota nie. Przybrała najgorszą z możliwych pozę, padając na kolana i tuląc do zbawczej ziemi jedynie twarz.

Myśliwy stracił z oczu trudniejszą do upolowania umykającą zwierzynę – czyli mnie i Jovankę – więc machnął ręką na dachowego gołębia i zajął się wróblem w garści.

Biegnącego lepiej ostrzeliwać szybko, ale ktoś, kto klęczy, czekając czort wie na co, wart jest starannego mierzenia. Po trzech próbach w jego wykonaniu zorientowałem się, że ulokuje pocisk w dziewczynie, nim dojdzie do połowy magazynka. W końcu padła porządnie, ale zapamiętał miejsce i teraz musiałem ją stamtąd zabrać. Pobiegnęłam wprost na lufę.

Trudno powiedzieć, co mnie uratowało. Może zygzaki, a może zaskoczenie.

Dopadłem dziewczyny, poderwałem ją na nogi. Na szczęście uścisk moich palców uruchomił jakiś zablokowany fragment psychiki i Dorota pomknęła w dół na tyle szybko, że przez chwilę to ja byłem holowany.

Wpadliśmy między choinki. Pociski, wystrzeliwane raczej szybko niż celnie, śmigały dookoła, kosiły gałęzie, łupały korę z drzew. Jeszcze dziesięć metrów, trzy... Krzyknąłem w duchu „już!”, kiedy Dorota runęła mi pod nogi. Wyglądało na to, że nie mamy się czego bać. Niemal stuprocentowo szczelna ściana drzew, wyniosłość terenu, no i Jovanka. Wskoczyła nie wiadomo skąd i wpadła między mnie a strzelca.

– Biegnie tu! Nic wam...?

Nie dokończyła. Podniosłem się na klęczki i od razu znalazłem przyczynę. Z gołej łydki Doroty bardziej sikała, niż spływała krew, a sama dziewczyna przyglądała się ranie oczami jak spodki, błędąc błyskawicznie. Zdarłem z ramion plecak, wyszarpnąłem rewolwer Mila, a Jovance cisnąłem w twarz pakietem medycznym.

– Opaska uciskowa! A jakby przeszedł, to granat! I cofajcie się! Tam! – machnąłem ręką na zachód i na Jovankę, usiłującą protestować. Poderwałem się i pobiegłem na wschód.

Gdy ujrzałem Bośniaka, był już całkiem blisko. Poznałem go głównie po braku plecaka. To był ten sam facet co na polu minowym i miał święte prawo dać się ponieść wściekłości. Zmarnował na nas trzy magazynki, nie osiągając żadnych widocznych rezultatów.

Trzymając w zębach lufę naganta, wyjąłem z kieszeni wypchaną trotylem skorupę miny, wbiłem zapalnik i owinąłem wokół palca koniec żyłki. Pocisk przeleciał, ile miał

przelecieć, szarpnięcie naciągu wyrwało zawleczkę i na prawo od zbiegającego z góry mężczyzny błysnęło krótkim, białym światłem. Nim zważył się na plecy, zauważyłem parę drobnych, ale bardzo czerwonych punkcików w obrębie jego sylwetki.

Potem padłem i ja, niewiele wolniej od niego. Pocisk śmignął parę centymetrów od lewego barku. Drugi, posłany starannie, zaraz potem rozdarł powietrze w miejscu, gdzie sekundę wcześniej miałem pierś. Po odstępach czasowych i tej mrożącej krew precyzji rozpoznałem pełnowymiarowy karabin. AK-47 to dobra broń, ale kiedy się strzela na większy dystans, nie ma jak solidny stary nabój i długa lufa. Mój nowy prześladowca musiał o tym wiedzieć, bo niezrażony zniknięciem celu, ładował w obrzeże lasu pocisk za pociskiem. Skuliłem ogon pod siebie i wróciłem do dziewczyn.

Jovanka uporała się z zakładaniem opatrunku, ale i tak zrozumiałem, że tkwimy po uszy w bagnie. Jej pacjentka, biała jak świeże prześcieradło, leżała na mchu i nawet nie akompaniowała jękami mało delikatnym ruchom pielęgniarki.

– Jeden zero dla nas. – Zmusiłem się do uśmiechu. – Będzie dobrze. Mamy pełen bębenek i kawalerię w odwodzie.

Jako oficer nigdy nie ściągałbym śmigłowca w takie miejsce, ale teraz byłem cywilem w opałach,

dałem się więc ponieść zdrowemu egoizmowi i sięgnąłem do plecaka po telefon. SFOR nadal dysponował śmigłowcami i nie obchodziło mnie, ile będzie musiał ich utracić, by nas stąd zabrać.

Okazało się, że nie straci żadnego – i to nie dlatego, że gdzieś blisko stacjonowała maszyna na tyle mocno opancerzona, by ignorować karabinowy ostrzał. Bliżej nieokreślonym podatnikom zaoszczędzono wydatku z powodu innego pancerza: tego, którego zabrakło mojemu plecakowi. Albo telefonowi z amputowanym przez pocisk mikrofonem.

Szliśmy przez las, dźwigając kij-ławeczkę z siedzącą na nim Dorotą, ociekaliśmy potem, potykaliśmy się o każdy większy kamień i chyba tęskniliśmy do gwizdu kul.

Szedłem jedynie dlatego, że obok szła Jovanka, silna jak wół i jak wół uparta. Na szczęście była tylko człowiekiem i w pewnym momencie dała za wygraną, waląc się najpierw na kolana, a zaraz potem na twarz.

– Pójdę jakoś – wymamrotała Dorota.

Potrzebowałem minuty leżenia z twarzą w trawie, by pokusić się o odpowiedź.

– Daj... spokój.

Leżeliśmy całą trójką może z kwadrans, nim odzyskaliśmy zdolność mówienia i myślenia.

– Wszystko wam spaprałam. – Ze zdziwieniem doszukałem się bladego uśmiechu na ustach dziennikarki. – Tak mi głupio...

– Nie twoja wina – pocieszyłem ją.

– Zgadza się – wsparła mnie nieoczekiwanie Jovanka. – Moja. Narobiłam huku tą miną. I jego – zerknęła w moją stronę. – Nie gap się, dobrze słyszysz. Gdybyś wcześniej pokazał ten rewolwer...

No tak, rewolwer. Sto razy myślałem o jego wpływie na nasze dalsze losy, ale to akurat nie przyszło mi do głowy – że narazi mnie na gniew Jovanki.

– Jakoś... wyleciało mi z głowy.

– To od Nedicia? – Nie odpowiedziałem. – Zaraz nas dogonią i zabiją – powiedziała spokojnie. – Mógłbyś zdobyć się na odrobinę szczerości. Czego jeszcze nam nie powiedziałeś? O czym rozmawialiście?

– O tobie. – Uniosła brwi ku zlepionej potem grzywce. – Bał się, że coś mi zrobisz, więc dał spluwę.

– Słucham?!

– Nie patrz tak. To on mówił, nie ja. A spluwa przydaje się w takich miejscach, więc wziąłem. Nie z myślą o tobie, bez obaw.

– Dał ci rewolwer, żebyś... – Nie zdołała dokończyć. – Jezu...

Zostawiłem ją z chaosem myśli i zaintrygowanym spojrzeniem Doroty, a sam podniosłem lornetkę i dłuższy czas lustrowałem okolicę. Z miejsca, do którego dotarliśmy, dało się obejrzeć początek szlaku na szczyt Pecinaca. Rosło tam dużo drzew, ale w ostatniej chwili udało mi się spostrzec coś nieoczekiwanego. Małe, przypominające zabawkę pudełko na kółkach, znikające za czuprynymi jodeł. Albo może fatamorganę. Bo mimo wszystko nie chciało mi się wierzyć, że to prawdziwy, zespawany z pancernych blach beerdeem, z ułańską fantazją wdzierający się na zaminowaną górską drogę.

– Jedno jest dobre – powiedziałem, wycofując się na czworakach znad skraju przepaści. – Min tu na pewno nie założyli.

– Po cholere? – zgodziła się gorzko Jovanka. – Wystarczy grawitacja.

Usiadłem i przetarłem pot z twarzy. Szliśmy cały czas wyraźnie w dół, a las był

gęsty, cienisty i tym samym przyjemnie chłodny. Ale też w zasadzie sam dźwigałem na barana pojękującą z bólu Dorotę. Jovanka, potykająca się o własne nogi, została wyznaczona do roli zwiadowcy sapera, wyposażona w wykrywacz metalu i posłana przodem. Nim dotarliśmy nad urwisko, wykryła trzy ukryte w ziemi miny i wypatrzyła dwa dobrze zamaskowane odciągi. Chyba ocaliła mi skórę, jeśli nie życie.

Byłem tak otumaniony wysiłkiem, że omal nie przemaszerowałem nad krawędzią przepaści. Ściana miała z sześć pięter i przynajmniej na połowie tego dystansu mocno zbliżała się do pionu. Miała też jednak wyczesany przez erozję przedziałek, półotwarty komin o odpowiednich parametrach.

– Tam, przy trawie – wskazałem Jovance. – I trzy metry niżej. Dwa dobre przystanki.

Można odpoczywać ile dusza...

– Nie dam rady – przerwała.

– Nie z Dorotą. – W pierwszej chwili nie zrozumiałem. – Sam ją...

– Nie zejść tędy. Ani z nią, ani sama. Mam... za słabe palce. A to podstawa w alpinizmie: mocne, pewne palce. Naprawdę nie potrafię. Wspinaczka to moja słaba strona.

– Pomogę ci. Zniosę Dorotę, a potem wrócę i... – teraz ja się zawahałem – ...pomogę ci.

Posłała mi smętny, ale ciepły uśmiech.

– W tym sęk – powiedziała odważnie. – Ważę dwa razy tyle co ta chudzina. Nie utrzymałbyś mnie. A sama... sama nie dam rady. Koniec dyskusji – machnęła mi dłonią przed ustami. – Pójdę dookoła i was dogonię. Tylko musimy się umówić, którędy...

Nakryłem palcami jej nogę w miejscu, gdzie podrapana łydka spotykała się z cholewką. Może

próbowałem udawać, że celowałem w but.

– Wszyscy pójdziemy dookoła. Nie zapłaciłaś mi jeszcze – zdobyłem się na uśmiech.

– Nie myśl, że dam się porzucić w lesie, cwaniaro.

Słońce znów zanurkowało za chmury, a kompasu nie mieliśmy, lecz to nie usprawiedliwiało faktu, że aż tak się pogubiłem.

– Droga – powiedziała Dorota znękanym głosem. Pięć minut wcześniej omal nie złamała sobie karku, waląc się bezwładnie w tył. Morfina z wojskowego pakietu medycznego sprawiała, że nie jęczała z bólu, ale zacząłem się zastanawiać, czy słusznie ją zastosowałem. Chwilami Dorota zupełnie odpływała.

– Kawalek rozminowaliśmy – wydyszałem, wychwytyjąc wzrok Jovanki. – Samą drogę.

– Byłeś tu? – Zsunęła słuchawki z uszu. Robiła to co jakiś czas, nasłuchując odgłosów lasu, a ponieważ włosy jej w tym przeszkadzały, zebrała je z tyłu głowy i spięła czymś zielonym.

– Nie wiem. – Za bardzo osłabłem, by zgrywać nieomylnego. – Pamiętam, że leżało tu sporo min. Jeśli jakieś znajdziemy, to znaczy, że nie doszliśmy wtedy tak wysoko.

– Szkoda, że was odwołali. – Oceniała mój stan i usiadła. Wybrałem odpowiednie miejsce, biorąc poprawkę na plecak-nosidło z biodrami Doroty wewnątrz, i zwałem się na mech. – A właściwie dlaczego?

Las był cichy, gruntowa droga pusta. Obok nas dorodny ślimak spacerował po kapeluszu rosnącego między koleinami grzyba.

– Planowali założenie punktu obserwacyjnego na szczycie. A potem ktoś przypomniał sobie, że szczyt też jest zaminowany. – Posiedziałem jeszcze chwilę, zbierając siły do podjęcia męskiej decyzji. – Chodźmy lepiej. Mamy kawał do przejścia.

Trzecia znaleziona przez Jovankę mina była ostatnia. Nabrałem tej pewności bardzo łatwo: po prostu nie da się bezkarnie jeździć po drodze, która jest zaminowana.

Zaparkowany w cieniu dębów wóz pancerny przejechał.

Zastygłem. W milczeniu przyglądaliśmy się najpierw beerdeemowi, a potem całej otaczającej go okolicy. Korzystając z lornetki, mogłem sięgnąć wzrokiem całkiem daleko. Zauważyłem gromadkę ludzkich sylwetek, dwa bojowe wozy piechoty BWP-1

z lufami skierowanymi w Pecinac, honkera, drugiego, chyba w wersji sanitarki, i to najdziwniejsze: stara z małą dwukołową przyczepką. Uwolniłem się od plecaka – czyli Doroty – i powstrzymując Jovankę gestem, podszedłem do pancerki.

Kłapy chroniące szyby były opuszczone, a kiedy się zbliżyłem, żaden z peryskopów nawet nie drgnął,

nie zdziwił mnie więc zbytnio opór bocznych drzewiczek. Bez palnika nie miałem szans dodać kradzieży pojazdu służbowego do listy swych zbrodni.

– Poszli sobie – obwieściłem, wróciwszy do ukrytych w zaroślach dziewczyn. – Nie podoba mi się to. Tu nie powinno być żołnierzy.

– Patrol. – Dorota usiłowała wzruszyć ramionami. – Co w tym dziwnego?

– Już wiem, gdzie jesteśmy. – Zastanawiałem się przez chwilę, po czym skinąłem na Jovankę. – Chodź. Chcę coś sprawdzić.

Złe przecucia zwyciężyły sto metrów dalej, w miejscu, gdzie droga zakreślała ostrą serpentynę, a las graniczył z odkrytym trawiastym stokiem. Zerknąłem na zachód, ale okazało się, że dobrze zapamiętałem ukształtowanie tego fragmentu Pecinaca. Bewupów nie było stąd widać, a stojący o strzał z granatnika wrak serbskiego T-55 nie stanowił

zagrożenia. W lejach wyrósł prawdziwy zagajnik młodych dębów i musiałem trzy razy wdrapywać się na próchniejące pnie dębów starych, poległych na wojnie, nim znalazłem prześwit w gąszczu zieleni.

– Można wiedzieć, co robisz?

Pień był nadpalony i mocno spróchniały. Kiedy na nią skinąłem, musiała stanąć tuż obok z braku miejsca. Objąłem ją w talii, wmawiając sobie, że też muszę.

– Ta skałka – mruknąłem, starając się nie myśleć o tym, jak pachnie, jaka jest ciepła i na ile speszona sytuacja. Trudności sprawiło nam jedynie dzielenie się lornetką.

– Co to jest? Klamry?

– Coś w tym rodzaju. – Jak ona, mówiłem szeptem. – Widzisz te odpryski na skale?

To po kulach i odłamkach. A teraz zerknij w dół.

– Coś jasnego. – Przez chwilę przyglądała się rozmazanym ruchami listowia plamkom ni to żółci, ni bieli. – To...

– Kości. – Chyba sama zgadła, co nie znaczy, że potwierdzenie przyszło mi łatwo. –

Kawałki sławnych Trzech Szkieletów. Ojciec Nenad i jego paczka. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale podobno cała trójka jeszcze żyła, kiedy przykuli ich do tego głazu.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Nie po to, by się chwalić – zapewniłem z goryczą. – Nie ma czym. To ja ich tak...

Dookoła jest pełno kamieni i min pułapek. Prawdziwy koszmar sapera. Sonda nie działa, macką nie

odróżnisz. Serbowie, zaraz po wojnie, przysłali tu swoją ekipę. Jak pieprznęło, to od razu z kilku stron. Czterech ludzi, wszyscy ranni. Trzeba by użyć ładunków wydłużonych albo czołgu z trałem, ale podjazd tutaj to osobny problem... Cholerne koszty, z którejkolwiek strony by się zabrać. No więc po prostu kazałem odstrzelić ich od łańcuchów.

– Dlaczego mi to mówisz? – powtórzyła. Jej oczy były węższe, nic poza tym.

– Te szkielety było widać zza pola minowego. Kapelan się uparł, by coś z tym zrobić.

Dowódca kazał, żeby było szybko i żebym nie narażał ludzi. Musiałem jakoś z tego wybrnąć. Nie kłują już nikogo w oczy. Ale to nie znaczy, że nikt o nich nie pamięta.

– No i?

– Nie pochowano ich. Nic się tu nie zmieniło. Widzisz te słupki niedaleko czołgu? To oznakowanie pola minowego.

– Mówiłeś, że oczyściliście kawałek drogi.

– Tak. W trakcie podchodzenia do tych tam – skinąłem w kierunku składowiska ludzkich kości. – Myślałem, że może od tyłu... A potem na tym czystym fragmencie straciłem trzech ludzi i wyleciałem z wojska. Kapelan dorzucił do oskarżenia bezczeszczenie zwłok.

Wróciliśmy w sąsiedztwo beerdeema. Ziemia była wilgotna; dość szybko znalazłem odciski wojskowych butów. Uniosłem głowę i z mieszaniną niewiary oraz obawy popatrzyłem na pnące się stromo zbocze.

– Nie poszli drogą – nazwała rzeczy po imieniu Jovanka – tylko prosto jak strzelił.

Cóż, może im się spieszy.

– To akurat oczywiste. Nie wiem tylko, co im za to obiecali.

– Nie jesteś na bieżąco. Może...

Zostawiłem ją i szybko podszedłem do Doroty, a właściwie plecaka. Wyjąłem z kieszeni to, co zostało z telefonu, i wybrałem numer Błażejskiego. Ciche pogwizdywanie niczego jeszcze nie dowodziło. Mimo wszystko byłem zdziwiony, gdy zastąpił je znajomy, pełen pośpiechu i niepokoju głos.

– Halo? To ty? – Nie wygłupiałem się przemowami do wspomnienia po mikrofonie, powtórzył to więc jeszcze raz i przerwał połączenie. Dałem mu kilka sekund i ponownie wcisnąłem odpowiedni klawisz. – Halo?

– To bez sensu – szepnęła Dorota. – Przecież...

– To... ty? – Coś zmieniło się w głosie Błażejskiego. – Halo? Nic nie słyszę... –

Mogłem tylko czekać. – Aha – powiedział powoli. – Jeżeli to któraś z pań... Wiemy już, że Małkosz was porwał. Nie bójcie się. Na górę pojechało trzech ochotników. – Oddzielał

zdania wyraźnymi pauzami, dobierając słowa i przesiewając przez cedzak autocenzury. –

Raczej... raczej nie będą się z nim patyczkować. Podobno jest tu świadek, który widział, jak Małkosz tego wartownika... Muszę kończyć. Uważajcie na siebie.

Rozłączył się. Stałem z aparatem odsuniętym od ucha, przyglądając się oczom wpatrzonych we mnie kobiet i odnajdując w nich odbicie własnego oszołomienia.

– Wiem, jak to brzmi – przyznałem. – Ale za dużo tu niewyjaśnionych spraw. Ktoś mnie wrabia w morderstwo w Krakowie. Teraz morduję w Bośni, a Olszewski znajduje świadka.

– Olszewski? – Dłuższy bezruch dobrze zrobił Dorocie: w zamglonych cierpieniem i narkotykiem oczach pojawiły się iskierki dawnej inteligencji.

– Tu nie ma żandarmów, więc to jego działka. A Błażejski był przestraszony. Bał się, że ktoś nas słucha. Założę się, że w całym kontyngencie tylko Olszewski i dowódca mogliby zorganizować podsłuch komórki. No i w ogóle... Ten facet wiedział o sprawach, o których nie powinien wiedzieć. I załatwił samolot. W amerykańskim filmie to nic takiego, ale u nas... Może to paranoja – powiedziałem, patrząc wprost w niebieskie oczy.

– Chciałbym, słowo honoru. Ale jeśli nie... Słuchaj, ja wiem, jak funkcjonuje nasze wojsko. Nikt, żaden oficer, nie posłałby za nami trzech ludzi w samochodzie pancernym.

Na wariata, na pole minowe, na podstawie wziętych nie wiadomo skąd oskarżeń. Coś tu śmierdzi jak stado zdechłych skunksów. Co robiły natowskie pociski w ciebie Any? Skąd ci spod Jeżynowej Górki wiedzieli, że się tam zjawimy? I dlaczego ktoś poderznął gardło wartownikowi, z którym akurat chwilę wcześniej pieprzyła się Jovanka? To...

– Nie pieprzyłam się z nim!

Zrobiła się pąsowa, ale krzyczała szeptem i nie próbowała się podrywać, co skończyłoby się potrząsaniem gałęziami. Naprawdę miała klasę jako towarzysz broni.

– Jeśli wezmę cię na ręce i wyjdę z lasu – zignorowałem ją – to w najlepszym przypadku Jovanka będzie się musiała pieprzyć przez najbliższe kilkanaście miesięcy. Do pogrzebu córki. – Nie musiałem spoglądać w bok, by stwierdzić, że Jovanka dla odmiany blednie. – Ja pójdę siedzieć, na razie w areszcie, ale cóż to za różnica... To w przypadku, jeśli wszystko jest w porządku. Bo jak nie... – Zrobiłem przerwę. – Cóż, w akcjach antyterrorystycznych zakładnicy często giną od przypadkowej kuli. Nie chcę histeryzować, ale Jovanka to żaden świadek, bo oficjalnie zeznała policjantowi, że ze mną sypia. Pozostajesz ty i Błażejski. Gdyby nawet machnął ręką na posadę i zeznał

prawdę, zaraz wywlekliby mu strzelaninę na Jeżynowej Górze. Uratowaliśmy go, ma dług wdzięczności, czyli nie jest obiektywny. Pomijam fakt, że ktoś, kto mnie wrabia, pewnie nie wie o

jego udziale i nie uwzględnia go w planach. Ciebie raczej powinien wziąć pod uwagę. Słyszałaś: obie jesteście porwane. Jeśli zginiesz, na wieki wieków pozostaniesz ofiarą szaleńca. Mam zresztą niezły motyw, by cię wykończyć, i to akurat tutaj.

– Mój artykuł – zdobyła się na słaby uśmiech.

– Mądra dziewczynka. – Była szczupła z natury, a teraz, gdy krwotok i cierpienie wyssały barwy z jej twarzy, nieco dziecięce oczy zrobiły się jeszcze większe, ujmując jej kilka lat.

– Chyba jest sposób – usłyszałem nieco chrapliwy głos Jovanki. – Ja pójdę. Albo mnie kropną, albo dojdę. A jak dojdę, to wyłożę każdemu z osobna, co się dzieje i dlaczego mają trzymać łapy z daleka od broni.

– Jest niestety problem natury technicznej – zauważyłem spokojnie. – To pół

kilometra odkrytej przestrzeni. Milo Nedić miał przewagę liczebną, mózdzierze i co najmniej jeden czołg, a też gówno zdziałał. Ta góra to forteca. Jeżeli ktoś za nami szedł, a zakładam, że szli wszyscy, to teraz jest gdzieś nad nami. Pewnie wyznaczyli snajpera do pilnowania tych łąk wokół Pecinaca. Kto wie, może nawet sławnego Rzeźnika z Glavy? Wytkniesz nos z lasu – i mogła.

– Zaryzykuję.

– Nie – wyprowadziłem ją z błędu. – Chyba że umiesz chodzić na samych pośladkach. – Uniosła pytająco brwi. – Wyrwę ci nogi z tyłka, jak tylko spróbujesz.

Patrzyła mi w oczy, więc uwierzyła. Była też mądrą, rzeczową kobietą, toteż ograniczyła się do pytania.

– No to co zrobimy?

W połowie drogi na szczyt wiedziałem już, że Błażejski mówił prawdę. Żołnierzy było trzech i wszyscy poszli tędy. Przy okazji mierzenia patyczkiem ich śladów dokonałem jeszcze jednego odkrycia.

– Nie powiem, by byli ostrożni – podzieliłem się nim z Jovanką w czasie któregoś z odpoczynków. Musieliśmy zatrzymywać się często: nasi poprzednicy parli ku szczytowi niczym pluton czołgów po najkrótszej, a tym samym najtrudniejszej trasie.

– Trochę ich rozumiem. To średnia frajda iść tak po odciskach czyichś butów i czekać, aż ten z przodu polecą do nieba. Człowiek czuje się gnojkiem i egoistą.

Trasa była ciężka, chwilami musieliśmy posuwać się na czworakach i z dziesięć razy zjeżdżaliśmy na kolanach i łokciach po wilgotnym lub osypującym się stoku. W ośmiu przypadkach na te dziesięć głębę ze skał Pecinaca zdzierała Jovanka.

– Boli cię noga? – Późno, bo późno, ale dopatrzyłem się czegoś nienaturalnego w sposobie ustawiania przez nią lewej stopy. – Czekał... Jesteś na bosaka?! Nie widzę skarpet.

– Z Dorotą jakoś sobie poradziłeś. – Minęła mnie i wysunęła się na czoło. – Chociaż jest bez kawałka nogi, o morale nie wspominając.

– Myślisz, że zrobi coś głupiego? – Od początku się tym gryzłem, więc dość łatwo dałem spokój skarpetom.

– Zdrową pewnie byś przekonał. Ale założę się, że jeśli ci trzej pojawią się przy wozie przed nami, wyczołga się z zarośli i zacznie krzyczeć, by zabrali ją do szpitala.

Nawet jeśli wierzy, że mogą ją zawieźć całkiem gdzie indziej.

Cóż, mieliśmy podobny pogląd na sprawę.

– A ty? – zapytałem kilkanaście metrów wyżej. – Myślisz, że...?

– Ja ci ufam.

Załatwiła mnie tą deklaracją, zwłaszcza że nie brzmiało to jak zdawkowa uwaga.

Zamilkłem na długi czas. I to nie ja przerwałem milczenie.

– Stój – rzuciła ostrzegawczo. Patrzyła gdzieś w dół i w prawo, raczej w żadne konkretne miejsce. Nie znalazłem odpowiedzi na najważniejsze z pytań, znalazłem natomiast skarpety, a dokładniej: mały fragment jednej z nich. To było to wilgotne coś, utrzymujące jej włosy w kupie.

– Chyba kogoś słyszałam.

Padła nagle na bok. Ja nie. Łysiejący mężczyzna w kraciastej koszuli przeciętej szelkami plecaka pojawił się za blisko, by dało się liczyć na jego gapiostwo. Szedł

wolno, rozglądał się, a w dłoniach zaciskał kałasznikowa. Gdybym się spóźnił albo nie dość dokładnie zlał z tłem, raczej nie dałby mi szansy naprawienia błędu. Strzeliłem więc.

Strzał był dobry, bo faceta błyskawicznie wygięło do tyłu, ale i zły, bo poniosło go nie metr, ale całe dziesiątki metrów dalej. Spadał, łamał krzaki, walił głową w pnie – i nie zatrzymywał. Razem z prawie całym zapasem amunicji. Nie miałem nawet pewności, czy nie pociągnął za sobą karabinu.

– Leż! – Mój szept zabawnie kontrastował już nie tylko z hukem wystrzału, ale choćby z hałasem, jaki wywoływało staczające się ciało.

Wiedziałem jednak, co robię. Przekonałem się o tym, będąc w połowie drogi do miejsca, gdzie kula spotkała się z celem. Ktoś, kto szedł na lewo od zabitego, usłyszał

mnie, zapytał o coś i niemal od razu zaczął strzelać. Padłem na brzuch. Nie czekając, aż skończy ostrzeliwać przypadkowe krzaki, popęzłem dalej. Załadowany do pełna magazynek karabinu stwarzał jakąś szansę udanego odwrotu; z nagantem mogłem liczyć głównie na cud. Zanim dotarłem do karabinu – pozostał na miejscu, nie spadł śladem właściciela – las wokół mnie ostrzeliwano już z

trzech luf. Jeden z Bośniaków przytargał

na Pecinac regularny karabin maszynowy i wywalił w otaczający mnie hektar stoku chyba całą dwustunabojową taśmę.

Odwzajemniłem się jedną kulą i odczołgałem do Jovanki, sprytnie ukrytej w wykrocie. Wcisnąłem jej rewolwer i wskazałem kierunek – góra, prawo. Czołgaliśmy się, czasem przeskakiwaliśmy od drzewa do drzewa, lecz nie udało nam się oderwać od prześladowców. Posuwali się za nami, raz po raz próbując oskrzydlenia. Wystrzelałem jedenaście spośród trzydziestu naboji, a zyskałem tylko odroczenie egzekucji. No i policzyłem ich – pozostało czterech.

Nie wiem, jak udało nam się przetrwać. Raczej nie dzięki mojemu desperackiemu manewrowi, który sprowadzał się do nieoczekiwanej zmiany kierunku i skrytego podejścia w górę i na lewo. Zostaliśmy wypatrzeni i ktoś idący dołem omal nie odstrzelił

Jovance głowy. Musiałem odpowiedzieć trzema strzałami i cały manewr diabli wzięli.

Tak przynajmniej sądziłem, dopóki pełznąca przodem Jovanka nie wydała zduszonego sapnięcia.

– Trup.

Mężczyzna, już nie pierwszej młodości, oberwał w tył głowy. Trzymał niemiecki karabin G3 w wersji ze stałą kolbą, sam jednak raczej nie był *made in Germany* –

rodowici Niemcy rzadko noszą złote łańcuszki z półksiężycem.

– Muzułmanin. – Jovanka złapała za pas z magazynkami w tym samym momencie, co ja karabin. Rzuciłem: „Wiejmy stąd”, poprzedziłem skok dwoma wystrzałami i poderwałem się na nogi. Pobiegliśmy, coraz szybciej i szybciej, waląc się na czerwone z wysiłku twarze, dopiero gdy zabrakło nam tchu w piersiach.

Taras był porośnięty niewysokimi krzaczkami i na tyle poziomy, że kojarzył się z poletkiem nad jakąś górską wioską w Chinach. Może dlatego tak ostrożnie do niego podchodziłem – bo przywodził na myśl cywilizację i ludzi. Większy wpływ miał chyba jednak brak lasu po bokach. Po raz pierwszy od wejścia na Pecinac tak dobitnie dała się odczuć wysokość góry: miałem wrażenie, że mógłbym stąd obejrzeć Adriatyk. Było pięknie, tyle że i bez lornetki szybko odnalazłem rozsypaną po polu gromadkę ludzików, będących pododdziałem Wojska Polskiego.

– Ostrożnie – poinstruowałem Jovankę. – Mają lornetki.

– Myślisz, że słyszeli strzały? – sceptycznie oceniła odległość.

– Tamci nie – przyznałem. – Ale czort wie, gdzie są inni. Założę się, że otoczyli górę.

Przewiesiła kałasznikowa przez plecy, więc teraz, dysponując dodatkową parą wolnych kończyn, bez trudu dotrzymywała mi tempa, niezależnie jednak od swobodnych czy zajętych dłoni oboje praktycznie nie zareagowaliśmy na narastający świst. Alarm w moim mózgu włączył się, gdy było już

po wszystkim, a górą śmigały kawałki żelaza.

Huknęło imponująco, ale na szczęście po drugiej stronie zarośli, i to one wzięły na siebie główny impet.

Nie wyglądało to na atak – trudno chybić aż tak, rzucając granatem. Oddaliliśmy się też zbyt, by przypisywać eksplozję jakiejś ogłupiałej ze starości minie. No i nikt nie strzelał. Nie rozumiałem tego. Dzwoniło mi w uszach, co sprawiło, że zignorowałem słabiutki, zgrany z szumem lasu odgłos. I dopiero szybko zbliżający się gwizd otworzył

mi oczy.

– Padnij! – Ograniczyłem się do dawania dobrego przykładu – płasko na brzuch, ręce wokół głowy. Spod ramienia udało mi się dostrzec, że Jovanka skopiowała moją pozycję

– zaraz potem grzmotnęło. Tym razem słup ziemi wytrysnął w niebo dużo bliżej – tyle że poza krawędzią tarasu.

– Wiejmy stąd! – Zdążyliśmy odskoczyć na dobre trzydzieści kroków, kiedy dogonił

nas gwizd numer trzy. Byłem zbyt ostrożny i pociągnąłem Jovankę na ziemię trochę za wcześnie. I niepotrzebnie, jako że celowniczy wyciągnął błędne wnioski z pierwszego pudła i poprawiał w niewłaściwym kierunku. Dopiero kiedy kolejny granat rozerwał się poniżej tarasu, przyszło mi na myśl, że kierunek jest wprawdzie niewłaściwy, ale zgodny z logiką.

– Myślę, że uciekamy do lasu! – Z rozpędu krzyknąłem i dopiero potem uwzględniłem fakt, że ostrzał jest rzadki i przez to mało hałaśliwy. – Palant ze mnie.

Widziałem ten moździerz; powinienem wcześniej...

– Moździerz? – Uniosła się na łokciach, jakby chciała sprawdzić.

– Mamy parę sekund – rzuciłem, podrywając się. – Muszą przeładować. Głowa nisko i za mną.

Rozrywając się dziesięć metrów od nas, piąty pocisk mógł, ale nie musiał wyrządzić nam krzywdy. Gdyby posługiwać się normami artyleryjskimi, przynajmniej jedno z nas powinno oberwać, jeśli nie przy pierwszym, to przy którymś z kolejnych wybuchów.

Zwłaszcza że dzieliły je półsekundowe pauzy i choć zdążyłem skrócić ku wyskakującej zza krzaka szczelinie, było po całej salwie, nim dolecieliśmy do jej dna. Przeżyliśmy, bo każda broń cechuje się niezależnym od wycelowania rozrzutem, a te, które posyłają pociski seriami, mają ów rozrzut większy. Gdyby cała czwórka granatów spadła tam, gdzie pierwszy, raczej nie obeszloby się bez ran.

Nie próbowałem wychylać się z dziury. Kanonierzy byli dobrze wyszkoleni, jak na spadochroniarską elitę przystało, więc szybko załadowali następną kasetę i posłali w niebo kolejną czwórkę granatów. I jeszcze jedną. I jeszcze. Po jakimś czasie przestałem liczyć. Wybuchami rzucało bez ładu i składu po całym tarasie; w każdej chwili któryś z pocisków mógł wylądować tuż obok nas. Piekło

niepewności trwało jakąś minutę. Zmarnowałem następne pół minuty na dziwienie się, że to przeżyłem. Wyglądać na zewnątrz nie zamierzałem. Co najmniej z dwóch powodów. Pierwszy był oczywisty: chmura zmielonego listowia, dymu i pyłu ograniczała widoczność do kilkunastu metrów.

Drugim była mieszanina bólu i strachu. Zeskoczyłem fatalnie, wprost w wąskie pęknięcie, i choć na jakiś czas zapomniałem o uwięzionej kostce, wiele wskazywało na to, że złamałem kość.

– Marcin? – Jovanka była już na górze, ale wystarczył jej jeden rzut oka, by znaleźć się z powrotem przy mnie. – Co ci jest?

Mnie też wystarczył jeden rzut: wystraszyłem ją swym bezruchem.

– Noga – zdobyłem się na uśmiech. – Ale jest coś ważniejsze...

Przerwała mi, biorąc mnie pod pachy i przesuwając jak jakiegoś smarkacza, by zmniejszyć napięcie mięśni. Potem, z delikatnością dorównującą poprzedniej stanowczości, wsunęła dłoń w szczelinę.

– Boli? Patrz mi w oczy. – Miała w tej chwili autorytet pani z przedszkola, więc usłuchałem, choć niełatwo zmagać się ze łzami, spoglądając kobiecie w twarz.

– Tro...ssss... – zassałem powietrze. – No dobrze: boli. Ale chyba nie jest złamana.

– Pięknie. – Ostrożnie położyła moją stopę. – Tego nam brakowało. Daj rękę.

Zobaczmy, czy możesz stać.

Dałem rękę. Po to, by energicznym szarpnięciem sprowadzić ją z powrotem do pozycji kucznej.

– Nie wychylaj się – warknąłem. Miała zdrowe odruchy, więc choć niczego jeszcze nie rozumiała, jej ręka sama poszukała najbliższego karabinu.

– Co się dzieje? – Tak jak ja, mówiła szeptem.

– Na początku mogli nas widzieć. – Zacząłem ostrożnie poruszać stopą. – Ale potem już na pewno nie. A walili dokładnie tam, gdzie trzeba. Jesteśmy w środku pola rozrzutów.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Przy okazji zdejmowania automatu z pleców ściągnęła wstążkę do włosów.

– Nie wiem... Jeśli ktoś tu jest, powinien nas sam, bez pomocy artylerii... Ale tak to wygląda – rozłożyłem bezradnie rękę. – Jakby gdzieś obok siedział obserwator.

Wyrzała ze szczeliny.

– Nic nie widać, kurczę... Po prawej był, zdaje się, taki jakby występ.

– Dwieście metrów – skrzywiłem się, kręcąc stopą. – Cóż to jest dla karabinu.

– Niby tak... – Dopiero teraz przemknęło mi przez głowę, że roztrząsam problemy taktyczno-techniczne z nocną recepcjonistką. – Tylko że to najdalsze miejsce, z którego widać tę łączkę.

Chyba tylko zwichnięta – zmieniłem temat na ciut bardziej optymistyczny. Powoli wstałem i zgiąwszy się wpół, by nie wystawać zanadto na zewnątrz, zrobiłem krok, odrywając nawet na moment prawą stopę od podłoża. – No proszę: Małkosz znów mobilny.

Nie dała się zwieść. Kiedy usiadłem, bez słowa wzięła moją nogę, ścisnęła między udami i wyjęła z kieszeni szortów ciasno zwiniętą foliówkę. W środku była ubłocona skarpeta. Jedna z tych, których brakowało w jej butach.

– Nóż – rzuciła. Podałem jej scyzoryk. Ostrożnie zdjęła mi but i tnąc skarpetę, sporządziła z niej opatrunek. Stopa została usztywniona – szybko i fachowo.

– W poprzednim wcieleniu musiałaś być pielęgniarką.

– Gotowe – dociągnęła sznurówki. – Sprawdź.

Wstałem, by natychmiast opaść. Na kolana. Z klęczek łatwiej się unosić.

– Coś się rusza w krzakach – rzuciłem szeptem. – Chyba idą.

– Hej! Jesteście tam?

Nie wiem, dlaczego omal nie uszkodziłem kolby opadającą z wrażenia szczęką.

Ostatecznie nie powinienem być zaskoczony idealną polszczyzną: stalowego deszczu nie ściągnął nam na głowy jakiś tubylec.

– Nie odzywaj się – szepnęła klęcząca plecami do mnie Jovanka.

– Nie strzelać! – Głos przesunął się jakby bliżej opadającego z góry urwiska. Jovanka miała rację: ktoś przychodzący w ucziwych zamiarach nie uprawia takich podchodów.

– Jak się nie pokaże – rzuciłem za siebie – znaczy, że odwraca uwagę. Mogą wyjść na ciebie.

– Dam radę.

Miałem nadzieję. Skrócony krawędzią tarasu horyzont pozostawał pusty. Nie w takim tempie poszukuje się rannych rodaków.

– Mamy wam pomóc! – Facet czytał mi w myślach. Teoretycznie mogli nas pomylić z Bośniakami i potraktować z moździerza. Mała szansa, ale niełatwo pogodzić się z myślą, że ojczyzna próbuje człowieka zabić. Otwierałem już usta, kiedy odblokowało mi mózg. Znałem ten głos. Kiedy jego głowa ukazała się na tle odległego lasu, byłem jeszcze sparaliżowany swym odkryciem. Nie tym dotyczącym osoby. Poraziło mnie to drugie, ważniejsze.

Był dobrym żołnierzem, a mózdzierz niemal doszczętnie wymiół taras z roślinności.

W efekcie zostałem zauważony bardzo szybko i niemal natychmiast poczęstowany serią z peemu. Część przeszła górą, część zmieliła przedpiersie. Nie próbując odpowiadać, zanurkowałem do okopu. Przeskoczyłem metr dalej i wychyliłem się ponownie, szukając celu. Nie znalazłem. Skrył się i rzucił granat. Stalowe jajo szybowało jeszcze, gdy z tyłu zajazgotały dwa automaty: kałasznikow Jovanka i coś lżejszego.

– Granat!

– Dostał! – odkrzyknęła z jakimś dzikim triumfem w głosie. Przykucnęła niepotrzebnie, bo granat nie doleciał. Taras był wbrew pozorom spory.

Przez następne pięć minut czekałem. Potem obaj pokazaliśmy się sobie na sekundę, strzeliliśmy i spudłowaliśmy. Inna sprawa, że chyba udało mi się zaproszyć mu oczy piaskiem.

– Już nie żyjesz! – wrzasnąłem. – Załatwię cię, skurwielu!

Tym razem rzucił granat zaczepny, walcowaty. Trudno przeoczyć kształt obiektu, który odbija się kolbą jak tenisową rakieta. Nie powiem, bym zastanowił się nad tym, co robię. Dopiero potem, gdy paskudztwo wybuchło za okopem, pomyślałem, że nie wygłupiłem się tak bardzo.

– Jovanka! – Obejrzała się tylko na ułamek sekundy. – Musimy wiać. To drzewo pod urwiskiem... Odczołgaj się tam.

– Ty idź. – Mówiliśmy szeptem, trudno było ocenić jej emocje.

– Kto tu, kurwa, dowodzi?

– A kto tu, kurwa, jest jednonogi? Nie zostawię cię. W ogóle zapomnij.

Nie było czasu na kłótnie. Schowałem do kieszeni męską dumę, ująłem G3 za pas i szorując brzuchem po upstrzonej lejami ziemi, popełzłem na południowy wschód, gdzie spotykały się urwisko, taras i normalny, skośny stok Pecinaca.

Udało się. Nikt nie strzelał, słyszałem tylko szelest wiatru. Zagłuszał odgłosy mego poruszania się, wypełniał całą okolicę ruchem gałęzi, maskujących ruch rozchylanej przeze mnie trawy. Ale to nie wiatrowi należały się największe podziękowania.

Kilkanaście metrów ode mnie leżał martwy polski żołnierz. Ten, którego trafiła Jovanka.

I który bez wątpienia wykończyłby nas, pozostając żywym tam, gdzie był.

– Chcieli nas zabić.

Szła przodem i miała kupę roboty z wybieraniem drogi i holowaniem mnie w trudniejszych miejscach, ale i tak się zdziwiłem, że tyle czasu do tego dochodziła.

– Owszem. I nawet wiem dlaczego. Przynajmniej jeśli chodzi o sierżanta Żańca.

Po lewej stronie zza drzew wyrzała niemal pionowa kamienna ściana, ostatni zryw Pecinaca ku niebu. Wyżej nie było niczego. Cokolwiek krył Pecinac, mogło znajdować się tylko na lewo albo prawo od nas. Skończyliśmy z morderczą wspinaczką. Dotarliśmy do jakiegoś punktu zwrotnego i może dlatego zaczęliśmy rozmawiać.

– Kto to jest sierżant Żaniec?

– Pamiętasz tę... scenę zazdrości przed bramą polbatu? To ten facet, który był z Dorotą.

– Scenę zazdrości! – parsknęła, mimo że postarałem się, by zabrzmiało to żartobliwie. – Chyba że jego masz na myśli: zgarnąłeś mu panienkę, więc teraz chce cię kropnąć.

Wybrała kierunek południowy. Kuśtykałem za nią, używając G3 jako laski.

– Był wtedy z nami – wymamrotałem. – No wiesz, kiedy tych trzech... Dowoził prowiant i wywoził miny. Nawet przez myśl mi nie przyszło, że to ktoś od nas, Polak...

Ale teraz widzę, że miał sto okazji. Podejrzywałem jakiegoś tubylca: że zdołał się podkraść, podłożył to draństwo... Nierealne, bo wóz stał na otwartej przestrzeni, stale ktoś się tam kręcił, ale wiesz, człowiek brzytwy się chwyta... I nie pomyślałem, że dla Polaka to tyle, co splunąć. Wystarczyło odłożyć jedną z min na bok, a potem poczekać na odpowiednią chwilę.

– Ale po co?

– Skąd mam wiedzieć – rzuciłem ponuro. – W tym sęk. Zbrodnia doskonała, bo bez motywu. Za to wiem, kto nasłał tych facetów spod Jeżynowej Górki. Był w obozie, kiedy wypytywałem o Błażejskiego, mógł się domyślić, że do niego polezę.

Obeszliśmy wysunięty ku dołowi skalny jęzor i nagle znaleźliśmy się w korycie strumienia. Pierwszego, na jaki się natknęliśmy. Było go tyle, co kot napłakał – woda ciurkała jak z kranu – ale rozmiary koryta sugerowały, że po deszczu czy na wiosnę, gdy topniały śniegi, ktoś bardzo odważny mógłby tędy spłynąć ku dolinom pełnowymiarowym kajakiem. To tłumaczyło wielkość czarnej dziury, z której wypływała woda. Ale już nie bezruch Jovanki. Po lecie nawet środek bruzdy był suchy i twardy i nie było powodów, by się zatrzymywać.

– Co? – Rozejrzałem się, najpierw po lesie z prawej. W postawie dziewczyny dostrzegłem coś z czujnego zwierzątka. Węszyła, angażując się aż tak, że zamknęła oczy.

– Obiad? – zazartowałem smętnie. Skręcało mnie z głodu.

– Nie czujesz?

Przykucnąłem, zwilżyłem dłoni.

– Fakt. Siarka czy coś takiego... – Wzruszyłem ramionami. – Cóż, woda mineralna.

Jak to w górach. Chodź.

Nie poruszyła się. Była nienaturalnie blada, ale zaskoczyła mnie trochę później, cofając się jak ktoś, na kogo oczach wijąca się dołem tasiemka wody zmieniła się w żywego węża.

– Co jest? – Posłałem jej słaby uśmiech. – Tu nie ma mostu.

Przeniosła gwałtownie wzrok z wylotu szczeliny na mnie.

– Słucham?

– Żartuję – wyjaśniłem. – No wiesz: „Nigdy więcej przez most”.

Zmarszczyła brwi, choć błysk zrozumienia w jej oczach powstrzymał mnie przed wyjaśnianiem, kto i kiedy to mówił. Pamiętała.

– Nie, tamto to... – Nie kończąc, podeszła do dziury, z której wypływał strumyk.

Ugięła kolana i zajrzała do środka.

– O co chodzi? – zapytałem cicho. Długo nie odpowiadała, próbowała coś dostrzec w idealnej czerni kamiennej dziury. W końcu jednak się podniosła i wzięła do ręki oparty o skałę karabin.

– Nie wiem. – Miała w oczach pustkę i trochę mroku, w który się tak intensywnie wpatrywała. – Coś... Mam wrażenie, jakbym znała to miejsce. – Odetchnęła głębiej i z wyrazem determinacji spojrzała mi w twarz. – Masz tę latarkę?

– Jezu, chyba żartujesz... Idziemy.

Ja nie żartowałem. Natychmiast to wyczuła. Kiwnęła pokornie głową, chwyciła karabin i poszliśmy dalej.

Ogromna łąka była zupełnie niewidoczna z dołu: przesłaniała ją krawędź tarasu i korony rosnących niżej drzew. Kojarzyła się niemal z boiskiem, ale zamiast boiska Jugosłowianie wzniesli tu maszt przekaźnika telewizyjnego. Jego resztki walały się po ziemi niczym wręgi roztrzaskanego żaglowca, przemieszane z cegłami i płatami tynku, stanowiącymi niegdyś ściany niewielkiego budynku aparatuwni. Domek stał dalej od brzegu łączki, więc artyleria nie skosiła go tak równo i w niektórych miejscach mury miały nawet metr wysokości.

Obła skalna ściana, zamykająca przestrzeń od wschodu, była dużo wyższa.

Posuwaliśmy się wzdłuż niej, więc nie dało się czynić dokładnych porównań, ale na pewno nie mierzyła mniej niż dwadzieścia metrów. W porównaniu z ogromem skalnego masywu czerniejące

naprzeciw ruin wyloty jaskiń wydawały się maleńkie. Może nawet byśmy je minęli, nie zauważając różnicy między parą nisko położonych otworów a tuzinami podobnych nisz, szczelin i szczerb po oderwanych głazach, które napotkaliśmy wcześniej. Trudno jednak nie wyczuć pustki za plecami, kiedy się niemal szoruje łopatkami po ścianie. A my trzymaliśmy się jej prawie dosłownie. Kamienie, które od wieków spadały z góry, tworzyły wolny od min pomost, a w razie czego mogły posłużyć jako namiastka okopu. Z jakiegoś powodu czułem, że to miejsce pachnie kłopotami.

Nad większym otworem tkwił w skalnej ścianie przypominający stalową strzałę czołgowy pocisk przeciwpancerny, dość absurdalny w tym miejscu. Śladów po ostrzeliwaniu Pecinaca amunicją odłamkowo-burzącą było niewiele, ale kiedy zacząłem uważniej patrzeć pod nogi, dopatrzyłem się paru większych kawałków rdzawego żelastwa, a bliżej jaskiń nawet jakiegoś pogiętego stabilizatora.

– Sułtan gdzieś chyba mieszkał przez te lata. – Wyjąłem latarkę, ale jej nie włączyłem. Słońce powoli szycowało się do snu, a to było zachodnie zbocze. Kiedy stanąłem naprzeciw otworu, mój wzrok sięgnął nadszpodziewanie daleko bez posiłkowania się sztucznym oświetleniem. Może dlatego, że wewnątrz pomalowano na biało.

Dziura, przy której stałem, przypominała szerokie okno, umieszczone niecały metr nad ziemią. Dało się tędy precyzyjnie do środka, ale nie po to wymyślono drzwi, by ludzie wchodzili oknami. Przeszedłem parę kroków i przez dużo większy otwór wkroczyłem do jaskini.

Niemal od razu serce podeszło mi bliżej gardła. W jednej z nisz stał ni to worek, ni plecak, sprawiający wrażenie nowego. Rozglądałem się, prowadząc lufę śladem spojrzenia. Nic, cisza i pustka. Podłoże upstrzone było drobnymi odchodami, może ptaków, może nietoperzy. Ktokolwiek zostawił plecak, nie zamieszkiwał tutaj.

Jaskinia miała ze trzydzieści metrów z lewej w prawo, o połowę mniejszą głębokość, wysoko zawieszony sklepienie i odgałęzienia. Większość okazała się niszami, w najlepszym razie głębokimi, ale na południowym końcu, za zakrętem, znalazłem coś zbliżonego do korytarza. Kojarzył się z kopalnianym, i to nie dlatego, że opadał, a w ścianach tkwiły kikuty wypalonych pochodni. Przemysłowym dziurawieniem matki ziemi pachniało co innego: stojące pośrodku urządzenie.

– Marcin? – Pociemniało: Jovanka stanęła w drzwiach. – W porządku?

Pokuśtykałem na wysokość niszy z plecakiem, oglądając uważniej ściany. Byłem już pewien, czego szukam, więc poszło łatwo.

– Nie wiem – powiedziałem szczerze. – Coś mi mówi, że trafiliśmy aż za dobrze.

Podszedłem do plecaka i uniosłem pokrywę. Na wierzchu leżała zaskakująco ciężka kasetka z gatunku tych, których używa się w małych sklepach do przechowywania pieniędzy. Bez przekonania pociągnąłem za uchwyt. O dziwo, wieczko ustąpiło.

Wewnątrz nie było kosztowności. Prawdę mówiąc, nie oczekiwałem ich, ale i tak zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie. Plecak wypełniony był ładunkami minerskimi, podobnymi do stosowanych w górnictwie. W skrzynce, o centymetry od kilkudziesięciu kilogramów uspiętej śmierci, jak gdyby

nigdy nic połyskiwały tulejki spłonek. Było ich dużo, więcej niż ładunków w plecaku. Gdyby któraś wybuchła...

– Co tam jest?

Obejrzałem się. Jovanka była czarną sylwetką, obramowaną złotoczerwonym blaskiem słońca. Oglądana pod postacią cienia wyglądała fascynująco. Chłonałem proporcje między łydkami, talią, ramionami i całą resztą składających się na kobiecą figurę krągłości, ale przy okazji dokonałem też spóźnionego odkrycia. W tle, poza szczytkami budynku i ciemnym błękitem, dostrzegłem leżący obok ruin niemowlęcy wózek. Bardzo egzotyczny w tym miejscu.

– Materiały wybuchowe. – Z wysiłkiem uwolniłem się od wizji Jovanki pchającej coś takiego w zwiewnej sukience, sandałach, gdzieś pośrodku Plant. – Widzisz te dziury w ścianach? Tam dalej stoi sprężarka, generator i młot pneumatyczny. Mnóstwo ciężkiej roboty w to włożono – musnąłem najbliższy otwór.

– Sułtan – powiedziała cicho. – Mieszkali tu, prawda?

Przecisnąłem się obok niej. Szybko, ale chyba zdążyłaby się cofnąć i pozbawić mnie okazji do sprawdzania, jak miękka jest pod koszulą. Nie cofnęła się.

– Wylot drogi – wskazałem południowy koniec łąki. – Zanim ją zaminowali i w paru miejscach wysadzili, dało się tędy dowozić zaopatrzenie. Jaskiń nie widać z dołu, a widok stąd jest świetny. Tak... myślę, że właśnie tu mieli główną bazę i punkt dowodzenia. To chyba jedyne miejsce na górze, w którym mogą lądować śmigłowce. –

Skończyłem z teorią i przeszedłem do praktyki, łapiąc Jovankę za rękę. – Chodź.

Wynosimy się stąd.

– Co? – Była niemile zaskoczona. – Tak po prostu?

– Oby to było proste. – Pociągnąłem ją lekko, bo na porządne pociągnięcie stać jedynie dwunożnych. – Bo ci faceci idą być może właśnie tutaj.

Powstrzymała się od dyskusji. Już miałem sobie pogratulować autorytetu, ale za pierwszym krzakiem przegrodziła mi drogę z na poły pokorną, na poły buntowniczą miną.

– Chcę wrócić nad ten strumyk – oznajmiła.

– I co? Wykąpać się?

– To – wskazała kierunek, z którego przyszliśmy – nie wyglądało na wojskową kwaterę. Może przedsionek, ale na pewno nie główne koszary. – Uniosłem brwi. –

Jaskinia ciągnie się dalej, prawda? Dlaczego nie poszedłeś tym korytarzem?

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj. Niby dlaczego ktoś miałby trzymać narzędzia tam, a trotyl na widoku?

Zawlekli sprzęt dalej, bo coś tam robią, prawda?

Westchnąłem ciężko i nie całkiem szczerze.

– Mówiłem: dziury. Chcą wysadzić jaskinię. Może to taki chwyt wyborczy. Zuk Mehcić, Europejczyk pełną gębą, niszczy pomnik mrocznej przeszłości i za pomocą dynamitu zasypuje podziały między Bośniakami.

– Żartuj dalej – zaproponowała spokojnie – a ja się przejdę i sama to obejrzę. –

Stawiała raczej na demonstrację, ale za ramię łapać ją jednak musiałem. – Wiem –

posłała mi smutne spojrzenie. – Masz już dość. Ja też. Ale jestem matką, a matka nie może powiedzieć: „Zrobiłam wszystko, nie wyszło, trudno, może innym razem”.

– Ależ chamski chwyt – uśmiechnąłem się słabo. – No dobrze, możemy tam iść. Ale to bez sensu. Strumień jest ze dwieście metrów stąd. No i nikt go... – zaciąłem się.

– Nikt go nie co?

– Nie próbował zasypywać – skapitulowałem. – No dobrze, niech ci będzie. Coś jest nie tak z tą jaskinią. Nie ma śladów po ogniskach. Posprząтали ją, ale okopconego stropu nie dało się tak po prostu...

– A korytarz? Tam był korytarz, prawda?

– Był. Zostało ze dwadzieścia metrów i osypisko. Strop się musiał zawalić. Dawno, bo szalunek całkiem spróchniał.

Milczała jakiś czas, idąc przodem i wybierając łatwe miejsca dla mojej kulawej nogi.

– Dlaczego mi tego nie pokazałeś? – zapytała, nie odwracając się.

– Szczerze? Nie chciałem tego przeciągać. To wyglądało, beznadziejnie. Nie uśmiecha mi się wizja Jovanki Bigosiak machającej przez następny rok kilofem. Albo nogami w łózkach kolejnych inżynierów górników.

Zerknęła zdziwiona przez ramię. Ja też byłem zdziwiony. Nie zamierzałem mówić czegoś takiego.

– Dzięki za podpowiedź. – Zwolniła i zrównała się ze mną.

– To nie była podpowiedź – mruknąłem ponuro. – Nic nie zyskasz w ten sposób. To robota na długo, dla wielu ludzi i maszyn. O forsie nie wspominając. A po drugiej stronie...

Nie dokończyłem. Nie wiedziałem, co mogło kryć się za zawałem.

Do strumyka dotarliśmy bez przeszkód. Był oddalony od linii łączącej jaskinię i miejsce naszej potyczki z tubylcami, nie spodziewałem się więc kłopotów. Co nie znaczy, że zatraciłem czujność i przestałem się rozglądać.

– Tam się nawet pies nie wciśnie – wyraziłem swój pogląd, zatrzymując się przed pękniętą skałą. – Założę się, że metr stąd jest lity kamień.

Jovanka bez słowa wyjęła mi latarkę z ręki, odstawiła karabin pod wapienną ścianę, uklękła i do połowy znikła w nieprzyjemnie niskim otworze. Dziura miała kształt zdeformowanych ust i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Pecinac za chwilę odgryzie górną połowę dziewczyny. Może dlatego wziąłem odgłos za jęk bólu lub strachu kogoś, na kim nagle zaczynają się zaciskać monstrualne szczęki. Na ziemię sprowadził mnie szczęk metalu. To coś było tuż za mną i nie próbowałem wykonywać żadnych głupich ruchów. Zwłaszcza że mój G3 nadal pełnił funkcję laski.

– To tylko ja. – Byłem spocony z wrażenia i chyba nie rozpoznałbym głosu, gdyby nie mówił po rosyjsku. Obróciłem się powoli i z niedowierzaniem popatrzyłem na kiwający się radośnie ogon. – A dokładnie: my. Nie chciałem się narzucać, ale Ustasz chyba pana lubi.

Fakt: podtruchtał do mnie i z marszu liznął trzymającą karabin dłoń.

– Co pan tu...? – Nie dokończyłem. – Szliście za nami?!

– Bingo – uśmiechnął się Milo Nedić. Przewiesił kałasznikowa przez ramię.

Niewiele ryzykował. Miałem ręce zajęte karabinem i podstawianym do głaskania łbem Ustasza, a Jovanka dopiero gramoliła się rakiem z otworu. Musiała wejść głębiej, niż myślałem.

– Ale po co? – rzuciłem niemal płaczliwie.

– Ciekawość. I przyjemność – poklepał karabin. – Dzisiaj rzadko zdarza się okazja upolowania Muzułmanina. Wystawiliście mi go, więc może pan zatrzymać karabin.

Jovanka wyszła i stanęła obok mnie, nie próbując zabierać po drodze swej broni.

Z nijaką miną zapytała o coś Mila.

– Myślałem, że się zorientowaliście. – Był lepiej wychowany i odpowiedział

w zrozumiałej dla mnie rosyjsko-angielskiej mieszance. – Miał dziurę z tyłu. Ten od pańskiego karabinu.

– Dzięki – powiedziała jakoś oficjalnie Jovanka. Po czym zwróciła się do mnie: –

Tam jest przejście. Chcę sprawdzić, jak daleko sięga.

Milo bez pytania odebrał jej latarkę i zajrzał do dziury. Potem przywołał Ustaszę, potarł ją przyjacielsko pod rozradowanym pyskiem i kazał węszyć. Ustaszę usłuchał, ale ogonem już nie merdał, co tylko podniosło jego notowania w moich oczach.

– Nie wejdę tam – oznajmiłem oficjalnie, czyli po rosyjsku.

– Nikt cię nie prosi. – W jej ustach zabrzmiało to jakoś łagodnie, niemal przeprasząco.

– Ja pójdę.

Oboje posłaliśmy mocno zdziwione spojrzenia w stronę policjanta.

– Dlaczego?

– Mamy podobne motywy – posłał wieloznaczny uśmiech marszczącej brwi Jovance.

– Szukamy prawdy. – Przez chwilę obserwował Ustaszę. – Ale chyba tracimy czas. Tam nic nie ma.

Pies, niemal ostentacyjnie znudzony, cofnął pysk z dziury i obsikiwał jakiś kamień.

– On... – Jovanka zawahała się przy doborze słów – wie, co robi?

– Chyba tak – odpowiedział śmiertelnie poważny Milo. – Kazałem mu iść po waszych śladach. Żaden z nas nie nadepnął na minę. Przy okazji: dobra robota, panie Małkosz. Szkoda, że nie miałem pana w czasie wojny. Może inaczej by to wszystko wyglądało.

Mówił o całej naszej trójce. Pecinac odmienił życie każdego z nas i nadal mógł

odmienić, w typowy dla siebie sposób.

– Nie masz racji – powiedziałem do Jovanki, wyjmując jednocześnie latarkę z rąk Mila. – Ale gdyby jednak... Pójdę przodem. Gdzie jak gdzie, ale tutaj nie można nie ustawić paru min.

Po paru metrach ciasny korytarzyk rozszerzył się i większą część trasy mogliśmy pokonać na czworakach, nie zdzierając brzuchów i skalpów, ale i tak było paskudnie.

W jednym tylko miejscu dorosły człowiek mógł się obrócić i zmienić kierunek marszu.

Nic też nie wybuchło – to wszystko, kompletna lista atutów wypłukanej przez wodę nory.

Min nie było, bo nie minuje się dróg donikąd. Upierałem się przy tej tezie do samej mety, choć w milczeniu, na własny użytek. Limit narzekań aż w nadmiarze wyczerpywał

Ustaszę, wlokący się na końcu, piszczący, skamlący i bez skutku próbujący przemówić nam do rozsądku. Dopiero widok ślepej ściany tuż przed twarzą rozsznurował mi usta.

– Zadowolona? – rzuciłem cierpko w stronę stopy, o którą stuknęło czoło Jovanki.

Bogu dzięki, nie było tu ciasno. Póki miałem przed sobą otwartą drogę, udawało mi się trzymać na wodzy swą klaustrofobię. Teraz w jednej chwili oblałem się zimnym potem i ta odrobina luzu po bokach zrobiła się bardzo potrzebna. – Koniec. Skończył się, skurwysyn. Jezu, trzeba będzie tyłem... Ale ze mnie kretyn.

– Możesz się przesunąć? – Nie czekając na moją reakcję, zaczęła czołgać się do przodu, trochę obok, ale głównie po mnie. To był ten pierwszy raz, gdy jej dotyk nie sprawił mi radości.

– Oszalałaś?

Nie zareagowała. Zrównała się ze mną twarzą i wepchnęła rękę do małego jeziora, z którego wypływała woda. Miało gabaryty większej miednicy i z drugiej strony nie przylegało bezpośrednio do ściany, wziąłem je więc za źródło – początek strumienia i koniec naszej wędrówki. Kiedy ramię dziewczyny znikło w czarnej jak atrament wodzie aż po bark, nie zmieniłem bynajmniej zdania. Owszem, miednica okazała się bardziej beczką. I co z tego?

– Nie ma dna – wydyszała mi wprost do ucha, po czym boleśnie w to ucho zdzieliła, przeciągając do przodu karabin. Magazynek odczepiliśmy już wcześniej, więc nim zdążyłem zaprotestować, rozłożyła kolbę i wepchnęła kałasznikowa w kałużę.

– Zgłupiałaś? – Zignorowałem fakt, że wprowadziła pod kątem, ale karabin wszedł cały i pociągnął jeszcze spory kawałek ręki. – Co ty kombinujesz?

– Tam jest przejście. Taki... syfon.

– Chyba nie chcesz...? – Aż mną zatrzęsło. – O nie... Nic z tego. Nawet o tym...

– Ja pójdę – oblizwała nerwowo usta.

– A myślałaś, że ja?! Całkiem ci odbiło?! Nikt nie będzie się pchał do tej dziury!

Nikt, rozumiesz?! Jezu, chcesz się utopić w czymś takim?!

– Nie chcę. Ale czuję, że to miejsce... No, po prostu muszę sprawdzić, co tam jest.

Nie bój się – zdobyła się na mizerny uśmiech. – Mam czym oddychać.

– Jesteś nienormalna – wymamrotałem. Nie chciało mi się wierzyć, że w takiej chwili przechwalała się biustem.

– Tyle czasu potrzebowałaś, by to zauważyć? – Nagle uśmiech ustąpił śmiertelnej powadze. – Nie da rady się obrócić, dlatego wejdem przodem. Minutę pod wodą wytrzymam, więc liczę do dwudziestu i wracam. Słyszysz? – Kiwnąłem głową, chyba z mało przekonującą miną. – To ważne. Mam dwa razy więcej czasu na odwrót. Zdażę.

Więc gdyby mnie nie było, nie pchaj się na ratunek. No... w każdym razie głęboko.

– Masz to jak w banku – zapewniłem ponuro. – Już teraz sikam ze strachu.

Przyglądała mi się jakiś czas, choć oboje wiedzieliśmy, że jest to czas zmarnowany.

Oddałbym duszę, by być na zewnątrz, choćby po to, by walczyć z całymi batalionami czekających tam muzułmańsko-polskich zabójców. A ona po prostu gapiła mi się w twarz. Kiedy się poruszyła, myślałem, że to już. Nie oczekiwałem, że mnie pocałuje.

Poczułem ciepło jej ust na styku moich własnych z nosem i policzkiem. Krótki, wieloznaczny pocałunek. Ale i taki potrafi oszołomić.

Prawie nie zauważyłem, kiedy przeczołgała się po mnie i powoli, w stylu charakterystycznym dla korkociągów, wkręciła ciało w wypełniony wodą otwór – syfon był tu cholernie ciasny. Dopiero gdy czerń połknęła zelówki jej butów, uświadomiłem sobie, że być może widziałem ją ostatni raz.

– Jest szalona – dobiegł z tyłu stłumiony głos Mila. Ustasz nic nie powiedział.

Piszczał jak oderwany od matki szczeniak.

Zacząłem liczyć. Za szybko, więc wziąłem się w garść i spróbowałem jeszcze raz.

Od czasów przedszkola nie miałem z tym tyłu problemów. Czas bez Jovanki biegł jakoś inaczej.

– Idę – wymamrotałem w którymś momencie. Uniosłem się i od razu wylądowałem na brzuchu, szarpnięty zręcznie za nogę. Na szczęście tę zdrową: Milo jako jedyny zachował trzeźwy osąd sytuacji.

– Nie teraz. Zablokujesz jej drogę.

Trochę później – może z pół stulecia – przekonałem się, jak wiele mu zawdzięczam.

Woda zaczęła się poruszać, ale nic poza tym. Jovanka była gdzieś blisko – i wciąż tam pozostawała.

– Wyciągaj!

Nie musiał powtarzać. Zanurkowałem po uda w zimnej jak lód idealnie czarnej wodzie i niemal natychmiast dostałem po palcach czymś twardym i szarpiącym się gwałtownie. But. Złapałem go i odpychając się od ścianek syfonu wolną ręką, centymetr po centymetrze popęzłem do tyłu. Wyciągając głowę, miałem w płucach już tylko wspomnienie po tlenie. Miałbym wodę, gdyby nie Milo. Robił dla mnie to, co ja dla Jovanki: ciągnął z całych sił, ratując przed utopieniem.

Leżeliśmy potem, dysząc i dygocąc z zimna. Może dlatego tak łatwo mi przyszło użycie piersi dziewczyny w charakterze poduszki: oboje potrzebowaliśmy ciepła. Nie miałem wyrzutów sumienia. Nie pluła wodą, a oddychać faktycznie miała czym.

– Dzięki. – Raczej nie była w szoku, bo pamiętała, by przejść na rosyjski.

– Wracamy – powiedziałem stanowczo. – Nie pozwolę ci więcej...

– Nastraszyłam was? – zgađła. – Przepraszam. To dlatego, że właśnie nie chciałam straszyć. Miała być minuta; pomyślałam, że jak nie wrócę... Powinna się odwrócić. To nie jest trudne przejście, ale tyłem...

– Obrócić się?

– Tam jest wolna przestrzeń. Powietrze. – Jej oczy lśniły z podniecenia. – Naprawdę.

Woda to żaden problem. Dziecko sobie poradzi.

– Dziecko może – zgodziłem się. – Bo się obróci. Ale tobie mało brakowało.

Wiedziałem, że zacnie mnie przekonywać, iż śpiewająco pokona syfon. Pomyliłem się.

– Jeśli nie wierzysz, idź sam – powiedziała dziwnie normalnym głosem. Chyba trochę wytrzeszczyłem oczy. – Mogę ryzykować, moje dziecko. Ale chyba wiesz, że ciebie bym nigdy nie wpakowała w studnię bez wyjścia. Wiesz, prawda?

Nie byłem jej dzieckiem, więc nie mogłem wiedzieć. Ale nie miało to znaczenia.

Owinałem latarkę w foliowy worek, posłałem Milowi krzywy uśmiech i zanurkowałem w syfonie.

Okazał się szerszy, niż myślałem, i gdyby nie fakt, że metr pod taflą wody skręcał

ostro w górę, poruszanie się byłoby faktycznie łatwe – pomijając aspekt psychologiczny.

Jovanka przetařła szlak, więc jakoś nie wpadłem w panikę – ale tylko dlatego. No i może jeszcze z powodu węższych bioder. Wynurzyłem się z zapasem powietrza w płucach.

Było mi zimno, ale musiałem zafundować sobie krótką przerwę. Dopiero potem odpakowałem latarkę.

Pół metra nade mną syfon ulegał spłaszczeniu do przekroju typu „szczerbata szczęka”. Zapłakałem w duchu na myśl o solidnym, polowym mundurze, którego nie miałem, i zacząłem przeciskać się na drugą stronę. Po raz pierwszy, odkąd zesłiśmy pod ziemię, było to dosłowne przeciskanie się, pełne wydechów, rozpaczliwych skrętów i bólu dartego naskórka. Z koszulki, która już przedtem ucierpiała, zostały symboliczne strzępy, no i pierwszy raz w życiu wydepilowałem sobie lewą pachę.

Ale warto było. To znaczy – z pewnego punktu widzenia.

Pierwsza pojawiła się Jovanka, ale zanim precisnęła górną połowę swych krągłych wdzięków przez najeżoną kamiennymi zębiskami paszczę, woda w dole zagotowała się ponownie i między kolanami dziewczyny ukazała się głowa Mila. Może coś wyczuł. Ona nie spodziewała się chyba niczego. Położyłem latarkę tak, by świeciła w inną stronę, ale dziewczyna dość szybko się zorientowała, że nie jesteśmy sami. Po tej stronie szczęki korytarz był obszerniejszy, lecz spojrzenie automatycznie

biegło w jednym, z góry określonym kierunku. Pomagałem Jovance przewlec ciało przez szczelinę, więc natychmiast wyczułem jej zeszywnienie. Delikatnie ją odsunąłem, by nie blokowała Mila. Wyjąłem zapalniczkę z fiolki po lekach.

– Szybko, jeśli można – zaczął Milo. – Ustasz jest...

Nie dowiedziałem się, jaki jest Ustasz. Za wcześnie dostrzegł szkielet. Trudno było go nie spostrzec. Coś, co objadało tu trupy, wykonało kawał solidnej roboty, ale tego, co pozostało, było mimo wszystko dużo. Sklepienie czaszki sąsiadowało ze ścianką niecki, do której wpadał potok. W mule, jak zabetonowany, tkwił koniec warkocza. Trup był

kiedyś kobietą, i to raczej młodą. Nie to jednak robiło największe wrażenie, lecz sposób, w jaki dziewczyna umarła.

– Półcałówka – orzekł Milo po wyjątkowo długiej chwili powszechnego milczenia. –

No cóż, przynajmniej nie bolało.

Przyznałem mu rację. Dobrze ulokowany pocisk kalibru 12,7 mm wystrzelony z wojskowego karabinu dokonuje takich spustoszeń, że czynności życiowe ustają błyskawicznie. A ten ulokowano lepiej niż dobrze: w samym środku głowy. Po wszystkim zaciśnięte na lufie dłonie nie wypuściły karabinu i koniec stalowej rury nadal tkwił tam, gdzie na początku, czyli w szeroko otwartych ustach dziewczyny.

– Sama... – Jovanka przełknęła ślinę. – Sama to zrobiła?

– Zdjęła but – wskazałem gumowiec – i skarpetę.

Zaparty o kamienie karabin – chyba amerykański mcmilan – kopnął potężnie i palec lewej stopy dziewczyny wypadł z pętli osłony spustu. Układ wypełnionych kośćmi nogawek złachmanionych spodni wskazywał, że przed śmiercią dziewczyna oplatała kończynami karabin jak dającego jej rozkosz kochanka. Może dlatego, że tak to właśnie należało robić, chcąc być pewnym rezultatu, a może dlatego, że to niemal półtorametrowe paskudztwo faktycznie podarowało jej najśłodszą z doznanych w krótkim życiu rozkoszy: odejścia w wolny od bólu niebyt.

Na niskiej półce skalnej stały ogarki czterech świec. Wyjąłem osadzoną wyżej pochodnię i, ku własnemu zdziwieniu, bez większego problemu zapaliłem.

– Chodźmy – rzuciłem szorstko. – Ustasz się tam na śmierć zapiszczy.

– Tak po prostu? – Jovanka nie poruszyła się, wpatrzona w szczątki samobójczyni. –

Nie obchodzi cię, co tu się stało?

– Obchodzi. I dlatego musimy iść dalej. Ona umarła, bo nie mogła albo nie miała odwagi nurkować w syfonie. Pytanie, dlaczego musiała to robić.

– Nie mogła – zawyrokował Milo. Jak na gliniarza przystało, przykucnął nad zwłokami i już po paru sekundach wypatrzył to, co najważniejsze. – Była ranna. – Uniósł

dolny brzeg swetra i zademonstrował resztki opatrunku. – Brzuch. Paskudna śmierć. I tak długo się trzymała – zerknął na kałuże stopionego wosku. – Póki światła starczyło.

Możesz dać latarkę? Są rude, prawda? – Dotknął warkocza. – Nie dam głowy, ale to może być Savka Nedelkowska. Nasza sanitariuszka. Zaginęła, gdy miała dwadzieścia pięć lat. Rok przed rozejmem. Poszła po rannego i nikt jej więcej nie widział.

Podniósł leżącą obok świec torbę. Była nieduża, wojskowa. Wewnątrz dostrzegłem parę naboii do mcmilana, jakieś skarpety, podkoszulek, rdzawą blachę konserwy. Kiedy Milo wstawał, o podłogę stuknęła mała olejarka.

– Walczyła po waszej stronie? – upewniłem się. Skinął głową. – I raczej nie przeszła na drugą?

– Studiowała – powiedział trochę nie na temat. – Była inteligentna, silna i samodzielna.

– To tak jak ty – uśmiechnąłem się do Jovanki. – Musisz być Serbką. No, chodźcie.

Ta biedaczka na pewno nie była ojcem Oli.

Dalej było lepiej: nie tylko wysoko, ale i szerzej. Przebrnęliśmy sięgające kolan rozlewisko i po wyłożonych deskami schodkach wspięliśmy się dwa metry wyżej. Musiał

to być odpowiednik wodopoju, czego dowodził drewniany pomost pod stopami i kilka plastikowych wiader, walających się dookoła. Potem ciąg jaskiń się rozwidłał po raz pierwszy. Po lewej widać było spory magazyn: wysokie sterty okrytych brezentem przedmiotów różnego kształtu i wielkości. Suche w tej chwili błoto, oblepiające narzuty, dowodziło, że podwładni Sułtana wiedzieli, co robią, dublując kilkudziesięciometrowy, na pozór supersolidny strop. Jak wiele jugosłowiańskich gór, Pecinac przeciekał niczym dobre sito.

Po prawej znajdowała się sypialnia żołnierska. Jak na jaskiniowe warunki – niemal luksusowa, choć teraz oczywiście zdewastowana przez czas, kurz i wilgoć. Łóżka, eleganckie szafy, przerobione na stojaki na broń, dwa wielkie telewizory, piramida odtwarzaczy i magnetowidów, kolumny, wieża stereo, chyba ze trzy metry bieżące kaset z filmami i drugie tyle nagrań muzycznych, książki, kolorowe magazyny, trzy komputery... Jak na dwudziestoparosoobowy pluton, który tu kwaterował, miejsca i sprzętów było naprawdę dużo.

– Zajrzyjmy pod te plandeki – zasugerował Milo. Oczekiwałem widoku skrzyń z amunicją, miałem więc dość głupią minę, kiedy spod folii zalśniła ekranami cała bateria monitorów komputerowych. Bliźniaczy wygląd urządzeń podpowiedział mi, że trafiły tu prosto ze sklepu. Sondowaliśmy w paru innych miejscach i niemal wszędzie znajdowaliśmy przedmioty używane, które z gromadką monitorów łączyło jedno: w swoim czasie sporo nabywców kosztowały. Meble, telewizory, sprzęt nagłaśniający, ubrania – wszystko pierwszego gatunku.

– Czytali książki – usłyszałem stłumiony głos Jovanki. Stała przy regale z opasłym tomem w ręku.

– W skórze – wzruszył ramionami Milo. – Tylko te drogie.

Rozejrzałem się, szybko licząc w pamięci.

– To chyba nie z ich ewakuowanych domów? – zapytałem bez przekonania.

– Wojna żywi wojujących – stwierdził z filozoficznym spokojem.

– Żeby tyle zebrać, trzeba złupić parę bogatych wsi – pokusiłem się o ocenę. – To znaczy... jak na polskie realia. Nie wiem, jacy bogaci wy byliście przed wojną.

– Nie aż tak. Brali, co najdroższe, ale tyle nie dało się pozbierać w kilkunastu wioskach. To cała hurtownia. Nic dziwnego, że tak bronili tej góry.

– Ilu ich tu w przybliżeniu było, Milo?

– Niewielu – powiedział z dobrze ukrywaną goryczą. – Nigdy powyżej setki. Ale mieli dużo kaemów, moździerze i chyba nieograniczone zapasy wojenne. A dla naszych to był trzeciorzędny odcinek frontu. No i nie dało się ugryźć. Gdyby aktywniej kontratakowali, zależni naszym za skórę... Ale Sułtan to cwaniak: wiedział, jak grać, żeby nie narobić sobie wrogów i przeżyć.

– Miał po co – rozejrzałem się. – Dla kompanii wojska starczyłoby tego do emerytury.

Nie wiem dlaczego, nasze spojrzenia spotkały się na Jovance.

– Myślałam... myślałam, że przynajmniej robiliście to z przekonania – powiedziała cicho. – A nie... – Machnęła bezradnie ręką i wyszła na korytarz. Skwitowałem ruchem ramion zdziwione spojrzenie Mila i poszedłem za nią. Mieliśmy jedną pochodnię i siłą rzeczy trzymaliśmy się razem.

Dotarła do pierwszych gładów zawału, nim dogoniło ją porządne światło. We wnęce, dość głębokiej, by dwóch stojących ludzi mogło uniknąć latających korytarzem pocisków, piętrzył się stos ludzkich kości. Czaszki były jedynie dwie, ale kobiety umarły tak, jak walczyły, wciśnięte w niszę, i ich szkielety przemieszały się ze sobą.

Nie umiałem odróżnić płci, oglądając ludzki szkielet, w tym wypadku jednak trudno było o wątpliwości. Ta, które otrzymała postrzał w głowę i zginęła pierwsza, miała na sobie dziwny zestaw damskich pantofelków, wojskowych spodni i koronkowego stanika.

Druga, umierająca z pogruchotanymi żebrami na zwłokach koleżanki, przybiegła tu w samej spódnicy. Miały jeden samopowtarzalny dziesięciostrzałowy karabinek M59/66, będący jugosłowiańską wersją radzieckiego simonowa.

Jovanka stała między podwójnym grobem i przegradzającą tunel stertą gładów, wielkooka, sztywna z wrażenia i blada.

– Ostro strzelali – powiedział cicho Milo, muskając dłonią któryś z wyłobionych w ścianie

kraterów po pocisku. Podszedłem do osuwiska, trąciłem nogą zakleszczony między głazami kształt.

– Jeszcze jeden. To mi wygląda na but. W środku pewnie jest noga.

Przez jakiś czas było tak cicho, że słyszałem pełzający po pochodni płomień.

– Krótka, gwałtowna walka. – Milo znów wszedł w skórę policjanta. Klęcząc przy niszy, zajrzał do ładownic, potem magazynka karabinu. – Nawet nie zaczęły dobrze strzelać. Raptem siedem łusek. Potem strop się zawalił.

Uniosłem pochodnię i obejrzałem sklepienie. Było spękane, ale nie wyglądało gorzej niż fragmenty, które mijaliśmy na kilkusetmetrowym krecim szlaku.

– Myślisz, że to od huku wystrzałów?

Nie odpowiedział, patrząc w zamyśleniu w głąb korytarza. Podszedłem bliżej ze światłem i dopiero teraz zauważyłem, że na zakręcie, tuż przy podłodze, czerni się niska szczelina w kształcie soczewki. Obok stały jakieś skrzynie – pewnie dlatego minęliśmy ją obojętnie. Miła jednak nie interesował otwór.

– Widzicie te śmieci? – Kopnął kamień, potem odłupany fragment belki. – Tam na końcu jest ich za dużo jak na zwykły... – zabrakło mu słowa – no, upadek sufitu. To eksplozja. Coś wybuchło, tunel diabli wzięli, a tu aż latały kamienie.

– Tam – wskazałem zawał – musiało być rozgałęzienie i inne pomieszczenia. Po tej stronie widzieliśmy wszystko, a w zewnętrznej jaskini nikt raczej nie mieszkał. Zresztą nie wiemy, czy to ten sam zawał. Możemy być dziesiątki metrów od wyjścia.

– No i? – mruknął Milo.

– Mówię tylko, że to, co najważniejsze, jest chyba niedostępne. Jeśli wybuchła amunicja, to tam wszystko runęło.

– Tam tak – zgodził się, odsuwając mnie delikatnie od otworu. – Pozostaje to tutaj i możemy wracać.

Milo przejął pochodnię i wczułgał się pierwszy. Rozmiary wejścia sugerowały, że pomieszczenie będzie ciasne – ale nie było. Swobodnie zmieściłyby się tutaj dwa liczne plutony albo kolejny milion marek w meblach, odzieży i elektronice. Tymczasem całość wyposażenia stanowiły sienniki i łóżka. Te ostatnie wprawdzie duże, lecz mało rasowe, wykonane z desek i dostosowane do raczej niepowtarzalnego kształtu wnęk. Jedyne porządne było teraz w marnym stanie, jako że ktoś powyrywał podtrzymujące baldachim słupki i użył ich w charakterze maczug. Nie miałem pewności w tej kwestii, ale aż trzy komplety ludzkich kości leżały tuż przy parze takich pięknie toczonych beleczek, a szkielet żołnierza w partyzanckim umundurowaniu spoczywał z paskudnie zmiażdżonym frontem czaszki.

– Nie spodziewał się – przerwał milczenie Milo. – Potężny cios, mocny zamach.

W walce tak się nie da.

Trup leżał tuż przy wejściu. W duchu przyznałem rację policjantowi. Facet zerknął

zza ściany, zobaczył kawał pustej podłogi, przelazł na czworakach przez soczewkowaty otwór, zdążył wstać – i wtedy go dopadły. One – bo to były kobiety.

Przy ścianie po prawej ciągnął się szereg sienników ułożonych ciasno jeden przy drugim. Dzięki stłoczeniu strażnicy mogli ogarnąć wzrokiem komplet podopiecznych, nie przekraczając progu jaskini. Wystarczyły też tylko dwie obejmy: po jednej na każdy koniec grubej liny, zawieszanej nad posłaniami. Lina stanowiła kręgosłup systemu bezpieczeństwa i perswazji, na który składały się ponadto zamocowane do niej krótsze linki z pętlami na szyję oraz pseudokajdany z drewnianych drążków i drucianych obręczy na nadgarstki, względnie kostki nóg.

Kobiet jeńców – licząc z rudowłosą przy syfonie i tymi dwiema w korytarzu –

uzbierano jedenaście. Z więzów uwolniło się sześć. Milo obszedł pomieszczenie i pozapalał wszystkie osadzone w szczelinach smolne szczapy, więc nie brakowało nam światła i mogliśmy przyjrzeć się szczegółom.

– Przecięte. – Dziwnie opanowana Jovanka uniosła jeden z długich na pół metra drążków z plecionkami izolowanego kabla na końcach. – Chyba powoli, pilnikiem albo czymś takim.

– Pilnikiem? – skrzywiłem się sceptycznie.

– Musiały mieć dostęp do nożyczek i pilników – powiedziała spokojnie, oglądając małe kłódki spinające druciane pętle. – Towar powinien ładnie wyglądać. Widzisz tę wannę? Myślisz, że do czego służyła?

Słowo „wanna” było nieco na wyrost. Plastikowe naczynie wyprodukowano raczej z myślą o kąpaniu niemowląt. Obok leżał worek. Wysypałem zawartość i pokiwałem głową na znak, że zgadzam się z Jovanką. Elegancka dama znalazłaby tu chyba wszystko, co oferują drogerie i sklepy z luksusową bielizną. Grzebienie, szczotki, pędzelki, flakony, pudełeczka, tuby, aerozole, ofoliowane, nietknięte figi i staniki...

Chłopcy Sułtana postarali się nawet o farby do włosów. No i zabezpieczenia. Było tego tyle, co dla wyposażonego batalionu.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała nadal idealnie beznamiętna dziewczyna. –

Dlaczego prawie nie ma ubrań? Tu chyba nigdy nie było ciepło.

– Są koce – zauważył Milo. Podeszedł do rzędu materacy, odsłonił jeden i zaklął pod nosem. Przez chwilę miałem wrażenie, że chce czym prędzej zakryć leżący na wznak szkielet.

– To już druga – wskazałem pierwszą. Jovanka posłała mi martwe spojrzenie. – Ale tam to był jakiś wczesny miesiąc. Ta biedaczka chyba lada dzień miała rodzić.

W szkielecie kobiety kulił się drugi: maleńki, wielkogłowy. Całe posłanie i spora część kości leżących tu nieszczęśniczek nosiły ślady kul, a pod narożnikiem ciągu sienników eksplodował granat. Milo sprawdził trzy pozostałe uwięzione. Jednej koleżanki zdążyły oswobodzić ręce. Musiała czymś zawinić, bo jako jedyna nie leżała, a siedziała wyprostowana sztywno, z szubieniczną pętlą na szyi. Ona jedna też miała ubranie: tułów okrywała bluza od dresu.

– Ktoś nie chciał, żeby się przeziębila – powiedziałem trochę wbrew sobie.

– To oczywiste – stwierdził chłodno Milo. – Pod koniec dziewczyny zrobiły się deficytowe. Nie mogłem zdobyć góry, ale i oni nie bardzo mogli robić wypad. Pomijając tego gnoja.

Nie zrozumiałem końcówki. Trochę rozkojarzył mnie widok dwóch następnych szkielecików, przemieszanych z kośćmi kobiet. Wszystkie były w zaawansowanej ciąży, co tłumaczyło kolejność uwalniania z więzów. Najpierw te sprawne, mogące walczyć.

Potem reszta. Taką przynajmniej miałem nadzieję: że w planach były i one.

– Nie precyzyjowałyby się z tymi brzuchami. – Myśli Jovanki podążały tym samym tropem co moje.

Myśli Mila już nie. Kompletnie mnie zaskoczył suchy trzask z boku i syjące się pod nogi okruchy kości. Nieco szerszymi oczami patrzyliśmy, jak odkłada wyrwany z łóżka słupek i kopniakiem posyła w kąt połówkę rozłupanej czaszki.

– Obiecałem to paru osobom – wyjaśnił z wyzywającą miną. – Że rozwalę mu łeb.

Szkielet, ubrany po żołniersku od pasa w dół, był duży i niewątpliwie męski. Bardzo męskie w wymowie były też oba wypuszczone z rąk rekwizyty: bagnet i nienapoczęty pakiecik z prezerwatywą. Z męską brutalnością kojarzyły się także zwinięte w kłębek zwłoki długowłosej kobiety. Spięte kajdanami i wepchnięte pod szczękę ręce nadal zdawały się obejmować nieistniejące gardło. Dziwnie luksusowa w tym surowym wnętrzu biała pościel nie była już oczywiście biała, lecz plamy krwi nadal odcinały się od znacznie jaśniejszego tła.

– Ciachnął ją po szyi. – Milo schylił się, wyjął coś niedużego z rozwalonej przed chwilą czaszki. – Wyskoczył z łóżka i dostał tym w oko. Pewnie od pierwszej, która się uwolniła. Musiał coś usłyszeć, a dziewczyny za wcześnie zaczęły. Był w spodniach, czyli jeszcze nie... Ale może to przez tego drugiego – wskazał gromadkę szkieletów przy wejściu. – Jeśli zjawił się nie w porę, musiały atakować natychmiast.

– Nie – powiedziała wciąż beznamiętna Jovanka. – Tych słupków nie dało się wyłamać po cichu. Nawet gdyby się pieprzył, nie przegapiłby czegoś takiego. Moim zdaniem wlaź w tę niszę, by zrobić swoje, a jedna z pozostawionych dziewczyn jakoś się uwolniła i próbowała go zaskoczyć. Zorientował się, ciął nożem tę pod sobą, wyskoczył

z niszy i dostał w oko... – zrobiła przerwę, by zajrzeć w dłoń Mila – ...tym?

W końcu coś zadrżało w trzymanym na wodzy głosie. Przy bagnecie niklowany zestaw do pielęgnacji paznokci wyglądał jak narzędzie krasnoludka.

– Musiała mieć mnóstwo szczęścia – mruknąłem.

– Dużo – zgodził się Milo. – Załatwiła Rzeźnika.

Dopiero teraz rozjaśniło mi się w głowie.

– Myślisz...?

Sięgnął do znalezionej przy rudowłosej torby. Patrzyłem, jak grzebie wśród skarpet i naboji, a potem wyciąga notes w twardych okładkach. Przerzucił parę stron. Były wypełnione koślawym pismem i nieco lepszymi szkicami.

– Sektory ognia, odległości, poprawki na wiatr... – Zatrzymał palec w miejscu, gdzie inny, bardzo brudny pozostawił wyraźny odcisk. – Same skróty, ale załóżę się, że zapisywał tu każdą przechodzącą pod Glawą grupę. I tych, których zabił. – Zatrzasnął

notes. – Widzieliście ten karabin obok Savki? Trzy sztuki broni, trzy męskie trupy.

Wychodzi na to, że należał do tego tutaj.

To trzymało się kupy. Facet zatłuczony w progu jako jedyny nie miał pasa ani broni, co pasowało do dwójki kobiecych zwłok przy zawale. Pas amatora seksu wisiał na brzegu łóżka, za cały balast mając pustą pochwę od bagnetu. Muzułmanina numer trzy odsunięto brutalnie w kąt, nie zadając sobie fatygi wyplątania jego ramienia z pętli karabinowego pasa, i leżeli tam nadal: on oraz jego przełączony na ogień ciągly kałasznikow.

– Półcalówka. – Milo próbował użyć śliny w roli wskaźnika, ale nie trafił

w rozszarpaną komorę zamkową, z której sterczał koniec sprężyny. – Duży facet, potem sporo metalu, a pocisk... – rozejrzał się i wskazał ścianę nad posłaniem – ...tam. Kula kalibru 7,62 nie dałaby rady tak się przebić. – Obrócił się, ocenił kąty. – Było tak: wrzucił

granat, wpadł tu, wywalił cały magazynek do wszystkiego, co się jeszcze trochę ruszało, podszedł tutaj i dostał w plecy z półcalówki. Stamtąd.

Wskazywał łóżko, przy którym zginął Rzeźnik.

– Jakim cudem? – zapytałem. – To dokładnie na wprost wejścia.

Jovanka ominęła szerokim łukiem szkielet nożownika i nagle znikła. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że nisze były trzy. Tę trzecią też było widać z wejścia, ale nie dało się chyba zajrzeć daleko w głąb. Nie zdziwiłem się, widząc dziewczynę wracającą z wielką łuską w dłoni.

– No to wszystko jasne – mruknął Milo. – Załatwiła Rzeźnika, a dwie dziewczyny z pałkami drugiego. Potem nagle pojawił się trzeci, z granatem i automatem. Nie wiem, czy te z korytarza jeszcze tu były. W każdym razie ta z półcalówką zdążyła odskoczyć.

Odczekała, a kiedy wbiegł i się wystrzelał, wsadziła mu kulę. Potem odsunęła trupa i patrzyła, czy ktoś żyje. Albo pobiegła walczyć, a potem wróciła.

Nie zapytałem, skąd taki wniosek. Właściciel kałasznikowa nie leżał wprawdzie tam, gdzie zginął, ale po tym, co narobił – siedem trupów, płodów nie licząc – jego zabójczyni miała prawo dopaść trupa i porządnie sflekować. Może nawet to zrobiła, ale nie tylko tym się zajęła. Kobiety na posłaniu, spętane, i te dwie przy wejściu, uzbrojone w maczugi, zginęły od razu. Ale była jeszcze siódma, i ta przeżyła. Ktoś zawłókł ją na łóżko, opatrzył, drąc w tym celu prześcieradła, i ułożył najwygodniej, jak się dało.

Zrobił też coś jeszcze. Odkryłem to, kiedy podszedłem do wysokiego obramowania dźwigającej materace platformy. Po wewnętrznej stronie, kilkanaście centymetrów od okrytych kołdrą stóp martwej dziewczyny, ktoś nasmarował umoczoną we krwi palcem wielkie, krzywe kulfony.

– „Wytrzymaj” – odczytał Milo. – „Wrócimy. Suka”.

– Suka? – rzuciłem niepewne spojrzenie Jovance. – Czy w waszym języku to nie jest...?

– Jest – nie dała mi dokończyć. – Jak w waszym. – Kapała z nas woda, a w jaskini nie było ciepło, ale dopiero teraz otuliła się ramionami. – Chodźmy stąd. Proszę.

Na chwilę chyba zasnąłem. Obudziło mnie ciche, jakby nieśmiałe pytanie Jovanki.

Uniosłem się na łokciu i zauważyłem, że Milo, kryjąc uśmiech pod wąsem, grzebie w znalezionej przy zwłokach Savki torbie.

– Co? – Usiadłem.

– Pstro – mruknęła, wyciągając dłoń i biorąc od policjanta znaleziony między skarpetami i amunicją kłębek nici. – Podarłam ci koszulę na tych kamieniach.

Gruba flanela nie ucierpiała nawet w połowie tak jak mój bawełniany podkoszulek, ale guziki straciła chyba wszystkie. Patrzyłem przez chwilę, jak wyjątkowo nieestetycznie, lecz błyskawicznie zszywa lewą stronę koszuli z prawą. Właśnie wtedy moje palce, rozwijające w roztargnieniu zrolowane skarpety, natrafiły na wypełnione czymś miękkim zgrubienie. Najwyraźniej nie chciało się przemieszczać, tkwiąc uparcie w zarezerwowanym dla palców miejscu. Ocieplacze? Bo i w drugiej skarpecie też...

– Dokąd? – Jovanka powiedziała coś wcześniej, ale zrozumiałem dopiero Mila. Zajął się celownikiem optycznym karabinu Rzeźnika, odkręcając, czort wie po co, soczewkę.

– Jeszcze raz do tej drugiej jaskini. Może... coś przeoczyliśmy.

A może czegoś jej nie pokazałem. Była w tej chwili najbardziej zagubioną istotą, z jaką przyszło mi się zetknąć. Po raz pierwszy wyglądała tak, jak ludzie wyobrażają sobie ofiary amnezji.

– To nie jest dobry...

– Ja pójdę. – Milo podniósł się, klepnął udo, wskazując Ustaszowi miejsce w szyku.

– Popilnuj tego złomu – trącił butem ustawioną na podnóżku półcalówkę.

– Złomu?

– Celownik rozwalony – podrzucił w dłoni soczewkę. – A bez niego... Chodźmy, pani Bigosiak. Po śladach i cicho.

Przebijające się przez listowie promienie słoneczne ocierały się o rozdęte bandażami kolana Jovanki i wpadały prosto w moje źrenice. Było późno, bardzo późno: w dolinach ludzie już dawno pozapalali pierwsze światła. Zakląłem w duchu, przewiesiłem G3 przez plecy, podniosłem dwukrotnie cięższego mcmilana i powlokłem się za nimi.

Nie dotarliśmy do jaskini. Jovanka w ostatniej chwili skręciła ku ruinom budynku.

Zanim zaprotestowałem, minęła dziecięcy wózek i wkroczyła między zwały pokruszonych cegieł. Dogoniłem całą trójkę w samą porę: dziewczyna wypatrzyła właśnie schodki do piwnicy i zaczęła się przymierzać do szarpaniny z blaszanymi drzwiami.

– Uciekaj stamtąd – warknąłem. Odstawiłem karabin i uważnie przyjrzałem się drzwiom. Od zawsze zamykano jena kłódkę, ale że nic nie pada ofiarą wojny tak łatwo jak kłódki, spokoju piwniczki strzegła teraz jedynie symboliczna pętla z drutu.

Wdrapałem się po zalegającym stopnie gruzowisku. Okrążyłem stertę cegieł

i przykucnąłem nad okienkiem w tylnej ścianie. Było zabezpieczone kratą i dyktą.

– Jeśli tamtędy nie da rady – zaczął Milo – to lepiej dajmy sobie...

Umilkł, kiedy wyszarpnąłem kratę z muru. Dykty nie musiałem wyrywać, wystarczyło lekkie pchnięcie. Zlazłem na dół i podszedłem do drzwi.

– Koniec skobla – trąciłem płaskownik z dospawaną poprzeczką i nasadzoną sprężyną. – Zwolnij nieumiejętnie z tamtej strony, a odskoczy i trzaśnie tutaj. –

Wetknąłem palec między zaostrowany gwóźdź a sporą artyleryjską spłonkę, osadzoną w kostce trotylu. – Robi bum, idzie... – rozejrzałem się – ...do tych skrzyń i mamy drugie bum, już bardzo dużą literą.

– Gaz i coś w płynie – powiedział Milo, opuszczając wieko jednej z nich.

– Tanie, legalne i bardzo skuteczne – zerknąłem na Jovankę. – To by nawet pasowało.

Sprężyna też jakby od tapczanu.

Nacisnąłem kontakt i rozejrzałem się. Pomijając okno, lokator piwnicy miał tu wszystko, czego dusza zapagnie. Na wprost drzwi stały telewizor z magnetowidem, dwa radia i spora biblioteczka. Meble były lekkie, łatwe do przenoszenia w kawałkach.

Kabina natryskowa też nie trafiła tu w całości.

– Przyniósł wszystko na plecach – oceniłem. – Facet ceni domową atmosferę.

Milo podszedł do małego generatora, obejrzał akumulatory, zasilające włączoną przeze mnie żarówkę, pompę i mnóstwo innych użytecznych drobiazgów na prąd.

– Nie chce się wierzyć – pokręcił głową.

– A jednak. – Pochyliłem się nad ni to biurkiem, ni stołem. Obok lutownic i narzędzi leżały tu sterty schematów, jakieś mapy i pół metra książek. – Fabryka min w miniaturze.

„Zastava Pecinac”. On to chyba musi lubić.

Gospodarz pracował właśnie nad serią zapalników na bazie ołówków automatycznych. Zerknąłem na schemat, sprawdziłem, że spłonek nie ma na miejscu, i puknąłem w jeden na próbę. Ołówek zadrżał mi w dłoni.

– Nie rozumiem – Milo rozglądał się z niemal urażoną miną. – Po co to wszystko?

– A co tu jest do rozumienia? – wzruszyłem ramionami. – Wojna się skończyła, ludzie chcą normalnie żyć i pracować. Nasz przyjaciel konserwuje pola minowe. To duża góra, więc ma roboty po uszy. Dzień po dniu, przez całe lata. Nie wiem, ile mu płacą, ale nawet jeśli dużo, to nie wytrzymałby tak długo w wojskowym bunkrze.

– Myślisz, że mieszka tu cały czas? – Przerzucił się z siłowni na szafki i szuflady.

– To w jaskini kwalifikuje się na zbrodnię wojenną. A każde dziecko wie, kto trzymał

w garści Pecinac.

– Sądziś, że to robota Mehcia? – Jovanka podeszła do biurka i bez przekonania zaczęła przekładać papiery.

– Jest winny jak cholera, ale nie w tym rzecz. Gorzej, że wysoko mierzy.

– Nie nadążam...

– Jeżeli wie o przejściu wzdłuż strumienia – powiedziałem cicho, by złagodzić cynizm słów – to nie ma problemu z dziewczynami. Parę worków na kości – i po herbacie. Nie ma ciała, nie było zbrodni.

Jovanka w roztargnieniu podniosła następny papier. Spod spodu wyjrzała ofoliowana kartka. Brakowało na niej nazwisk, nawet niektóre inicjały zastąpiono jakimiś znaczkami w typie mieczyków

czy koron, ale ciągi cyfr nie budziły cienia wątpliwości.

– Jeśli świat dowie się o tych jaskiniach – uśmiechnął się drapieżnie Milo – Sułtan będzie załatwiony. Tyle lat... – westchnął. – Dupa jestem, nie policjant.

W duchu przyznałem mu rację, jednak nie z powodu wieloletniej ślepoty na pozornie oczywiste fakty – to on powinien spostrzec nagłą bladość Jovanki. To jemu sfrunął pod nogi spis telefonów i to on go podawał. Inna sprawa, że mnie – pierwszy wyciągnąłem rękę.

– Podsumujmy – powiedziałem szybko. – Góra jest po serbskiej stronie i blisko linii rozgraniczenia, więc Muzułmanie mają podwójnie utrudnione życie. Nie ma szans, by wydobyć i wywieźć łupy. Jeśli nie zna się drogi wzdłuż strumienia, to samo dotyczy ciał.

– To może być coś więcej – mruknął Milo. – W jaskini znaleźliśmy burdel, ale oni brali do niewoli i mężczyzn. Pod koniec wojny wszyscy wiedzieli, że NATO będzie polować na przestępców wojennych. Nic prostszego, jak znieść szczątki do najgłębszej jaskini i wysadzić wejście.

– Tam jest ktoś jeszcze? – zapytała Jovanka udręczonym głosem.

– Nie wiem. Widzieliście te trzy szkielety na dole? – Pytał dla formalności, bo Pecinac zasłynął w okolicy między innymi dzięki nim. – Tuż przed zawieszeniem broni Sułtan zorganizował kontratak tylko po to, by je stamtąd usunąć. Powiesili je tak, żebyśmy widzieli – uśmiechnął się nieładnie – ale każdy kij ma i drugi koniec.

Rozwaliliśmy co najmniej czterech, my i ich własne miny, a kości jak leżały, tak leżą.

– Czyli powinniśmy się stąd zabierać.

– Co? – Pytała Jovanka, ale moją konkluzją zdziwieni byli oboje.

– Pomyśl: całe lata utrzymywali tu posterunek, przemycali materiały do produkcji min. To kosztuje. Niby mają tu sporo cennego towaru, ale po pierwsze mocno się zdekapitalizował, a po drugie nie wygląda na to, by ktoś go wynosił. Dokładają do interesu.

– No i?

– Jedyna recepta na spokojną starość to raz na zawsze odciąć drogę w głąb jaskiń.

Tyle że to musi być faktycznie raz, a dobrze. Pierwszy wybuch ściągnie tu masę ciekawskich. Jeśli znajdą skromne osypisko, mogą zacząć kopać. Więc jedna akcja. –

Odczekałem chwilę. – Dzisiaj.

– Skąd wiesz?

– Wojsko do nich strzelało, a jednak poszli dalej. Potem sami strzelali, chociaż to rozwiewało wszelkie wątpliwości tych na dole. No i te wypchane plecaki...

– Chcesz powiedzieć, że postawili wszystko na jedną kartę? – domyśliła się w końcu.

– I przyjdą tu, bo nie mają innego wyjścia?

– Mądra...

Nie dokończyłem. Pochwała należała się i Ustaszowi. Kudłacz miał dość oleju we łbie, by składać meldunki dyskretnym powarkiwaniem. Błyskawicznie znaleźliśmy się na strategicznych pozycjach: ja przy drzwiach, tamci dwoje przy oknie. Jovanka na tym nie poprzestała: nim się obejrzelśmy, była na zewnątrz.

– Wyłaźcie! – usłyszałem wydany szeptem okrzyk. – Idą tu! Jeden facet. Chyba idzie do drzwi. To ten... ten nasz.

Poświęciłem kilkanaście sekund na drobny zabieg przy drzwiach. Czysty odruch.

Równie cwany, co głupi. Ale to zrozumiałem dopiero na zewnątrz. Plecak. Jeśli ma go na ramionach... Rany boskie...

Milo, przyklejony plecami do piwnicznej ściany, mierzył z karabinu w południowy narożnik. Jovanka wzięła na siebie północny. Nie dołączyłem do nich, ograniczając się do przewieszenia karabinu na szyję i odciągnięcia Ustasza jak najdalej od okna.

– Może wybuchnąć – wycharczałem. – Padnij.

Na szczęście zdążyłem. Zostali ostrzeżeni i może dzięki temu żaden z pocących się na spuście palców nie zareagował instynktownym zgięciem, gdy lokator piwnicy uchylił

drzwi, przemieniając całe podziemie w wulkan. Mały. Tapczaniarz nie miał plecaka.

Ściany okazały się solidne, czego dowiódł długi na kilkanaście metrów jęzor ognia, kurzu i dymu, którym rzygnęło okno. Podrzucony na pół metra w górę strop zapadł się błyskawicznie, a przez szczeliny między kawałkami muru buchnęło setką ognistych igieł.

Nikt z nas nie ucierpiał, ale już po chwili całe kałuże ognia zaczęły spadać nam z nieba na karki, i nogi poniosły wszystkich czworo jak najdalej od rozlewającego się błyskawicznie żaru.

Uratowało nas moje ostrzeżenie i fakt, że nikt nie wystrzelił. Dzięki temu wybiegliśmy z dymu i kurzu wprost przed szerokie z wrażenia oczy naszych przeciwników – ale nie przed gotowe do strzału lufy. Inna sprawa, że w grę wchodziła tylko jedna. Drugi z mężczyzn, jasnowłosey, zniknął akurat w jaskini i raczej nie zdążyłby postać nam celnej serii. Ten z tyłu mógł i w końcu postać, po uprzednim uwolnieniu dłoni, zajętych drugim plecakiem. Tym, który powinien nas zabić, gdybym przy swojej bezmyślności nie był zarazem takim cholernym fuksiarzem. Przeżyliśmy tylko dlatego, że w porę zwaliliśmy się między trawy i kamienie, pozwalając serii przejść górą. Dopiero leżąc, uświadomiłem sobie, że Milo raz jeszcze ocalił nasze głowy, wynajdując błyskawicznie jedyną w okolicy nieckę.

Muzułmanie natychmiast przykryli nas huraganowym ogniem. Milo i Jovanka próbowali odgryzać się przez sekundę czy dwie, ale zyskali tyle, że zmusili tamtych do strzelania z ukrycia. Ciemnowłosey, ten z kałasznikowem, opróżnił magazynek i zamilkł.

Kaem blondyna strzelał nadal. Co parę sekund rozlegały się ostre trzaski i niewidzialne grzebienie przeczesywały nam włosy. Martwe pole, w którym leżeliśmy, miało ze trzydzieści centymetrów wysokości i gdyby nie trawa, każde uniesienie głowy byłoby widoczne w przyrządach celowniczych jasnowłosego.

– Macie granaty? – Milo nie tyle pytał, co dawał znać, że jeszcze żyje.

– Jeden – powiedziała Jovanka.

– Daj – wyciągnął dłoń. – Przyszykujcie się. Rzucę, a jak wybuchnie, głowy do góry i ognia. Może zdołamy ich przydusić.

– Ilu ich było? – zapytałem, odsuwając mcmilana. Nie popisałem się, łapiąc go odruchowo i taszcząc aż tu pod ogniem. Na takim dystansie lepszy byłby nawet muszkiet

– przynajmniej osłoniłby nas chmurą dymu.

– Dwóch. I ten w piwnicy.

Leżeliśmy, a oni mierzyli w miejsca, z których miały wyrosnąć nasze popiersia. Nie wierzyłem, że się uda. Ułożyłem starannie każdą z kończyn, przemyślałem każdy ruch.

Pozostawało jedno.

– Jovanka... – Czyniła dokładnie te same przygotowania, więc nie od razu znalazła chwilę, by posłać mi pytające spojrzenie. – Cieszę się, że cię spotkałem.

Nie odezwała się. Nawet wyraz twarzy chyba się nie zmienił. Ale wiedziałem, miałem niemal pewność, że to kwestia nadmiaru adrenaliny. Zrozumiała i zapamiętała –

na zawsze.

Milo obrócił się na lewy bok i potężnym wymachem ramienia posłał granat na wschód, ku skalnej ścianie. Ostrzelaliśmy jaskinię z dwóch luf. Milo wysuwał trzecią, kiedy drugi, pełniący funkcję okna otwór zamigotał bladymi ognikami i ziemia zagotowała mi się przed twarzą. Dostałem piaskiem po oczach i czym prędzej schowałem głowę. Karabin Jovanki umilkł w tej samej chwili. Milo jeszcze próbował, ale musiał dać za wygraną, kiedy do automatu ciemnowłosego dołączył kaem.

– Kurrwa – wyplułem mieszankę piachu, śliny i złości. – Zdążył wejść.

Nie było komentarzy. Nikt nie pytał, co oznaczają dwaj przeciwnicy w dwóch różnych otworach skalnego bunkra.

– Mało ich – mruknął może po minucie Milo. – Przygwoździli nas, ale sami też nie...

W ciągu paru następnych minut obie strony próbowały szczęścia. Bez efektu. Co gorsza, mogąc w miarę bezpiecznie celować, tamci zużywali mniej amunicji. Ani się obejrzałem, jak zostałem z połową ostatniego magazynka.

– Dość – demonstracyjnie szcęknałem przełącznikiem, pozbawiając G3 możliwości wypluwania serii. – Bo nas wyjmą gołymi rękami.

– To nic nie da – zgodził się Milo.

– Więc co robimy? – zapytała nijakim głosem Jovanka.

– Poczekamy – mruknałem. – Na razie mamy pat.

Ziemia zadrżała pod naszymi brzuchami bez żadnego ostrzeżenia. Ten pierwszy rzut jasnowłosemu wyszedł znakomicie i wychylenie twarzy oznaczało niemal pewną utratę wzroku. Zaraz za niecką leżało mnóstwo żwiru i dobry tysiąc kamieni przemknął nam nad karkami, niesiony falą gorących gazów.

– Ładunki! – krzyknąłem z mieszaniną wściekłości i rozpacz. Poderwałem karabin i skompromitowałem się po raz drugi, wystrzelując bez sensu cztery pociski. Pierwszą, większą kompromitacją było wykreślenie z pamięci tego plecaka w jaskini. Nie, wróc –

tych plecaków. Mieli ich więcej. Nie musieli oddalać się ze stanowisk, wystarczyło sięgnąć ręką za plecy...

– Kocham cię.

Nie mogłem tego usłyszeć. Mówiła szeptem, w uszach mi dzwoniło, a zaraz potem rąbnęło ponownie, dalej, za to dwa razy. No i nie mogła przecież powiedzieć czegoś takiego. Nie do mnie.

Czwarty rzut zupełnie blondynowi nie wyszedł: Milo strzelił z podrzutu i ładunek został odrzucony w trakcie uskoku. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że nie był to ewidentny błąd miotacza. Musiał podpalić wszystkie lonty prawie jednocześnie i pod koniec brakło mu czasu. Nie mógł wiedzieć, że sekundę później jego kolega wreszcie trafi. Ja też nie wiedziałem, dopóki ciszy nie przerwała ni to klątwa, ni jęk. Obejrzałem się w prawo i zamiast twarzy Mila dostrzegłem parę przyciśniętych do niej dłoni. Po lewej szybko i dziarsko spływał strumyk krwi.

– Milo?! – Oderwałem się od karabinu i zacząłem pełznąć. Przewrócił się na plecy, zapominając, że wystawia zadarte ku górze łokcie. Mieliśmy w tle niebo i przepiękny zachód słońca, więc o bezkarnym podnoszeniu się nie było mowy, ale ręce to nie cała ludzka sylwetka. Zdażyłem je przygnieść, nim tamci dopatrzyli się czegoś podejrzanego.

– Pilnuję – dogonił mnie szept Jovanki. – Zajmij się nim.

– Nie mogę... – W jego głosie ból i lęk walczyły z żalem i wściekłością. – Kurwa, moje oczy...

Opadam. Nie mogę strzelać.

Wcisnąłem mu brudną chustkę do nosa – raczej symbol niż opatrunek – i odtoczyłem się na stare miejsce w środku szyku.

– Załatwią nas tą artylerią – rzuciłem w kierunku dziewczyny.

– To co: strzelamy? Idziemy na całość? – Nerwowy spacer jej języka po wyschniętej wardze informował, że tak jak ja zdaje sobie sprawę z karkołomności metody. Mieli za sobą mrok jaskini, my niebo. Mogli zmieniać pozycję. Dysponowali zapasem amunicji.

Oceniając ich szanse na dziesięciokrotnie większe, wykazywałem się nadmiernym optymizmem. Mimo wszystko omal nie kiwnąłem głową. Bo drugi wariant, na którym kończyła się moja lista pomysłów, był jednak bardziej przerażający.

– Jak by co... Ola leży w tarnowskim szpitalu. Nie jest z nią aż tak źle, ale mam tam znajomą lekarkę. Zgodziła się przetrzymać ją przez te parę dni. Powiedz, że ją... że mama...

– Możesz przyjąć, że to moja córka. – Powiedziałem to powoli, by zabrzmiało dobitnie i by uzmysłowiła sobie, z jak śmiertelną powagą traktuję każde słowo. – Mamy wspólne dziecko. Ale teraz nie wolno ci o niej myśleć. Potrzebuję twoich suchych oczu.

Oczywiście zwilgotniały. Na chwilę.

Mogliśmy mieć dużo szczęścia, ale szansa, że skończy się to miażdżącym wynikiem dwa do zera, była prawie żadna. Z rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że jeśli nawet załatwimy tamtych, zwycięstwem ucieszy się tylko jedno z nas. Sto godzin temu poszedłbym na taki układ. Teraz nie umiałem.

– Jovanka, tam, na Jeżynowej Górze... Widziałaś tego snajpera?

– Dlaczego...? – Nie dokończyła. Od dawna miała mnóstwo smutku w oczach, więc nie doszukałem się teraz wyraźnej zmiany. – No. Widziałam. Mówiłam ci: wzrok mam, że daj Boże.

– I wychodzi ci strzelanie. – Powiedziałem to najbardziej neutralnym z dostępnych tonów.

– Dam sobie radę – zapewniła, prostując na moment palce i jak gdyby głaszcząc łożo kałasznikowa. – Zresztą mój też ma tylko automat. To nie to co kaem.

Leżała po lewej. Odruchowo przyjęła, że blondas i karabin maszynowy przypadną mnie. Wyjątkowo słusznie i logicznie, ale też cholernie nie po kobiecemu.

– Nie chcę, żebyś do nich strzelała – powiedziałem, patrząc jej w oczy. – To moja działka. Osłonię cię. Zostawisz automat. Z moim i Mila to... – zawahałem się – ...to kilkanaście sekund gęstego ognia. Może uda mi się ich przydusić. Powinnaś zdążyć...

– Uciec? – dokończyła spokojnie i gorzko zarazem. – Mam cię zostawić i uciekać, tak? Wybierz to

sobie z tej durnej...

– Nie, nie, czekaj... Nie zrozumiałaś. Chcę, żebyś wzięła tę armatę – przyciągnąłem mcmilana – i podbiegła do dziecięcego wózka. – Trzy pociski przemknęły nad nami, ale była tak zdziwiona, że tylko lekko drgnęła. – Pamiętasz ten plecak? Wewnątrz jest pełno materiałów wybuchowych, ale to nam nic nie daje, bo od uderzenia kuli nie eksplodują.

Trzeba trafić w samą górę. Chyba go nie zamknąłem, ale i tak będzie słabo widać, a celownik optyczny diabli wzięli. Więc potrzeba dobrych oczu.

– Spłonki? – zgadła. – W tym pudełku? – Kiwnąłem głową. – Dlaczego nie kałach?

Serią...

– To bojowa wersja saperskiego plecaka. Kasetka jest opancerzona. Nie dam nawet głowy, czy cały impet nie pójdzie w górę, choćbyś trafiła.

Patrzyła na mnie jakiś czas, po czym nieznacznie przytaknęła.

– Ty osłaniasz, ja... – przez chwilę biedziła się nad doborem słów, ale za to dodała do nich bladziutki uśmiech – załatwiam facetów?

– Uda się – powiedziałem bez przekonania. – Poradzisz sobie.

– Pewnie.

Potem zmieniła magazynek swego AK-47 na ostatni pełny, a ja podałem jej półcalówkę i garść naboju, niewiele krótszych od męskiej dłoni. Milo chyba nie miał

dziury w mózgu, bo nie tylko zrozumiał co nieco z prowadzonej po polsku rozmowy, ale wygrzebał je dla mnie z torby. Prawe oko zaczynało nawet wyglądać ostrożnie spod powieki, ale nie łudziłem się co do jego możliwości strzeleckich. Łzy ciekły jak z kranu; karabin może by widział, ale nic ponadto.

– Jak tam byliśmy, słońce prawie sięgało worka. – Nie zamierzała się jeszcze układać do skoku, ale musiałem wziąć ją za rękę. Dłoń miała jakby stworzoną do karabinu takiego jak mcmilan: dużą i silną, a zarazem delikatną. Dłoń dobrego chirurga albo dobrego zabójcy. – Tylko pamiętaj: sam czubek. Musisz trafić pierwszym pociskiem, bo to draństwo przeładowuje się ze trzy sekundy.

– Wiem.

Zdawało mi się, czy powiedziała to z jakimś bolesnym, cierpkim uśmiechem?

– Sam bym poszedł. – Zostawiłem to na koniec, bo ze wszystkich ważnych rzeczy ta była najmniej istotna. Żeby uważać mnie za tchórzliwego gnojka, musiała najpierw przeżyć. – Ale ta noga... zanim dobiegnę, zabraknie ci amunicji. Zresztą...

Zdołała sięgnąć palcami moich ust. Muśnięcie, ale podziałało jak dobry knebel.

– Nie mów – szepnęła. – Ona... Jeżeli coś nie wyjdzie... Taka też jestem. Słyszysz?

Taka też. I nigdy cię nie okłamałam.

Zaraz potem zagrzechotał karabin maszynowy. Pozwoliłem sobie na ostatnią bezsensowną przyjemność: pocałowania jej. W łydkę. Próbowałem sięgnąć ustami wewnętrznej części kolana, skąd zsunął się opatrunek i gdzie lekko śniada skóra połyskiwała potem, ale kiedy człowiek leży wprasowany w ziemię ogniem kaemu, musi się zadowalać tym, co dostępne.

Nie powiedziałem, że ją kocham. To mogło ją zabić. Dosłownie. Odrobina dekoncentracji i...

– Oprzyj o mnie stopę. Gotowa? Przeczekaj pierwsze dziesięć strzałów i biegnij.

Nie wiem, jak to zrobiła. Z całej walki, najważniejszej bitwy mego życia, zapamiętałem kopnięcie w biodro, a potem ból w dole pleców, wściekły protest nadwerężanego kręgosłupa. I oczywiście widok szarpanych pociskami skał. Strzelałem, klęcząc, bo tak było najszybciej i najcelniej. Kiedy zmieniałem kałasznikowa Jovanki na G3, ocknął się karabin maszynowy i potem aż do końca waliliśmy seriami obaj. Ja za szybko, chcąc przytrzymać przynajmniej tego drugiego, mniej odważnego, jasnowłosy gęsto, szczerze, ale na oślep. Nigdy nie zrozumieję, jakim cudem żaden z nas nie trafił.

Po wystrzeleniu niemal setki pocisków w każdą ze stron w zasadzie nie mieliśmy prawa skończyć bezbramkowym remisem.

Ale tak się właśnie skończyło. Obaj strzelali do mnie, kiedy góra zadrżała, a z otworów jaskini buchnęło ogniem. To żalosne, ale dopiero grzmotnięty przez niewidzialną lokomotywę pomyślałem, że taki nabity plecak to kupa...

Przebudzenie miałem takie sobie: zostałem obrzygany przez Jovankę. W głowie mi szumiało, świat się kołysał, a ciało sprawiało wrażenie rozjechanego przez walec drogowy, nie poderwałem się więc z wrażenia. O wiele żywiej zareagowało białoczerwono-brunatne coś, co okazało się komendantem posterunku w Crveneji Dradze.

– Dobrze się czujesz? – Puścił mój kark i złapał łokieć dziewczyny.

Na szczęście trochę jej ulżyło. Mogła użyć ust w lepszy sposób i sklecić blady uśmiech.

– Wszystko w porządku. – Popatrzyła na mnie i uśmiech zniknął. Myślałem, że to z powodu plamy, którą przyozdobiła wszystko, co mi zostało z koszulki, ale w oczach miała troskę, nie wstyd. Przeszła na polski: – Obmacaliśmy cię. Kości masz chyba całe.

Nic nie boli?

– Wszystko – stęknąłem, siadając. – Ale nie bardzo.

Dopiero teraz zauważyłem, że znajdujemy się jakieś dwa metry od krawędzi tarasu.

– Głowę miałeś już tam – Milo wskazał bezmiar pustki, tu i ówdzie przetykany czubkiem wyższego drzewa. – Nigdy nie bierz mnie ze sobą, jak pójdziesz coś wysadzać.

Najpierw to w piwnicy, a teraz...

Zrobiło mi się gorąco. Chciałem wyjaśnić, że znajdowałem się z boku i miałem prawo liczyć, że główny impet pójdzie w inną stronę – ale otwierając usta, uświadomiłem sobie skalę popełnionego błędu. Głowa sama odwróciła się ku dziewczynie. Musiałem mieć przerażenie w oczach, bo od razu posłała mi uśmiech.

– W porządku – zapewniła. – Rzuciło mnie na mur, drobiazg. Parę sińców. Jestem mądrzejsza, strzelałam, leżąc.

– Jezu... mogłem cię...

– Daj spokój, ja też o tym nie pomyślałam. A zresztą... nie było innego wyjścia.

Podniosłem się i chwiejnym krokiem wróciłem do zagłębienia. Stojąc, trudno je było w ogóle zauważyć. Grota też wyglądała inaczej, ale o to nie mogłem już obwiniać perspektywy. Po prostu kilka plecaków wypełnionych trotylem okazało się trochę silniejsze od tego kawałka Pecinaca. Sklepienie nie wytrzymało i cały potężny blok skalny tąpnął o kilka metrów, wypełniając niedysyjszą jaskinię tysiącami ton kamienia.

– No i dopięli swego – pokręciłem głową. – Z ich punktu widzenia...

– Ten z karabinem maszynowym, blondyn... – Milo nadszedł z lewą dłonią obciążoną mcmilanem. Druga dłoń niespiesznie wprowadzała do komory nabój kalibru 12,7

milimetra. – Chybaby się z tobą nie zgodził.

Nie rozglądał się, nie sprawdzał nerwowo otoczenia. Zauważyłbym. Po obandażowaniu połowy głowy i jednego oka musiał mocno nadrabiać ruchami szyi.

Ustasz, który cały i zdrowy wrócił w sąsiedztwo jego nogi, też nie wyglądał na zaniepokojonego.

– Chyba nie chcesz powiedzieć...?

– To ja powinienem go zabić. Wybacz, że nie podziękuję. Ale naprawdę nie ma za co.

– Zaryglował karabin i dopiero wtedy spojrzął na Jovankę. – Bo teraz pozostał mi już tylko ten drugi.

Poniewczasie zauważyłem, jak bardzo jest blada. Nie zdziwiłem się, widząc, jak nagle nogi uginają się pod nią i dziewczyna kuca, rozpaczliwie rozkładając ręce dla ratowania się przed upadkiem. Szarpnąłem się w jej stronę i natychmiast znieruchomiałem, porażony równie energicznym ruchem karabinowej lufy.

– Spokojnie. – Milo bywał już groźny, ale nie słyszałem go dotąd mówiącego głosem o temperaturze

Iodu. – Nie róbcie niczego głupiego. Zwłaszcza ty, Marcin.

– Oszalałeś?

– Wolałbym się mylić – powiedział spokojnie. – Ale raczej nie. Więc żadnych nagłych ruchów. Bo ją zastrzełę.

Jovanka opadła na kolana i zwiesiła między ramiona wyraźnie za ciężką głowę.

Rozcięcie na potylicy nie rzucało się w oczy. Krwi było mało i prawie cała wsiąkała w bujną, wzbogaconą kurzem czuprynę.

– O co ci chodzi? – Ostentacyjnie zatknąłem kciuki za pas.

– Rzuć mi jej rewolwer. Potem usiądźcie. Pogadamy. Aha, i kopnij na bok ten automat. Pewnie wystrzelałeś wszystko, ale po co ma cię kusić. A ty mi tu nie mdlej –

podniósł ostrzegawczo i głos, i koniec lufy.

Przez chwilę chciałem go zabić. Na szczęście rozsądku wystarczyło. Zrobiłem, co kazał, i usiadłem. Moje lewe ramię samorzutnie opasało talię Jovanki. Milo sięgnął do wewnętrznej kieszeni. W powietrzu zawিrował rzucony niedbale kartonik.

Połówkę fotografii już znałem: obejrzelismy ją w celi. Chłopak w mundurze wydał

mi się wprawdzie starszy, ale był to efekt kontrastu z osobą, którą obejmował.

Dziewczyna całkiem niedawno przestała być dziewczynką. Była szczuplejsza, miała okrągłą, dziecięcą jeszcze buzię i najprawdziwsze warkoczyki z kokardami. Wyglądała całkiem inaczej, ale oczywiście rozpoznałem ją w ułamku sekundy.

– Sarajewo, osiemdziesiąty czwarty. – Milo ponownie ujął karabin w obie ręce. –

Udało mi się odszukać podchorążego, który kończył szkołę z tym tutaj. Nie pamiętał

nazwiska, ale twarz tak. Tacy błękitnoocy wikingowie nieczęsto się u nas trafiają.

Ostrożnie zerknąłem w bok, na profil żywej dziewczyny. Jeśli w osiemdziesiątym czwartym miała około piętnastu lat, musiała być starsza, niż założyłem na początku naszej znajomości, ale kiedy płakała tak jak teraz, z zupełnie dziecięcą bezradnością, do złudzenia przypominała tamtą roześmianą smarkulę w warkoczykach, przyklejoną do boku brata. Bo to musiał być brat: jeśli się pominęło kolorystykę i przyjrzało rysom, sprawa robiła się oczywista.

– Co, zaczynamy sobie przypominać? – uśmiechnął się nieładnie Milo. – Czy może pamiętaliśmy zawsze, a teraz tylko nerwy puściły?

– Skąd to masz? – zapytałem.

– Kiedy znalazłem Mladena, był jeszcze ciepły. Mieliśmy pokój, więc nasz rycerz islamu zachował się po rycersku, zszedł i przykrył rannego płaszczem. Prawda, jaki ładny gest? Gdybym nie wiedział, czyja to robota, pomyślałbym, że Sułtan zaczął

właśnie kampanię wyborczą. Jaka wspaniałomyślność. Zastrzelił, fakt, ale potem oddał własny płaszcz.

– Płaszcz? – powtórzyłem tępo.

– Wojskowy szynel. – Ochłonął nieco. – To zdjęcie było w kieszeni. Nic więcej, tylko zdjęcie. Przez te wszystkie lata szukałem, pytałem... I nic. Ten kolega ze studiów nie daje nawet głowy, że to był Muzułmanin. No a szukanie dzisiaj w Sarajewie, kiedy się jest Serbem...

– Nie pamiętam go – wymamrotała Jovanka. Jej twarz była jak sygnalizator uliczny: czerwieniała i zieleniała na przemian.

– Myślę, że byłeś z nim wtedy. – Mówił powoli, starając się panować nad emocjami.

– Nigdy nie wierzyłem w te bajania Kosty, w te tampony, babskie kible... Ale teraz...

Widziałem cię w walce. Jesteś odważna. Idealna dziewczyna dla faceta takiego jak Rzeźnik. No i widać, że jesteś za pan brat z bronią. Od razu znać dobrego nauczyciela.

Tak sobie myślę... To kawał skurwysyna, a Mladena ktoś tym płaszczem.. Nie mogłem tego zrozumieć. Nigdy nikomu nie okazywał żadnych względów, nawet do kobiet strzelał, a tu nagle... I wtedy sobie przypomniałem, że jak wojna się kończyła i już wiedzieliśmy, że jest przegrana, Mladen przyszedł i pierwszy raz zdecydowanie poprosił

o karabin. Żeby choć raz, zanim będzie za późno, zanim wejdzie Zachód i całkiem nas zgnoi... Pogoniłem go, ale teraz rozumiem, że i u was mogli być tacy jak on. Ci, co zdążyli powalczyć, przynajmniej w oczach dzieci pozostaną kimś.

– Odbiło ci? – potrząsnąłem głową. – Naprawdę myślisz, że Jovanka poszła na Glawę, żeby sobie postrzelać i wyrobić w ten sposób matczyzny autorytet?

Uśmiechnął się nieoczekiwanie. Przekrwione spojrzenie cyklopiego oka było zaskakująco trzeźwe.

– Głupoty opowiadam? – Sam sobie odpowiedział kiwaniem głowy. – Ale przynajmniej korzystne dla niej. Bo postrzelać dla ratowania honoru to jedno, a dla sportu, żeby zobaczyć, jak to jest – całkiem inna rzecz.

– O czym ty mówisz?

– Nie strzela się do ludzi, by zaraz potem okrywać ich własnym płaszczem. Chyba że ktoś jest zupełnym amatorem, strzelił dla zabawy, a potem podszedł i zobaczył z bliska, co narobił. To pierwsze logiczne wytłumaczenie. A drugie... Każdy facet lubi czasem zabawić się w rycerza, kiedy

ma obok kobietę.

– Chcesz powiedzieć – podsumowałem wziętym w cugle tonem – że to Jovanka była z nim tego dnia na Glavie i to z jej powodu strzelał? Czy może, że to ona, własnoręcznie...? A dowody? Masz chociaż cień dowodu?

Stał na tyle blisko, że wystarczył niedbały ruch. Lufa półcalówki musnęła trzymane przez Jovankę zdjęcie. Po chwilowym krzysie dziewczyna chyba się jakoś pozbierała: siedziała już bez pomocy rąk. Pomijając tę, którą ją opasywałem.

– Było w wewnętrznej kieszeni. Na sercu – podkreślił.

– Nie pamiętam go.

Bełkotliwy głos Jovanki przestraszył mnie. Mila rozzłościł.

– Masz mnie za idiotę?!

– Dość tego – rzuciłem, przysuwając się bliżej i opierając jej plecy o swoją pierś.

Spojrzenie miała coraz bardziej maślane. – Nie widzisz, co się dzieje? To może być wstrząs mózgu!

Byłem teraz lepiej unieruchomiony, ale Milo nie brał tego chyba pod uwagę, opierając koniec lufy o udo Jovanki, schylając się i wydając fotografię ze zwilgotniałych palców.

– Milion razy to oglądałem! – machnął mi nią przed oczami. – Pamiętam twarz tego skurwysyna lepiej od twarzy własnego brata!

– Ona jest ranna – warknąłem. Widok strumyczka śliny, bezkarnie sączącego się z kącika jej ust, podkreślił mi tętno o dobre kilkadziesiąt uderzeń. – Do cholery, Milo, nie teraz!

– Miałem tatusia i mamusię – rzucił mi zdjęcie. – A potem sprawdziłem jej papiery i znalazłem córkę.

Położyłem Jovankę na brzuchu, z potylicą możliwie daleko od zasiedlających Pecinac drobnoustrojów.

– O czym ty mówisz?

– O tej ślicznej, złotowłosej paniencie, której fotografię mamusia wozi ze sobą. Jeśli jej nie oglądałeś, to powiem krótko: to wykapany tatuś – trącił butem leżące w trawie zdjęcie.

Przyszło mi na myśl, że Jovanka nie tylko wozi portret Oli, ale i pilnuje lepiej niż pieniądze. Powinien zginąć, kiedy nas okradli. Los, jak się okazuje, bywa złośliwym bydlęciem.

– Nie dziwiło cię, że nigdy nie szukała swoich bliskich? Wszyscy to robią, w Czerwonym Krzyżu i Czerwonym Półksiężycu aż się roi od ogłoszeń, zdjęć... Takie poszukiwania prawie nic nie kosztują.

A jednak nie próbowała.

– Skończyłeś?

– Nie, nie skończyłem. Tyle o niej wiedziałem, nim poszliście na Pecinac. Ale nie miałem pewności. Potem zobaczyłem, jak pakuje się do tej nory i pełźnie ćwierć kilometra na pokaleczonych kolanach, zdziera łokcie... I nadal nie byłem pewien.

Dopiero kiedy się zdecydowała nurkować.

– Jest odważna – przypomniałem. – Sam powiedziałeś.

– To coś więcej niż odwaga. Ona wiedziała, czego tam szuka. I że nie utonie. To jest Pecinac. Myślisz, że skąd ta nazwa? Jaskiń tu do cholery, co rusz człowiek w jakieś dziury wpada... A ona proszę: od razu właściwą wyczuła.

– Co chcesz zrobić? – Stać mnie było na cichy i spokojny głos. – Zabijesz ją?

Nie umiał odpowiedzieć z marszu. Nim przetrawił pytanie, zdążyłem obmacać czaszkę dziewczyny. Jęknęła i poruszyła się, odruchowo uciekając przed bólem, ale była dostatecznie przytomna, by rozpoznać przyczynę i nie przeszkadzać mi przy badaniu.

– Ona zabiła mi brata.

– Jak na policjanta, łatwo wydajesz wyroki.

– Aha – pokiwał głową. – Mam iść do sądu, oddać sprawę fachowcom? Dzięki za radę.

– Nie ma za co. Po wojnie sądzą zwycięzcy i nie ma to wiele wspólnego ze sprawiedliwością. Nie mówię, byś dokądś chodził. Mówię, że mógłbyś dać jej szansę i wysłuchać drugiej strony.

– Proszę – rzucił szyderczo. – Niech pani mówi, pani Bigosiak. Zamieniam się w słuch.

– Zamień się w drwala – odparowałem. – Potrzebujemy noszy. Trzeba ją jak najszybciej dostarczyć do szpitala.

– Nic nie rozumiesz? – Nie poruszył się. – Wojna się skończyła, a oni dla zabawy zabili mi jedynego brata.

– Rodowa zemsta, co? Pięknie, tylko szkoda, że zabijesz nie tego, którego powinienes. Mniejsza z tym, że ocaliła ci tyłek i zrobiła z Sułtana bryłkę mielonego. Milo się nie liczy, liczy się Mladen, tak? No to może o nim pomówimy?

– To znaczy? – burknął.

– Skąd wiesz, że strzelał i przykrywał płaszczem ten sam człowiek? Że w ogóle coś ich łączyło? A może jeszcze jakiś idiota wybrał się tego dnia na przełęcz?

– Idiota?!

– Nie powiesz, że to było mądre – rzuciłem twardo. – Żadna wojna nie wygasa w danej godzinie, nawet w dniu. Rozsądny człowiek upewni się, że wiadomość dotarła do każdego, a dopiero potem... Skąd wiesz, że ci z Pecinaca wiedzieli o...

– Bo im, kurwa, powiedziałem! Jeden jedyny raz posłałem człowieka z białą flagą!

Zadbałem, by już nic nikomu... – Przez chwilę dyszał, wypuszczając z płuc resztki wściekłości. Kiedy znów przemówił, jego głos brzmiał zaskakująco inaczej. –

Parlamentariusz niepotrzebnie najadł się strachu, bo Sułtan miał radio i dostał rozkazy wcześniej niż my. Od dwóch dni już chlali, ponoć wszyscy, z wartami włącznie. A zanim Mladen wybrał się do babki, chyba z sześciu Muzułmanów zszło z Pecinaca i przed naszymi lufami pomaszerowało do domów.

– Szedł do babki?

– Wychowała nas – mruknął. – Głupi smarkacz. Obiecał, że jak tylko wojna się skończy... Była stara, chorowała, w każdej chwili mogła umrzeć. Pewnie dlatego nikt jej nic nie zrobił, chociaż została po tamtej stronie, a we wsi każdy wiedział, kto to są Nediciowie i z kim trzymają.

Zamilkł. Klęczałem nad nieruchomą Jovanką i beczynn timer patrzyłem, jak strumyk krwi nieśmiało wychyla się z lasu włosów, przecinając miodową skórę karku cienką, czerwoną nitką.

– Masz rację – przerwałem ciszę. – To draństwo.

– Morderstwo – sprecyzował. Nie oponowałem.

– Skąd wiesz, że to Rzeźnik...?

– Na przełęczy leżał śnieg. Ślady były dobrze widoczne, bo nie było komu zdeptywać. Próbowałem ratować Mladena, więc nie poszedłem wtedy po nich, ale...

– Ratować? Jeszcze żył? – Zawahał się, po czym z ociąganiem skinął głową. – To wszystko?

– O śladach? Wszystko. Facet zszedł z Glavy i biegiem wrócił na Pecinac.

– Pytam o opatrunek – powiedziałem powoli. – Opatrzył Mladena, prawda? Płaszcz był na koniec, najpierw zatamował krew? – Anemiczne wzruszenie ramion, nieme „i co z tego?” – Nie mówiłeś o opatrunku.

– A po cholere? Dobry z ciebie detektyw, Sherlock się chowa.

– Nie żartuj. Właśnie zabijasz dwoje ludzi. Bo jak ona przegra – ująłem nadgarstek Jovanki – to i mała pójdzie do piachu. Więc może zrobmy to dobrze, co? – Zrozumiał

i kiwnął głową. – To po kolei. Ilu widziałeś frontowców chodzących z pustymi kieszeniami?

– Słucham? – posłał mi zdumione spojrzenie.

– Pewnie żadnego – odpowiedziałem sam sobie. – Im dalej od zaplecza, tym więcej drobiazgów może się przydać, więc każdy aż brzęczy od granatów, ołówków i piersiówek. A ty znalazłeś jedno zdjęcie. Na sercu.

– Do czego zmierzasz? – zmrużył oko.

– Są dwie możliwości: albo ktoś opróżnił kieszenie, oddając własny płaszcz, albo to nie był jego płaszcz.

– Tylko co: zdarty z przechodnia?

– Nie – zgodziłem się. – Przyniósł go, ale nie w charakterze płaszcza. Kiedy leżysz godzinami pod gołym niebem, na śniegu... Czego taki żołnierz potrzebuje bardziej od karabinu? – Znów odpowiedziałem sam sobie: – Koca, materaca, a najlepiej drugiego płaszcza, bo wygodny w transporcie.

– No dobrze – przytaknął. – I co z tego?

– To, że jeśli oczyszczasz własny płaszcz ze wszystkiego, co cenne, nie zostawisz jedynej fotografii ukochanej kobiety. Ani nie nosisz jej w płaszczu numer dwa, z góry skazanym na zeszmacenie.

– Ukochanej? Skąd wiesz, że się kochali? Bo się pieprzyli?

– Bo gdybyś miał rację, pieprzyliby się od dziesięciu lat, przez całe liceum i studia dziewczyny. – Milo rozchylił usta, nie zamierzałem jednak poprzestać na pojedynczym nokaucie. – Chcesz zapytać, skąd wiem, że jedyna fotografia? Żadna dwudziestopięciolatka nie obdarowuje kochanka czy męża zdjęciem sprzed tylu lat.

Czterdziestolatka – może. Ale nie młoda, śliczna kobieta z klasą i w pełni rozkwitu.

– Z klasą? – Jak na zamroczonego przystało, nie błyszczał intelektem.

– Mówimy o Jovance. – Wytarłem krew z jej karku. – Możesz mi wierzyć: ma klasę.

I na pewno nie dałaby swojemu facetowi tej akurat fotografii, mając jakiś wybór.

– No to może nie miała. Była wojna, pamiętasz? Parę domów poszło z dymem.

– Zaczynaj myśleć, Milo. Guzik mnie obchodzi jej kolekcja zdjęć. Mówię, że nie zostawia się czegoś takiego w spisanim na straty płaszczu.

Bez zapachu wzruszył ramionami. Zauważyłem, że lufa mcmilana wisi nisko i mierzy raczej w ziemię obok Jovanki niż w dziewczynę.

– Dobrze, kupuję to. I co to nam daje?

– Uważaj – zmrużyłem oczy. – Właśnie prawie ją uniewinniłeś. Cały jej związek z zabójstwem twojego brata to ten kawałek papieru.

– Zaraz, zaraz... Nie powiedziałem, że...

– Powiedziałeś: „Facet zszedł z Glavy i pobiegł na Pecinac”. Liczba pojedyncza. Czy to znaczy, że był tylko jeden ślad? – Milo wpatrywał się we mnie z mieszaniną osłupienia i chyba nienawiści. – A co z dziewczyną, panie sierżancie? Rzeźnik pierwszy raz w życiu popisuje się szlachetnością, traci dobry płaszcz, a potem fru do koleżków? Zapominając o damie?

– Mówiłem ci – wycedził. – Nie poszedłem za nim, bo nie mogłem zostawić brata.

Tam są krzaki, osłona... Pewnie odskoczył w gąszcz, żeby komuś nie wpaść w oko, zatoczył koło i wrócił do dziewczyny. Gdyby to był frajer chodzący po prostej, dawno byśmy go...

– Może, Milo. Może. Ale nie na pewno. – Odczekałem chwilę. – Tak dla formalności: Mladen nie był uzbrojony?

– Już ci mówiłem – burknął. – Mój brat nie był idiotą. Nie szedł z karabinem, tylko z białą flagą.

– Miał flagę?

– To takie dziwne? Sam powiedziałeś, że początek pokoju to niepewny czas. Lepiej dmuchać na zimne, jak się...

– Czeka! – Nagle mnie olśniło. – Kiedy to było? Chodzi mi o porę dnia.

Zawahał się. Chyba zrozumiał już wtedy.

– Nie, nie... – wymamrotał bardziej do siebie niż w ramach odpowiedzi. – Zanim tu doszedł, musiało być już całkiem widno. To nie to, o czym...

– Ale jaka była widoczność? – Ponury wyraz twarzy w zupełności mi wystarczył. –

Mgła, śnieg biały, niemal dziewiczy, a Mladen też nie musiał nieść tej flagi cały czas tak, jak się flagę nosi. Nie chcę usprawiedliwiać tego, który strzelił, ale możliwe, że się nie zorientował, co chłopak trzyma. Strzelał z ukrycia, pewnie przez gałęzie, do fragmentu sylwetki...

– Tak się strzela na wojnie – powiedział cicho. – A wtedy już nie było wojny.

– Nie bronię Rzeźnika. Chcę ci tylko wytłumaczyć, że ona nie ma z nim wiele wspólnego.

– Jasne. Z różnymi się człowiek fotografuje.

– Tatusiowie bywają podobni do córek – powiedziałem powoli, patrząc mu w przekrwione oko. –

Ale cholernie rzadko do żon.

– Co?

– To rodzeństwo, idioto. Kolorystycznie zupełnie się nie dobrali, ale popatrz na kształt brwi, na nosy, usta...

Gdyby przyrównać nasz dialog do prawdziwej rozprawy, doszlibyśmy właśnie do etapu wyznaczania niewysokiej kaucji i zwalniania podejrzanego z aresztu. Inaczej mówiąc: Wysoki Sąd przestał ślepo wierzyć prokuraturze i zaczął zastanawiać się nad słowami obrońcy. Milo odblokował dwójnog, postawił karabin na ziemi i sięgnął po fotografię.

– Rzeźnik to nie rycerz. Założę się, że nie poświęciłby swego płaszcza. Bez porządnego okrycia, gdyby wszedł pod ostrzał, nie przeżyłby dłużej niż parę godzin.

Czyli oddał drugi płaszcz, dodatkowy. A skąd go miał?

– Pożyczył od kolegi? – Nie odrywał spojrzenia od zdjęcia.

– Nie. Kolegom płaszcze się oddaje. Co innego, jeśli pochodzą od jeńców.

Tym razem uniósł wzrok. Znalazłem w nim złe przeczucia, lecz jeszcze nie gorycz zawodu.

– Chyba nie mówisz o...? – Nie dokończył, choć dałem mu czas.

– Mówię – powiedziałem cicho. I po raz kolejny zmieniłem kierunek natarcia. –

Obiło ci się o uszy nazwisko Brkanić? Ana Brkanić? W dziewięćdziesiątym szóstym miała dwadzieścia jeden lat.

Ryzykowałem. Jedno uderzenie w pustkę – i po przewadze.

– Ana? Co ma do tego Ana?

Nie posłużył się nazwiskiem. Odetchnąłem.

– Dwudziestego czwartego marca Ana i Jovanka zostały znalezione przez polski patrol u podnóży Pecinaca. Żołnierze odwieźli je do obozu. Nie wiem, kto i o czym z nimi rozmawiał, ale parę osób musiało je widzieć i zapamiętać. Jeśli dobrze poszukać, na pewno znajdzie się świadków.

– Ta druga dziewczyna to była...?

– Obie zawieziono do kliniki Stojanovicia. – Nie zamierzałem dopuszczać go do głosu. – Jakiś podoficer. Jovanka została, Ana jeszcze tego samego dnia odjechała z żołnierzami. I oficjalnie nazajutrz zginęła na minie. Nieoficjalnie ktoś wpakował w nią chyba cały magazynek beryla. Mamy jeden pocisk wydłubany z ciała; ekspertyza pewnie określi, kto i gdzie go wyprodukował. Oczywiście połowa NATO używa podobnej amunicji, ale to w polskim Krakowie po raz pierwszy

usiłował nas zabić – wskazałem płonące ruiny domu. – To Polacy wyłożyli ciężką forszę, by odesłać nas czym prędzej specjalnym samolotem, a teraz ganiłi po lesie i ostrzeliwali z moździerzy. Ktoś nas wczoraj wystawił na odstrzał, a w nocy zamordował wartownika, który nas pilnował.

Ktoś z polskiego batalionu.

– Czekał, trochę się...

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Może ktoś z naszych wszedł w układ z Sułtanem i sprzedał mu uciekinierki. Pytanie brzmi: czy powinieneś strzelać jej w łeb. –

Przez tę jedną sekundę patrzyłem na leżący bez ruchu przedmiot naszych targów. – Albo inaczej: kim była Ana Brkanić i czy mogła ryzykować życie, wlokąc na plecach Jovanę, kobietę Rzeźnika i przyjaciółkę facetów, którzy rządzą na tej górze. – Odetchnąłem jak przed nurkowaniem i rzuciłem na stół najważniejszą z kart. – Kim ona była, Milo?

Mógł powiedzieć: „kochanką Sułtana”, i załatwić mnie definitywnie.

Patrzyłem, jak odkłada powoli fotografię, a potem równie niespiesznie sięga po karabin i dźwiga się na równe nogi. Niby nie próbował w nikogo celować – ale tak czy siak wyglądało to na regres.

– Niech ci będzie, że to brat i siostra. – Prawie zdążyłem zapomnieć, dlaczego przykucnął. – Ale to niewiele zmienia. Jaka różnica, czy poszła polować z bratem, czy z mężem?

– Jest różnica – powiedziałem, patrząc mu w oczy z niemal stuprocentową szczerością. – Pomyśl: młodsza o dziesięć lat siostra. Od zawsze i chyba na zawsze słabsza, bardziej bezradna, niedoświadczona... Przy małej różnicy wieku to tak nie działa, ale dziesięć lat, no i jej płeć... Zabrałbyś Mladena, gdybyś był snajperem i szedł na takie polowanie? – Nie czekałem na odpowiedź. – Mąż od biedy mógł, bo nie pamiętał małej, zapłakanej dziewczynki. Ale starszy brat to co innego.

Milczał długo, ugniatając broń w dłoniach.

– Nie wiem... To wszystko jest... – Cofnął się, sięgnął do znalezionej ładownicy i rzucił mi notatnik Rzeźnika. A potem odkreconą od celownika soczewkę. – Z bliska już nie bardzo, a teraz jeszcze to oko... Mniej więcej w środku widziałem taki wyraźny odcisk palca. Po lewej stronie, znajdziesz. Chcę, żebyś go porównał z jej lewym kciukiem. I powiedział prawdę.

Po raz pierwszy nasze myśli tak doskonale się zgrały. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale inteligentny, spostrzegawczy facet nie może w nieskończoność popełniać błędów, wynikających z przyjęcia niewłaściwych założeń.

– To śmieszne – powiedziałem, otwierając notes. – Zresztą jak mam...?

– Tak samo. – Dotknął końcem lufy odpowiedniego miejsca na karku Jovanki. –

Krwią.

Na szczęście nie musiałem patrzeć mu w oczy.

– Niech ci będzie – zgodziłem się, biorąc w palce bezwładną dłoń Jovanki i ostrożnie przykładając kciuk do plamy czerwieni na karku. – Ale na tym koniec. I pogadamy o Anie.

Nigdy nie pobierałem odcisków palców i aż nie chciało mi się wierzyć, że ten wyszedł tak znakomicie. Drugi, stary i bladorudy, też prezentował się nadzwyczaj wyraźnie. Gdybym był wierzący, pomyślałbym w tym momencie, że trudno o bardziej dosadną deklarację intencji Tego z Góry.

Zwłaszcza że w sekundę później usłyszałem także głos. Nie rozpoznałem go, choć słowa wypowiedane kalekim serbsko-chorwackim udało mi się zrozumieć.

– Zastrzel ich. Biedny Zuk w końcu uśnie spokojnie.

Musiałem spojrzeć w prawo, by zrozumieć. Półżywy ze zmęczenia, przytłoczony innymi kłopotami, zwyczajnie zapomniałem, że po świetle i górze chodzi jakiś sierżant Żaniec. Co teraz miało mnie kosztować życie. Nie, poprawka: dwa życia.

Mila jakoś nie uwzględniłem w tym rachunku. Był trzecim facetem, który do nas celował, i siłą rzeczy odruchowo ulokowałem go po przeciwnej stronie barykady. Tamci chyba też. Wyszli zza drzew, jak na rasowych żołnierzy przystało, na lekko ugiętych nogach i z rozłożonymi kolbami automatów przyklejonymi do ramion, gotowi strzelać szybko i celnie. Nie mogli stawiać Serba w jednym szeregu z nami – gdyby tak było, nie miałby szansy zrobić tego, co zrobił. Obrócić się i strzelić z biodra.

Sierżant Żaniec, podobnie jak jego skrzydłowy, miał na sobie komplet kevlarowego wyposażenia ochronnego, lecz przed bronią kalibru 12,7 równie dobrze mógłby osłaniać się mokrą gazetą. Nim runął, obróciło nim jak bakiem, więc zdążyłem dostrzec, że w miejscu, gdzie metal opuszczał ciało, zabrakło z pół kilo pośladka. Nie wydał żadnego dźwięku. Jego towarzysz początkowo też nie. Odezwał się, dopiero kiedy Milo puścił

bezużyteczny karabin i zaczął sięgać ku kaburze.

– Ręce do góry! Nie ruszać się!

Zaczął po angielsku, kończył po serbsko-chorwacku, ale nawet gdyby posłużył się chińszczyzną, wiedzielibyśmy, o co chodzi. Dziewięćmilimetrowy glauberyt w jego lekko drżących dłoniach czynił zeń prawdziwego boga. I w pełni uzasadniał okazywaną wstrzeźliwość. Miał pod trzydziestkę, szary, cywilny podkoszulek pod kevlarową kamizelką i jasne włosy niewiele krótsze niż Jovanka, ale coś w jego postawie mówiło mi, że w swoim czasie nabył uprawnienia do noszenia odznaki Szóstej Desantowo-Szturmowej. Wszyscy trzej wybrali się na lesisty Pecinac uzbrojeni w lekkie pistolety maszynowe i mieli pecha, natykając się na nas w jednym z nielicznych miejsc, gdzie można i trzeba było strzelać na dystans większy od stu pięćdziesięciu metrów. Wtedy musieli prosić o pomoc moździerzystów. Teraz metrów było czterokrotnie mniej. Trudno liczyć, że glauberyt choć raz chybi.

Pomyślałem o odległości, gdy Żaniec zaczął się obracać. Ruszał się z mozołem, a fakt, że jedną dłoń zajmowała mu rękojeść automatu, jeszcze ów proces spowalniał –

ale robił to i nie zamierzał umierać. Kiedy leżał już twarzą do nas, przyszło mi na myśl, że długowłose oddaje mu ostatnią koleżeńską przysługę i pozwala samemu wymierzyć sprawiedliwość. Ale nie miałem racji. Po prostu był zbyt zajęty celowaniem do Mila i spostrzegł powolny ruch z boku dosłownie w ostatniej chwili.

Żaniec, niemal kładąc się nosem na zamku, uniósł lufę i wymierzył. Długowłosemu, kiedy w końcu się zorientował, wystarczył jeden skok. But trafił w peem na ułamek sekundy przed zwolnieniem iglicy. Seria opuściła lufę, ale nawet najcelniejszy z pocisków nie dotarł do Mila bliżej niż na kilka metrów. Niemal równie daleko od rąk Żańca odleciał jego glauberyt. Wykop był godny bramkarza reprezentacji, co nie przeszkodziło długowłosemu błyskawicznie przywrócić poprzedniego układu: my stoimy, on w nas mierzy.

– Mądrze – rzuciłem ochryplym od suchości w gardle głosem. – Lepiej pogadać, nim się zrobi coś nieodwracalnego.

– Ona... – Też miał kłopoty z głosem. – Nie żyje? Ranna?

Żaniec próbował coś mówić, jednak po tym, jak przegrał ostatnią w życiu partię, krwotok i wstrząs zrobiły swoje. Jego czoło stuknęło o ziemię i tam już pozostało.

– Znasz ją? – Zignorowałem pytanie.

– To Bigosiakowa. – Ruszył w naszą stronę. – Żona Romka.

– Przyszedł ją pan zabić, panie...? – znacząco zawiesiłem głos.

Wahał się bardzo krótko – praktycznie wcale jak na faceta z tyloma wątpliwościami w oczach.

– Nowicki. – Już bez żadnej zachęty dodał: – Służyliśmy tu razem z Romkiem w dziewięćdziesiątym szóstym. Byłem... świadkiem na ich ślubie. – Zerknął na leżące nieruchomo ciało i szybko odwrócił wzrok. – Nie mówiła panu?

– Nie słyszałeś? – uśmiechnąłem się blado. – Ma amnezję. Ale to bez znaczenia. –

Staliśmy z rękami na karkach na wprost lufy, więc niełatwo przyszła mi kolejna kwestia.

– Lepiej odłóż tę pukawkę. Nie zabija się własnych świadków obrony.

– Co? – Zmrużył jasne oczy. – O czym pan mówi?

Dopiero teraz zauważyłem, że rozmawiamy jak oficer z szeregowym i że nawet jeśli mnie w końcu zabije, to z szacunkiem.

– Jest parę powodów, byś nie strzelał – zacząłem. – Po pierwsze miny. Żaniec znał

szlak, siedział tu od lat. Ale już go nie ma. A Milo – wskazałem policjanta – nie przyszedł

tu sam. Zgubiliśmy jego pomocników, ale nie są głusi. Idą tu i na pewno dotrą wcześniej, niż nasi skombinują opancerzone śmigłowce. – Odczekałem, aż to przetrawi. – Zastrzel nas, a będziesz miał jak w banku wesoły nocleg z kilkoma byłymi partyzantami na karku.

– Nic do niego nie mam. – Pułap gotowości bojowej obniżył się o jakieś pół metra: automat zjechał do biodra. – Kto to w ogóle jest? Ktoś od Sułtana?

Pod skórzaną kurtką mundurowa koszula Nedicia wyglądała stosunkowo cywilnie, buty miał wojskowe, pewnie jeszcze wojenne, czapki wcale – w sumie bardziej przypominał członka zbrojnej bandy niż glinę, choćby i bośniackiego.

– Nieważne. Istotne, że jego ludzie wiedzą o trzech facetach, którzy przyjechali beerdeemem. – Pokazałem kciukiem na to, co zostało z mojego plecaka. – Mieliśmy telefon. Szlag go trafił, kiedy tu do siebie strzelaliśmy, ale sporo informacji zdążyliśmy przekazać.

– To groźba? – upewnił się.

– Przedstawiam sytuację. Jeśli zginiemy, najpierw będą na ciebie polować tu, w lesie.

Potem, o ile przeżyjesz, znajdą cię w kraju. Pieniądz czyni cuda, a trochę za dużo ludzi wie, kogo za nami wysłano. Jedna niedyskrecja i... – przeciągnąłem po gardle. – Masz rodzinę? – Leciutkie kiwnięcie. – To nie sypiaj z nimi w jednym pokoju.

– Mogę zobaczyć ten telefon? – rzucił zaczepnie.

Pokazałem mu.

– I jeszcze jedno – poszerzyłem uśmiech, widząc jego zrezygnowane spojrzenie. –

Mamy w bazie pomocnika. Wiemy o tym zabitym wartowniku. Tego nikt nie zatuszuje: będzie dochodzenie jak cholera. A tak się składa, że redaktor Kowalak może zapewnić mi alibi. Rozumiesz, o czym mówię? Skoro nie ja zamordowałem, trzeba będzie znaleźć kogoś innego. Nawiasem mówiąc, alibi nie będzie chyba potrzebne – popatrzyłem wymownie na ciało sierżanta. – To on nas oskarżył, prawda?

– Nie było mnie tu jeszcze.

– Ale Żaniec był. A to wasz kumpel. Twój i tego drugiego. Dwóch kumpli nie żyje, a wina pozostaje. Co się robi w takich sytuacjach? Zwala się ile wlezie na tego, który został. – Powoli opuściłem rękę. – Daj spokój, chłopie. Możemy się dogadać i obaj wyjść na tym dobrze. Nic do ciebie nie mam, no i chyba uratowałeś mi życie. Wojsko was kryło, bo byliście w kilku, mam rację? Ale teraz, tutaj, jesteś już tylko ty. Samotnego człowieka łatwiej usunąć bez zostawiania śladów. Co innego czworo ludzi. Pięcioro z redaktorką. Sześcioro z tym w obozie. Z takim tłumem niewygodnych świadków lepiej się dogadać.

Nie byłem pewien, czy zdołam go przekonać. Wiedziałem tylko, że jeśli nie i jeżeli jednak umrę, to przynajmniej będzie to we właściwym miejscu. Nigdzie na świecie żadne słońce nie zachodziło nigdy tak pięknie jak to wrześnie na Górze Trzech Szkieletów.

Natychmiast zauważyłem, że ma otwarte oczy. Kiedy zabrakło smolistych włosów, stały się parą najciemniejszych obiektów w niedużej sali. Wydały mi się niemal czarne, pewnie przez kontrast z bledną policzką i tych fragmentów szerokiego czoła, które wystawały spod bandażu. Dopiero gdy przewyciężyłem chwilowy paraliż i odważyłem się przekroczyć próg, układ cieni odrobinę się zmienił i spostrzegłem z ulgą, że biel wymizerowanej twarzy ma w sobie domieszkę zdrowego różu.

Krzesło stało tam gdzie zawsze, ale nie potrafiłem tak jak zwykle po prostu przysunąć go do łóżka, usiąść i zagapić się na Jovankę. Po raz pierwszy, odkąd zacząłem tu przychodzić, było tak, jak sobie wymarzyłem – i nie wiedziałem, co z tym począć.

– Cześć – uśmiechnęła się samymi koniuszkami ust. Pokój był tak mały, że stojąc w progu, widziałem ją na tle rozłożonego pożółkłym listowiem okna, ale naprawdę rumienić się zaczęła na mój widok. – To zabawne: właśnie o tobie myślałam.

Wziąłem się w garść, przewyciężyłem tremę i sięgnąłem po krzesło. Chwilę odroczenia podarował mi stojak pod kroplówkę: w tak miniaturowej separacie, gdzie jedyne łóżko musiało przylegać bokiem do ściany, odcinał siłą rzeczy chorego od odwiedzających. Niby nietrudno było go ustawić bliżej okna, ale dawno nie poświęciłem tyle uwagi i delikatności żadnemu zapalnikowi. Rurka, łącząca butelkę z glukozą i igłę wbitą w dłoń Jovanki, była dość krótka.

– Co to za miejsce?

– Nie powiedzieli ci? – zapytałem z niedowierzaniem. Czułem się do tego stopnia spóźniony, że jadąc tu, obawiałem się widoku pustego łóżka i wypisanej szminką informacji: „Dłużej czekać nie mogłam, J.”. – Podobno obudziłaś się przed południem.

– No... właściwie z nikim nie rozmawiałam. Chwilę z pielęgniarką. Ale chyba zachowałam się jak cham i usnęłam w połowie.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, przepraszając spojrzeniem, że taki z niej zdechłak.

Musiałem mocno wziąć się w karby, by nie wykorzystać tej słabości, nie przesiąść się na brzeg łóżka i nie zacząć jej całować.

– Nie patrz tak na mnie – poprosiła. – Okropnie wyglądam.

– Wcale nie. – Minałem się z prawdą dość drastycznie. Była wychudzona, oczodoły miała sine, usta suche i spękane, a zamiast czarnej czupryny owal jej twarzy okalał zohydzony plastrami bandaż.

– Widziałam się w lustrze – posłała mi wyrozumiały uśmiech, rozgrzeszający z ewidentnego łągarstwa.

– Zabiję pielęgniarkę – oświadczyłem z przekonaniem. – Która była taka mądra? –

Zebrałem się na odwagę i spojrzałem jej w oczy. – Mnie się tam podobasz.

– Bzdury – szepnęła, zezując ku ścianie. Musiała być bardzo osłabiona, skoro nie próbowała użyć do tego mięśni szyi. – Nawet nie mam włosów...

– Fryzjera też zabiję. – Postarałem się o żartobliwy uśmiech. – Od razu bym łobuza kropnął, ale kiedy cię kroili, wciąż tkwiłem na Pecinacu.

– Byłam operowana? A ty tam zostałeś? – Pomyślała może sekundę. – Za mały śmigłowiec? Co się właściwie...?

– Wszystko jest dobrze – niemal to wywarczałem, tak mocno starałem się wtłoczyć spokój do świadomości Jovanki. – Słyszysz? Dawno nie było tak dobrze. Nie musisz się o nic martwić. Kłopoty mamy z głowy, a te resztki, które zostały, to moja specjalność.

Było się ostatecznie tym detektywem.

Nie sądzę, bym ją przekonał. Była zbyt zajęta utrzymywaniem prawej dłoni w absolutnym bezruchu. Miała w niej igłę, ale nie o kawałek stalowej rurki w żyłę chodziło, lecz o uścisk moich palców. Nigdy nie dotykaliśmy się w taki sposób.

Całowałem ją, jednak teraz zyskałem bezdyskusyjny dowód, iż pocałunek nie musi być jedną z najwyższych form wyrażania bliskości.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała cicho po wyjątkowo długiej chwili.

– Naprawdę nie wiesz? W Krakowie. Przedtem leżałaś parę dni w amerykańskim szpitalu wojskowym, ale kiedy uznali, że twój stan...

– Kilka dni? – Uniosła i głos, i powieki, i chyba nawet głowę. – Chcesz powiedzieć...? – Zamilkła, oswajając się z dziwaczością sytuacji. – Jak długo?

Zerknąłem na zegarek. Nie musiałem, ale po takim czasie znów czułem się trochę obcym człowiekiem i bałem się, jak zareaguje na sypanie danymi z pamięci.

– Dwadzieścia dwie doby, dwadzieścia godzin i trzydzieści...

– Trzy tygodnie?! – Teraz już na pewno uniosła się z poduszki.

– Leż – przytrzymałem jej ramię. Piżama nie była zapięta po samą szyję i mój kciuk załapał się na kontakt z kawałkiem odsłoniętej skóry. – Ani mi się waż siadać.

Posłuchała. Ale zaraz potem w jej oczach zrobiło się wilgotno.

– O Boże... Przysięgałam Oli, że to najwyżej parę dni...

– Nie martw się o Olę. Wie, co się dzieje, i trzyma się dobrze.

– Nie rozumiesz?! To jeszcze małe dziecko! Jest sama, przerażona, leży w szpitalu między obcymi...

– Jovanka, zacznij słuchać, co do ciebie mówię. Jest dobrze.

Przyglądała mi się parą wielkich, smutnych oczu Madonny ze starego obrazu.

– Dobrze? – powtórzyła z cichą goryczą. – Ona umiera, Marcin. My przeżyliśmy, ale ona... – Odetchnęła głęboko, jak ktoś, kto mocno potrzebuje tlenu. – Myślę, że jest już po wszystkim. Myślę, że to Sułtan... – Zająknęła się, widać jej płuca nie miały dostatecznej pojemności. – Że to on... ją... to znaczy mnie...

– Nie. – Potrwało chwilę, nim uświadomiła sobie, co powiedziałem. Musiałem machnąć ręką na delikatność i nazwać rzeczy po imieniu. – To nie on jest... to znaczy nie był... Cholera... to nie jego córka. Dobrze kombinujesz, mało brakowało, ale jednak zabrakło. Nie musisz się martwić śmiercią tego drania.

– Nie Sułtan? – Nie potrafiła uwierzyć. – Ale Aisza... Okłamujesz mnie – stwierdziła nagle.

– Ja?

– Myślisz, że mnie to zabije. Bo to była ostatnia szansa Oli i teraz ona... Ale nie rób tego. Proszę. Ja... ja jestem twarda. Nawet nie wiesz jak... – urwała i uciekła na moment z oczami.

Teraz ja potrzebowałem przerwy. Tysiąc razy przerabiałem w myślach tę rozmowę.

Za mało, jak się okazuje.

– Wiem. To znaczy... wiem, o czym mówisz. – Nie próbowałem zatrzymać umykających mi z dłoni palców. – Kiedy się domyśliłaś?

Korytarzem, poskrzypując zwichrowanym kółkiem, przetoczył się szpitalny wózek.

Było cicho. Wyraźnie słyszałem pacnięcie przyniesionego wiatrem liścia o szybę. Głos Jovanki też słyszałem wyraźnie, choć o rzeczach, o których mówiła, nikt nie opowiada głośno.

– To przychodziło stopniowo, po kawałku. Chyba pierwszy raz u Kosty, wiesz, jak opowiadał o tej jatce na moście. Pomyślałam: „Dobrze, że mnie tam nie było, chybabym umarła z przerażenia”. A potem zdałam sobie sprawę, że naprawdę boję się mostów. To dziwne, bo lęku wysokości raczej nie mam. A jak idę przez most, to zawsze przy krawężniku, jak najdalej od balustrady. Głupie, nie?

– Czy ja wiem...

– Potem przypomniała mi się ta odzywka, pamiętasz? Znad Dunaju. Że nigdy więcej... Wiedziałałam już, że musiałam być z tej okolicy. – Zrobiła sobie przerwę i dopiero teraz zwróciła uwagę na to, co wygląda spod mojego fartucha. – To mundur?

– Przepraszam – posłałem jej słaby uśmiech. – Zapomniałem powiedzieć. Znow pracuję dla rządu. Masz u mnie wielki... co właściwie lubisz? Słodyczne, kwiaty? –

Przyglądała mi się zdziwiona. – Chwilowo jestem splukany, więc przepraszam, że nic ci tu... No i bałem się zapeszyć. Wiesz: mogłaś się nie obudzić. Albo znow obudzić z wykasowaną pamięcią.

– Ciebie nie zapomnę – powiedziała cicho. Potem przez chwilę nie patrzyliśmy na siebie. – Jakim cudem? Przecież chcieli cię zabić...

– Jedni chcieli, inni nie. Mówi ci coś nazwisko Jaroszuk? Pułkownik, taki niewysoki, łysy jak kolano.

– Pułkownik? – zmarszczyła brwi. – Czekał... Jest taki facet, po jabłka do nas przyjeżdża. Raz czy dwa zamieniliśmy parę słów. Był chyba w waszej brygadzie, Romek coś napomknął. Dlaczego pytasz?

– Bo to równy gość. Też go nie znam, ale jak tobie będę kupował kosz kwiatów, to jemu muszę ze skrzynkę wódki. Chyba... no, uratował ci życie. Mogłaś mnie dzięki temu wynająć, ja mogłem jechać do Bośni, no i w efekcie wrócić do wojska.

– Jestem po operacji głowy – przypomniała z cieniem uśmiechu w kącikach ust i oczu.

– Był wtedy w sztabie Brygady Nordycko-Polskiej. To on załatwił twój ślub z Romanem, nowe papiery i tak dalej. A potem pilnował, by ci na górze się nie rozmyślili. Oczywiście nikt tego nie powiedział wprost, ale jeśli poskładać klocki, na to wychodzi. Po tej historii z Aną paru facetów wpadło w panikę. Przymierzaliśmy się do NATO, nic jeszcze nie było przesądzone, Bośnia to miał być rodzaj sprawdzianu, a tu polscy żołnierze wykręcają taki numer... Dziś zgodnym chórem wszyscy mówią, że im to przez myśl nie przeszło, ale myślę, że niektórzy poważnie się zastanawiali, czy najprościej nie byłoby oddać i ciebie Żańcowi.

– To on zabił Anę? – Nagle zrobiła się beznamiętnie rzeczowa.

– Nowickiemu mówił, że Lipko, ten czwarty. Myślę, że Żaniec zmusił go wtedy do strzelania, żeby mieć na niego haka. Tyle że chłopakowi puściły nerwy, zaczął pić, miotać się, grozić, że wszystko ujawni... No i zginął w wypadku. Samochód stacza się ze skarpy. Sierżant Żaniec: lekkie otarcia, szeregowy Lipko: zmiażdżona czaszka, zgon na miejscu. Dopiero wtedy panom decydom otworzyły się oczy.

– Nie nadążam – poskarżyła się. – Możesz zacząć od początku?

– Jasne. W skrócie było tak: Nasz patrol desantowany z amerykańskiego śmigłowca miał sprawdzić wierzchołek Pecinaca. To były pierwsze dni po wejściu sił rozjemczych, w okopach po obu stronach siedziało jeszcze mnóstwo żołnierzy i trzeba było to całe bractwo rozpoznać, policzyć i zacząć rozsyłać do domów. No i zorientować się w kwestii pól minowych – najlepiej wypytyując tych, którzy je stawiali. Nasz batalion dostał spory obszar, a siły miał takie sobie, więc oficerów brakowało i poleciał podoficer z trzema szeregowymi. Żaniec, Lipko, Nowicki i Bigosiak.

– Roman? – Pobladła. – Był tam?

– Pamiętaj, że miał wtedy trochę mniej lat. W każdym razie był w najgorszym wieku i w największej potrzebie, a nie miał z kim iść do łóżka.

– Po co mi to mówisz?

– Nie usprawiedliwiam ich, ale trochę rozumiem. Faceci są tak zrobieni, nic na to nie poradzimy. Dowództwo dało Żańcowi praktycznie nieograniczony czas na zbadanie terenu, a Sułtan wódkę, skręty i piezzonego dzika. No i panienki. Byli już pijani, kiedy zaproponował was.

– Nas? – Wiedziała prawie na pewno, ale i tak nią wstrząsnęło. – To znaczy... byłam tam jako...?

– Wtedy już tak. Nowicki to trochę nie ta liga co pozostali. Studiował, jest inteligentny, teraz to wzorowy mąż i ojciec... Wzbraniał się, wykręcał, jak mógł, tłumaczył, że z dziwkami to nie on, że AIDS... Tamtym zależało na każdym dniu zwłoki, Żańcowi na zbudowaniu solidarności grupy, Sułtan zasnął na stole... I tak jakoś się porobiło, że zaproponowali chłopakowi gwarantowany, stuprocentowo pewny towar. I to najwyższej klasy. – Przyglądała mi się wielkimi oczyma, nie oddychając. – Zrobiliśmy testy. Nie ma cienia wątpliwości: Ola jest jego. Kazał powiedzieć...

– Jego? Jest jej ojcem? – Widziałem, jak tępy ból zastygły w jej oczach rozlatuje się na strzępy, rozsadzony trwożliwą, lecz pęczniejącą gwałtownie nadzieją. – To znaczy...

jego szpik...?

– Pasuje. – Napiąłem mięśnie dłoni, ratując ją przed zgnieceniem. Nie zdziwiłbym się, widząc krew płynącą rurką kroplówki w górę. – To znaczy: pasował. Mówiłem ci: jest dobrze. Ten mundur, przywrócenie do służby to tylko dodatek. Powiedziałem facetom z ministerstwa, że będziemy trzymać gęby na kłódkę tylko pod jednym warunkiem: że załatwią Oli kurację. I poszło jak z płatka. Forse wzięli z moich zaległych poborów, uzbierało się tego przez tyle lat, a dawca był idealny i pod ręką.

– Zrobią jej przeszczep?! – Krew ku butelce nie popłynęła, ale tym razem nie udało mi się jej powstrzymać. Usiadła jak pchnięta sprężyną, wyrwała mi dłoń, chwyciła oburącz za ramiona.

– Uspokój się, dziewczyno! Już po wszystkim. Poszło gładko, lekarze są jak najlepszej myśli.

– Chcę ją zobaczyć – prawie mną potrząsnęła. – Słyszysz?

– Zobaczysz. Słowo. Jest teraz z moimi rodzicami, trochę to potrwa, ale jutro... No, uspokój się. Jest cała i właściwie zdrowa. Trochę popłakuje po nocach, ale nie bardzo, bo jej wmawiamy, że lada dzień mama będzie na chodzie i się z nią spotka.

– Nie mogę uwierzyć – powiedziała w końcu zduszonym głosem.

– Jak w bajce, co? Wystarczyło zaszantażować naszą kochaną władzę. –

Spowaźniałem i dodałem ciszej: – Mieliśmy szczęście. Ci, co w tym siedzieli, mieli dość krótkie

ręce, ale nie aż tak, by nie stać ich było na zorganizowanie Oli przeszczepu.

Lekarze ci tego chyba nie powiedzieli, ale w jej przypadku wymagana była daleko idąca zgodność tkanek między nią a dawcą. Niewiele z tego zrozumiałem, tyle tylko, że trudno byłoby znaleźć właściwy szpik poza rodziną, nawet gdyby zaangażować naprawdę duże sumy.

– Zaszantażować?

Jej dziecko było przez długi czas bardziej martwe, niż sądziła, a ona nie skomentowała tego słowem. Sekunda drętwy, czerń w oczach – i już była tu, ze mną.

– Ile właściwie pamiętasz z tamtej soboty? Kiedy Milo zaczął wymachiwać karabinem, nie bardzo mogłem się tobą...

– Tych żołnierzy jeszcze kojarzę. To Milo do nich strzelał, mam rację? –

Przytaknąłem. – Później chyba rozmawialiście. Ale potem obudziłam się już tutaj.

A końcówka tego na Pecinacu... Nie jestem pewna, co było naprawdę.

– Nowicki był naprawdę. To ten, którego Milo nie zastrzelił. Udało mi się go przekonać. Twierdzi, że sam nikogo nie zabił, i chyba nie kłamie. Nie zastrzelił nas, chociaż mógł. Wyśpiewał wszystko. No i pożyczył radio. Porządne, wojskowe, z szyfratorem. Mogłem targować się z Olszewskim, nie wychylając nosa poza Pecinac.

– To on kazał do nas strzelać?

– Tak. To znaczy... formalnie był w porządku. Trudno mu coś udowodnić. Ewidentne jest tylko tuszowanie prawdy, ale za to akurat oficerów się nie karze. Żaniec zręcznie to rozegrał, postawił armię przed faktami dokonanymi, a kiedy zginęła Ana, już nie sposób było się wyplątać z całej afery. Osobiście uważam, że Olszewski wyczuł, na co się zanoszą, kiedy posłał was do kliniki. A Ana źle to rozegrała, nie narobiła w porę krzyku...

Milo pamięta, że to była taka trochę szara myszka, nieśmiała, nie za bardzo bystra... Ktoś zastrzelił jej rodziców, nie wiadomo za co, bo małżeństwo było mieszane; kręciła się potem przy wojsku, pomagała sanitariuszom za miskę zupy. W końcu przepadła bez śladu. Chłopcy Sułtana robili czasem wypadki, pewnie i ją zgarnęli. Nawet nie znała twarzy tych żołnierzy, na których się skarżyła Olszewskiemu. Nie była za ładna, nikt jej chłopakom Żańca nie zaproponował. Nie miała okazji się przyjrzeć. I pojechała do kliniki akurat z tymi, z którymi nie powinna.

– Biedna mała...

– Biedna – zgodziłem się. – Ja też... Mało brakowało, a zacząłbym przekonywać Mila, że to jej tampon znalazł wtedy Kosta. Cały czas chodziła mi po głowie ta narzeczona Juki Spahovicia z Dubrovki, a ją tam pochowano. Tyle że to przypadek.

Żaniec powiedział potem Nowickiemu, że dziewczyna rozpoznała ich w drodze powrotnej,

wyskoczyła, próbowała uciekać, a Lipko strzelił, ranił ją, no i trzeba było dobić. Wybrali Dubrovkę, bo to niedaleko, miała spory cmentarz i praktycznie żadnych mieszkańców. Ale było jeszcze wcześniej, przyuważył ich jakiś staruszek, więc wyciągnęli z pustego domu szafę, zainscenizowali pogrzeb. Mogli dziadka kropnąć, ale tak było bezpieczniej. Oficjalnie zgłoszona śmierć, legalny grób, na papierze wszystko gra. W to akurat wierzę – że z pogrzebem było tak, jak Żaniec opowiedział. Gorsza sprawa z ucieczką Any. Sprawdziałem na mapie: jeśli zginęła blisko Dubrovki, to nijak nie mogli odwozić jej ani do domu, ani z powrotem do polskiego obozu. Myślę, że od początku planowali... Ty nic nie pamiętałaś, była szansa, że nie przeżyjesz, Romanowi wpadłaś w oko, a Żaniec miał na ciebie w razie czego haka. Nie stanowiłaś zagrożenia, Roman obiecał cię pilnować – mogłaś żyć. Ona nie. Potem Roman się zakochał i problem sam się rozwiązał. Ślub, pewnie wspólne dzieci, całkowite uzależnienie od męża w obcym przecież kraju... Mieli prawo sądzić, że nawet jeśli sobie zaczniesz przypominać, nie piśniesz słowa. – Zamilkłem na chwilę, dając jej czas na przetrwanie nowin. – No, ale miałem o szantażowaniu... Nie wiem, czy dogadałbym się z Olszewskim, ale na szczęście wrócił z Sarajewa dowódca batalionu. Zobaczył, co się dzieje, i raz-dwa zwinął obłężenie. Warszawa zareagowała błyskawicznie. Uruchomili plan B i kazali mu się z nami dogadać. Milo dostał obietnicę, że nikt nie tknie drugiego wejścia do jaskini i prawda o Sułtanie wyjdzie na jaw. Ja zostałem zrehabilitowany, Nowickiemu zapewniono nietykalność, Oli kurację, a Dorocie angaż do telewizji, radia czy co sobie tylko wymarzy. O ile wiem, wybrała dział zagraniczny TVP.

– O ile wiesz? – Głos Jovanki po raz pierwszy zrobił się doskonale beznamiętny. –

Nie zainteresowałaś się bliżej? Tyle czasu minęło...

– Zostawmy Dorotę – uśmiechnąłem się nieznacznie. – Z nogą dobrze, biegać nie będzie, ale chodzić tak, jest w miarę zadowolona i bardzo z siebie dumna. Kazała cię pozdrowić. Odleciałyście wtedy tym samym śmigłowcem.

– To miłe, że pomyślałaś o nas obu. – Uparcie trzymała się komputerowej intonacji. –

Ją też odwiedziłeś w szpitalu?

– Załatwiałem sprawy w Warszawie; trudno było nie wpaść.

– To śliczna dziewczyna. I nie taka lalka, na jaką wygląda.

Zamilkła. Trzymałem w palcach jej wilgotną dłoń i pierwszy raz w życiu rozkoszowałem się kobiecym gniewem. Dopiero gdy przypomniała sobie o ręce i mi ją zabrała, powróciłem na ziemię.

– Myślę, że będziemy mieli spokój. – Teraz ja postarałem się o rzeczowy, wolny od emocji ton. – W całej tej aferze nie siedział nigdy nikt naprawdę bardzo, bardzo ważny.

Może coś tam słyszeli, ale nic ponadto. A i ci w randze wiceministra raczej przymykali oczy, niż czynnie się angażowali. To dlatego Jaroszek cię wybronił, Tapczaniarz musiał

na nas polować, podkładając chałupnicze bomby, a Ola wskoczyła raz-dwa na pierwsze miejsce w

kolejce do przeszczepu. Chwalić Boga, w Polsce nikt nie ufa tajnym służbom i politykom, a już najmniej inny polityk. Nikt nie chciał chyba do NATO aż tak, by ryzykować własnym tyłkiem. Głowa w piach i niech ci z dołu sami po sobie posprzątają.

Teraz my tkwimy w układzie. Mamy o wszystkim zapomnieć, ze szczególnym uwzględnieniem tego, że ktoś posłał snajpera pod Jeżynową Górkę. Przypisali to Żańcowi, ale wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby to Olszewski osobiście... Dla nas najważniejsze, że układ jest stabilny i wszystkim się opłaca, więc nie musisz się bać.

W Stanach pewnie by nas sprzątnęli dla świętego spokoju, ale Polska to Polska. Czasem warto się urodzić w popieprzonym kraju.

– Nie boję się. – Specjalnie przechyliła głowę, bym mógł lepiej zajrzeć w jej oczy i sprawdzić, że nie kłamie. – Oli nawet w Stanach nie miałoby powodu... a to jedno się liczy.

– No dobrze – westchnąłem. – A teraz o rzeczach mniej przyjemnych. Zaczęliśmy mówić o twojej przeszłości.

Skinęła głową na znak, że wie, do czego zmierzam, i akceptuje taki kierunek rozmowy. Chyba oboje chcieliśmy mieć to za sobą.

– Pytałeś, od kiedy wiem, jaki ze mnie twardziel. No więc po moście była Aisza i to, co powiedziała o preferencjach Sultana i o mnie jako o prostytutce. Wychodziło na to, że skoro nie byłam dziwką, to prawdopodobnie jego panienką. Niby w grę wchodził i inni, ale świecidełka, którymi się poobwieszałam, były naprawdę drogie. No i te sińce...

Bulatović wspomniał, że wszystko było dość świeże: i ślady bicia, i rany po nakłuciacz.

Czyli w tym samym czasie ktoś dawał mi wycisk i obwieszał biżuterią.

– To było, zanim poszliśmy na Pecinac – przypominałem cicho.

– Pytasz, czy już wtedy wiedziałam? Nie. Naprawdę mnie rąbnęło dopiero na górze, przy wejściu do tunelu. Byłam święcie przekonana, że już widziałam to miejsce. – Jej głos spowolniał, mówienie sprawiało coraz większą trudność. – Poszliśmy nim i znaleźliśmy tę dziewczynę, sanitariuszkę. To wyglądało, jakby na kogoś czekała. Była ranna, a dookoła tyle świateł. Zrozumiałam, że było ich więcej, kiedy weszliśmy do celi.

Savka nie dałaby rady opatrzeć tej dziewczyny z łóżka. No i nie podpisywałyby się tak.

Tobie też coś wtedy zaświtało, prawda? – Kiwnąłem leciutko głową. – Ale mnie chyba więcej. Charakter pisma. Suka pisała po desce umoczonej w krwi palcem, więc nie było naturalnie, ale i tak wyglądało znajomo. Przyszło mi do głowy, że to mogłam być ja.

Wiesz, w pierwszej chwili taki absurdalny żart, a potem zastanowienie: właściwie dlaczego nie? Chyba uciekłam z Pecinaca, no i ostatecznie też mnie bili, jak te tutaj.

I wiesz, co mnie przekonało, że jednak nie? Będziesz się śmiał, ale majtki. Tam był pełen worek ślicznych, koronkowych, a Bulatović mówił, że miałam na sobie jakieś szmaty.

Taka babska logika.

– Dobra logika. Byłaś tam na innych zasadach niż pozostałe. Nie zabrali ci ubrania.

Chorowałaś. Inne też pewnie chorowały i może umierały tam wcześniej, ale to były serbskie dziewczyny, kobiety wrogów.

Posłała mi długie, smutne spojrzenie.

– Dla których byłam muzułmańską suką – dokończyła. – Wiesz, co jest najzabawniejsze? Że potem, w Polsce, czułam się Serbką. No, może Chorwatką. Ale nigdy takim tłumokiem, któremu mąż każe gnić w haremie i nosić szmatę na twarzy.

– Daj spokój. Bośnia to nie Bliski Wschód.

– Wiem. Przesadzam. Ale w tamtą stronę to szło. A ja brałam po pysku od męża za brak wiedzy, w którego Boga wierzę. I straciłam ojczyznę, bo nagle ludzi zaczęło obchodzić, kto jak się modli. W Jugosławii tego nie było, Serbowie bronili Jugosławii, więc automatycznie ustawiłam się po ich stronie.

– A potem weszliśmy do kwatery Tapczaniarza i zobaczyłaś spis telefonów –

pokiwałam współczująco głową. Uniosła brwi.

– Zauważyłaś? To dlaczego...?

– Nie zacząłem pytać? A po co? Kierunkowy do Tarnowa, ty blada jak trup... Nie trzeba geniusza, by zgadnąć, czyj numer znalazłaś.

Oblizwała suche usta.

– I tak od razu...? – wychrypiała.

– Przeceniasz mnie. Zaczęło się jak u ciebie, od mostu. Chociaż bardziej od tego, co Kosta mówił o okopie Rzeźnika, o tamponach... Wy, bośniackie dzikusy – posłałam jej żartobliwy uśmiech – to strasznie niedzisiejsze plemię. Ty i Milo popełniliście identyczny błąd. Żadne nie pomyślało, że to mogła być dziewczyna. Owszem, jako osoba towarzysząca... Mnie to przyszło do głowy po rozmowie z tą małą u Aiszy. Pamiętasz, co powiedziała? Że Eminę przez pomyłkę ostrzelali Serbowie. Między polami minowymi, czyli już chyba na Pecinacu, a przynajmniej blisko. – Patrzyła na mnie bez zrozumienia.

– Przez pomyłkę, tak powiedziała. Za późno skojarzyłem i nie było okazji dopytać Aiszy, ale jak znam życie, dziewczyny obsługiwały obie strony. – No i?

– Pomyślałem, że jeśli blisko frontu raz strzela się do kogoś przez pomyłkę, to zwykle się do niego nie strzela w ogóle. I że Rzeźnik-dziewczyna miałby większe szanse prześlizgiwać się między czekającymi na niego w zasadzce. Żaden problem ukryć na Glavie karabin i sprzęt, a potem samej udawać zbieraczkę jagód. A jeszcze lepiej handlarke. Kosta mówił, że sporo osób próbowało chodzić przez przełęcz. Jedna zaradna dziewczyna więcej nie budziłaby podejrzeń.

– Pomyślałaś, że na tym zbudowałam swoją snajperską karierę? – uśmiechnęła się gorzko. – Na udawaniu Czerwonego Kapturka z koszyczkiem?

– Nie kpij – nie odwzajemniłem uśmiechu. – Czerwony Kapturek mógł marnie skończyć. Zwłaszcza taki ładny. Musiałabyś uchodzić za swoją, a swoją, jeśli już się zgwałci, najwygodniej po wszystkim wykończyć. Tyle że ja nie o tobie myślałem.

– Nie o mnie? – Tym ją chyba zaskoczyłem. Najwyraźniej miała mocno zawyżone wyobrażenie o moich talentach detektywistycznych.

– Pamiętasz, jak zapytałem Bulatovicia o włosy Any? Miała czarne. Emina była blondynką, Juka Spahović szukał odmiany... Dodałem do tego narzeczoną Juki, to, że ponoć umiała strzelać, no i jakoś tak...

– Ja też umiem strzelać – przypomniiała.

– Wiem: Jeżynowa Górka. Tyle że dziewczyn, którym ktoś pokazał, do czego służy karabin, były w Bośni setki, jeśli nie tysiące. No i masz dobry wzrok, a to połowa sukcesu przy strzelaniu.

– No więc kiedy...?

– Jak zostawialiśmy Dorotę, zastanawiałem się, czy nie dać jej rewolweru, ale uznałem, że to na nic. Bo jeśli wyskoczy z jakimś „ręce do góry”, tamci od razu rozpoznają kobietę i zwyczajnie wyśmieją. I wtedy przypomniło mi się, jak Rzeźnik odganiał Kostę pobrzękiwaniem metalu. Ale to był tylko jeden klocek więcej, obrazek jeszcze mi się nie układał. Jakoś nie pomyślałem o tym, że znaleźli cię podrapaną, nasmarowaną tłuszczem, w majtkach na lewą stronę. Wypisz-wymaluj: po przeciskaniu się przez ciasne, skalne dziury, gdzie liczy się każdy centymetr. Olśniło mnie, kiedy zaszywałeś dekolt. Milo rozsypał skarpetki snajpera, wziąłem jedną do ręki... Kiedy cię znalazłem przy swoim tapczanie, miałaś na sobie tylko nocną koszulę i grube skarpety.

Potem nie chciałaś, bym obejrzał twoją stopę. Przechodziłaś przez rozlewisko bez koszuli, z gołym biustem, ale w jedynych skarpetach. Przewracasz się przy skokach, boisz wspinaczki... A Rzeźnik leżał całymi dniami na śniegu. I najwyraźniej podmrażał

palce u nóg.

Nie sądziłem, że tak zareaguje. Że odwróci się twarzą do ściany, zwinie jak embrion.

To nie wystarczyło, więc przekreśliła dodatkowo głowę, wbijając twarz w poduszkę.

Podniosłem się z krzesła, usiadłem na łóżku obok niej. Ręka sama odnalazła okryte pasiastą pizamą

ramię.

– Nie wygłupiaj się. Sześć zostało. To wcale nie wygląda tak źle.

– Zostaw mnie – wymamrotała w poduszkę. – Proszę. Idź sobie.

– Nie mogę. Jeszcze nie skończyliśmy.

– Skończyliśmy. Dzięki, byłeś świetny. Przyślij mi rachunek.

– Pomagałem pielęgniarce cię myć. To znaczy... to, co wystaje z piżamy. Może to żalosne, ale próbowałem się upewnić... no, nie chciałem ryzykować, że jak przyjdzie co do czego, to widok twoich stóp...

Nos wynurzył się spod poduszki, zwrócił ku ścianie. Nie był wcale czerwiejszy niż przedtem; wiedziałem, że to tylko złudzenie wywołane świadomością, iż Jovanka bezgłośnie płacze. Nawet łzom towarzyszyła jednak złość, wola walki.

– Kto ci dał prawo?! Wyobrażasz sobie, że możesz mnie obmacywać, bo na tej wszawej górze rznął mnie każdy po kolei?! Bo się puszczałam za pieniądze?!

– Nie pleć głupstw. Ja tylko...

– Zaskarżę ten gówniany szpital! Pielęgniarki nie miały prawa dopuszczać do mnie obcego faceta! Co to jest, burdel?!

Nie da się wrzeszczeć na kogoś, leżąc do niego bokiem, więc zyskałem tyle, że nie tylko odwróciła twarz w moją stronę, ale i usiadła.

– Nie czepiaj się pielęgniarek. Są w porządku. Po prostu powiedziałem, że jestem twoim mężem. Nie ma nic złego w tym, że mąż...

– Co?! Oszalałeś?!

– Ciebie nie będę okłamywał – obiecałem. – A w każdym razie rzadko.

– Bo nie będzie okazji! Honorarium przyślę ci pocztą!

– Chcesz powiedzieć, że nie spotkamy się więcej? – zapytałem w miarę spokojnie.

– A niby po co?! – krzyknęła z rozpędu. Odczekałem parę sekund, po czym ostrożnie dotknąłem koniuszkami palców jej policzka. Zaraz potem przesunąłem dłoń dalej, na ramię. Jovanka nie protestowała.

– Musiałem okłamać Mila, żeby cię nie zabił. – Mówiłem cicho, nie do końca pewien swego głosu. – Nie wiem, czy mi się udało i czy w ogóle było to potrzebne. Nakłamałem Nowickiemu, że się znamy jak łyse konie i wiem, że nie będziesz próbowała go skarżyć, a nawet pozwolisz mu kiedyś zobaczyć

się z Olą.

– Co? – Tym razem nie podniosła głosu. Była zszokowana i rozzalona, lecz nie zła. –

Marcin, on mnie zgwałcił. Chyba że źle cię rozumiałam...

– Dobrze rozumiałaś. Dali mu ciebie przywiązaną do łóżka, bo się bali, że coś komuś zrobisz, on był pijany, trochę przestraszony... Gdyby się nie przyłączył, to jeśli nie Żaniec, gospodarze na delikatną sugestię Żańca mogliby go... Zrobił to, ale potem wrócił

i zostawił ci zestaw do pielęgnacji paznokci. Wiesz, o czym mówię. – Po oczach, okrągłych jak spodki, poznałem, że wie. – Jesteś mu winna życie. Raz swoje i dwa razy Oli. Nie wiedział, że jest jego, że jest chora i że wybrałaś się do Bośni, by ją ratować.

Starał się trzymać możliwie daleko od kumpli z wojska i dopiero kiedy Żańcowi stali się potrzebni dyskretni pomocnicy, wsiadł w samolot i poleciał nas łąpać. Nie mówię, że to wzór cnót i bohater, ale mógł przemilczeć waszą znajomość.

– Chcesz powiedzieć, że sam...? Może niechcący się wygadał?

– Nie wygadał się. Po prostu na trzech gnojków trafił się jeden przyzwoity facet.

Siedzieliśmy w tym lesie, czekaliśmy, co władza zdecyduje, o czymś trzeba było pogadać, no i jakoś tak zeszło na ciebie. Dowiedział się o małej i od razu mówi: „Jezu, ona może być moja. Czas się zgadza i byłem pierwszy”.

– Pierwszy? Z tych czterech? – Nie rozumiała.

– Nie miałaś przed nim żadnego faceta. Przepraszam, że tak po prostu ci to mówię, ale widziałem, jak się gryziesz tamtą dziewczyną. No więc przynajmniej była porządna.

Żadna kurwa, żadna puszczańska, sprzedająca się za świecidełka pod bieliznę. Nasi biesiadowali wtedy z chłopakami Sultana całą noc, na drugi dzień trzeźwieli, więc trochę zdążyli pogadać.

– O niej? – Ledwie ją słyszałem. Zwłaszcza kiedy się poprawiała. – O mnie?

– O niej. – Mocno podkreśliłem to słowo. – Dobrze się czujesz? Mogę mówić? –

Skinęła głową, bardzo stanowczo. – Ten chłopak z fotografii, twój brat... Prawie na pewno nie żyje. Nikt nie pozostał żywy. Straciłaś... ona straciła całą rodzinę. To dlatego poszła na front i była taka dobra.

– Dobra – powtórzyła z goryczą. – Pięćdziesięciu zamordowanych ludzi. – Siedziała przez chwilę z tępą rezygnacją na twarzy. A potem, w ułamku sekundy, zdrętwiała ze zgrozy. Chyba w ogóle nie zauważyła, że ująłem jej twarz w dłonie, zwróciłem ku sobie.

Była zbyt oszołomiona myślą, która w końcu ją dopadła. Na szczęście miałem przewagę czasu,

zdążyłem się przygotować.

– Nie było nas tam. – Mówiłem cicho, ale z naciskiem zdolnym giąć szyny kolejowe.

– Nie wiemy nic ani o niej, ani o układach panujących na tej górze. Tam faktycznie jest więcej jaskiń. Sam widziałem dwie. Tam też mieszkali ludzie. Może właśnie ona. Może muzułmańskie kobiety. Może żadna nie wiedziała o tym więziennym burdelu pod stacją przekaźnikową. Mężczyźni nie chwalą się czymś takim. A może snajperka zdawała sobie sprawę, tylko po prostu było jej to obojętne. Kiedy się żyje wyłącznie zemstą... Może Sułtan ją okłamywał, może tylko się domyślała, a nie odważyła się stawiać sprawy na ostrzu noża... Nie wiemy, jak było. Ale wiem, że kiedy skończyła się wojna, snajperka próbowała ocalić serbskie dziewczyny. To dlatego do nich dołączyła, dlatego Sułtan kazał

z niej zrobić luksusowy materac dla siebie.

– Wymyśliłeś to sobie – szepnęła.

– Miała tam nie lada autorytet. Rzeźnik z Glavy, postrach Serbów, druga osoba po dowódcy. Chyba na to liczyła. Albo po prostu się wściekła. Może z powodu dziewczyn.

Sułtan się przestraszył trybunałów, postanowił sprzątnąć świadków. Zaprotestowała.

Słowo po słowie i już miała karabin w ręku. Nie zaplanowała tego, źle rozegrała, więc ją raz-dwa obezwładnili. Ale i tak jednego faceta rozwalila, a drugiemu odstrzeliła nogę.

– Dlaczego miałabym ci uwierzyć?

– Bo mówię prawdę. Muzułmanie żartowali sobie z Nowickiego, mówili...

przepraszam za dosłowność... że wsadzał w prawdziwą żywą minę i taka metalowa byłaby trochę bezpieczniejsza w użyciu.

– Nie wierzę ci. – Czuję drżenie jej policzków pod dłońmi. – Byli jedną zdegenerowaną bandą. Całą wojnę razem i niby nagle ostatniego dnia...?

– Właśnie – przerwałem. – Ostatniego. Może to jest wyjaśnienie. Nie zabija się własnego dowódcy, póki trwa wojna i tylko ten dowódca daje szansę wymierzania zemsty. Ale wojna się skończyła i to, co było uczciwą walką, stało się zbrodnią. No a lista prawie jej się skończyła. Nie mam na to żadnego dowodu, ale myślę, że pod koniec jechała już tylko na poczuciu obowiązku. Zresztą przedtem też nie zabijała poza przełęczą. To o czymś świadczy. Łatwiej by jej było...

– Lista?

– Pamiętasz notes? Ten z odciskiem kciuka? Milo wolał mi go oddać. Powiedziałem mu, że tamten kciuk i twój mają zupełnie różne linie papilarne, ale chociaż miał pod ręką Nowickiego i drugą parę oczu, nie próbował mnie sprawdzać. Prawda bywa niewygodna.

– Sam widzisz – rzuciła gniewnie. – Łziesz jak pies.

– Obejrzałem jej notatki. Znalazłem kogoś, kto dobrze zna serbsko-chorwacki, ale to najważniejsze zrozumiałem sam. Zaraz na początku był spis. Mama, tata, trzy imiona –

dwaj bracia i siostra. Przy kobietach narysowane były znaczki, coś jak zamknięte nożyczki. Pod ojcem i braćmi stawiała po prostu krzyżyki. W sumie doszła do czterdziestu siedmiu. Używała różnych długopisów i ołówków, więc dobrze było widać kolejność. Chyba nie liczyła, że uda jej się dociągnąć do pełnej dziesiątki za każdego zabitego członka rodziny, bo przypisywała każdemu po pierwszym Serbie, potem każdemu po drugim i tak dalej. Zabrakło trzech znaczków pod imionami rodzeństwa.

Wiem, że miało być po dziesięć, bo słupki pod słowami „mama” i „tata” były przekreślone w pionie.

– Chcę zobaczyć ten notes. – Cofnęła się, bo trudno wywarkiwać żądanie, trzymając twarz w czyichś dłoniach. Opuściłem ręce. – Daj go i zostaw mnie.

– Nie dam ci go – powiedziałem, patrząc trochę wyzywająco w rozgorączkowane oczy. – I ciebie nie zostawię.

– To moja własność!

– Nie. To własność tamtej dziewczyny. A jej już nie ma. – Próbowwała coś powiedzieć, ale byłem szybszy. – Nie ma tam niczego osobistego, same techniczne notatki. Tylko ta lista na początku i jedna rzecz na samym końcu. Ale nie dam ci notesu. Wiesz dlaczego?

Bo chcę ci udowodnić, że jej naprawdę nie ma.

– Nienawidzę cię.

– Imiona, Jovanka. Wszyscy mówiliście tym samym językiem, ale po imionach można odróżnić rodzinę chorwacką od muzułmańskiej. Albo i serbskiej: Serbowie też walczyli po stronie rządu bośniackiego. – Przyglądała mi się ze zdumieniem, wyraźnie wstrząśnięta takim postawieniem sprawy. – Nie chcę, byś wiedziała. Dla nas obojga lepiej będzie, jeśli pozostaniesz po prostu Jugosłowianką.

Milczała długo. Ważne decyzje wymagają namysłu.

– Może masz rację – mruknęła. – A ta druga rzecz?

– Zapisywała daty. Nie wszędzie, ale tu akurat była. Data pierwszego dnia pokoju. –

Widziałem, jak znów sztywnieje. – Nie, o Mladenie nic... Ale przedtem, o świcie i chyba nocą... To skróty, z definicji niejednoznaczne, ale stawiała znaki zapytania, więc myślę, że dobrze to interpretuję. To było coś w rodzaju: „dezterzy?”, „schodzą z P.?” i podkreślone parę razy „Serbowie nie strzelają”. – Odczekałem chwilę. – Jovanka, coś jej się nie zgadzało. Była zdziwiona. Rozumiesz?

– Kła... kłamiesz. Chcesz mnie... pocieszyć.

– Dobra, chcę cię pocieszyć. Tyle że nie kłamię. Leżała tam na śniegu i nie wiedziała, że już po wojnie. Chłopcy Sultana woleli pić niż iść, szukać jej i tłumaczyć, że nie musi już do nikogo strzelać. Niby po co mieli ryzykować? Jeden Serb więcej, jeden mniej –

jaka to różnica? Więc zobaczyła we mgle kogoś z długim przedmiotem w rękach, może karabinem. Strzeliła. Coś ją musiało zaniepokoić, coś się nie zgadzało. Zeszła. Nigdy nie schodziła, ale tym razem zeszła. Może przypomniała sobie, że pokój wisi w powietrzu, może skojarzyła te nocne ruchy i bierność Serbów. A może kiedy pociągała za spust, w ostatniej chwili dopatrzyła się białej flagi na tle śniegu. Nie wiem. Wiem, że okryła ранego własnym płaszczem, a potem pobiegła. Jak ma się zamiar urządzić komuś wściekłą awanturę, to często się biegnie.

– To tylko domysły. – Wzięła się już w garść.

– Chcesz ją osądzać, a nic nie wiesz o jej życiu. Dobrze, osądzaj. Tylko że cywilizowany proces to tłumaczenie wątpliwości na korzyść podsądnego.

– Powinieneś być adwokatem – uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Chciałbym. – Mój uśmiech był równie słaby. – Adwokata nikt nie przenosi na drugi koniec kraju.

Oczy się jej rozszerzyły. Przez chwilę widziałem w nich coś zbliżonego do paniki.

– Przenoszą cię? Wojsko, tak? – Skinąłem głową. – Dokąd?

– Głębokie zadupie. Mazury. Jakoś musieli sobie odbić te wszystkie ustępstwa.

Chcesz służyć? Proszę, leśne garnizony czekają na takich frajerów.

Chyba naprawdę była przestraszona. Cała rozmowa dużo ją kosztowała, ale bała się dopiero teraz. A ja bałem się uwierzyć, że właściwie odczytuję jej emocje.

– Wyjeżdżasz?

– Muszę. Raz mi się poszczęściło, ale jako detektyw nie pociągnę długo. To dla mnie jedyna szansa na normalne życie. Zresztą... lubię wojsko. I lasy też. Tylko...

– Tak? – zapytała szeptem.

– Tylko że w takich miejscach niełatwo o dobrą żonę.

– Chcesz... No tak, rozumiem. – Przełknęła ślinę. Odwróciła twarz, nagle zainteresowana fakturą ściany. – Mam nadzieję, że ci się uda. Zasługujesz na porządną dziewczynę.

– Nie będzie łatwo. Tam aż się roi od bezrobotnych. Człowiek nigdy nie ma pewności, czy chodzi o niego, czy o jego pieniądze. A ja nie umiałbym tak... No a z drugiej strony nikt nie ufa rozwodnikowi.

Zwłaszcza takiemu, który...

– Rozwodnikowi?! – Omal nie zwichnęła sobie karku, tak gwałtownie go użyła, by na mnie spojrzeć.

– Byłeś żonaty?!

– ...zostawia żonę z chorym dzieckiem. Niby już po przeszczepie, a żona znakomicie zna trzy obce języki, jest inteligentna, cholernie atrakcyjna i w końcu znajdzie sobie dobrze płatną posadę. To mimo wszystko fatalnie wygląda dla kogoś z zewnątrz.

Gapiała się na mnie z rozchylonymi ustami. Wcale nie wyglądała na szczególnie inteligentną.

– O czym ty...?

– Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek się obudzisz. Tam, w Bośni, nie wyglądało to dobrze. Dwa razy musieli cię reanimować, były jakieś powikłania... Robotę miałem już w kieszeni, ale co innego odkręcić niesłuszne oskarżenie, a co innego załatwić kawalerowi adopcję, i to chorego dziecka. Byłbym bez szans. Ola poszłaby do domu dziecka i pewnie już tam została, bo kto taką weźmie. No więc... załatwiłem ślub.

– Nie wierzę ci – wymamrotała. Jej twarz nie była twarzą kobiety, tylko kagańcem dla wyrywającej się na swobodę nadziei.

– Sam nie wierzyłem, kiedy się zgodzili. Ale jakoś poszło. Milo załatwił nam popa.

On i jeden facet z MON-u byli świadkami. Myślałem o Nowickim, ale uznałem, że wiceminister będzie lepszy: nikt tego nie odwoła pod pretekstem, że panna młoda była nieprzytomna. Mam oficjalne oświadczenie poważnego polityka, że akurat na ten kwadrans odzyskałaś świadomość. I drugie, z ambasady, że w myśl polskiego prawa ślub jest ważny.

– Ale przecież... przecież ja mam męża! Oficjalnie...

– ...byłaś wdową. – Ująłem delikatnie jej dłoń. – Powinienem ci wcześniej powiedzieć: Roman nie żyje. Pamiętasz tę łączkę, gdzie zwichnąłem nogę?

– Jezu... – Była poruszona, ale strata męża nie pochłonęła jej całej świadomości.

Niemal od razu wróciła do tego, co naprawdę ją gryzło. – Chciałeś zająć się Olą? Ale dlaczego? Przecież nic was nie łączy.

– To świetny dzieciak – uśmiechnąłem się przekornie. – Już jesteśmy kumplami. No i ktoś musiał podpisać zgodę na zabieg. Niby mógł Nowicki, ale zanim się urzędowo ustalili ojcostwo, przyzna prawa...

– Marcin! – Gdyby stała, tupnęłaby w tej chwili nogą. Była inteligentna, mądra, wrażliwa, no i miała te niesamowite, godne sokoła ślepie, które ocaliły nas na Jeżynowej Górze i później. Lecz była też zwykłym człowiekiem i kobietą – więc potrzebowała potwierdzenia.

– Aha, no tak – udałem, że teraz to sobie przypomniałem. – Jest jeszcze taka jedna, w której się oboje kochamy. Każde inaczej, ale oboje bardzo.

Jej oczy krzyczały: „Tak!!!”, więc przygarnąłem najbardziej zabójczą dziewczynę świata i zacząłem całować wszystko, czego nie zakrywały bandaże. Chciałem poczuć smak każdego kawałka jej twarzy, ale nic z tego nie wyszło, bo Jovanka wczepiła się we mnie z identycznymi zamiarami i dopóki nie trafiliśmy ustami w usta, tylko sobie nawzajem przeszkadzaliśmy. W pewnym momencie do mego niedotlenionego mózgu dotarło, że spod pizamy wymknęło się coś cudownie miękkiego i bosko krągłego, wobec czego zacząłem obcałowywać piersi Jovanki i biedaczka mogła w końcu coś powiedzieć.

– Ale powtórzmy ślub – wydyszała, nieporadnie próbując pogodzić pozostawienie mi swej piersi z dosięgnięciem mnie ustami. – A w noc poślubną nie każesz mi zdejmować skarpet.

Wymamrotałem coś, co brzmiało jak zgoda. I nawet dotrzymałem potem słowa. Ale tak się złożyło, że ustawiony skosem stojak pod kroplówkę pasował idealnie między nogę łóżka a klamkę drzwi i tego popołudnia musiała się kochać ze mną na bosaka.

Żadnemu z nas nie sprawiło to różnicy.